PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIWERSUM METRO 2033

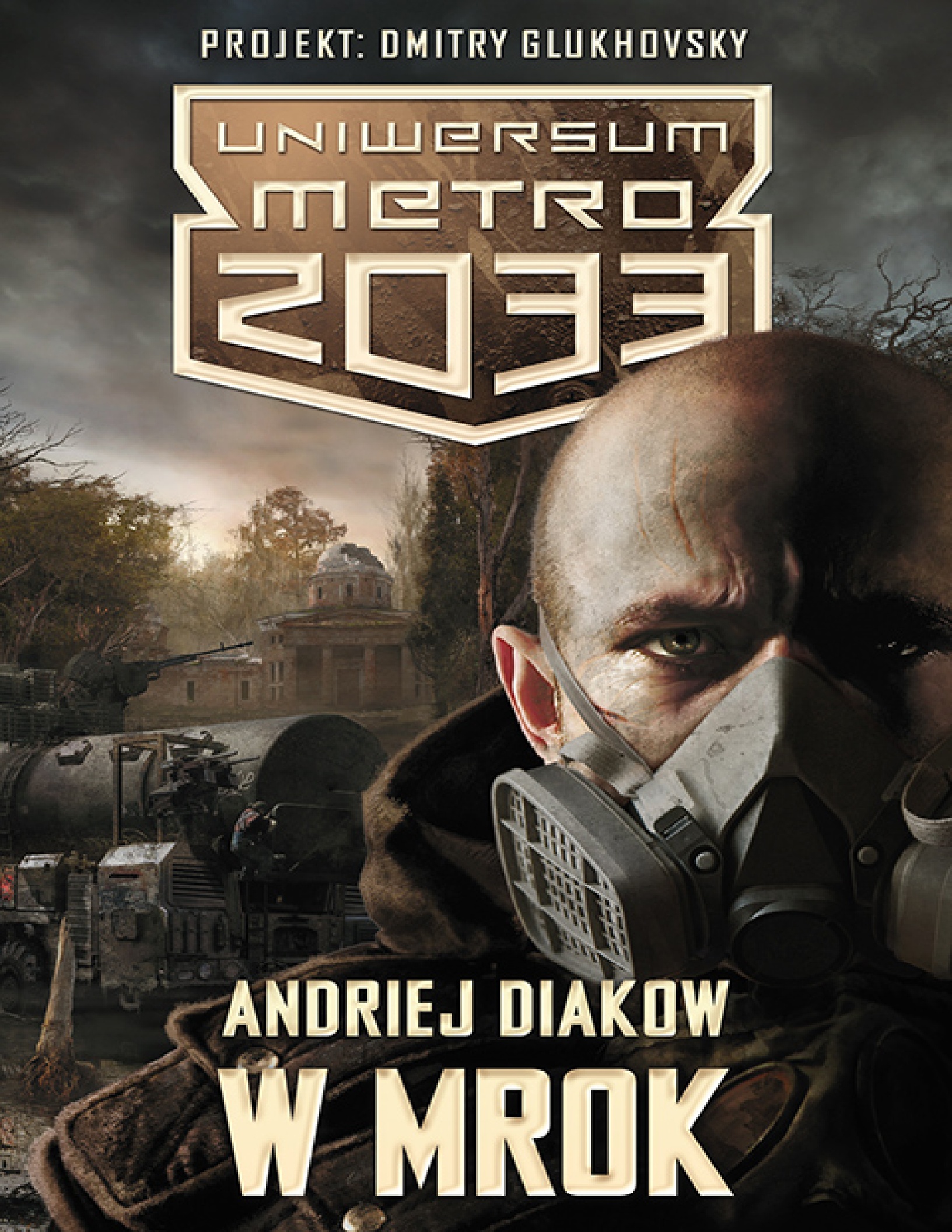

ANDRIEJ DIAKOW

W MROK

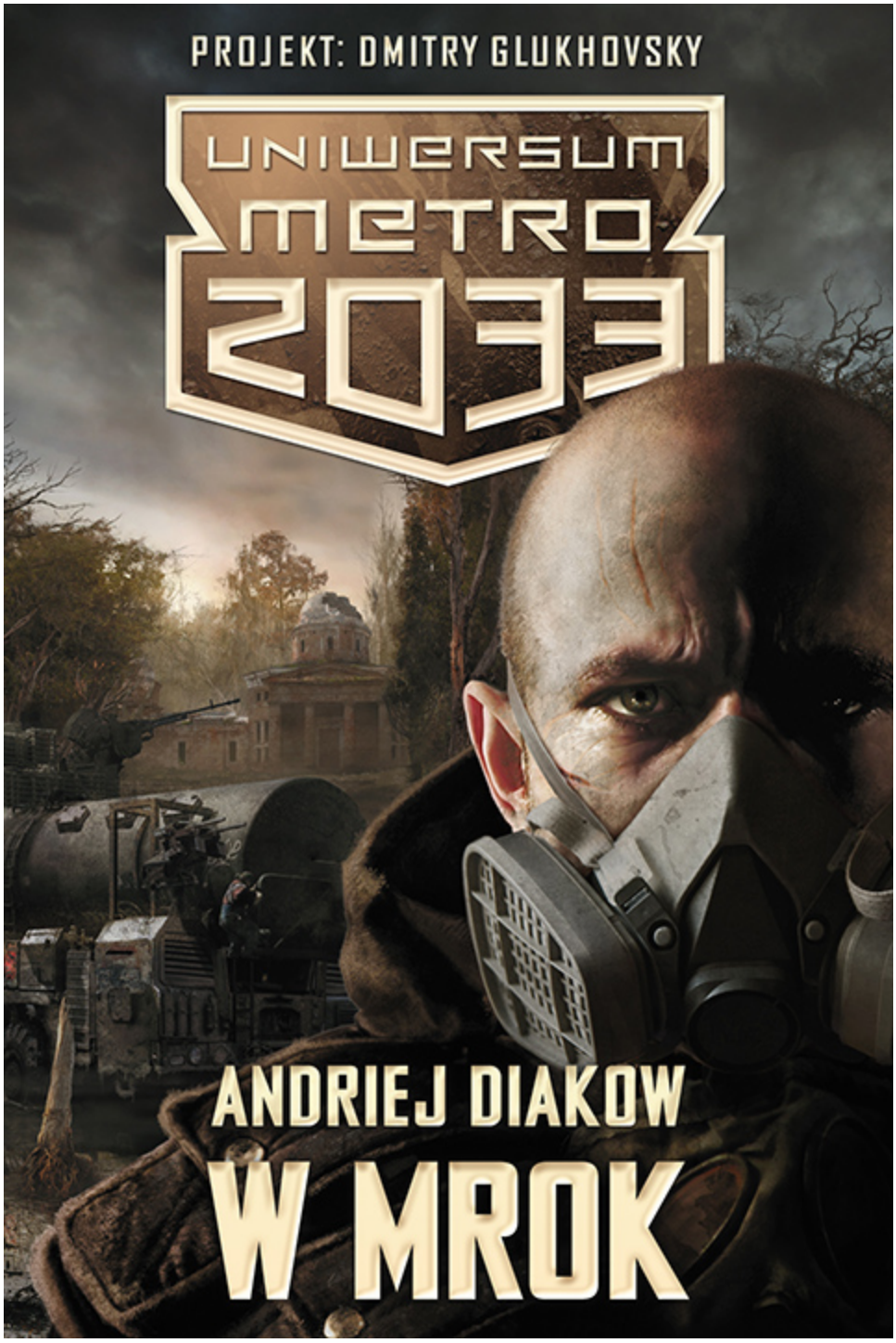
PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY
UNIWERSUM METRO 2033
ANDRIEJ DIAKOW
W MROK

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Andriej Diakow

W MROK

Przekład
Paweł Podmiotko

Tytuł oryginału
Метро 2033: Во мрак

Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2010

Copyright © Andriej Diakow, 2011

All rights reserved. The moral law of the authors has been asserted

Pomysł serii „Uniwersum Metro 2033” Dmitry Glukhovsky, 2009

Przekład z języka rosyjskiego Paweł Podmiotko

Projekt okładki Ilja Jackiewicz

Projekt logotypu serii Jacek Doroszenko, www.doroszenko.com

Redaktor prowadzący Piotr Mocniak

Redakcja i korekta Danuta Porębska, Tomasz Porębski,
Anna Małocha

Konwersja Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN-13: 978-83-61428-97-8

Insignis Media
ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

Część I: NA PROGU WOJNY

Rozdział 1: JESZCZE JEDNA KATASTROFA

Z daleka dziwne zwierzę bardziej niż cokolwiek innego przypominało dryfujący okręt podwodny. Kawał ogromnej nieruchawej ryby, której dalekim krewnym był, sądząc z wszelkich oznak, wieloryb. Jednak jakiekolwiek podobieństwo do tego ostatniego znikało, gdy spojrzało się na pokraczną, przypominającą narośl płetwę na garbatym grzbiecie olbrzyma – kropka w kropkę kiosk okrętu podwodnego, który wypłynął na powierzchnię na zwiady.

Jeszcze do niedawna lewiatan czuł się na wodach Bałtyku beztrosko. Na wiele mil wokół nie znalazło się stworzenie zdolne przeciwstawić się jego sile i chwytowi miażdżących wszystko szczęk. Mutant głośno uderzył o wodę potężnym ogonem i wydał z siebie przeciągły basowy ryk. Bojowy zew poniósł się daleko, więznąc w białawej mgiełce, gdzieś na granicy widoczności.

Chociaż jedno zagrożenie jednak istniało… Gotowy, by powtórnie oznajmić całej okolicy o swoim przybyciu, morski drapieżnik wzdrygnął się, gdy z północy, niby w odpowiedzi, dobiegł ostry, wibrujący dźwięk. Mieszkaniec głębin zastygł na moment, jakby nasłuchując, i kiedy dźwięk się powtórzył, zatrząsł w oburzeniu całym swoim masywnym cielskiem, machnął na pożegnanie ogonem i skierował się ku głębinie.

Pomimo nędznych rozmiarów mózgu lewiatanowi wystarczyło poprzednie spotkanie z właścicielem dziwnego zawołania, by dobrze zapamiętać jedną prostą prawdę – tego rywala lepiej omijać z daleka. Potężnych rozmiarów bestia pływała wyłącznie na powierzchni, miała doskonale odporną na ciosy skórę, a na dodatek

wypluwała z siebie rozżarzone, kłujące igiełki sprawiające niewiarygodny ból. Tracąc wtedy niemałą liczbę zębów i czując na własnej skórze ognisty oddech nieznanego wcześniej drapieżnika, lewiatan po raz pierwszy poczuł strach i teraz, ulegając zaprogramowanym przez naturę odruchom, szybko odpływał jak najdalej, by znaleźć sobie nowy, wolny teren łowiecki.

Ledwie w miejscu, z którego zbiegł mutant, uspokoiła się powierzchnia morza, kiedy opancerzony dziób gigantycznej metalowej konstrukcji przeciął ją, rozepchnął niczym olbrzymi pług, zostawiając po bokach równe wały spienionej, kotłującej się wody. Urywany sygnał syreny oznajmił rozpoczęcie dziennej zmiany. Zaszeleściły liny takielunku, z licznych pokładów stalowego tytana dobiegły żwawe przekleństwa marynarzy.

Pośród nagromadzenia niezliczonych nadbudówek, wind i lin z trudem dało się odgadnąć kształty pływającej platformy wiertniczej. Z czasem dawna maszyneria obrosła budami z desek, pomostami cumowniczymi, flotyllą wątłych łódeczek i teraz mogła uchodzić za wioskę rybacką na wysokim skalistym brzegu.

Babel szedł pełną parą na południe. Gdzieś z tyłu, na horyzoncie, pozostała wyspa Moszczny – skrawek ziemi, który stał się nowym domem dla tych, którzy mieli szczęście przeżyć Sądny Dzień i znaleźli w sobie wystarczająco dużo sił, by dalej żyć.

* * *

Dziadek Afanasij skrzywił się, spoglądając na nowego, oddelegowanego do ich brygady remontowej przed samym rejsem. Chłopaczek w wieku jakichś piętnastu lat otwarcie się obijał, kręcąc się bezsensownie i nie próbując nawet włączyć się do pracy. Teraz też, zamiast zakasać rękawy i grzebać razem z pozostałymi w pokrytych smarem wnętrznościach starego diesla, Pietro wyciągnął zza ucha kolejnego skręta i zaczął się wspinać po trapie na górę, w kierunku wyjścia z maszynowni.

– Nie za dużo kopcisz, młody? – W głosie Afanasija pobrzmiewały nuty przygany.

– No, bo to mój tego… pierwszy rejs… Zerknę tylko na naszą wyspę i już wracam! – Chłopak przymilał się.

– Tylko szeby cię nie napromieniowało, podrószniku! – uśmiechnął się pod gęstym, prawdziwie huzarskim wąsem gruby mechanik Bergin, Szwed.

– Ale chyba nie było ostrzeżeń. Czyli na zewnątrz jest czysto. Ja tylko na momencik!

Pietro wdrapał się po kratownicowych schodkach, pociągnął za dźwignię drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Dziadek Afanasij chrząknął z wyraźnym niezadowoleniem, spoglądając na pozostałych, jakby chciał powiedzieć: „Młodzież, czego tu się spodziewać? Tylko im szumi w głowie…”.

– To nic! Jeszsze się przysfyszai – odezwał się Szwed. – Chłopak ma łeb. Jak to się mówi… Daleko zajzie. Niech się… przepieprzy.

– Przewietrzy.

– Tak, tak! To właśnie chciałem pofiedzieć.

Siwy jak gołąbek brygadier krytycznie obejrzał wypatroszony agregat i machnął ręką.

– Dobra, panowie. Przerwa na papierosa.

Remontowcy zakrzątnęli się w kajucie w poszukiwaniu wygodnych miejsc do odpoczynku. Natychmiast w ruch poszły skręty, a cierpki aromat tytoniu zaczął łaskotać w nozdrza.

Umościwszy się na skrzynce z gwoździami, Afanasij wycierał usmarowane ręce szmatą i obserwował spode łba chudego nowicjusza. Ogólnie rzecz biorąc, w ich brygadzie było dwóch nowych. Pierwszy to wspomniany już Pietro, miejscowy chłopaczek, syn dorodnej kucharki z trzeciego bloku. Jej imienia, wskutek swojej starczej sklerozy, Afanasij nie pamiętał. Za to drugi… Drugim był jeden z „przybłędów”. W ten lekceważący sposób koloniści przezwali emigrantów z petersburskiej kolejki podziemnej, którzy przybyli na wyspę pierwszym rejsem.

Widok, szczerze mówiąc, był żałosny. Przesiedleńcy trzymali się osobno. Wszyscy, jak jeden, byli roztrzęsieni, przybici. Blada skóra, znoszone ubrania. Oberwańcy i tyle. Kiedy zobaczyli przydzielone im baraki, kategorycznie odmówili zamieszkania w nich – przebywanie na powierzchni ziemi napawało ich przerażeniem, aż dostawali spazmów. Upatrzyli sobie piwnicę pod magazynem. I tam teraz siedzą niczym pustelnicy. Ci bardziej śmiali zaczęli oczywiście wyściubiać nos na powierzchnię i poznawać miejscowych. Tyle że na razie takich jest niewielu. Widać lekko im się w tym metrze nie żyło.

Przybłęda usadowił się w kącie i siedział w milczeniu. Z wdzięcznością przyjął zaproponowanego skręta, ale nie zapalił, tylko ostrożnie zawinął go w czystą szmatkę i schował do kieszeni kombinezonu roboczego. Pozostali tylko spojrzeli po sobie. No tak… Czego tu się spodziewać – przybłęda to przybłęda.

– A powiez nam, Afanasz – zagaił Bergin. – Po co tyle lasu? Tyzień temu po niego płynęliszmy. Dwa tygodnie – też płynęliszmy. Po co nam tyle tego?

– A jak myślisz? – Brygadier znacząco przeniósł wzrok na przybłędę. – Z czego byś chciał stawiać domy dla nowych mieszkańców?

– Po co im domy? – Szwed uśmiechnął się pod wąsem. – Szystko im jedno… i tak siedzą w piwnicach jak szszury…

Uchodźca ani drgnął. Patrzył pod nogi i milczał.

– Delikatniej, Bergin – usadził Szweda dziadek Afanas. – Ludziom tak się dostało, że wcale im nie do śmiechu. Ciekawe, jak ty byś wyglądał po tylu latach pod ziemią. Bez światła, normalnego jedzenia. I do tego jakaś hołota rwie się, żeby zjeść cię na obiad…

– Bo oni nie walszą! Zwierza czeba… burn… ogień, paliś! A ci zakopali się w ziemi. Przesież człowiek to nie robak! – Bergin zerknął na przybłędę z widocznym lekceważeniem. – A ty w ogóle byłeś kiedyś na powierzchni?

Uchodźca podniósł głowę. Popatrzył na Szweda pustym wzrokiem i cicho, jakby niechętnie, odpowiedział:

– Tak.

– So „tak”?

– Zdarzyło mi się.

– No i? – Szwed skrzywił się, niezadowolony z tego, że trzeba było wyciągać z rozmówcy każde słowo.

W oczach przybłędy pojawił się strach. Cały się skulił, objął kolana rękoma i znów wbił wzrok w podłogę.

– Poszliśmy wtedy w siedmiu. Po drewno… Pięciu naszych pożarły mutanty. Farciarza taszczyłem na plecach na stację. Szybko go pokaleczyły. Krew się lała strumieniem… Pamiętam, że krzyczał, bardzo krzyczał. Prosił, żeby go dobić. Nie posłuchałem. Doniosłem go… Farciarz przeleżał dobę w malignie, potem umarł. A nazajutrz wylazło z niego jakieś świństwo… żywe. Okazało się, że terkotnik złożył w nim swoje larwy… I tak jego życie dobiegło kresu. Jak nożem uciął.

Szwed znieruchomiał ze skrętem w zębach, spoglądając w osłupieniu na wątłego nowicjusza, póki żarzący się niedopałek nie osmalił mu wąsów. Bergin drgnął, wypluł peta i poklepał uchodźcę po plecach:

– Ty… tego… nie obraszaj się, bracie. Za duszo gadałem. Nie miałem… nie chczałem źle.

Przybłęda zgarbił się, pokiwał głową i wymamrotał półgłosem:

– Czy to coś złego? Będę wdzięczny do grobowej deski, jeśli mnie zostawicie. Jestem wytrzymały. Będę pracował, będę pracował za wszystkich! Zawsze to lepiej niż pod ziemią. Ja nie chcę wracać do metra. Tam w koło tylko śmierć. Głód. Nie chcę. Nie chcę…

– W posządku, bracie, w posządku! – Bergin wyraźnie się zmieszał, nie wiedząc, jak zatrzeć niezręczną sytuację. – Niedługo dopłyniemy do bziegu, potem… come back i oblejemy twoje nowe mieszkanie. Mamy na wyspie domowe piwo, bardzo good! Da szę życz!

Mechanicy ożywili się i z entuzjazmem pokiwali głowami. Dyskusja płynnie przeszła na spokojniejsze tory – omówienie zalet miejscowych barów, których na Moszcznym było nie mniej niż

dziesięć. Uchodźca też się uspokoił i zaczął się nawet uśmiechać, zachęcany obietnicami beztroskiego życia i dostatku. Wśród powszechnego zapału nikt nie zwrócił uwagi na błyski kłująco jasnego światła, które przeniknęło do środka przez szczeliny w drzwiach. Dziwne lśnienie wystarczyło, by kabina i znajdujące się w niej przedmioty na parę sekund przybrały nierealny trupio siny odcień. I dopiero kiedy metalowe drzwi otworzyły się z łoskotem, podnieceni rozmową remontowcy dostrzegli, jak po trapie z dzikim wrzaskiem zsunął się Pietro. Cudem nie skręciwszy karku na schodkach, chłopak padł na podłogę, zakrywając dłońmi oczy i przerażająco wyjąc.

Wybuchło zamieszanie.

Ktoś przyskoczył do biedaka, starając się oderwać mu ręce od twarzy. Inni rzucili się do wyjścia, aby wyjaśnić naturę krótkiego rozbłysku.

– Ależ on oślepł! – rozległ się czyjś przestraszony głos. – Siatkówkę chłopakowi wypaliło!

Szwedowi wystarczył moment, by wbiec po trapie. Jako pierwszy wychwycił miarowy, narastający huk dochodzący gdzieś spoza platformy. Z jakiegoś powodu strasznie rozbolały go zęby. Jeszcze ułamek sekundy – i groźny dźwięk przeszedł w ryk, wypełniając sobą całą przestrzeń wokół, zbijając z tropu, dezorientując.

– *Herre Jesus*![1] – krzyknął mechanik, znieruchomiały w drzwiach.

Oczom Szweda ukazał się widok niepoddający się interpretacji, porażający swoimi rozmiarami. Ukochana do bólu sylwetka wyspy ze wszystkimi swoimi zabudowaniami, skalistymi brzegami, zielenią alei i wieżami stanowisk obronnych zniknęła bez śladu. Na jej miejscu, wznosząc się na tle bezkresnego, zasnutego krwawą purpurą nieba, błyskawicznie rósł grzyb wybuchu nuklearnego. Przez kilka strasznych chwil mechanik patrzył w odrętwieniu, jak potworny ognisty kleks nabrzmiewa i rozlewa się po nieboskłonie. Potem pokład pod stopami zadrżał, zaczął się chwiać. Nieznana siła cisnęła Bergina na ziemię, wtłaczając jego plecy w kanał wentylacyjny.

W Babel trafiła słabnąca już fala uderzeniowa. Pod naporem wściekłej masy powietrza ze starej platformy, niczym łupiny, zmiotło drewniane chatynki. Nieszczęśników, którzy znajdowali się na zewnętrznych pokładach, zdmuchnęły do wody porywy huraganowego wiatru. Po burtach Babla przetoczyło się głośne bębnienie – rozżarzony żwir i odłamki pokruszonych skał spadły na zmurszałą konstrukcję kamiennym deszczem.

W ślad za nim, jakby testując wytrzymałość zbudowanego przez ludzi giganta, w wysoką burtę wściekle uderzyły tony wzburzonej wody. Metalowe kratownice zgrzytały ostrzegawczo, nadgryzione zębem czasu żelazne grodzie wibrowały, a płyty poszycia zrywały się z przerdzewiałych nitów i zabierało je morze. Na zakończenie cały kadłub drgnął i platforma wiertnicza powoli przetoczyła się przez grzbiet fali, pozostawiając za sobą ogon z kawałków rozerwanego brezentu, połamanych desek i ludzkich ciał.

* * *

Uniósłszy się na drżących rękach, dziadek Afanasij wpatrywał się w półmrok. Wyglądało na to, że wysiadło oświetlenie. Ludzie leżeli pokotem tam, gdzie zastało ich uderzenie. Ktoś przeciągle jęczał. Brygadier powoli wstał i powlókł się na sztywnych nogach w kierunku tego głosu. Chwilę później dostrzegł sylwetkę leżącego na podłodze Bergina. Nienaturalnie wygięta noga, strużka krwi ściekająca z kącika ust.

– Wyspa… – wychrypiał Szwed, wyciągając rękę do Afanasa.

– Co? – Staruszek przysiadł obok, ostrożnie unosząc głowę rannego. W oczach mężczyzny tkwiło jeszcze nieme pytanie, lecz przeczucie nieuchronnego zatapiało jego świadomość w przerażeniu.
– Co z wyspą?

– Nie ma jej…

Wypowiedziane szeptem trzy krótkie słowa zadudniły w głowach pozostałych niczym grzmot. Afanasij rozejrzał się z zakłopotaniem, jakby szukając pomocy. Staruszek odnalazł wzrokiem przybłędę i

wzdrygnął się. Usadowiony pod ścianą uchodźca wciąż patrzył na brygadiera tymi samymi pustymi oczami. Po lękliwym uśmiechu nie pozostał nawet ślad. Na twarzy zastygła mu maska poczucia klęski, a zagryzione do krwi wargi wciąż bezdźwięcznie szeptały:

– Nie chcę do metra… Nie chcę… Nie chcę…

* * *

Ładownia pokiereszowanego Babla powoli zapełniała się ludźmi. Ocalali ze wszystkich zakątków olbrzymiej platformy spływali tu w nadziei, że otrzymają odpowiedzi, dowiedzą się czegoś o losie pozostawionych na wyspie bliskich, podzielą się swoją zgryzotą z innymi. Co i rusz z tłumu dobiegały gniewne okrzyki, płacz kobiet i jęki starców.

Gwar głosów nagle ucichł, kiedy na zaimprowizowaną trybunę z metalowych skrzynek, chwiejąc się ledwie zauważalnie, wszedł kapitan Babla – siwobrody starszy mężczyzna w wytartym, poplamionym krwią mundurze. Zabandażowana do łokcia ręka spoczywała na temblaku, czoło nad gęstymi brwiami przecinały mu głębokie starcze zmarszczki, ale oczy wciąż jeszcze świeciły zimnym stalowym blaskiem.

Zdawało się, że brzemię odpowiedzialności za los ocalałych było ponad siły starca i zaraz go przygniecie, jednak drobny człowiek na trybunie stał prosto, gotów przyjąć z pozostałymi całą gorycz tego, co się stało. Tylko po sposobie, w jaki kapitan ścisnął zdrową ręką pasek bandoletu, można było odgadnąć, ile wysiłku kosztowało go zachowanie pozornego spokoju i przytomności umysłu. Kapitan obrzucił zebranych długim spojrzeniem, co chwila zatrzymując się na twarzach szczególnie bliskich i wiernych towarzyszy broni, aż wreszcie przemówił:

– Bracia i siostry! Podążaliśmy niełatwą ścieżką. Przeżyliśmy strach, choroby, głód. I choć nasz szlak był długi i ciernisty, zawsze widzieliśmy przed sobą cel, dla którego warto było kroczyć naprzód, wierzyć w lepszą przyszłość, podążać krętą drogą życia. Dzisiaj stało

się coś, co w jednej chwili przekreśliło nasze nadzieje na normalne jutro. Stało się coś, czego nie mogliśmy sobie wyobrazić w najstraszniejszych snach. Nasz dom przestał istnieć, a razem z nim odeszli nasi krewni, bliscy, przyjaciele. Wielu z was w tym samym momencie straciło matki, ojców, dziadków. Każdy kogoś stracił.

W nierównych rzędach słuchaczy dało się zauważyć poruszenie. Znów rozległy się szlochy. Ktoś modlił się żarliwie, błagając Najwyższego o litość.

– Los nie oszczędził też naszych sąsiadów. Chociaż infrastruktura Małej nie ucierpiała, a promieniowanie przenikliwe nie dosięgło wyspy, czeka ją nieuchronny opad promieniotwórczy. To zaś oznacza, że naszym najpilniejszym zadaniem jest ewakuacja nielicznej kolonii Wyspy Małej, póki jeszcze nie jest za późno.

– Ale co dalej? – zawołał ktoś z tłumu. – Przecież wszystko straciliśmy!

Kapitan nie spieszył się z odpowiedzią. W tej sytuacji każde nieprzemyślane słowo wzbudziłoby z pewnością powszechną panikę i chaos.

– Straciliśmy NIEMAL wszystko! Tak, nie mamy już gdzie wrócić. Ale nikt nie jest w stanie pozbawić nas najważniejszego: hartu ducha. Dzisiaj jak nigdy powinniśmy pozostać silni, ponieważ przed nami ostatnie, być może najistotniejsze wyzwanie.

W ładowni zapanowała grobowa cisza. Koloniści łowili każde słowo swojego przywódcy.

– Sądzę, że wyrażę wspólną opinię, jeśli powiem, iż cokolwiek się stanie, trzeba odszukać sprawców wybuchu i rozliczyć się z nimi za śmierć naszych bliskich. Wiemy jedno, na Moszcznym nigdy nie było broni jądrowej. Tylko system OPR[2], a i on został wycofany z eksploatacji wiele lat temu. Tak więc ładunek dostarczono z zewnątrz. – Mięśnie twarzy kapitana zaczęły drżeć. – Już od kilku lat nie znajdowaliśmy nowych ocalałych. Tak więc jedynym naszym kontaktem ze światem zewnętrznym pozostaje niedawno zakończony rejs handlowy do Petersburga. Bracia! Nie ma żadnych wątpliwości,

że wróg ukrył się w metrze, wśród licznych i różnorodnych kolonii, które tam powstały. I, jeśli będzie trzeba, to przeczeszemy każdy centymetr ich śmierdzących nor, ale chwycimy tych drani za gardło!

Tłum ryknął, popierając kapitana.

Ten odczekał chwilę, przyglądając się rodakom. Czuł, że ci ludzie pójdą za nim do samego końca, dokądkolwiek zaprowadzi ich los, i robiło mu się od tego niespokojnie na duszy. Bał się o tych, którzy nie zdołają pokonać całej drogi, było mu ciężko, bo wyniku tej krucjaty nie dało się przewidzieć.

Obok zardzewiałej skrzyni z linami zaczął się zamęt. Dały się słyszeć przekleństwa. Jedni wyspiarze zaciekle starali się dobrać do kogoś niewidocznego zza tłumu, inni natomiast blokowali drogę, odpychając szczególnie gorliwych. Nad głowami mignął kawałek rury, potem w ruch poszły inne podręczne przedmioty – łańcuchy, kawałki prętów. Nie czekając na tragiczny finał, kapitan ledwie zauważalnie skinął stojącemu nieopodal rosłemu brodaczowi w czarnej znoszonej bosmance. Po otrzymaniu rozkazu dowódca patrolu wraz z kilkoma uzbrojonymi podkomendnymi energicznie przedarł się przez tłum i odepchnął napastników.

Dopiero teraz kapitan dostrzegł „sprawcę zamieszania". Strażnicy złapali pod ręce i prowadzili do trybuny wycieńczonego mężczyznę w zatłuszczonym kombinezonie roboczym. Uwadze kapitana nie uszła chorobliwa chudość chłopaka i jego zaszczuty, zagubiony wzrok. Z tyłu dreptał dziadek Afanasij. Zgrana brygada staruszka przeciskała się w ślad za nim przez szeregi kolonistów, osłaniając odwrót strażników.

– Jak się nazywasz? – Kapitan patrzył badawczo na przybłędę.

– Foma.

– Jesteś z Pitera, prawda?

Uchodźca skinął głową, ocierając krew z rozbitego policzka.

– Gnida! – rozległo się z tłumu. – Powiesić zdrajcę!

– Opamiętajcie się! – ryknął Afanasij. – Co ma z tym wspólnego nasz nowy chłopak! Czy wszystkich przybłędów chcecie teraz

powyrzynać?!

Kapitan podniósł rękę i ten prosty gest wystarczył, by szemranie ucichło.

– Masz pomysł, kto mógł to zrobić?

Foma pokręcił głową przecząco.

– Zastanów się, chłopcze. Stanie z boku nie jest teraz w twoim interesie. Popatrz na tych wszystkich ludzi. Oni chcą sprawiedliwości… I ją dostaną.

– Może weganie. To dopiero bydlaki – wymamrotał pospiesznie uchodźca. – Albo chodniki. Chociaż, gdzie im tam… Z takim wymyślnym mechanizmem to najwyżej mazuty by sobie poradzili. To bomba, jakby nie było… Chociaż po co im to? Alians Primorski też raczej by tego nie skonstruował… Nie wiem! Klnę się na Boga, nie wiem!!!

Kapitan pokiwał głową z niezadowoleniem. Odczekał chwilę i wyjął złożoną we czworo kartkę papieru. Rozłożył i podał przybłędzie sfatygowany plan petersburskiego metra.

– Potrzebna nam stacja. Opustoszała. Blisko zatoki.

Foma wahał się przez chwilę, studiując schemat, potem wskazał palcem jedno z kółeczek.

– Czkałowska. Nie tak blisko, oczywiście, ale nie widzę innych możliwości. Prima[3] jest podtopiona. Na Wasilieostrowskiej zaczyna się terytorium Aliansu. Na Kirzie[4] zasadzili się bandyci. Całe centrum jest zasiedlone… Pozostaje Czkałowska…

– No cóż. A więc tak musi być. – Kapitan nagle zachwiał się, złapał za serce i wezwał pomocnika. – Kończ za mnie. Uspokój ludzi. Przed nami w cholerę roboty. Trzeba zabrać kolonistów z Małej. No i połatać Babel, żeby dociągnął do Pitera. A żeby je pokręciło, to miasto nad wolną Newą…[5]

* * *

Gleb poluzował sznurek i potrząsnął plecakiem. Na beton wysypały się zakurzone płyty gramofonowe. Na niektórych z nich zachowały

się jeszcze na wpół zbutwiałe strzępy okładek. Te chłopiec pracowicie oczyszczał z resztek papieru i niedbale rzucał na stertę.

Taran siedział przy kuchennym stole, z zainteresowaniem obserwując przybranego syna. Od zakończenia tamtej dziwnej historii z Exodusem minął ledwie miesiąc, ale przez ten czas chłopiec okrzepł, nabrał sił i nawet mówił teraz z jakąś udawaną powagą. Stalker uśmiechnął się do własnych myśli i dalej patrzył, jak Gleb, zagryzając wargi, gorliwie nawleka winylowe krążki na kawałek drutu.

– Po kiego ci ich tyle? – Taran nie wytrzymał.

– Jutro przybywa karawana handlowa ogryzków. Cała Moskiewska świętuje! Robią z tego różne talizmany. Ładne. A w piwnicy wala się cała kupa krążków! Wymienię u ogryzków na kilka amuletów.

– Krążki… – fuknął stalker, wstając ze stołka. – Zaraz ci pokażę coś ciekawego.

Parę minut później ze składziku dobiegł łoskot spadających naczyń przemieszany z przekleństwami. Z głośnym brzęknięciem, uderzając o futrynę, na korytarz wyjechała pogięta emaliowana miednica. W ślad za nią, kichając od kurzu, wyszedł stalker, niosąc dziwne urządzenie. Gleb nie miał jeszcze do czynienia z takim sprzętem. Na dole drewniana lakierowana skrzynka, z boku krótka korbka, na górze wygięty metalowy kielich niewiadomego przeznaczenia.

Chłopcu od razu przypomniało się, że w podobnej maszynie ciotka Agata z Moskiewskiej mieliła farsz do wieprzowej kiełbasy. Od wspomnień o smakołyku natychmiast zaburczało mu pożądliwie w brzuchu, jednak stalker, jak się zdawało, nie zamierzał wykorzystywać zagadkowego sprzętu jako maszynki do mięsa. Zamiast tego ze sterty płyt winylowych wyciągnął na chybił trafił taką w lepszym stanie, przetarł powierzchnię rękawem i starannie umieścił ją na tarczy gramofonu. Gleb z zainteresowaniem obserwował manipulacje przybranego ojca, jednak kiedy z metalowego wnętrza urządzenia, poprzez szumy i trzaski, przebiły

się pierwsze dźwięki gitary, wpadł w odrętwienie, w oczarowaniu wodząc wzrokiem za miarowymi obrotami płyty.

– Co to jest? – zapytał w końcu.

Ale stalker podniósł tylko palec do ust, nakazując synowi milczenie. Wkrótce do gitarowych treli dołączył przenikliwy młodzieńczy głos.

„Zasypia błękitny Zurbagan…" – zaintonował śpiewak nieoczekiwanym falsetem. Taran wzdrygnął się, spoglądając ze zdziwieniem na adapter.

> A za horyzontem huragan,
> Z harmidrem i hukiem niesłychanym
> Wyrusza w drogę do Zurbaganu…[6]

– Też wybrałem… – Stalker skrzywił się. – Już myślałem, że będą Scorpionsi albo Metallica. A to wycie Presniakowa.

Ale Gleb słuchał piosenki uważnie i dopiero kiedy melodia ucichła, obrócił się do Tarana.

– Opowiedz mi o Zurbaganie, co?

– No… Wiesz przecież, że żaden ze mnie mistrz w trzepaniu ozorem. – Stalker zaczął ospale grzebać w winylach, starając się odczytać tytuły na wyblakłych etykietkach. – To jest ogólnie takie baśniowe miejsce… No… taka jakby legenda. Piękne miasteczko nad morzem… Ulice, mosty, kamienne nabrzeże… Port pełen statków… Jednym słowem miasto marzeń. Poszukam opowiadań Aleksandra Grina u tych paserów z Siennej. Jak się uda, to sam poczytasz i zrozumiesz.

– A dlaczego nad morzem? Przecież to miasto jest głęboko pod ziemią. Skąd tam woda?

Taran przestał grzebać w płytach i spojrzał uważnie na syna.

– Kto ci to powiedział?

Chłopiec zawahał się, zabawnie marszcząc zadarty nos.

– Wszyscy tak mówią…

– Gleb?…

Kiedy stalker mówił w ten sposób, przymilnie i lakonicznie, lepiej z nim było nie żartować, dlatego chłopak nie wytrzymał surowego spojrzenia przybranego ojca i szczerze powiedział:

– Taki katorżnik na Zwiozdnej mi opowiedział, że niby gdzieś głęboko pod metrem jest ukryte miasto Zurbagan. Wielkie, jasne, całe w kwiatach. I widno tam jest jak w dzień. I każdy ma swoje osobne mieszkanie. Wyobrażasz sobie, każdy! – Chłopak uśmiechnął się z rozmarzeniem, ale, dostrzegając napięte spojrzenie ojca, błyskawicznie spoważniał. – Rozumiem, że to tylko legenda, ale za to jaka piękna…

– Gleb – przerwał mu stalker. – Co ci mówiłem na temat katorżników?

– Ale wujek Pachom był tuż obok. Przecież wiesz, że z nim jestem bezpieczny i…

– A więc tak. Jak się dowiem, że samowolnie biegasz po tunelach, będzie lanie. Zapamiętaj. A Pachomowi muszę koniecznie powiedzieć, żeby gonił cię ze Zwiozdnej gdzie pieprz rośnie! Nie ma co się włóczyć wśród jakiejś hołoty!

Chłopiec zasępił się. Wizyty w szybie, który komuniści uparcie kopali, starając się dostać do Moskwy, należały do jego ulubionych zajęć. Kogóż to nie rzucał tam los! Dawne zbiry, kieszonkowcy, wszelkiej maści aferzyści… Chociaż zdarzali się też zwykli ludzie, którzy trafili tam przeważnie za długi. Komuniści cieszyli się z każdego – kajdany na nogi, łopaty w zęby i naprzód, rąbać drogę do jasnej przyszłości!

Wujek Pachom – ogromny, barczysty chłop, prawie równego wzrostu z Dymem – dość często przychodził na Zwiozdną. Jasna sprawa: miał poważny interes, czyli broń, a punkty handlowe nieomal w całym metrze. Nawet mazuty uważają Pachoma za głównego konkurenta – za długo już i zbyt skutecznie para się handlem pukawkami. A skąd je bierze – jeden Bóg wie.

Rusznikarz znał Tarana nie tylko ze słyszenia: stalker uratował mu kiedyś życie. Na powierzchni, jasna sprawa… Tak więc była to

bardziej niż przydatna znajomość. Pachom odnosił się z szacunkiem do Gleba, i to już od pierwszego spotkania. Nieraz rozpuszczał go, przynosząc mu rozmaite ciekawe rzeczy – a to jakąś książkę o broni, a to solniczkę z łuski po pocisku. A niedawno podarował mu prawdziwą gwiazdkę do rzucania! Wprawdzie chłopiec nie zapamiętał dziwnej nazwy, ale jakoś niezręcznie było się dopytywać – w końcu nie jest już dzieckiem, powinien takie rzeczy wiedzieć.

Teraz, widać, trzeba będzie zaczekać ze Zwiozdną, dopóki Taran nie zmięknie. A że zmięknie to pewne – nie potrafi zbyt długo być surowy, za bardzo go kocha. Niby stara się tego nie okazywać, ale Gleba niełatwo zwieść. Po pamiętnej wyprawie do Kronsztadu są teraz jak papużki nierozłączki. Chłopiec uśmiechnął się.

– Czego zęby suszysz, nicponiu? – Taran przestał już marszczyć brwi, pakował właśnie plecak na drogę. Paczka sucharów, puszka tuszonki, strzykawki z mętnym płynem…

Uwadze chłopca nie umknęło, że ojciec nagle zaczął się spieszyć. Widocznie poczuł nadchodzący atak choroby i nie chciał kłuć się przy synu. Przypadłość stalkera nasilała się z każdym dniem. Jad diabła błotnego wciąż nadszarpywał mu zdrowie, a napady za każdym razem były cięższe i dłuższe. Surowica wegan nie działała już tak skutecznie jak kiedyś i Gleb, obserwując ojca, niejednokrotnie dostrzegał, jak ten czasem pochmurnieje, sprawdzając zapasy drogocennego lekarstwa.

Taran wyekwipował się i skinął chłopcu na pożegnanie.

– No, bywaj! Czas na mnie. Przejmujesz dowodzenie. Do drzwi…

– Pamiętam przecież wszystko! – Gleb pokiwał głową. – Do drzwi nie podchodzić. Cicho siedzieć. Z broni nie strzelać. Długo cię nie będzie?

– A kto ich tam wie, co się u nich stało. Mazuty mówią, że coś nadzwyczajnego… Pójdę, rozeznam się. Myślę, że obrócę w jedną dobę.

– A nie mogę iść z tobą?

– Nie tym razem, Gleb. Nie ma potrzeby, żebyś słuchał, jak dorośli wujkowie się awanturują. Trzymaj się!

Stalker znieruchomiał w drzwiach. Odwrócił się na moment, uśmiechnął do syna i dał nura w mrok korytarza.

Drzwi się zatrzasnęły. Głucho zgrzytnęła stalowa zasuwa. Gleb wrócił do sterty płyt gramofonowych i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że z powodu nieobecności Tarana trzeba będzie odwołać nadchodzącą transakcję handlową z ogryzkami. No i dobrze! Za to dzięki tej „muzycznej maszynce do mięsa" dla krążków znajdzie się właściwsze zastosowanie!

Przeszedłszy zaledwie parę kroków ciemnym korytarzem, Taran osunął się pod ścianą i cicho, tak żeby Gleb go nie słyszał, zajęczał, nie mogąc opanować nieznośnego bólu. Igła strzykawki z charakterystycznym syknięciem weszła w mięsień. Stalker odruchowo zwinął się w kłębek, czekając, aż atak minie. Serce waliło mu jak oszalałe, na czole pojawiły się wielkie krople potu. Po raz pierwszy, odkąd pamięta, Tarana zakłuło w piersi – straszna choroba robiła swoje…

1 Panie Jezu! (szwedz.) (przyp. aut.).

2 System Obrony Przeciwrakietowej (przyp. aut.).

3 Stacja metra Primorska (przyp. aut.).

4 Stacja metra Kirowski Zawod (przyp. aut.).

5 „Miasto nad wolną Newą" – pierwszy wers *Wieczornej pieśni*, nieoficjalnego hymnu Leningradu (przyp. tłum.).

6 Wersy z piosenki *Zurbagan* z filmu *Ponad tęczą* (1986). Autorem tekstu jest L. Derbieniew (przyp. aut.).

Rozdział 2: ULTIMATUM

Sienna brzęczała niczym rozjątrzony pszczeli ul. Ledwie parę godzin wcześniej na stacji prowadzono ożywiony handel, a przez peron nie można było się przecisnąć między straganami i naganiaczami. Teraz jednak centralną strefę oczyszczono i rozstawiono w kręgu rzędy skleconych naprędce ławek. Przyjezdni karawaniarze z zainteresowaniem obserwowali pospieszne przygotowania, rozmawiając półgłosem i snując najbardziej nieprawdopodobne przypuszczenia. Wtórowała im też zaintrygowana zamieszaniem miejscowa ludność, jednak wkrótce pojawili się ponurzy żołnierze z wewnętrznej ochrony węzła handlowego Sadowa–Sienna–Spasska. Odsunęli gapiów na dalszy koniec stacji i raz-dwa otoczyli zaimprowizowane miejsce spotkania.

Przygotowaniami kierował przedstawiciel władz Siennej, Pantelej Gromow, zabawny człowieczek w wielkich staromodnych okularach i wysłużonym syntetycznym swetrze w romby. Uwijał się po peronie, wydając polecenia, a okulary co chwila próbowały mu się przy tym zsunąć z nosa. Mikrus wściekle odrzucał głowę do tyłu, umieszczając je z powrotem na miejscu, i krzyczał na podwładnych jeszcze głośniej, jakby próbując uzasadnić swoje dźwięczne i sugestywne nazwisko. Wystarczyło jednak, by pokazali się pierwsi goście, a Panteleja jakby ktoś odmienił. Rozpływając się w powitalnym uśmiechu, administrator pospieszył na spotkanie grupie posępnych, skromnie i schludnie ubranych mężczyzn. Alians Primorski… Jedno z najbardziej wpływowych ugrupowań w metrze. I chyba jedyne zdolne oprzeć się Imperium Wegan, rozciągającemu się w południowej części zielonej linii – poczynając od Planu[1] i kończąc na peryferyjnym Obuchowie.

Nowo przybyli nie zdążyli się rozsiąść, kiedy z tunelu wychynęła delegacja z Technolożki[2]. Poplamione smarem kombinezony, pasy z narzędziami… Tych facetów po prostu nie dało się z nikim pomylić. Mazuty byli znani wszędzie. Na ich wiedzy i mocach produkcyjnych opierała się duża część zamieszkanej kolejki podziemnej. Światło, wentylacja, paliwo… Za swoje usługi Technolożka brała niemało i po poziomie dostarczanego przez Mazutów oświetlenia można było dokładnie ocenić zamożność tej czy innej stacji.

Mazuty zachowywali się swobodnie, dowcipkując półgłosem. Ulokowali się niedaleko delegatów Aliansu i spoglądali z zainteresowaniem na wegan, którzy schodzili już po schodach na stację. Ci, czyniąc zadość tradycji, przybyli w budzących u wielu przemożny wstręt, wymyślnych zielonych mundurach. Prawda, brakowało oczywiście jednego szczegółu – wysłannicy Imperium nie mieli w dłoniach zwyczajowych szpicrut. Całą broń gości skrupulatnie konfiskowano na posterunkach granicznych – zbyt różnorodne było towarzystwo zbierające się dziś w trójkącie stacji handlowych…

Wśród przybyłych trafiali się też przedstawiciele niezależnych kolonii. W tłumie mignęła wyblakła czapka milicyjna z otokiem – bałci[3] przysłali swojego człowieka, by zasięgnął języka, co to za bajzel się wyprawia. Jakże sympatycznie wyglądał obok kudłatego, rozczochranego zbira z Kirzy, który uśmiechał się bezczelnie do sąsiada z linii całą swoją szczerbatą gębą! Szczegółowe przepisy obowiązujące na terytoriach wszystkich trzech stacji handlowego okręgu wymuszały na obu nieprzejednanych stronach zachowywanie neutralności. Parka niepozornych dendrofili z Pietrogradki[4] z ożywieniem szeptała o czymś z Nikanorem, przywódcą Moskiewskiej. W kręgu znalazło się też miejsce dla grupy „towarzyszy” ze Zwiozdnej, jednak ci trzymali się osobno, skrzętnie udając, że to, co dzieje się wokół, kompletnie ich nie obchodzi.

Na samym skraju mignął brezentowy płaszcz mortusa. Niemożliwie dziwaczne typy, ale bez grabarzy w kolejce podziemnej nie dałoby się funkcjonować. Gnijące trupy w okolicy zamieszkanych stacji to

ogniska chorób i pewny sposób na zwabienie szczurów. Zaś przy normalnym w metrze poziomie śmiertelności ogień w krematoriach mortusów nie gasł ani na chwilę.

Jako ostatni przybyli chodniki. Znaleźli miejsca jak najdalej delegatów Aliansu Primorskiego, spoglądając ze skrywaną nienawiścią na dawnych wrogów. Zbyt świeże były jeszcze wspomnienia o niedawnym konflikcie. Zbyt wiele utracili w tej krótkiej, lecz krwawej wojnie[5].

Człowieczek w wyliniałym swetrze po raz tysięczny poprawił ogromne okulary i podniósł ręce niczym dyrygent, prosząc zgromadzonych o ciszę. Gwar natychmiast ucichł. Przez chwilę wydawało się, że nawet lampy przestały brzęczeć jak przed rozpoczęciem koncertu.

– Panowie!

– Gdzie ty tu panów widzisz? – Od razu podniósł się jeden z komunistów, niemłody już facecik w skórzanej kurtce wytartej do granic możliwości. – Dawno wyginęli ci twoi panowie…

– Towarzysze! – poprawił się Pantelej.

– Syty głodnemu nie towarzysz! – wypalił automatycznie nalany typ w milicyjnej czapce i roześmiał się upojnie.

– Bracia, przyjaciele, koledzy! – Właściciel największych okularów świata zdenerwował się.

Teraz odezwało się jednocześnie kilka głosów. Audytorium poruszyło się niespokojnie i zaistniało niebezpieczeństwo, że zebranie zakończy się, choć się jeszcze na dobre nie zaczęło.

Mikrus rozejrzał się bezradnie dookoła, osuszył wilgotną łysinkę starannie złożoną na czworo chusteczką i nagle zerwał się z histerycznym wrzaskiem:

– No zamknijcie się wreszcie! Co to za przedszkole! Może wam, pokrakom, się życie przejadło? Bo mnie nie! No już, zamknijcie jadaczki, żywo!

Drobnemu administratorowi Siennej udało się widocznie zadziwić i zaintrygować gości. Tłumiąc wesołość, publiczność umilkła.

– Wszystkim wam wiadomo, że Rada zebrała się ostatnio trzy lata temu z powodu epidemii dżumy. Powód, dla którego wezwaliśmy was dzisiaj w trybie natychmiastowym, jest nie mniej poważny. – Pantelej zrobił efektowną pauzę, aż pochwycił znudzony wzrok smagłego delegata o wschodnim wykroju oczu, reprezentującego Azerki[6]. – Naszym stacjom grozi atak gazowy.

Pod sklepieniem Siennej poniósł się echem gwar zaniepokojonych głosów. Nie czekając, aż publiczność znów się uspokoi, mikrus wskazał palcem gdzieś na rzędy słuchaczy i przekrzykując tłum, zawołał:

– Chciałbym oddać głos temu człowiekowi. Reprezentuje kolonię na wyspie Moszczny.

Wszyscy jak jeden mąż odwrócili głowy, przypatrując się drobnemu staruszkowi, który podniósł się z ławki. Przygarbiony dziadek Afanas poszurał na środek zaimprowizowanej areny z podniesionym czołem, patrząc wrogo na zbieraninę. Wzrok staruszka był lodowaty. Widownia naraz uspokoiła się, ucichła.

– Trudno mi mówić – zaczął ochrypłym głosem starzec. – Ale jeszcze trudniej milczeć… Komuś starczyło śmiałości, aby użyć na wyspie broni nuklearnej. Kolonia Moszcznego przestała istnieć…

Afanas zaciął się. W jego oczach zalśniła zdradziecka wilgoć. Głos pozostał jednak twardy.

– Załoga Babla, to wszystko, co ocalało z naszego ludu. Jesteśmy pokojowymi ludźmi i nigdy nie zazdrościliśmy tego, co do nas nie należy. Dlatego chciałbym zapytać was wszystkich. – Staruszek powiódł ręką po obecnych. – Za co? ZA CO?!

Ręka Afanasa zadrżała, twarz się wykrzywiła.

Na peronie zapanowała grobowa cisza. Delegaci spoglądali po sobie. Nikt nie decydował się przerwać milczenia, kuląc się pod ciężkim wzrokiem starca. Tylko wypielęgnowani weganie, tłumiąc złośliwą wesołość lśniącymi rękawiczkami, ledwie zauważalnie się uśmiechali – cudze cierpienie budziło w nich niekłamany zachwyt.

Afanas opuścił rękę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciężko westchnął i cicho mówił dalej:

– Jestem tu po to, żeby przekazać wam warunki załogi. Mamy dość sprzętu, żeby przedostać się na powierzchni do każdego szybu wentylacyjnego. Nie radzę też brać nas szturmem: amunicji i zdemontowanej z Babla broni wystarczy na każdego, kto zaryzykuje i będzie się pchać na Czkałowską. Macie tydzień, żeby znaleźć i wydać nam sprawców wybuchu. W przeciwnym wypadku na wasze stacje, wszystkie, bez wyjątku, zostanie wypuszczony iperyt.

Zdawało się, że powietrze dzwoniło z napięcia. Przycichli nawet gapie, którzy obserwowali zebranie z daleka. Rada trawiła to, co usłyszała. Afanas poruszył ramieniem – w garść wsunęła mu się rękojeść morskiego kordzika, skrytego dotąd w rękawie płóciennej koszuli. Strażnicy rzucili się już w jego stronę, ale widząc gest administratora, zatrzymali się. Starzec naciął sobie dłoń, odczekał, aż krew rozleje się po ostrzu, potem wziął zamach i z nieoczekiwaną dla swojego wieku siłą wbił nóż między płyty posadzki. Wibrujący dźwięk sprawił, że wielu się wzdrygnęło. Staruszek opuścił głowę, wyszedł z kręgu i powoli poczłapał ku wyjściu ze stacji.

Dopiero kiedy sylwetka dziadka Afanasa rozpłynęła się w mroku tunelu, zebrani poruszyli się jak uwolnieni spod jakiegoś uroku rzuconego na nich przez rozgniewanego starca. Jakby chwilę wcześniej stał przed nimi nie żywy człowiek, a wywołane przez kogoś widmo. Zbiorowa halucynacja. Jednak sterczący spomiędzy betonowych płyt kordzik świadczył o czymś przeciwnym – niezwykły gość był równie realny jak postawione przez niego ultimatum.

* * *

Tupot bosych stóp w betonowej kiszce tunelu drenażowego był niemal niesłyszalny. Obecność ludzi zdradzał jedynie z rzadka pojawiający się chlupot wody, gdy ich drogę przecinały cieknące po dnie kolektora strumyczki. Oddział bezszelestnie dotarł do ujścia tunelu i wskoczył do wnętrza rezerwuaru obszernego zbiornika. W

promieniach księżycowego światła, które przenikało z powierzchni poprzez kratki kanalizacyjne, widoczne stały się szczegóły dziwnych strojów przemykającej w ciszy grupy. Nagie torsy, rozczochrane włosy, zarękawki z kolcami, byle jak skrojone skórzane spódniczki przypominające szkockie kilty. Twarze piechurów zakrywały opaski ze zwiniętego niedbale w kilka warstw materiału. Tylko jeden miał prymitywny, wysłużony aparat oddechowy. Krótkie włócznie i ciężkie wyszczerbione maczety dodawały kolorytu egzotycznym wojownikom.

Oddział przemknął przez otwartą przestrzeń i skrył się w kolejnym tunelu. Człowiek w masce przeciwgazowej prowadził grupę pewnie, wprawnie mijając dawno wyuczone rozwidlenia. Co jakiś czas zatrzymywał się jednak, wzywając jednego z prowadzonych przez siebie ludzi. Ten stawiał przed sobą klatkę z dzikim zwierzątkiem przypominającym nieco szczura i uważnie obserwował jego zachowanie. Raz gryzoń zaczął się miotać, wydając z siebie urywany skrzek. Zdaje się, że wyczuł niewidzialną śmierć. Trzeba było zmienić trasę – wojownicy woleli nie dyskutować ze wskazaniami „żywego dozymetru".

Nowa droga przyniosła nieprzyjemną niespodziankę – tunel nagle urywał się na skraju potężnych rozmiarów rozpadliny. Gigantyczna szczelina w ziemi ciągnęła się na dobre sto metrów. W górze majaczył pasek mrocznego nieba przed świtem. Przeciwległa krawędź rozpadliny widniała jakieś pięć metrów przed nimi, podobna do kawałka tortu, obnażając warstwy ziemi, nory nieznanych mieszkańców nowego świata, resztki betonowych fundamentów i rdzawe rury ciepłownicze.

Piechurzy naradzili się i szybko zorganizowali przeprawę, zarzucając lasso na wystający fragment rury wodociągowej. Kiedy wojownicy jeden po drugim przeprawiali się na przeciwległy brzeg rozpadliny, kołysząc się niebezpiecznie na linie, ich przywódca bacznie obserwował niebo przez celownik kuszy – drapieżników chętnych na ludzkie mięso nigdy nie brakowało.

Po pokonaniu przeszkody piechurzy znów zagłębili się w labiryncie podziemnych kanałów. Przeciskając się niczym węże przez na wpół zawalone łączniki, przekradając się dawno porzuconymi kolektorami przewodów, co rusz przypadali do ziemi, nasłuchując i badając okolicę. Kiedy z kolejnego bocznego chodnika dały się słyszeć ludzkie głosy, wojownicy zgasili większość pochodni i zaczęli iść ostrożniej, starając się nie zdradzić swojej obecności nawet najmniejszym szmerem. Tuż obok przebiegała linia metra i ledwie kilka metrów ziemi oddzielało piechurów od zamieszkałej stacji. Ale to nie ona była celem wyprawy.

Oddział, skradając się, już prawie minął niebezpieczną strefę, gdy z ciemności błyskawicznie wyskoczyła smoliście czarna kulka czegoś żywego, rozwijając się w locie na podobieństwo sprężyny. W świetle pochodni błysnęły chitynowe segmenty odwłoka. Najbliższy wojownik szarpnął się i o mało nie krzyknął – w udo, owijając się wokół nogi, wpiła mu się wielka, co najmniej metrowa skolopendra. Towarzysze natychmiast rzucili się na ratunek. Walka toczyła się w absolutnym milczeniu. Kilka drogocennych sekund upłynęło, nim oderwano wijącego się stwora od nieszczęsnej ofiary. Kościane ostrze włóczni przygwoździło skolopendrę do ziemi, miażdżąc jej głowę. Ta jednak zrobiła już swoje. Przewodnik obejrzał rannego. Miejsce ukąszenia zsiniało, a noga puchła w oczach. Wojownik z głuchym jękiem zaczął rzucać się w przedśmiertnych konwulsjach. Oczy pechowca uciekły w głąb. Przywódca zamknął mu usta ręką i przytrzymywał podrygujące ciało, póki nie znieruchomiało.

Pożegnanie było krótkie – każde opóźnienie groziło fiaskiem misji. Przewodnik zrzucił trupa do najbliższej studzienki kanalizacyjnej i popędził swoich ludzi dalej, do jemu tylko znanego celu. Jeszcze kilka tunelowych łączników, parę wąskich przejść technicznych i przed nimi ukazały się w końcu ukryte hermetyczne drzwi z okrągłym okienkiem pośrodku. Przez zmętniałą od upływu czasu szybkę sączyło się ciepłe, łagodne światło.

Jeden z wojowników z nożem w zębach bezszelestnie wspiął się na nadprożе, pozostali skupili się za rogiem i przygotowali broń. Przywódca zdjął maskę i po nacięciu sobie na ręce niewielkiej rany rozmazał krew po twarzy i klatce piersiowej. Potem głośno zastukał w drzwi i ułożywszy się na betonowej posadzce, znieruchomiał w tej pozycji.

Światło w okienku zasłonił czyjś cień. Wojownicy czekali cierpliwie, wstrzymując oddech. Po dość długim czasie ledwie słyszalnie zaskrzypiał mechanizm zasuwy w drzwiach. Wojownik na nadprożu wyszczerzył się, obnażając gnijące, krzywe zęby…

* * *

– Toż to wszystko farmazony!

– Skąd by mieli wziąć iperyt?

– Blef!

– Dogonić starego, i mamy zakładnika!

– A po co się z nimi cackać! Pójść na przebój, wziąć stację i zmiażdżyć ich w cholerę!

Zebranie było burzliwe. Delegaci zdzierali sobie gardła i coraz bardziej się rozpalali, próbując się wzajemnie przekonać, że majaczące na horyzoncie zagrożenie to fraszka. Choć byli też wśród obecnych i tacy, którzy śledzili tylko emocjonalne przemówienia kolegów, nie wdając się w burzliwe i nic niewnoszące dyskusje. Jednym z takich milczków okazał się barczysty jasnowłosy młodzieniec w bosmance z emblematem Aliansu Primorskiego – zaciśniętą pięścią w białym okręgu. Przez cały czas nie wyrzekł ni słowa, ale kiedy podniósł się z ławki, spory same z siebie ustały.

– Mówić można długo i nudno, ale czas, jak rozumiem, działa przeciwko nam. Stalkerzy widzieli, jak marynarze z Babla przebijali się do Czkałowskiej. Broni i sprzętu mają rzeczywiście od groma. Zechcą się dostać do wlotów powietrza, to się dostaną. Żadne patrole nie pomogą. Zresztą wątpię, żeby stalkerzy zgodzili się prowadzić wojnę na powierzchni. I bez tego padają jak muchy.

– Szturm Czkałowskiej też nic nie da – włączył się siedzący po prawej delegat z Admiratielskiej. – Podejścia prowadzące do stacji zostały zamknięte na głucho, żadnej martwej strefy do ataku. Wszędzie gniazda cekaemów, miotacze ognia w SW[7]. Dobrze się okopali, ze znajomością rzeczy.

Siedzący po przeciwnej stronie chodnik zerwał się, wygrażając pięściami.

– Trzeba było tego dziadygę od razu stuknąć! Albo na zakładnika brać!

– Na terytorium stacji handlowych nikt nikogo nie stuknie! – odezwał się mikrus w okularach. – A i zakładnik z niego byłby żaden. Myślicie, że przypadkiem jako posła przysłali staruszka? Zastanówmy się lepiej razem, kto mógłby spowodować podobny wybuch. Czy ma ktoś może jakieś przypuszczenia?

Główna sala Siennej po raz kolejny wypełniła się krzykami. Niemal połowa delegatów wskazywała oskarżycielsko palcami na sąsiadów, zniewagi płynęły niekończącym się, pełnym żółci potokiem.

– Mazuty, a kto inny! – żołądkował się siwowłosy chodnik, wściekle przewracając oczami. – Tylko oni mogli zmajstrować bombę!

– Brednie! – odgrażali mu się tamci. – W naszych warunkach to po prostu niemożliwe!

– To weganie! – dudnił bandzior z Kirzy. – Nikt tyle nie włóczy się po powierzchni, mogli i zająć jakąś bazę rakietową!

– A ja mówię, że to w Aliansie trzeba popytać!

– Wszystkiemu winne komuchy!

– Chodników przesłuchać!

Podejmując tytaniczny wysiłek, Pantelej Gromow po raz któryś próbował uspokoić dyskutantów. Stawało się jasne, że w takim wariatkowie ani nie znajdzie się winnych, ani nie dojdzie do żadnego porozumienia. Pochłonięci awanturą delegaci nie zwrócili uwagi na samotną postać, która opuściła widownię. Taran dość już usłyszał i kierował się do wyjścia ze stacji. Czekało ich, jego i Gleba, przygotowanie schronu na potencjalny atak uchodźców z Babla –

zamaskowanie wylotów wentylacyjnych na dziedzińcu szpitala, wzmocnienie hermetycznych drzwi…

– Poczekaj, stalkerze.

Taran zatrzymał się przy zejściu z peronu i odwrócił się. Obok drzwi do pomieszczeń służbowych stał naczelnik Siennej, Wiktor Terentiew. Ręce miał jak zwykle splecione na piersi, pod oczami wory z chronicznego niewyspania, bystre spojrzenie spod krzaczastych brwi. Stalker aż za dobrze je znał. Oceniające. Wyrachowane. Nie bez powodu Witię przezwali Wygą.

– Wejdź, pogadamy. – Wiktor zrobił zapraszający gest i jako pierwszy wszedł w korytarz o odrapanych ścianach.

Przeczucia mówiły stalkerowi, że zbliżająca się rozmowa nie wróży nic dobrego. A jednak Taran ruszył w ślad za naczelnikiem, spoglądając z ukosa na pokrywające ściany płaty starej farby, przypominające łuszczącą się skórę. Szary, pełen zacieków sufit też nie dodawał temu miejscu uroku.

Terentiewa, jak się zdawało, takie drobnostki kompletnie nie ruszały. Widać nie był estetą. Na pierwszym miejscu zawsze biznes.

Klitka naczelnika nie odznaczała się szczególnym przepychem. Łóżko, stół zbity z desek, para krzeseł, plan metra na ścianie i ogromna dębowa szafa zawalona stertą pożółkłych od upływu czasu papierów – oto i wszystkie szczegóły prostego wystroju.

– Herbata czy coś mocniejszego?

Stalker pokręcił głową przecząco. Wyga skinął, jakby wcale nie spodziewał się po najemniku innej odpowiedzi.

– No cóż, w takim razie do rzeczy. – Naczelnik Siennej opadł na krzesło. – Jak ci się podobają te błazny?

Taran tylko machnął ręką.

– I właśnie o tym mówię. Pierwsi do ględzenia, a wniosków żadnych. Ale to nic. Pantelej zmusi ich do myślenia. Sprytny z niego krasnal.

– Wątpię, Wygo. Nie ruszą się z miejsca, póki nie zapachnie spalenizną. Gdzie tam twojemu Pantelejowi.

– Mało go znasz. Gromow tylko wygląda na ograniczonego. Zaraz zobaczysz, jeszcze trochę i ich przyciśnie. Sami skumają, że bez trzeciej strony w tej sprawie się nie obejdzie…

– Trzeciej strony? – powtórzył ze zdziwieniem Taran, zerkając podejrzliwie na Wygę. – Zaraz, zaraz, chyba nie zadzwoniłeś po mnie, żeby…

Wiktor wciąż patrzył na stalkera z ukosa. Chytrze. Szczwany lis…

– Jako jedyny miałeś do czynienia praktycznie ze wszystkimi koloniami. Wielu ci ufa, masz nienaganną reputację, więc wszystkie stacje stoją przed tobą otworem. A i sprawa nie warta jest funta kłaków. Przejdziesz się z inspekcją po metrze, upewnisz się, że w naszej kolejce podziemnej nie miałaby się skąd wziąć bomba. Wyniki przedstawimy potem tym marynarzykom. Ani się obejrzysz i sprawa będzie zamieciona pod dywan. Zadomowią się, uspokoją. Nawiążemy ponownie stosunki handlowe.

Wyga podniósł ze stołu parującą filiżankę, uważnie podmuchał i upił łyk naparu, nie zapominając przy tym, by zerkać z ukosa na rozmówcę. Chytry jest, cholera. Wykalkulował wszystko zawczasu… Wszystko się zgadza. Właśnie tym ma się odznaczać głowa handlowego serca metra. Obrotnością i dalekowzrocznością. Węzłowi Sadowa–Sienna–Spasska do dziś udawało się zachować neutralność wśród porachunków licznych kolonii. Gdzie nie spojrzysz, ze wszystkimi są w pokojowych stosunkach. Mądrość ludowa głosi: z mądrym się dogadaj, głupiego oszukaj… I tak właśnie nikczemnicy żyją.

Taran przerwał rozmyślania, czując drażniący nozdrza zapach herbaty. Prawdziwej, cejlońskiej. Nie może się z nią równać pozbawiona smaku grzybowa namiastka, którą piją zwykli śmiertelnicy. I przecież gdzieś ją dostają… Jednym słowem – kupczyki. Wysiłkiem woli stalker wrócił myślami do tematu dyskusji.

– Według ciebie to wszystko takie proste… – Imponujących rozmiarów dłoń zabębniła po blacie stołu. – A skąd ta pewność, że to nikt od nas?

– No, sam się zastanów. – Wiktor zerwał się z krzesła, gwałtownie gestykulując. – Nikt w metrze po prostu nie ma takiej technologii. A marynarze, jak sądzę, nie orientują się we wszystkim, co się wyprawiało na tej nieszczęsnej wyspie. Słyszałeś, czym zajechali na tę Czkałowską? Mówi ci coś skrót MZKT? Siedemdziesiąt dziewięć dwa-dwa-jeden?

Nie uszło uwagi naczelnika Siennej, że Taran się ożywił.

– Otóż to. Wojskowa ciężarówka, zmodyfikowana, podrasowana do przewozu Topola-M. Tylko jakoś samej rakiety nie było na naczepie. Czujesz, do czego zmierzam? Czy to nie głowica Topola wybuchła na Moszcznym?

Stalker milczał, rozważając różne warianty. Wersja Terentiewa wydawała się zgrabna. Całkiem możliwe, że władze Moszcznego narobiły głupstw, bawiąc się niebezpieczną zabawką – ich zainteresowanie bronią było niezdrowe. O tym Taran przekonał się osobiście, kiedy z Glebem trafili na wyspę.

– O czym tu myśleć? – pospieszał go Wiktor. – Zgódź się! Robota czysta, a my nie pozostaniemy dłużni!

– Nic od was nie potrzebuję.

– Od stacji targowych pewnie nie – powiedział Wyga z chytrym uśmieszkiem. – Ale ten i ów na peronie jest gotów zaproponować ci coś takiego, z czego raczej nie zrezygnujesz. Chodźmy!

Na zewnątrz stali się świadkami przykrej sceny. Jakiś złodziejaszek próbował wyrwać z rąk umorusanej dziewczynki torbę z najzwyklejszymi rzeczami. Taran zatrzymał się. Parę miesięcy wcześniej przeszedłby obok bez najmniejszej reakcji. Ale wraz z pojawieniem się Gleba, jakby coś przestawiło mu się w środku.

– Co to za chuligaństwo? – wtrącił się, świdrując młodzika ciężkim wzrokiem.

Widząc groźnego stalkera, chłopak zamarł, zastanowił się przez chwilę i uznał, że lepiej będzie się zmywać. Korzystając z chwili spokoju, dziewczynka w workowatym, niedopasowanym skafandrze też skryła się w tłumie, rzucając pośpiesznie:

– Dziękuję!

Wiktor pociągnął Tarana dalej. Wróciwszy na miejsce zebrania, zdążyli złowić urywek zdania wypowiedzianego przez spoconego z przejęcia Panteleja.

– I to jeszcze raz dowodzi, że jak nikt inny nadaje się do tej misji! Kto jest „za", proszę głosować!

Las rąk wzniósł się w powietrze. Wiele osób, widząc stalkera, kiwało przy tym z aprobatą. Tak jak przewidywał szczwany Terentiew, delegaci podjęli oczywistą decyzję.

– Powiesz coś, Taran? – zapytał konus, triumfalnie się uśmiechając.

Stalker obrzucił wzrokiem siedzących w kręgu ludzi. Zaczerwienionych od kłótni, wymęczonych znieważaniem się. Co drugi gotów był w każdej chwili rozszarpać sąsiadowi gardło… Jak marynarze nie zakrzątną się z tym swoim iperytem, to sami się powolutku powyrzynają. Co za różnica? Reprezentacja resztek ludzkości w pewnym metrze. Przygnębiający widok…

– Sprawa jest niejasna. Poza tym żaden ze mnie śledczy. Sami się bawcie.

Rada zahuczała, komentując odmowę najemnika. Pantelej zagryzł usta w rozpaczy. Wyga stał w bezruchu, wciąż się uśmiechając.

Wreszcie w kręgu dał się zauważyć ruch. Z miejsca wstał niemłody już weganin. Satur… To przez tego strojnisia Taran otrzymywał z Imperium surowicę. Śliski typ. Ostre rysy twarzy, wyniosłe, świdrujące spojrzenie. Do kołnierza dobrze skrojonego surduta miał przypiętą zjadliwie zieloną, kolczastą gałązkę nieznanej rośliny – najpewniej jakieś kolejne zmutowane paskudztwo. Ekolodzy nowego świata, a niech ich…

– Jak zdrowie, stalkerze? – zainteresował się przymilnie.

Taran zmierzył się wzrokiem z wegańcem, ale nic nie powiedział. Satur też się nie spieszył, rozkoszując się powszechną uwagą. Ale jednak nie wytrzymał i jako pierwszy naruszył przedłużającą się ciszę.

– Weganie znaleźli sposób, by cię uzdrowić. Całkowicie. Moim zdaniem to godziwa zapłata za tę, jak się wyraziłeś, niejasną sprawę. Naturalnie rachunek wystawimy wszystkim koloniom po równo.

Satur uśmiechnął się drapieżnie. Delegaci wymieniali szepty w oczekiwaniu na decyzję. Rozwścieczony Pantelej przecierał zaparowane okulary. Wyga męczył się nieopodal, niecierpliwie wybijając czubkiem buta nieskomplikowany rytm.

Teraz przyszła kolej najemnika, by grać na czas. Propozycja była, co tu kryć, nieoczekiwana. Kusząca, ale z podejrzanym zapaszkiem, licho by wzięło tych wegańców… Stalker gorączkowo kalkulował, rozważając wszystkie za i przeciw. Oferta Rady na kilometr zalatywała przekrętem. Ryzyko pozostania na lodzie po całej tej historii było oczywiście znaczne, ale możliwość wyleczenia…

Interes wegan w tym wypadku był prosty i zrozumiały – wzbogacić się na jego uzdrowieniu. Od najemnika wiele się nie wyciągnie, za to dużym koloniom można wyrwać grubszy szmal. Widocznie dlatego nie mówili wcześniej o lekarstwie – trzymali asa w rękawie, czekali na odpowiednią okazję. Wątpliwe zresztą, że Imperium przestraszyło się garstki jakichś tam uchodźców. To zbyt potężna struktura, żeby brać poważnie tego rodzaju groźby. Tym bardziej że z Czkałowskiej do terytorium wegan trzeba było drałować szmat drogi…

Teraz Taran myślał nie o sobie. W końcu swoje przeżył. Za to z Glebem było inaczej. Z każdym nowym napadem choroby coraz bardziej dręczył go niepokój o przyszłość syna, który stał się dla niego jak rodzony. Stalker ścisnął szelki plecaka tak, że zbielały mu palce, ale na twarzy nie drgnął mu żaden muskuł.

W grobowej ciszy wyraźnie zabrzmiał jego chrypliwy głos:

– Zgoda.

Przez szeregi publiczności przeszło zgodne westchnienie ulgi.

– Dajcie znać swoim stacjom o zbliżającej się wizycie. Warsztaty, magazyny, farmy, część mieszkalna – będę sprawdzał wszystko. Powodzenia.

Najemnik zamierzał już odejść, ale…

– To jeszcze nie wszystko, stalkerze – zawołał go Satur. – Sam rozumiesz, że każda kolonia ma swoje… sekrety. Swoją taktykę obrony. Słabe punkty… Musisz się zobowiązać, że zachowasz w tajemnicy całą wiedzę o stacjach, która nie ma związku z istotą sprawy. Według mnie to całkiem logiczny wymóg, nieprawdaż, szanowni?

Weganin rozejrzał się wokół, szukając poparcia. Delegaci pokiwali głowami na znak zgody. Nikt tu nie był bez grzechu. Każdy miał na sumieniu jakieś ciemne sprawki. A co dopiero mówić o weganach… Skryte dranie…

– Daję słowo – rzucił Taran, czując nagle wyraźnie, jak bardzo ugrzązł w stercie nie swoich brudów.

Jednak wypowiedzianych słów nie można już cofnąć. Dokonał wyboru. I tylko jakiś właściwy jedynie stalkerom szósty zmysł podpowiadał mu, że problemy dopiero się zaczynają.

1 Stacja metra Plac Aleksandra Newskiego (przyp. aut.).

2 Stacja metra Instytut Technologiczny (przyp. aut.).

3 Mieszkańcy stacji metra Bałtijska (przyp. aut.).

4 Stacja metra Pietrogradska (przyp. aut.).

5 Wydarzenia opisane w książce *Uniwersum Metro 2033: Piter* Szymuna Wroczka (przyp. aut.).

6 Stacja metra Ozerki (przyp. aut.).

7 Szyb wentylacyjny (przyp. aut.).

Rozdział 3: ZNIKNIĘCIE

Wiadomość o anihilacji kolonii na Moszcznym była dla Tarana całkowitym zaskoczeniem. Zdawało się, że jeszcze wczoraj przemierzał z Glebem brukowane ulice zacisznego miasteczka, rozmawiali z przyjaznymi i na swój sposób szczęśliwymi mieszkańcami, podziwiali starannie utrzymane klomby, mieniące się wszystkimi kolorami tęczy. A teraz ten rajski zakątek w jednej chwili przestał istnieć. Zadziwiające, jak w człowieku współistnieje pragnienie tworzenia i burzenia…

Wieści w metrze rozchodzą się szybko. Stalker dopiero teraz, gdy dowiedział się o tragedii, dostrzegł nieuchwytne na pierwszy rzut oka zmiany w zachowaniu ludzi. Plany rychłego przesiedlenia, które zdawały się tak realne, runęły, podkopując i tak niskie morale mieszkańców metra. Pracowitą krzątaninę zastąpiła apatia, rzadziej słychać było rozmowy, a twarze wielu ludzi znów skryła maska poczucia klęski, z ich spojrzeń znikła jakakolwiek nadzieja.

Przechodząc tranzytem przez Frunzeńską, Taran zauważył nietypowe dla spokojnej stacji zgromadzenie na peronie. Ludzie skupili się wokół ułożonych w rząd brezentowych worków… Trupy. Był to na tyle powszedni obrazek, że dawno już nie budził ani przerażenia, ani współczucia. Nowy dzień – nowe ofiary. Czemu się dziwić w tym cudem ocalałym, zakopanym w ziemi strzępku świata, który przepadł? Niedaleko mignął płaszcz mortusa. Dziś przed pozbawionymi twarzy sanitariuszami dużo pracy.

Szary cień, ledwie widoczny w świetle nielicznych lamp, oddzielił się od tłumu. Jeszcze chwila i Taran dojrzał twarz kobiety w czarnej chuście na głowie, która szła przez peron w jego stronę. Opuchnięte od łez, ale suche oczy – wszystko już wypłakała – równa linia

drżących, trupio bladych ust, nieobecny wzrok, w którym nie pozostało nic poza bezgranicznym bólem.

– Jesteś najemnikiem, prawda? – zapytała cicho, spoglądając stalkerowi prosto w oczy. – Ile kosztują twoje usługi?

Taran zatrzymał się, domyślając się już, o co kobieta chce poprosić. Nie było mu teraz na rękę zajmować się pobocznymi zleceniami…

Odgadując nastawienie stalkera, zaczęła pospiesznie mówić:

– Zrzucimy się na zapłatę. Cała stacja. Tylko znajdź ich. Znajdź i zabij. Wszystkich. Słyszysz, stalkerze? Zabij ich wszystkich! Zabij!

Usta wykrzywił jej grymas rozpaczy. Blade, chude ręce zabębniły o pierś stalkera. On jednak, jak się zdawało, nie czuł ciosów, tylko patrzył w jej czarne ze zgryzoty oczy. Ciągle stał nieruchomo, nie będąc w stanie odwrócić się i pójść własną drogą. W końcu miejscowi odciągnęli kobietę i odprowadzili w stronę ciasnych baraków mieszkalnych z dykty.

– Nie gniewaj się, Taranie. Zabili jej syna. I jeszcze pięciu naszych… – Obok stalkera, wspierając się na masywnym kosturze, stał wątły staruszek z kikutem zamiast nogi. – Banda Bezbożnika. Pewnie o nich słyszałeś? Całkiem się gnidy rozbestwiły, nic im nie straszne.

Stalker milczał. O „bezbożnikach” – tak się przezwały te zbiry na cześć swojego herszta – chodziły nieciekawe słuchy. Taran wiedział nawet o ich siedzibie w łączniku między linią żółtą a fioletową. Pozwalał on przedostać się z Dostojewskiej do Technolożki przez Zwienigorodzką i Puszkińską, z ominięciem granic celnych stacji handlowych. Teraz na SLŁ[1] na stałe zainstalowali się bezbożnicy, biorąc od przemytników haracz za przejście. Nie gardzili tą furtką również dostawcy narkotyków z ulicy Dybienko, podobnie jak wegańscy handlarze niewolników – w końcu do południowo-zachodniej części metra linią czerwoną nie można się było dostać z powodu olbrzymiej rozpadliny między Puszkińską a Władimirską.

Bezbożnikom zdarzały się też ataki na słabe peryferyjne stacje. Ale co z tego? Wojują wszyscy: kolonie, alianse, pojedyncze stacje… Kto

z nich ma słuszność, kto jest winien – Bóg jeden wie. Mieszać się w cudze porachunki, do tego przeciwko całej bandzie, było głupotą. Widocznie staruszek myślał podobnie, bo nie zatrzymywał najemnika, kiedy ten skinął mu głową na pożegnanie i ruszył w swoją stronę.

– Pokój twemu domowi, stalkerze… – Taran usłyszał jego ciche błogosławieństwo, ale się nie odwrócił. Wzywały go pilne sprawy.

Nie zatrzymując się więcej na stacjach tranzytowych, wracał do domu, do schronu przeciwlotniczego. Za nim został czarny od palenisk peron Moskiewskich Worot, hałaśliwa Elektra[2] i targana tunelowymi przeciągami Papa[3]. Wartownicy na posterunkach nie zadawali zbędnych pytań i widząc znajomą sylwetkę stalkera, od razu otwierali przejście.

Nie dochodząc do Moskiewskiej, Taran jak zwykle skręcił w boczny korytarz. Stąd miał do domu dwa kroki – kilka krótkich przejść wąskimi łącznikami o chropawych, grubo ciosanych ścianach. Wkrótce wspinał się już po szczeblach drabiny w pionowym szybie, myśląc już o pożywnej kolacji w towarzystwie syna i niespiesznych rozmowach do północy. Zgrzytnęła pokrywa studzienki. Taran wysunął się z włazu, omiatając wzrokiem schron… Od złych przeczuć aż mu ciarki przeszły po plecach.

Naczynia, szmaty, fragmenty prymitywnych mebli – wszystko walało się po podłodze w nieładzie.

– Gleb?

Stalker przemknął przez pomieszczenia, wszędzie widząc to samo – porozrzucane rzeczy, przewrócone na bok dwupiętrowe prycze, otwarte szuflady.

– Gleb!

Chłopaka nigdzie nie było. W duszy tliła się jeszcze nadzieja, że to wszystko tylko sprawnie przygotowany żart, lecz otwarte na oścież hermetyczne drzwi wskazywały wymownie na coś przeciwnego. Schron został splądrowany, a syn… – Taran nawet w myślach nie mógł dopuścić, że stało się nieodwracalne – syn przepadł.

W ustach mu zaschło, a czoło odwrotnie, zwilgotniało od potu. Myśl, że Glebowi może się coś stać, często nawiedzała stalkera, ale uparcie ją odpędzał. Teraz zaś, kiedy jego obawy się ziściły, nie potrafił myśleć logicznie. Przytomność umysłu utonęła w mętliku ogarniających go emocji. Pewne uczucie, zapomniane w czasie pustelniczego życia, teraz wróciło i przeszkadzało mu racjonalnie myśleć. Taran wpadł w panikę – po raz pierwszy od wielu lat.

Zakłopotany, rozglądając się, wyszedł do sieni. Na hermetycznych drzwiach nie znalazł śladów włamania. Zresztą przecięcie litego żelaza nie było taką prostą sprawą. Czyżby syn sam otworzył drzwi? I najważniejsze – po co? Na betonowej posadzce stalker zauważył plamy krwi. Czy to Gleba? Serce mu zamarło. W sumie nie ma jej tak dużo. Może rozbili mu lekko nos i tyle?

Wrócił do schronu, zamknął na chwilę oczy i zrobił głęboki wdech. Potem wyciągnął szyję i szeroko, z całej siły, otworzył usta. Prosta sztuczka pomogła zmniejszyć napięcie i zebrać myśli. Taran jeszcze raz rozejrzał się wokół, tym razem starając się nie przeoczyć żadnego szczegółu. W panującym chaosie ujawniła się teraz pewna prawidłowość. Zagadkowi goście okazali się zadziwiająco selektywni. Nie zwracając uwagi na kufer z zadbanymi, naoliwionymi pistoletami, w nieznanym celu przetrząsnęli stertę starej, zardzewiałej broni, którą stalker wykorzystywał jako rezerwuar części zamiennych do własnych wyrobów. Szafa rusznikarska została rozgrabiona do czysta. „A gnaty w szafie, w odróżnieniu od pozostałych, były nabite” – przemknęła myśl. Plądrujący nie pogardzili nawet smażoną wieprzowiną z patelni, podczas gdy kolekcja owoców konserwowych, z której tak dumny był Taran, stała nienaruszona. Dziwny wybór.

Czegoś tu brakowało… Jakiegoś ważnego szczegółu, bez którego obraz wydarzeń w żaden sposób nie układał się w całość. Stalker przyjrzał się jeszcze raz miejscu, w którym widział Gleba w chwili pożegnania, i wreszcie przypomniał sobie o płytach gramofonowych. Nie było ich.

– A żeby was, gołodupcy śmierdzący!

Teraz wszystko znalazło się na swoim miejscu. I broń, wybrana na zasadzie „strzela – nie strzela”, i pozostawione konserwy owocowe, których egzotycznej zawartości porywacze najpewniej nigdy nie próbowali. Stalker podszedł do ściany i z rozmachem uderzył w nią pięścią. Za wyłamaną dyktą ukazała się wąska wnęka. Nie ociągając się, Taran wyjął ze schowka dyżurny AK-74, poutykał po kieszeniach skafandra magazynki. Kevlar, kamizelka z granatami, maska, nóż… Chyba wszystko. Podskoczył kilka razy – nic nie brzęknęło. Zatrzasnął hermetyczne drzwi i już zamierzał ruszać, kiedy w świetle latarki coś błysnęło… Taran przyklęknął, oglądając kolejny dowód potwierdzający jego domysły – z grubsza ociosany fragment winylu na kawałku cienkiego rzemyka. Prymitywny amulet ogryzków.

* * *

Tak się jakoś utarło, że wszystkie najważniejsze spotkania na Elektrze wyznaczano tutaj, w miejscowym barze o pretensjonalnej i niewiele mówiącej niewtajemniczonym nazwie „Pentagon”. Zdawałoby się, nic szczególnego – szczytowa część środkowej nawy stacji i para pylonów po bokach, wszystko to ogrodzone niedbale dopasowanymi do siebie arkuszami blachy. Jednak za tymi na pozór wątłymi murami dzień i noc kipiały nie byle jakie namiętności, dokonywano najbardziej niewiarygodnych transakcji i przez całą dobę nie brakowało przejezdnych paserów i awanturników z całego metra.

Dużą część mieszkańców stacji stanowili dawni pracownicy Elektrosiły, zatem trudno się dziwić, że przezwali bar tak, jak brzmiała nieoficjalna nazwa bloku administracyjnego tego zakładu. Pomiędzy ciasno ustawionymi stolikami, które przez lata trwale przesiąkły zapachem piwa, snuli się, niemal niedostrzegalnie, wyszkoleni i schludnie ubrani kelnerzy z tacami – „Pentagon” trzymał poziom. Długi bar ciągnął się pod tylną ścianą, na której – w górnej części – zachowały się jeszcze fragmenty zdobień stacji. Przyjrzawszy się, w resztkach mozaiki można było nawet rozpoznać

postać robotnika, jakby podpierającego rękami sklepienie stacji, i urywek tajemniczego zdania o elektryfikacji całego kraju. Natomiast dolna część ściany była szczelnie zasłonięta półkami z alkoholem dla każdego podniebienia. Wśród flaszek z grzybowymi nalewkami i podejrzanego koloru alpagą trafiały się też nader unikatowe wedle dzisiejszych miar próbki przedwojennej wódki. Duma kolekcji – butelka pięciogwiazdkowego koniaku Ararat – spoczywała w centralnej witrynie, podświetlona oddzielną lampką. Trunek o barwie bursztynu przyciągał spojrzenia, budząc u klientów przyjemne wspomnienia dawno minionych czasów. Teraz kieliszek tego bezcennego napoju kosztował majątek. Może dlatego butelka koniaku pozostawała nienaruszona przez długie lata, stając się rodzynkiem i swego rodzaju symbolem reputacji „Pentagonu".

Inną miejscową osobliwością był mutant o imponujących gabarytach, od niedawna pracujący w barze jako wykidajło. Zanim się pojawił, utarczki i awantury zdarzały się tu z zadziwiającą regularnością, zwłaszcza że publiczność trafiała się różna i nie zawsze pogodnie usposobiona. Jednak wraz z pojawieniem się zielonoskórego siłacza o odstraszającej powierzchowności burdy w lokalu jakoś same z siebie ustały. Miłośnicy wymachiwania pięściami musieli przyhamować swoje zapędy, a wszystkie kłótnie z zasady kończyły się, gdy tylko wykidajło zerknął z dezaprobatą na hałasujących.

Dla właściciela baru mutant okazał się prawdziwym skarbem. Nie chciał za pracę naboi, zadowalając się jedynie bezpłatnym żarciem i codzienną porcją taniego samogonu. Pił zawsze w wyniosłej samotności, siedząc przy końcu baru na wysokim taborecie zespawanym z żelaznych prętów zbrojeniowych – każdy inny mebel po prostu nie wytrzymywał ciężaru giganta. Nigdy nie upijał się na tyle, żeby nie wywiązywać się ze swoich obowiązków. Taki cichy, nieagresywny opój, który jednym spojrzeniem zniechęcał potencjalnych burzycieli spokoju.

Od barwnego wykidajły stronili nie tylko przyjezdni handlarze, ale i bywalcy „Pentagonu”. Nawet kelner – cherlawy, mniej więcej piętnastoletni chłopak – stojąc za szerokimi plecami olbrzyma, nie zaryzykował, by dotknąć jego ramienia, i tylko delikatnie kaszlnął, starając się przyciągnąć jego uwagę. Mutant siedział, opierając się ogromnymi łokciami o bar i przysypiał. Jak się zdawało, wysiłki kelnera pozostały niezauważone. Chłopaczek rozejrzał się z zakłopotaniem, odszukał wzrokiem kogoś przy wejściu i bezradnie wzruszył ramionami, a potem zamierzał już krzyknąć do wykidajły, kiedy ten poruszył się, podniósł głowę i skierował na biedaka mętny, nierozumiejący wzrok.

– Ktoś do pana… – wykrztusił blady ze strachu kelner i machnąwszy niejasno ręką gdzieś w stronę wejścia, uznał, że najlepiej będzie zrejterować.

Gigant skupił wzrok na postaci, która kierowała się właśnie w stronę baru, lawirując między stolikami. Miękki chód, przenikliwe badawcze spojrzenie, ogolona głowa. Wymyślny opancerzony kombinezon przyciąga zazdrosne spojrzenia przyjezdnych stalkerów. Na nogach wierne wojskowe buty z wysokimi cholewami.

Rozpoznawszy gościa, mutant skrzywił się. Blaszany kubek w jego łapsku żałośnie zatrzeszczał, gnąc się, jakby był z papieru. Mętna, woniejąca spirytusem ciecz pociekła mu po palcach. Mutant odwrócił się i cisnął ze złością zwitek blachy do kubła na śmieci.

– Cześć, Dym. – Taran jakby nigdy nic usiadł przy barze obok przyjaciela. – Mamy do pogadania.

– Nie mamy o czym rozmawiać. – Mutant na dłuższą chwilę przyssał się do butelki, głośno przełykając.

Stalker najwidoczniej spodziewał się takiej reakcji. Skinął barmanowi i wskazał na półkę z alkoholami:

– No, bracie, polej nam po sto pięćdziesiąt koniaczku.

Barman zastygł w zdziwieniu, widząc jednak, że na kontuar poleciało opakowanie penicyliny, w mig się obudził i wyprężył.

Uśmiechając się szeroko do hojnego klienta, dyskretnym ruchem ściągnął z blatu drogocenne ampułki i wspiął się na regał po Ararat.

Towarzystwo przy najbliższych stolikach przycichło. Kroiła się niezmiernie ciekawa rozmowa. Tylko głuchy nie słyszał o siedzących przy barze stalkerach i historii sekty kanibali. Po tym, jak wyszli cało z fatalnej wyprawy do Kronsztadu, ci dwaj urządzili prawdziwe polowanie na fałszywych proroków Exodusu i wytrzebili ich co do jednego. Ostatniego, nawiasem mówiąc, wytropił dwunastoletni dzieciak – przybrany syn Tarana. Jednak dziś, z nieznanego powodu, stalker zjawił się sam.

Ale po pamiętnych wydarzeniach między znamienitym najemnikiem a zielonoskórym gigantem coś pękło. Ich drogi się rozeszły. Niewielu znało powody takiego zachowania. Podobno coś wydarzyło się w Aliansie Primorskim. Tamtejsze chłopaki to jednak poważni ludzie i pilnie strzegą swoich sekretów, nie strzępią języków przy każdej okazji.

Tymczasem zamówienie najemnika stało już w pełnej krasie na barze. Jako że okazja była wyjątkowa, kelner się przyłożył i rozlał bursztynowy trunek do nie wiedzieć skąd wyciągniętych kieliszków do koniaku.

– Twoje zdrowie, Giena.

Stalker wciągnął odurzającą woń napoju i duszkiem osuszył kieliszek. Mutant zignorował toast i dalej gapił się ponuro na równe rzędy butelek przed sobą. Taran spochmurniał. Mięśnie twarzy zadrgały mu pod skórą.

– Potrzebuję twojej pomocy. Sam nie dam rady.

– Pomocy? – Dym obrócił się w stronę rozmówcy. – Po tym wszystkim, co się wydarzyło, śmiesz prosić o pomoc?!

Mutant zrzucił kieliszek na ziemię. Brzęk szkła przetoczył się przez bar niczym grzmot, przyciągając uwagę wszystkich gości. Drogocenny płyn rozlał się po posadzce, tworząc paskudną plamę. W świetle migających lamp zalśniły setki drobniuteńkich odłamków, niczym kawałki obróconej w pył przyjaźni.

– Tak, Giena. Właśnie po tym, co się wydarzyło.

Mutant zerwał się z taboretu, nachylił się nad najemnikiem i demaskatorsko tknął go palcem wskazującym.

– Z twojej łaski gniję teraz w tej zapomnianej przez Boga dziurze! Gdyby nie ty…

– …twoja głowa tkwiłaby teraz na palu na samym środku Gostinego Dworu!

– Jak ty nic nie rozumiesz, lepiej stracić łeb, niż być wyrzutkiem na peryferiach! Cała moja reputacja poszła w diabły! I powrót do Aliansu mam teraz zamknięty! Przez ciebie, Taran, słyszysz? Przez ciebie!

Zdawało się, że czas przestał płynąć. Człowiek i mutant mierzyli się spojrzeniami pełnymi złości, zastygli niczym kamienne posągi. Barman zsunął się gdzieś pod kontuar, klienci gapili się na widowisko, zapominając o swoich trunkach.

Taran patrzył na rozwścieczonego Giennadija, odnotowując, jak ten się posunął od czasu ich ostatniego spotkania. Opuchnięta od nieustannych libacji fizjonomia, zauważalne drżenie rąk… Oczywiście to był wciąż ten sam chłop na schwał – ogromny, niewiarygodnie silny ciałem i duchem. Ale jednocześnie jakiś inny, obcy, z nienormalnie ciężkim, pełnym smutku spojrzeniem. A przecież ledwie kilka tygodni minęło od tamtego nieszczęsnego dnia, kiedy…

Przed oczami wyobraźni stalkera jedna za drugą przewinęły się usłużnie podsunięte przez pamięć sceny z niedawnej przeszłości. Oto mrok tunelu ustępuje rozbłyskom rozpalonego niedaleko wejścia na stację ogniska. Oto niespokojny posłaniec czeka na Tarana w punkcie kontrolnym. Mówi coś chaotycznie, spieszy się, ciągnie za sobą stalkera przez pracowitą krzątaninę Newskiego[4]. Oto za plecami pozostał mu zabudowany mieszkalnymi klitkami korytarz prowadzący do Gostinki[5] i jego oczom ukazała się stacja, duszna od tłumu zgromadzonych mieszkańców.

Nierealne światło mnóstwa lamp zalewało peron. Tego dnia władze Aliansu nie szczędziły wydatków na oświetlenie. Powodem takiej

rozrzutności okazało się niezwykłe wydarzenie – proces pokazowy. Z przodu widoczny był już naprędce sklecony szafot. Taran przedarł się przez tłum gapiów i w końcu zobaczył zakutego w ciężkie kajdany Dyma. Przewyższający wzrostem otaczający go tłum ludzi, mutant stał pilnowany przez uzbrojoną eskortę i rzucał groźne spojrzenia siwowłosemu mężczyźnie w znoszonej marynarce z łatami na łokciach. Sędzia, co chwila zaglądając do sterty jakichś papierków, przemawiał z prowizorycznej trybuny nieprzyjemnym, szczekliwym głosem. Stalker nie mógł zrozumieć połowy słów – widzowie dookoła ze zbytnim przejęciem dyskutowali na temat szczegółów zbliżającej się egzekucji. Nikt nie wątpił w takie zakończenie rozprawy, ponieważ nieżyczliwym udało się nadać sprawie zbyt duży rozgłos. A zatuszowanie afery, w którą zamieszany był mutant, z zasady zdawało się niemożliwe.

Mutacje wśród ludności się zdarzały – skażona promieniowaniem natura robiła swoje. Lecz niestety nie wszyscy byli zadowoleni z niezwykłego sąsiedztwa „ułomnych". Znaleźli się złośliwcy, którzy postarali się rozdmuchać aferę. Przyczyna okazała się banalnie prosta. Tępiąc kanibali z Exodusu, Giennadij naruszył jedno z głównych praw Aliansu Primorskiego. Jakby na potwierdzenie własnych myśli, Taran usłyszał, jak sędzia zawołał:

– Mutant nie ma prawa podnosić ręki na człowieka! Prawo to obowiązuje na całym terytorium Aliansu i nikt go dotąd nie zniósł! Podsądny złamał prawo i, pomimo wcześniejszych zasług, powinien ponieść karę…

Stalker nie miał ochoty dalej znosić tego absurdu. Wskoczył na pomost i zabrał głos. Nie przeszkadzano mu – nikomu nie starczyło wtedy śmiałości, by zamknąć usta bohaterowi. Taran uznał jednak wystąpienie w obronie Dyma za pozbawione sensu. Od razu to zrozumiał, wystarczyło tylko spojrzeć na sędziego i jego otoczenie. Zbyt mocno czepiali się litery prawa, do tego problem, który rozpatrywali, był zasadniczy. Zlekceważyć prawo choć raz oznaczało

podważyć autorytet Aliansu. A w obliczu zagrożenia ze strony Imperium Wegan było to niedopuszczalne…

Słowa, które wtedy wypowiedział, długo mu ciążyły. Lecz stalker nie widział innego wyjścia. Zachowując zimną krew i starając się unikać wzroku Giennadija, wygłosił niespodziewaną dla wielu słuchaczy mowę, wypowiadając się o oskarżonym jako o stworzeniu niższym, brudnym mutancie, wyrodku niegodnym nawet tego, by jego krew skalała posadzkę stacji. Taran mówił długo, ze złością i wnosząc z reakcji tłumu, bardzo przekonująco. W końcu słuchacze zarazili się jego po mistrzowsku odegranym wstrętem. Sędzia był zmuszony ustąpić woli większości…

Giennadija wydalono ze stacji i zakazano mu przebywania na terytorium Aliansu, a Taran… Taranowi nie udało się w końcu porozmawiać z przyjacielem. Mutant unikał spotkań. Hańba wygnania okazała się dla niego zbyt ciężkim brzemieniem. Tułał się jakiś czas po peryferyjnych stacjach, aż osiadł na Elektrze. Odtąd najemnik omijał Pentagon z daleka, zostawiając obrażonego mutanta w spokoju… Ale przyszedł wreszcie czas, by wszystko wyjaśnić.

I teraz, spoglądając na Dyma, stalker zdał sobie nagle sprawę, że czas nie zawsze leczy rany. A w tym przypadku wszystko tylko się skomplikowało. Wytłumaczyć, pogodzić się można było wtedy. Teraz rany, którą zadał Dymowi, nie dało się tak łatwo zaleczyć – przez cały ten czas ona się jątrzyła.

– Musisz mnie wysłuchać!

– Nie chcę cię widzieć.

Mutant z powrotem usiadł na swoim piedestale przy barze i demonstracyjnie się odwrócił.

– Wysłuchasz mnie.

– Spieprzaj stąd. – Dym odkorkował kolejną butelkę siwuchy.

Taran popatrzył z rozdrażnieniem na zegarek. W tych okolicznościach tracenie czasu na pertraktacje było luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić.

– Dym!

Mutant nie reagował.

Zza krawędzi kontuaru wyłonił się barman. Uśmiechając się nerwowo, zaryzykował i wtrącił się w rozmowę.

– Zostawiłbyś naszego byka w spokoju, stalkerze. Jeśli, oczywiście, nie boisz się zostać jego klientem. Tak czy owak, jest teraz w pracy i…

Taran nie dosłuchał do końca. Chwycił glinianą popielniczkę, która leżała na najbliższym stoliku, i rzucił nią w regał. Butelki z brzękiem pospadały na ziemię. Barman klasnął w dłonie i znów zniknął za kontuarem. Dym podskoczył jak oparzony, zaciskając mocarne pięści w bezsilnej złości. A jednak coś nie pozwalało mu rzucić się na byłego przyjaciela.

– Nie odejdę, dopóki mnie nie wysłuchasz. Albo rozniosę tę spelunę w jasną cholerę!

Stalker dalej naciskał, rozumiejąc, że nie uda mu się porozmawiać po dobroci. A skoro tak…

– Dawaj, siłaczu, nie krępuj się! Zapracuj na swoje żarcie! Przecież praca ciekawa, z ludźmi. Obroża cię nie ciśnie?

Dyma w końcu ruszyło. Krótko, bez zamachu, wyrzucił przed siebie ogromną jak kowadło pięść. Stalker tylko lekko się uchylił i wyprowadził kontrę. Mutant znieruchomiał, czując na rozciętej wardze słonawy posmak krwi. Momentalnie się zagotował, ryknął i poszedł przebojem, obrzucając przeciwnika raz za razem bezładnymi ciosami. Klienci rozpierzchli się na boki, wywracając krzesła. Bar zahuczał, oczy bywalców zabłysły.

Chaotyczny atak Dyma nie przyniósł widocznych rezultatów. Taran instynktownie blokował ciosy, robił rotacyjne uniki. Dużą część potwornych uderzeń udało mu się sparować. Pozostałe tylko przecinały powietrze niebezpiecznie blisko najemnika – ten poruszał się zbyt szybko. Taran zanurkował pod ręką Dyma, przesunął się w bok i trafił przeciwnika długim *crossem*. Mutant, jak się zdawało, nie poczuł nawet kolejnego ciosu w zęby, podważył nogą najbliższy stół, po czym cisnął nim w rywala. Najemnik rzucił się w bok. Blat stolika

świsnął parę centymetrów od jego głowy. Cudem uniknąwszy uderzenia, Taran nie zdążył już zareagować, kiedy pięść Dyma trafiła go w brzuch. Stalker zgiął się wpół, dolne żebra odezwały się rozbłyskiem bólu. Zmiatając z drogi meble, niczym bezwolny worek poleciał na ścianę.

Brzęk tłuczonych naczyń i siarczyste przekleństwa przyciągnęły uwagę nowych gości. Przy wejściu do baru zrobił się ścisk. Każdy chciał popatrzeć na Dyma przy pracy, a jednocześnie zobaczyć szaleńca, który zaryzykował walkę z tą żywą maszyną śmierci. Napinając imponujące mięśnie, mutant powoli zbliżał się do Tarana. Jego wzrok nie zapowiadał niczego dobrego. Stalker wyczołgał się spod połamanych mebli i jednym szarpnięciem podniósł się na kolana, próbując złapać oddech.

– Won stąd! – warknął Dym.

– Ni wała się od ciebie nie odczepię! – wychrypiał Taran i wzbił się w powietrze, wpadając na przeciwnika całą swoją masą.

Gigant stracił równowagę i runął na plecy. Taranowi mignęła przed oczami jego wściekła fizjonomia. Stalker wykręcił się, wbił wojskowy bucior w zielony policzek i poturlał się do tyłu.

– I mimo wszystko mnie wysłu…

Sklepiony sufit i posadzka stacji zawirowały mu przed oczami w gwałtownym kalejdoskopie. Taran nawet nie zrozumiał, jak przeoczył kolejny cios. Zaszumiało mu w głowie, do gardła podeszły mdłości. Dźwięki nagle się oddaliły, obraz przed oczami zaczął gasnąć. Lecz upór i rozpacz kazały mu rzucić swoje ciało do kolejnego ataku. Zadany na ślepo cios hakiem dosięgnął celu. Pod jego pięścią coś nieprzyjemnie chrupnęło. „Nos”, pomyślał ze złośliwą satysfakcją stalker i rozciągnął usta w krwawym uśmiechu. Instynktownie schylił głowę, poczuł na karku wietrzyk – Dym znowu spudłował – i skoczył naprzód. Mutant ryknął, prostując się. Stalker wisiał na jego szyi, zaciskając ręce w klamrze. Dym zakręcił się niczym bąk, wymachując wielkimi łapami. W końcu udało mu się ściągnąć stalkera ze swojego karku, ale ten nie poddawał się i chwycił nogami szyję i rękę

olbrzyma. Taran założył mu trójkąt i zachrypiał z wysiłku. Ściśnięcie tętnicy szyjnej poprzez węzły potężnych mięśni karku mutanta nie należało do łatwych zadań. Przez chwilę stalkerowi wydawało się nawet, że duszenie zadziała. Giennadij szarpnął raz, drugi, a potem nagle podniósł Tarana w powietrze i wyrżnął plecami o ziemię. I jeszcze raz. Stalker potoczył się bezsilnie, rozmazując krew po twarzy i potwornie kaszląc.

Trzeba jednak przyznać, że mutantowi też się dostało. Chwiał się, trzymając się ściany, i patrzył na dawnego przyjaciela spode łba, nie próbując nawet zatamować krwi kapiącej na ziemię z rozbitej nasady nosa.

– Nie mamy o czym rozmawiać, Taranie. – Dym pokuśtykał do swojego stołka barowego, nie próbując już atakować inicjatora bójki. Jego gniew się ulotnił, w głowie nieco mu się przejaśniło.

Najemnik, krzywiąc się, stanął na nogach. Jakąś minutę ciężkim wzrokiem świdrował tył głowy Giennadija w nadziei, że po wyładowaniu emocji mutant jednak się opamięta. Na próżno…

Taran ruszył do wyjścia. W ostatniej chwili zatrzymał się i spokojnie, bez emocji powiedział:

– Potrzebuję twojej pomocy. Gleb przepadł.

Zdawało się, że jeszcze chwila i Dym, słysząc niepokojącą wiadomość, odpowie. Zerwie się ze stołka, zacznie wypytywać, co i jak… Lecz ten uparcie milczał. Sekundy upływały jedna za drugą i nic się nie zmieniało. Stalker spodziewał się po przyjacielu wszystkiego, tylko nie takiej obojętności. Odwrócił się i odszedł. Nie pozostało mu nic innego jak tylko iść do gniazda ogryzków samotnie…

Giennadij patrzył bezmyślnie w jeden punkt, starając się uspokoić zszargane nerwy. Nie zrozumiał pożegnalnych słów stalkera – skutek odniesionej na grobli kontuzji, która uszkodziła mu słuch. Zresztą nieważne. Niech sam się zajmie swoimi problemami. Przecież nie jest dzieckiem?

O Glebie Dym w tej chwili jakoś nie pomyślał…

1 Służbowa Linia Łącznikowa (przyp. aut.).
2 Stacja metra Elektrosiła (przyp. aut.).
3 Stacja metra Park Pobiedy (przyp. aut.).
4 Stacja metra Newski Prospekt (przyp. aut.).
5 Stacja metra Gostiny Dwor (przyp. aut.).

Rozdział 4: OGRYZKI

Stalkerzy to w większości ludzie przesądni i głupio byłoby czynić im z tego powodu wyrzuty. Nie jest tajemnicą, że ciągłe zagrożenie z czasem zmienia człowieka: jego zachowanie, przyzwyczajenia, spojrzenie na życie. I im częściej człowiek jest narażony na niebezpieczeństwo, tym bardziej pragnie przeżyć. Stalkerzy nie są wyjątkami. Co trzeci ma swój własny zbiór reguł i czasem wydumanych, ale surowo przestrzeganych rytuałów – wszystko, by zapewnić sobie powodzenie. Co drugi, uczestnicząc w wypadzie, bierze ze sobą jakiś talizman. I, co się rozumie samo przez się, każdy, bez wyjątku, ma własną strategię przebywania na powierzchni, swoje, tylko jemu właściwe, triki.

Taran nie poddawał się przesądom, mocno przekonany, że szczęście to coś, czego nie da się kontrolować, więc lepiej liczyć na własne siły i spryt. Chociaż z biegiem lat i u niego pojawiły się pewne zachowania, których nigdy nie zmieniał. Trudno nazwać to rytuałem, była to raczej pewna procedura obowiązująca przy każdym wypadzie na górę. Przy wyjściu z na wpół zawalonego podziemnego przejścia Moskiewskiej zatrzymał się na kilka minut, jak robił to już setki razy. Zamarł, rozglądając się, chłonąc dźwięki i szmery, sam rytm życia świata na powierzchni. Podobnie poławiacze pereł przyzwyczajają się do dotyku wody, zanim zanurkują w poszukiwaniu drogocennej zawartości morskich muszli. Chociaż nie. Przyzwyczajali się. W pamięci stalkera wyłoniły się fragmenty widzianego dawno temu programu telewizyjnego o oceanie i jego bogactwach. Zdawało się, że to było w innym życiu. Mnóstwo czasu minęło od chwili, kiedy wybrzeże oceanu było postrzegane jako malownicze i pożądane miejsce na wczasy w uzdrowisku. Teraz jednak promieniowanie, straszni mieszkańcy głębin morskich i inne „uroki” skażonego świata

sprawiły, że zarówno ląd, jak i woda przestały nadawać się do życia dla człowieka. Inny ekosystem. Obcy. I lepiej mieć się w nim na baczności.

Ruszając z miejsca, Taran pobiegł truchtem przez Moskiewski Prospekt. Zresztą „prospektem" można było nazwać to miejsce tylko z przyzwyczajenia, na pamiątkę minionych czasów. Teraz arteria przypominała raczej wąwóz o łagodnych zboczach ze stert betonu, cegieł i ułomków paneli ściennych. Z zawalisk, niczym resztki przegniłych zębów, sterczały na wpół zapadnięte szkielety budynków. Z tyłu została na poły zagłębiona w ziemię litera „M" – jedyne wspomnienie o dawnym McDonald'sie. Taran wspomniał, z jakim obrzydzeniem obchodził z daleka „jankeski fastfood" przed Katastrofą. Teraz na pewno nie odmówiłby sobie hamburgera, do tego z fryteczkami… Ślina błyskawicznie napłynęła mu do ust.

Z przodu rozległ się szmer. Stalker zaklął, porzucając myśli o jedzeniu. Nie wolno tracić czujności podczas wypadu. Nawet tak krótkiego. Zdawało się, że do placu Zwycięstwa był rzut kamieniem. Jakieś pięćset metrów. Ale i tutaj nie obeszło się bez niepożądanego spotkania. W zaułku jakaś bestia rozkopywała w skupieniu stertę śmieci, wystawiając na pokaz opasłe boki pokryte gęstą, lśniącą sierścią. Kamienie i kępki mchu wciąż leciały na wszystkie strony. Mutant z taką pasją grzebał w ziemi, że nawet nie zauważył obcego. Potem wyczuł jednak badawcze spojrzenie, obrócił w stronę stalkera brudny, pełen zębów pysk i cicho zaryczał.

Taran nie wyczuł zagrożenia w zachowaniu zwierzęcia. Raczej ostrzeżenie: idź swoją drogą, nie przeszkadzaj. Stwór z ukosa zerkał na stalkera, dopóki ten nie skrył się za rogiem budynku. Wyglądało na to, że miał już okazję spotkać tych dziwnych dwunogów z wyciągniętymi jak trąba pyskami i wyłupiastymi oczami.

Omijając zwały gruzu i oglądając się na czarne gardziele okien, stalker nieubłaganie zbliżał się do siedziby ogryzków. Po bokach wznosiły się dwa wysmagane wiatrem wieżowce, nazywane przez dzikusów nie inaczej tylko „rogi diabła" – swego rodzaju wrota

piekieł. Taran uśmiechnął się pod nosem, wspominając, z jakim patosem ci obszarpańcy mówili o swojej kolonii.

Skąd oni się wzięli – brudni, zapuszczeni, półdzicy, z bardzo ograniczonym zasobem słów, częściej uciekający się do gestów niż do ludzkiej mowy – i dlaczego jeszcze nie powymierali, pozostawało dla najemnika zagadką. Ogryzki rzadko schodzili do metra. Częściej szperali na powierzchni i w systemie kanalizacyjnym w poszukiwaniu rzeczy, które można jeszcze było sprzedać mieszkańcom metra. Same pokraki, jakich świat nie widział, choć to zrozumiałe: promieniowanie przemnożone przez małą liczebność kolonii. Kazirodztwo ograniczonym populacjom nigdy nie wychodziło na dobre. Chociaż chodzą słuchy, że zdesperowani i zmęczeni podziemnym życiem ludzie w końcu przyłączają się do ogryzków, ci zaś z zadowoleniem skupują dzieci od zubożałych mieszkańców metra, żeby choć trochę odwlec nieuchronne zwyrodnienie plemienia.

Na swoje centrum życiowo-mieszkalne dzikusy upatrzyli sobie pomnik obrońców Leningradu pośrodku placu Zwycięstwa i Izbę Pamięci – podziemne muzeum umieszczone pod jego powierzchnią. Im bliżej Taran podchodził do kompleksu, tym bardziej groteskowa stawała się konstrukcja ukazująca się przed jego oczyma. Kiedyś pomnik miał formę imponujących rozmiarów kręgu; wchodząc do jego wnętrza, można było trafić do umieszczonej centralnie rzeźby grupowej i wiecznego ognia. Teraz zaś zewnętrzny mur o kształcie okręgu bardziej przypominał twierdzę. W równych odstępach, wzdłuż górnej krawędzi muru, wznosiły się niezdarnie sklecone wieżyczki strażnicze, a na całym obwodzie mur opasywał częstokół z prętów zbrojeniowych ukrytych w zasiekach z drutu kolczastego. Oba szerokie przejścia niegdyś pozwalały bez przeszkód dostać się za mur, teraz zagradzały je barykady wzniesione z najrozmaitszych, będących pod ręką rupieci, wśród których trafiały się nawet zardzewiałe wraki autobusów i wielotonowe skrzynie ciężarówek. Aby ochronić wnętrze zaimprowizowanej twierdzy przed atakami

skrzydlatych drapieżników, ogryzki wznieśli nad pomnikiem prawdziwą kopułę z zerwanych z najbliższych dachów kawałków blachy i takiegoż drutu kolczastego – skąd oni go tyle wzięli…

Miejsce zamieszkania, jakie wybrało plemię wydawałoby się dziwne, gdyby nie podziemne muzeum, wewnątrz którego w zupełności mogła się rozlokować niewielkich rozmiarów kolonia. Stalker parę razy odwiedził położoną około sześciu metrów pod ziemią Izbę Pamięci, choć był wtedy nastolatkiem. Związane z tym wspomnienia były niestety zbyt mgliste, by na nich polegać podczas obecnej misji. W pamięci pozostało z niczym nieporównywalne uczucie niemego zachwytu przy schodzeniu po schodach wzdłuż fryzu z brązu i rzędu świeczników w kształcie amunicyjnych łusek oraz niemal religijna cześć w obliczu mrocznej, rozległej, wyłożonej marmurem sali. Teraz miał te wrażenia zweryfikować.

Siłową metodę rozwiązania problemu najemnik odrzucił natychmiast, kiedy tylko Dym posłał go do wszystkich diabłów. Nie było sensu nawet próbować przeciwstawić się plemieniu w pojedynkę. Taran postanowił pójść wprost do ogryzków, mając nadzieję na pokojowe negocjacje. W końcu wcześniej nieraz miewał do czynienia z cudacznymi mieszkańcami muzeum i zawsze umieli się dogadać. Trzeba było tylko wyjaśnić, co się dzisiaj stało i dlaczego ogryzki zachowali się tak wiarołomnie i bezczelnie.

Stalker zatrzymał się w wyrażającej szacunek odległości od muru, zdjął z ramienia automat i odsunął rękę z bronią daleko w bok, demonstrując pokojowe zamiary. Z początku nic się nie działo. Wciąż tak samo wył przenikliwy wiatr, i ten nigdy niecichnący świst pozostawał jedynym dźwiękiem naruszającym ciszę. Rozglądając się na boki, Taran dostrzegł na skraju ruin domu towarowego „Moskowskij” znajomy kształt – kosmaty „poszukiwacz skarbów” jednak zainteresował się osobą stalkera i zostawił poprzednie beznadziejne zajęcie. Bestia przypadła do ziemi i pilnie wodziła pyskiem z boku na bok, próbując węchem określić, na ile jadalny jest dwunóg, który wkroczył na jej teren łowiecki.

Fakt, że twierdza ogryzków sąsiadowała z cieszącymi się złą sławą Południowymi Bagnami, których skraj widać było nieopodal, też nie napawał spokojem. Dzika, nieuczęszczana przez ludzi okolica, zaciągnięta mgiełką oparów, ciągnęła się daleko na południe, do samych Wzgórz Pułkowskich. O tym zapomnianym przez Boga miejscu krążyło mnóstwo opowieści. Mówiło się, że to właśnie stamtąd do porzuconego miasta zapuszczają się najstraszniejsze stwory. A nieprzebyte trzęsawiska i promieniotwórcza ziemia kompletnie odbierały stalkerom ochotę, by zbadać południowe przedmieścia.

Przed nim coś zazgrzytało. Choć najemnik silił się, by wypatrzyć niewidocznych obserwatorów w wąskich otworach strzelniczych w murze, w półmroku przed świtem było to niemożliwe. Ale oto w sprawiającej wrażenie monolitu barykadzie otworzyły się niepozorne drzwiczki, zza których ukazał się umorusany ogryzek w przepasce biodrowej i nowiutkich adidasach, co prawda, założonych na bose stopy. Skąd on je wytrzasnął, psubrat jeden… Dzikus przywołał najemnika i pospiesznie skrył się w środku.

Za murem oczom stalkera ukazała się dość rozległa przestrzeń, cała zastawiona drewnianymi podpórkami, które podtrzymywały konstrukcję wykonanej rękami ogryzków kopuły. Wzdłuż krzywizny muru kopciły się z rzadka pochodnie, w świetle których Taran dostrzegł stosy najróżniejszych sprzętów zebranych przez ogryzków z całej okolicy. Czego tu nie było: cegły, łupki, blacha, drewno, siekiery i kilofy, piecyki i mangały, plecaki i namioty… Wszystko to wkrótce, tak czy inaczej, trafi do metra, do zagospodarowania nowej przestrzeni życiowej.

Przechodząc obok stert żelaznej blachy, stalker zerknął na terkoczący ostrzegawczo dozymetr. Dzikusów podobne drobiazgi chyba niespecjalnie niepokoiły. Ogryzek w adidasach prowadził najemnika wciąż dalej, w stronę wejścia do muzeum. Nieliczni mieszkańcy twierdzy napotykani po drodze odprowadzali gościa przeciągłymi, pytającymi spojrzeniami, od których robiło się

nieswojo. Nigdy nie wiadomo, co tym zdechlakom może przyjść do głowy…

Zapaskudzone nieczystościami i śmieciami, o zakopconych dymem pochodni ścianach, zejście do gniazda ogryzków zupełnie nie przypominało szerokich i długich, groteskowo uroczystych korytarzy z młodzieńczych wspomnień Tarana ani przestronnych, wyłożonych marmurem i dolerytem westybuli z ciągami schodów, które prowadziły do Izby Pamięci. Jakkolwiek stalker starał się przygotować na nieuchronne zmiany w wyglądzie podziemnego muzeum, widok, jaki mu się ukazał, zrobił na nim szokujące wrażenie. Mozaikowe *panneau*, flagi wzdłuż ścian, granitowe witryny z eksponatami – wszystko było już historią. Przestronne pomieszczenie z rozmieszczoną wewnątrz ekspozycją zamieniło się w chlew. Warstwa przegniłej słomy na posadzce, sterty śmieci pod ścianami, paleniska z rozrzuconymi wokół obgryzionymi kośćmi i dziesiątki uwijających się niemytych ciał. Należałoby tylko jeszcze, dla pełnego obrazu, zdjąć maskę, by to poczuć… Smród przebił się przez filtry szybciej, niż stalker zdążył o tym pomyśleć. Skrzywił się, ale jednak ją zdjął: nie warto było przejawiać otwartego braku szacunku wobec wodza. Taran był do końca przekonany, że wszystko, co się wydarzyło, to jedynie nieporozumienie i w najbliższych minutach problem zostanie rozwiązany. Koniec końców ogryzki, choć wyglądają na zapuszczonych, są znacznie bardziej cywilizowani niż owi ludożercy z Exodusu, zresztą trudnią się handlem, a nie kanibalizmem.

Mijając śpiących pokotem dzikusów, skierował się w stronę przestronnej wnęki w ścianie. Za niedbale zszytą ze skór zwierząt kotarą urządził się przywódca kolonii, smagły chłopak w wieku około dwudziestu lat z długimi strąkami włosów, które niemal zupełnie zasłaniały mu twarz. Mimo tej powierzchowności Taranowi zawsze wydawał się rozgarniętym młokosem, wyróżniającym się na tle współplemieńców rzeczowym podejściem i umiejętnością całkiem znośnego porozumiewania się normalnym ludzkim językiem. Był

typem, który wolał nie mówić o tym, jak trafił do plemienia. Zresztą stalker szczególnie o to nie dopytywał – to nie była jego sprawa. Najważniejsze, że żyli ze sobą w zgodzie i dlatego ogryzki zawsze omijali z daleka mieszkanie Tarana. Przynajmniej do niedawna. Poza tym stalker lekką ręką obdarował przywódcę plemienia wdzięcznym przezwiskiem. Już przy pierwszym spotkaniu najemnik żartem nazwał wodza Indianinem – ze swoją fryzurą i nietypowym kolorem skóry aż za bardzo pasował mu do obrazka ze starych westernów. Przywódcy plemienia spodobało się dźwięczne słowo i od tej pory nakazał wszystkim tytułować się wyłącznie w ten sposób.

Przy wejściu do apartamentu stalkera zatrzymało dwóch drabów z włóczniami, wskazując zdecydowanie na automat w jego rękach. Taran oddał broń i wszedł do środka. Pod nogami miał wyblakły ze starości dywan, cały w tłustych plamach. Pod ścianami wznosiły się sterty najrozmaitszych gratów, naznoszonych tu najwidoczniej w jednym celu – by zademonstrować dobrobyt plemienia. Innego zastosowania wszystkich tych niesprawnych rupieci nie sposób było sobie wyobrazić. Taran rozejrzał się z zainteresowaniem i zauważył kompletnie niepasujące tu urządzenia, takie jak drukarka, mikroskop, oscylograf…

Tymczasem chłopak zasiadający pod przeciwległą ścianą niecierpliwie zaczął się wiercić, starając się przyciągnąć uwagę najemnika. Brwi Tarana powędrowały w górę: w charakterze tronu wódz wykorzystał stary, wysłużony fotel do masażu – identyczne stały przed wojną w centrach handlowych, by zmęczeni zakupami klienci mogli się zrelaksować. Indianin odgarnął z twarzy skudlone włosy i objawił światu swe majestatyczne oblicze: długi nos, na wpół szalony, rozbiegany wzrok i zaciśnięte usta.

– Czego tu? – Wódz był dziś lakoniczny.

– Wiesz przecież – odparł w tym samym stylu stalker. – Gdzie jest mój syn?

– Nie wiem, o czym…

U podnóża tronu upadł znaleziony przez Tarana amulet. Wódz zamarł, dławiąc się przygotowaną repliką, i patrzył teraz z zakłopotaniem to na dowód rzeczowy, to na gościa.

– Posłuchaj, Indianinie, przecież znamy się nie od dziś. – Stalker świdrował ogryzka uważnym, ciężkim spojrzeniem. – Co to za gierki? Po co wysłałeś ludzi do mojego domu?

Wódz milczał przez chwilę, zagryzając nerwowo wargi, potem ledwie zauważalnie skinął głową stojącym z tyłu wojownikom. Kilku drabów natychmiast wykręciło Taranowi ręce i rzuciło go na kolana.

– Dobry z ciebie wojownik, ale głupi. Po co chodziłeś za Wielką Wodę i obudziłeś bogów?! – zawołał Indianin, podnosząc się z tronu. – Widzieliśmy ich gniew! Ognisty kwiat zakwitł na horyzoncie. Taki sam jak wtedy, w dniu końca świata. Ogniste kwiaty, źle! Bogowie chcą ofiary, plemię złoży ofiarę!

– Co to za bzdury?! Jacy, do cholery, bogowie?! Ktoś podłożył bombę, rozumiesz, durna pało! Co do tego mają…

– Zabrać go! – przerwał stanowczo wódz. – Wybacz, najemniku, ale bogowie odwrócili się od nas i żeby odzyskać ich łaskę…

Końca zdania Taran nie dosłyszał – zaciągnęli go do wyjścia i dalej, na środek sali, tam, gdzie w czasach świetności muzeum mieściła się masywna pozioma płyta z reliefem planu „Bohaterskiej bitwy o Leningrad”. Teraz zaś, sądząc po licznych brunatnych zaciekach i walających się wokół psich i szczurzych czaszkach, instalację wykorzystywano w charakterze ołtarza ofiarnego.

Stalkera ze związanymi rękami rzucono na wykończoną brązem powierzchnię płyty. Mieszkańcy muzeum, szepcząc do siebie, zaczęli się zbierać wokół w oczekiwaniu na zbliżające się wydarzenie. Umorusane dzieci ogryzków podeszły bardzo blisko i wymyśliły prostą zabawę: podkradały się po kolei do rosłego jeńca w nietypowym stroju, dotykały wzmocnionej tkaniny kombinezonu i odskakiwały z piskiem, śmiałe i lękliwe zarazem.

Cóż… Chociaż taki rozwój wydarzeń wydawał się mało prawdopodobny, Taran był na niego przygotowany. Korzystając z

zamieszania, płynnie przesunął związane za plecami ręce, odciągnął szlufkę i odsłonił ostre jak brzytwa ostrze wmontowane bezpośrednio w skórę szerokiego paska. Przecięcie postrzępionych, na wpół zgniłych sznurków nie nastręczyło trudności. Pozostawało poczekać na wodza. Najemnik już nie mógł się doczekać rozmowy od serca z tym dwulicowym typem.

Indianin pojawił się ubrany w ceremonialny strój. Na głowie miał dekoracyjny czerep wilkołaka, na ramionach – absurdalny płaszcz z jakiejś szmaty w lamparcie cętki. Taran przyjrzał się bliżej i ze zdziwieniem rozpoznał w kawałku materiału zasłonę – na brzegach widać było kauczukowe pętelki do wieszania. W dłoni ogryzka błysnął metal. Jako noża ofiarnego używano tu samurajskiego tanto. Oczywiście nie był prawdziwy – zwykła pamiątkowa podróbka z topornie wykonaną rękojeścią, jakich przed Katastrofą natłuczono bez miary, zapełniając wszystkie sklepy z bronią. Jednak, sądząc po podnieconych okrzykach ogryzków, ta koślawa imitacja bywała już w użyciu i do zbliżającego się rytuału nadawała się w sam raz. Zgodnie z przewidywaniami najemnika Indianin wygłosił rozwlekłą mowę o rozbudzonych bogach, zwiastunach kolejnego sądnego dnia i burzycielach spokoju, którzy ośmielili się wtargnąć na zakazane terytoria za Wielką Wodą. Standardowy zestaw niedorzecznych zabobonów. Dziwnie było słuchać podobnych bredni z ust całkowicie poczytalnego człowieka. Najprawdopodobniej wódz zwyczajnie rżnął głupa, nie mając ochoty na żadne tłumaczenia współplemieńcom. Czyli trzeba będzie pogawędzić z chłopakiem w cztery oczy…

Dzikusy spijali każde słowo z ust swojego władcy, wyjąc i wyrzucając w górę chude, upstrzone tatuażami ręce. Stalker do końca nie mógł uwierzyć, że ogryzki są gotowi złożyć w ofierze człowieka. Choćby i obcego, choćby obiekt absurdalnych oskarżeń, ale jednak człowieka. Dawna opinia o tych oberwańcach okazała się niestety błędna. Teraz Taran widział przed sobą nie plemię, a zaledwie garstkę żałosnych degeneratów.

Wódz umilkł i zagrzmiały tam-tamy – pokaźnych rozmiarów felgi obciągnięte kawałkami skóry i ustawione na trójnogach w kątach sali. Czerwoni na pyskach siłacze zapamiętale walili w nie wytrzaśniętymi nie wiadomo skąd kijami baseballowymi. Mieszkańcy muzeum zaczęli się ruszać, dostrajając się do łamanego rytmu. Do ołtarza wciąż ciągnęli nowi widzowie.

Pora było kończyć tę szopkę. Żeby zrealizować plan, stalker potrzebował odpowiedniego momentu i nie musiał nań długo czekać. Potrząsając nożem, przebrany wódz zawisł nad ołtarzem. Taran jednak ani drgnął.

– Zastanów się jeszcze raz, ogryzku, czy stanąłeś po właściwej stronie. – Stalker mówił półgłosem, kiedy Indianin kreślił rękoma zagadkowe gesty nad jego ciałem. – Przecież nie jesteś taki głupi, jakiego udajesz. Warto wysługiwać się tłumowi?

Lecz ten wciąż czarował nad ołtarzem, nie reagując na perswazję. Ogryzki w amoku kołysali się w takt transowego dudnienia bębnów. Ich oczy płonęły piekielnym ogniem, a oszpecone twarze rozpływały się w złowieszczych uśmiechach. Rytuał zbliżał się do apogeum.

– Dobrze, młody. Dokonałeś wyboru. Teraz nie żałuj…

Indianin nie zdążył zareagować na dziwne słowa „ofiary”. Zdawało się, że nóż dopiero co był w jego dłoni, lecz ułamek sekundy później w niepojęty sposób znalazł się w ręce jeńca. Wódz nie poczuł ani uderzenia, ani pchnięcia, zobaczył tylko, jak wykręcił mu się nadgarstek. Zdawało się, że nóż sam wypadł z nagle osłabłych palców. Biedaczyna mrugał z zakłopotaniem, gapiąc się na pustą dłoń i dopiero po chwili poczuł nieprzyjemny ból w przegubie. Jeszcze chwila i ziemia usunęła mu się spod nóg. Po podcięciu wodza prostymi, ale skutecznymi nożycami Taran usiadł na nim, wykręcił mu rękę, i przystawił do gardła odebrany nóż tanto.

– Wszyscy stać! Nie ruszać się, powiedziałem!!!

Bębny ucichły jak na komendę. Ogryzki wytrzeszczali oczy na pokonanego wodza i bezsilnie zgrzytali zębami, przestępując z nogi na nogę wokół ołtarza.

– Niech oddadzą mi broń. No?! – Stalker przycisnął mocniej i Indianin zawył z bólu, szybko machając komuś w tłumie.

Nim upłynęła minuta, u podnóża ołtarza upadł automat Tarana. Za nim kamizelka, plecak i inne drobiazgi. Nie zwlekając, najemnik postawił wodza na nogi, podniósł z ziemi kałacha. Szczęknął zamek.

– Podnieś manele.

Blady jak kreda Indianin zgarnął manatki stalkera i wzdrygnął się, czując jak potylicy dotknęła zimna lufa automatu.

– Teraz do wyjścia. Jeden nierozważny ruch i zastrzelę w cholerę.

Tłum rozstąpił się niechętnie, przepuszczając bezczelnego gościa z metra i jego zakładnika. Rozczochrane dzikuski syczały i szczerzyły zęby, wojownicy zaciskali zbielałe palce na drzewcach włóczni. Wśród siekier i noży mignęły prymitywne kusze. Przy wyjściu z sali drogę zagrodził im jeden z osobistych ochroniarzy wodza – potężne chłopisko z imponującym brzuchem. Bawiąc się tasakiem, ogryzek zapraszał stalkera, żeby ten zmierzył się z nim jeden na jednego. Taran skrzywił się – miał ostatnio szczęście do dużych facetów. Żebra jeszcze bolały go po „dyskusji" z Dymem, a tu staje przed nim kolejny „rozmówca".

Nie ulegając prowokacji, najemnik kopnął wielkoluda z całej siły. Ogryzek zgiął się, łapiąc się za pachwinę. Cios kolbą w potylicę znokautował nadgorliwca. Właśnie tak, twardo, chamsko i brutalnie. Złamać morale, zdławić w zarodku wszelki opór. Cisnąć, nie zatrzymywać się, dopóki się nie opamiętają. Taran przeszedł ponad bezwładnym ciałem i ryknął na stojących najbliżej wojowników. Ci wycofali się w popłochu. Kiedy dziwna procesja opuściła salę, ogryzki wreszcie otrząsnęli się z odrętwienia i narobili hałasu. Najżwawsi wskoczyli do przedsionka w ślad za uciekinierami.

– Machaj kulasami! Żywo! – Taran popędzał zakładnika brutalnymi kuksańcami, zdając sobie sprawę, że cierpliwość ogryzków jest na wyczerpaniu.

Jakby na potwierdzenie tuż obok świsnęła strzała z kuszy, odbijając się od marmurowej ściany. Kolejna otarła mu się o but. Stalker

wypchnął wodza na schody i puścił w stronę ścigających krótką serię. Ogryzki szybko schowali się w sali.

– Czemu się kładziesz! Powiedziałem, idź!

Popędzili dalej. Przed nimi majaczyło już upragnione wyjście na dziedziniec twierdzy, kiedy z górnych schodów zaszczekały automaty. Znów trzeba było padać gębą na ziemię. Na szczęście ogryzki, którzy wyskoczyli zza bocznych drzwi, okazali się wyjątkowymi głąbami i porzucili rozładowane karabiny jak coś niepotrzebnego. Czy to nie rozumieli, że broń palną można przeładowywać, czy też nie mieli zapasowych magazynków… W ogóle ogryzki i automaty jakoś do siebie nie pasowali. W każdym razie dawniej dzikusy stronili od „grzmiących kijów". Jak widać, czasy się zmieniają…

Taran wystrzelił na postrach, zerkając przelotnie na wodza. Leżąc zwinięty na schodach, Indianin trzymał się za przestrzelone ramię. Spod palców tryskała mu krew. Wysiłki dzikusów nie poszły jednak na marne – wprawdzie swojego, ale jednak trafili. Tymczasem sytuacja stawała się mało przyjemna: ogryzki zajęli oba końce westybulu i tak się rozochocili, że obecność głowy plemienia w strefie krzyżowego ognia już ich nie powstrzymywała. Zabłąkana strzała mogła w każdej chwili położyć kres wszystkim planom. Zabawa się skończyła.

Huknął podlufowy granatnik. Pocisk nakreślił dymiący ślad i poleciał w dół, do Izby Pamięci. Poprzez huk eksplozji dały się słyszeć krzyki zranionych odłamkami dzikusów. Stalker odwrócił się i zaczął strzelać ogniem pojedynczym w nogi ogryzków napierających z góry. Dwaj padli, zwaleni z nóg celnymi strzałami, kolejny wyskoczył na podwórze.

Nie zwlekając, Taran popchnął zakładnika naprzód. Indianin potykał się na każdym kroku, więc trzeba było podtrzymywać go wolną ręką. Na zewnątrz dały się słyszeć wojownicze okrzyki – dzikusy gotowali uciekinierowi gorące przyjęcie. Kierując się intuicją, najemnik wepchnął chwiejącego się wodza w boczne przejście i zatrzasnął za sobą drzwi. Wąski korytarz pogrążył się w

ciemnościach. Stalker włączył latarkę i rozejrzał się dookoła. Parę metrów od nich, wzdłuż ściany, ciągnęły się, ginąc pod podłogą, wąskie pionowe rury. Tego było mu potrzeba. Stalker kopnął w zmurszałą konstrukcję, wyłamał spory fragment i podparł drzwi, a potem, nie czekając na pogoń, pociągnął zakładnika w głąb pomieszczeń pomocniczych. Logika podpowiadała, że muzeum, jak każda duża podziemna budowla, było wyposażone w szyby wentylacyjne, system odprowadzania wody, tunele techniczne i, teoretycznie, powinno mieć połączenie z kolektorem kanalizacyjnym.

Całkiem sprawnie udało się odnaleźć metalową drabinkę prowadzącą gdzieś w dół, w labirynt systemu drenażowego. Sądząc z wytartej do cna farby na szczeblach, korzystano z tej drogi dosyć często. Taran rzucił ogryzka pod chropowatą betonową ścianę i wyjął pistolet.

– Gdzie jest mój syn?!

Indianin patrzył zaszczutym wzrokiem na lufę jarygina. Na jego płaszczu gwałtownie powiększała się brunatna plama – tego jeszcze brakowało, żeby człowiek padł przed czasem od upływu krwi. Ogryzek już miał coś powiedzieć, przełknął ślinę przez zaschnięte gardło i nagle odpłynął, bezwolnie opuszczając głowę na pierś.

– A żeby cię…

Plecak poleciał na ziemię. W dłoniach stalkera pojawiła się apteczka. Na obejrzenie i opatrzenie rany stracił kilka drogocennych minut. Przelotowa… Kości, ścięgna – wszystko całe. Miał chłopak szczęście. Nie było czasu, żeby zakładać opaskę. Przymocowując naprędce tampon z gazy taśmą izolacyjną, Taran wsłuchiwał się w rwetes na korytarzu – ogryzki wyważali drzwi. Czasu pozostało tyle, co nic. Zastrzyk pobudzający i kilka policzków przywróciły rannego do przytomności.

– Ty to zrobiłeś? – Indianin obmacał opatrzoną ranę i ze zdziwieniem spojrzał na stalkera. – Dziękuję… Ja… Wiesz, Taran… Nie chciałem, żeby to wszystko tak głupio…

– Mam powtórzyć pytanie?

– Tak, tak, powiem ci. – Młody mężczyzna skrzywił się, kołysząc postrzeloną ręką. – Nie miałem wyjścia… Plemię przestraszyło się wybuchu, szuka winnych… Co miałem robić?

– Gdzie jest Gleb?!

– Nie wiem… – Indianin był zmieszany, żeby nie powiedzieć w popłochu. – Naprawdę nie wiem! Posłałem po niego jeszcze wczoraj. Oddział nadal nie wrócił.

Czując na sobie zjadliwe, badawcze spojrzenie najemnika, szybko dodał:

– Ale mogę pokazać trasę. Zaraz, poczekaj.

Wódz pochylił się, zaczął wodzić palcem po zakurzonej podłodze i całkiem szybko narysował plan kolektorów. Zanim w korytarzu dały się słyszeć głosy pościgu, najemnik wiedział już, gdzie dalej szukać.

– Módl się, żeby Glebowi nic się nie stało. Inaczej wrócę po ciebie. – Złapał swoje rzeczy i zszedł po drabince.

– Nie… nie miej mi tego za złe, Taranie – rzucił na pożegnanie, odwracając wzrok. – Zrobiłem głupio. Byłem słaby, uległem namowom…

Stalker zatrzymał się na chwilę.

– Marne towarzystwo sobie wybrałeś. Dziś Indianin jest mózgiem plemienia, a jutro jego mózg sczeźnie tak jak pozostałym. To droga donikąd, chłopcze. Sam to wiesz. Donikąd. Bywaj…

Kiedy ogryzki wdarli się do składziku, znaleźli tylko wodza. Zbieg uciekł podziemnym wyjściem. Podczas gdy dzikusy eskortowali Indianina z powrotem do sali, ten nie uronił słowa, przyglądał się tylko jakoś dziwnie współplemieńcom, jakby pierwszy raz ich widział. Nieskomplikowane błogosławieństwo Tarana – twarde, otrzeźwiające – mocno zapadło mu w pamięć.

Rozdział 5: CMENTARZYSKO

Kap… Kap… Kap… Miarowy, dochodzący zewsząd odgłos miażdżył psychikę, zadręczał. Zdawało się, że cała przestrzeń dookoła, tony ziemi i niskie betonowe sklepienie nad głową zamieniają się w kisiel, grożąc, że pogrzebią żywcem istotę ludzką, która ośmieliła się wtargnąć na teren starego, podtopionego kolektora. Potrzeba było dużego opanowania, by zachować przytomność umysłu w tym królestwie absolutnej nicości. Najmniejszego przebłysku światła w pustce atramentowego mroku, najcichszych odgłosów życia mieszkańców podziemi, najsłabszego podmuchu tunelowego przeciągu… Tylko nieśmiały promień latarki czołowej, czarna ciecz pod nogami i długi, prowadzący donikąd tunel, którego śliskie od wilgoci i grzyba ściany stwarzały uczucie irracjonalnej podróży przez wnętrzności gigantycznego węża.

Ciągła wilgoć, nieprzenikniony mrok i obfitość pleśni stały się impulsem do pojawienia się tu prawdziwie unikatowego ekosystemu. Na wilgotnych od zacieków ścianach Taran dostrzegł bladoróżowe, broczące śluzem narośle o odpychającym wyglądzie. Rejestrując kątem oka ruch, stalker zatrzymał się i przyjrzał niezwykłym tworom. Organizm ledwie zauważalnie drgał, a czasem błyskawicznie się kurczył, zmieniając kształt i rozmiar.

Obrzydliwy widok. O czymś podobnym, co zalęgło się w rurach kanalizacyjnych, Taran słyszał jeszcze przed Katastrofą. W sieci było wtedy dużo szumu na temat tajemniczej formy życia, która w rzeczywistości okazała się, ogólnie ujmując, koloniami miniaturowych larw splecionych w jeden kłąb. Jednak dzisiejsze „kłęby” nie bardzo przypominały swoich pobratymców z filmiku, różniąc się od nich zarówno gabarytami, jak i większą ruchliwością. Skażone

promieniowaniem wody gruntowe wyraźnie wyszły na dobre temu galaretowatemu paskudztwu.

Nie dostrzegając żadnego wyraźnego zagrożenia, najemnik ruszył dalej, na wszelki wypadek starając się trzymać jak najdalej od podejrzanych narośli. Jeśli przeszli tędy ogryzki – przejdzie i on.

Stalkerska intuicja dała znać o niebezpieczeństwie. W skroniach poczuł ból, po ciele przeszedł dreszcz.

Tak było za każdym razem przed starciem z kolejnym wytworem zwichrowanej przyrody. Najemnik nauczył się ufać szóstemu zmysłowi, który mówił mu teraz: gdzieś niedaleko przyczaiło się coś żywego, czującego, być może nawet myślącego. I im dalej posuwał się Taran, tym bardziej wyczuwalna stawała się obecność obcego. Tunel przed nim łagodnie skręcał w prawo. Do czułych uszu stalkera dotarły pierwsze szmery. Za zakrętem coś ciężkiego ruszało się i stękało, szorując cielskiem po pokrytym szlamem dnie kolektora. W innych okolicznościach najlepszym wyjściem byłoby jak najszybciej zrejterować, nie ujawniając swojej obecności. Ale najemnik nie znał okrężnych dróg, a plan naprędce nakreślony przez Indianina był zbyt ubogi i umowny, żeby zmieniać trasę. Wyglądało na to, że nie miał innego wyjścia, jak tylko iść naprzód.

Stalker odbezpieczył automat i małymi kroczkami skracał dystans do niewidocznej przeszkody, aż światło latarki prześlizgnęło się po białawej, pokrytej drobnymi włoskami skórze i padło na tępo zakończony ryj ogromnego, zajmującego niemal całą szerokość tunelu, robaka. Olbrzym niespiesznie pełzł na spotkanie człowiekowi, ślepo obmacując ściany kolektora przypominającą fallusa głową. W bezmyślnych na pierwszy rzut oka ruchach mutanta dość szybko dało się odkryć metodę. Centymetr za centymetrem lustrując powierzchnię betonu, robak chciwie przysysał się do znajomych już Taranowi galaretowatych tworów i wyjadał je do czysta.

W tej sytuacji podejmowanie próby wyminięcia niebezpiecznego stwora, i przeciskanie się przy ścianie, byłoby szczytem nierozwagi – jak nie pożre, to zmiażdży. Ciało olbrzyma ciągnęło się daleko, ginąc

w ciemności. Ostrzelać bestię? A jak ją to rozwścieczy? No i gdzie ona ma mózg? W głowie? A to w ogóle jest głowa? Najemnik spojrzał podejrzliwie na bezoki ryj. Zdawało się, że obecność człowieka nie obchodziła robaka. Ciągle tak samo flegmatycznie oczyszczał ściany z poruszających się „wrzodów". Znalazł się sanitariusz podziemi, kurna…

Taran rozejrzał się. Jak na zamówienie nieco z boku w ścianie ziała wąska dziura – ujście ścieku kanalizacyjnego. Stalker nie widział, dokąd prowadziła rura, jednak warto było to sprawdzić. Jakoś wyjątkowo nie chciało mu się zajmować oprawianiem wielotonowego ślimaka. Podciągając się rękami, najemnik wślizgnął się do doskonale okrągłej betonowej kiszki. I tu przydały się pomysłowe naszywki wymyślnego kombinezonu. Inni stalkerzy nieraz wyśmiewali skafander Tarana za niezgrabny wygląd – kilka miniaturowych kółek na ramionach, piersiach i plecach. Ale w praktyce okazywały się niezastąpione przy pełzaniu po wąskich podziemnych przejściach. Po pokonaniu w ciągu kilku chwil imponującego odcinka rury, gdzie w zwykłym ubraniu trzeba by było czołgać się jakieś pół dnia, najemnik wylazł na korytarz z przeżartego przez czas ceglanego muru. Nie trzeba było długo błądzić – w podłodze ukazała się szeroka wyrwa, przez którą widać było rozgałęzienie znajomego kolektora. Tutaj wyraźnie się on rozszerzał. Widocznie w tym miejscu odnoga, którą przyszedł stalker, łączyła się z głównym ściekiem. Starając się nie spaść na starego znajomego – ogon robaka już znikał w ujściu „krostowatego" tunelu – Taran zeskoczył do kolektora, porównując go w myślach z planem Indianina. Nieopodal powinno być wyjście do metra. Według wszelkich szacunków gdzieś w dole i nieco z boku mieściły się sektory mieszkalne Papy.

Zajęty obliczeniami, stalker nie od razu zauważył łuski rozsypane na kamiennym krawężniku. Dopiero kiedy brzęknęło mu pod nogami, zwolnił, przyglądając się uważnie śladom rzezi, do której doszło w kolektorze. Oprócz łusek znalazły się też strzały – identyczne jak ogryzków – w błocie walał się samotnie kikut maczety, a

przyjrzawszy się, najemnik zauważył na ścianach pociemniałe plamy krwi. W powietrzu unosił się specyficzny zapach śmierci – od chwili potyczki nie minęło wiele czasu. Nigdzie jednak nie było ani rannych, ani trupów. Czy to robak wszystko wyczyścił, czy też strona zwycięska ich zabrała… Kto i w jakim celu napadł na oddział ogryzków, a przede wszystkim, gdzie teraz szukać Gleba – pozostawało tajemnicą. Nie znalazłszy ostatecznie odpowiedzi, Taran odszukał wskazaną przez Indianina studzienkę, którą pomyślnie dostał się na tory metra. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko odwiedzić najbliższą stację.

* * *

– Kochaniutki, nie omijaj mojego straganu! Noże, filtry, machorka… A może jakiegoś kwasa? Mogę załatwić! Dokąd to, kochaniutki?

Szmyga przygasł. Handel od samego rana nie szedł dobrze. Ledwie kilku podróżnych przez cały dzień, a i ci starali się jak najszybciej przemknąć obok straganów Papy. Czy ktoś rzucił urok na stację, czy jak? Czas chyba przenieść się gdzieś bliżej centrum. Albo chociaż na sąsiednią Elektrę. Tu, na uboczu, trudno zrobić jakiś interes…

Straganiarz ponudził się jeszcze trochę przy rozłożonych na skraju peronu towarach, po czym skierował się w stronę ogniska napić się herbaty. Jego uwagę przyciągnęły głosy dobiegające od strony centralnej części stacji. Rozmawiało tam z ożywieniem kilku ukrytych w półmroku ludzi. Szmyga od razu rozpoznał głosy dwóch z nich – swoi, miejscowi. Za to trzeci… Przyjrzawszy się, kupiec dostrzegł kombinezon stalkera.

Rozmówcy szli w kierunku ogniska. Wkrótce dało się zrozumieć niejasne słowa Umarowa – tutejszego kierownika.

– Sam wiesz, że nasza stacja jest handlowa, wolna. Kto nie ma nic do ukrycia, tego serdecznie zapraszamy na prawy tor, wzdłuż straganów handlowych. A jeśli ktoś nie chce męczyć sobie oczu, idzie drugą stroną. Cicho, spokojnie. wszystkie drzwi wzdłuż lewego toru

są zamknięte. Czy zaś szedł jakiś oddział, czy nie, my tego nie wiemy…

– Słyszałeś o wybuchu? – Sąsiad szturchnął Szmygę, nalewając wrzątek z pękatego czajnika o zakopconych bokach. – Teraz w całym metrze będą robić kipisz. Myślisz, że Taran przyszedł się przywitać? Też węszy, szuka terrorystów.

Grzejący się przy ognisku mieszkańcy uśmiechnęli się do siebie, porozumiewając się wzrokiem. Dały się słyszeć rzadkie śmieszki. Całe to zamieszanie ze śledztwem, cokolwiek by nie mówić, wyglądało absurdalnie. Ponad dwadzieścia lat siedzą w norach pod ziemią – skąd tu jakieś bomby atomowe?

Tymczasem obcy stalker zatrzymał się przy jednym ze straganów. Podniósł z posadzki niepozorne świecidełko i popatrzył pytająco na handlarzy.

– Czyj to towar?

Szmyga przyskoczył ochoczo do Tarana z dyżurnym uśmiechem na twarzy. Tak czy inaczej, pierwszy klient w ciągu dnia. Można dla odmiany nieco popracować. Jednak stalker nie podzielał jego entuzjazmu. Potężnych rozmiarów pięść, z której zwisał naszyjnik ogryzków, zatrzymała się przed nosem straganiarza.

– Skąd to wziąłeś?

– Sam zmajstrowałem – wypalił automatycznie Szmyga.

– A jakbyś trochę głębiej poszukał w pamięci? – Marszcząc brwi, Taran zawisł nad sprzedawcą.

Mózgownica skrzypiała, gorączkowo porównując warianty. Powiedzieć prawdę czy skłamać? Spalić sprawdzonego dostawcę czy rozgniewać rosłego stalkera?

Szmyga wybrał mniejsze zło.

– Znajomy mortus mi przyniósł. Wołają na niego Rupieciarz. Ściąga z trupów różne cacka, a ja odsprzedaję. A co? Nieboszczykom to już i tak niepotrzebne…

Wzrok stalkera wyrażał jawną pogardę, on sam jednak trzymał emocje na wodzy. Odłożył naszyjnik, kazał straganiarzowi iść za

sobą, dalej od ciekawskich uszu. Szmyga podreptał za najemnikiem, kuląc się pod surowym spojrzeniem.

– A teraz opowiadaj od początku. Kto, kiedy, gdzie… Ze wszystkimi detalami.

– Przecież mówię – pospiesznie zaczął gadać sprzedawca. – Mortusy wieźli na dniach worki z trupami. Dużo trupów… Nie wiem, gdzie tyle znaleźli. Może zbuntowali się katorżnicy na Zwiozdnej, albo coś…

– Jak znaleźć Rupieciarza? – przerwał mu niecierpliwie Taran.

– A gdzie ma być, jak nie na Cmentarzysku?

Stalker zeskoczył na tory i ruszył przed siebie. Szmyga przełknął nerwowo ślinę, patrząc w ślad za oddalającą się sylwetką. Chyba mu się upiekło. Po jakie licho najemnikowi potrzebne te dzikusy? Chociaż, co za różnica? Poszedł – no i dobrze. Straganiarz popatrzył ze smutkiem na niewyszukane towary i ciężko westchnął. Trzeba się jednak przenieść do centrum. I szmalu więcej, i życie spokojniejsze.

* * *

Wariantów było nie tak znów wiele: albo zasuwać do stacji mortusów tunelami, albo oszczędzając czas, spróbować przedostać się górą. Taran wybrał to drugie – zaledwie nieco więcej niż pięć kwartałów dzieliło pawilon Papy od Międzynarodowej, chociaż znajdowały się na różnych nitkach. Przebiegając pod ścianami domów, myślał o wydarzeniach ostatniej doby. Sytuacja coraz bardziej wymykała się spod kontroli. Z głowy nijak nie chciały mu wyjść słowa wypowiedziane przez wątłego handlarza: „worki z trupami… dużo trupów”. Jak by nie odpędzać głupich myśli, fakty mówią same za siebie: Glebowi przydarzyło się coś złego i jedyna nitka, która do niego prowadziła, była teraz gdzieś tam, w krainie milczących grabarzy. Stalker miał nadzieję, że Rupieciarz chociaż częściowo zdoła wyjaśnić sytuację, i dlatego co tchu przedzierał się przez ruiny porzuconego miasta. Parł naprzód bezczelnie,

ryzykownie, na przełaj, gardząc ostrożnością i mając nadzieję, że pomoże mu doświadczenie i bezbłędny instynkt.

Na razie mu się wiodło i na ulicy Bassejnej nie napotkał żywej duszy. Chociaż o jakich duszach można tu mówić, jeśli wokoło same zwierzęta? Tak czy siak, ten chwilowy spokój trzeba było wykorzystać, dlatego Taran pędził, pospiesznie przeskakując przewrócone słupy i pęknięcia w asfalcie.

Ale nie mogło to trwać długo. Bliżej Witebskiego Prospektu doszło jednak do spotkania. Oczekując pojawienia się szponiastych bądź skrzydlatych przedstawicieli miejscowej fauny, najemnik zmieszał się, widząc przed sobą ludzką sylwetkę. Nieznajomy z daleka przypominał mortusa – ze względu na sięgający do pięt chałat i zapięty pod szyją kaptur, całkowicie skrywający twarz. Jednak po bliższym oglądzie ubiór okazał się prymitywnie skrojonym, obszarpanym odzieniem, niedającym się porównać z płaszczami „sanitarnej służby metra".

Samotna postać nijak nie przypominała stalkera – ani gnata, ani żadnego pancerza… Może to ocalały pustelnik wyszedł ze swojego schronienia w poszukiwaniu pożywienia? Taran pomachał ręką na powitanie. Właściciel chałatu zawahał się i niepewnie pomachał w odpowiedzi. Jego ruchy były niezgrabne – przeszkadzały mu długie, niekształtne rękawy zwisające po bokach na podobieństwo skrzydeł.

– Skąd się tu wziąłeś? – rzucił najemnik, przyglądając się sceptycznie rozmówcy.

Ten milczał. Coś w pozie nieznajomego zaniepokoiło stalkera. Sama jego obecność wydawała się dziwna. W ciągu kilku minut, kiedy Taran zbliżał się do człowieka, ten nie wykonał żadnej próby ukrycia się, nawet się nie ruszył. Cały czas stał jak kołek na środku ulicy, jakby wrósł w ziemię.

Podciągając wyżej automat, stalker złapał się na myśli, że cała ta sytuacja zdaje mu się skądś znana, tylko skąd… No właśnie! Świętej pamięci Legitka podczas wyprawy do Kronsztadu opowiadał jakieś

farmazony o podobnym typku. Co prawda, w jego opowieści facet w chałacie skakał jak pasikonik. A ten tutaj…

Stalker nie zdążył skończyć myśli, kiedy w następnej sekundzie nieznajomy niczym ciemna błyskawica wzbił się w powietrze, mignął mu przed oczami jak rozmyta plama i naraz znalazł się wysoko na drzewie.

– A to bydlę… – Najemnik wzdrygnął się zaskoczony i cofnął się powoli, nie spuszczając szalonego skoczka z celownika.

Nieznajomy przylgnął do pnia potężnego drzewa i znów znieruchomiał. Pod kapturem rozbłysła para jaskrawozielonych, fosforyzujących oczu. Z każdym krokiem odległość między stalkerem a mutantem zwiększała się. Jeszcze trochę i uda się uniknąć niepożądanego kontaktu…

Wystarczyło tylko o tym pomyśleć, gdy stwór zeskoczył z drzewa i rysując dzikie zygzaki, rzucił się w kierunku człowieka.

Automat zaterkotał miarowo. Odgryzając się krótkimi, oszczędnymi seriami, Taran skierował się w stronę ruin najbliższego budynku, lecz stwór okazał się zbyt zwinny. Niepojętym sposobem udawało mu się unikać kul, szaleńczymi, wielometrowymi skokami odbijając się od słupów latarni, zniszczonych samochodów i powykręcanych pni drzew.

Stalker strzelał bez przerwy. Kiedy między przeciwnikami pozostało kilka metrów, stwór szarpnął się i zawył – ostatnia seria dosięgła jednak celu. Potem szary cień przykrył Tarana, zasłaniając całe niebo. Stwór w płaszczu spadł na ofiarę, nadziewając się z rozpędu na przymocowany do lufy automatu bagnet. Przewróciwszy się na plecy, stalker poczuł, jak kolba kałacha opiera się o asfalt. Korzystając z karabinu jak z rohatyny, przerzucił sobie mutanta przez głowę, jednak z ziemi nie zdążył się już podnieść. Spod łachmanów ukazały się ptasio wygięte nogi z nabrzmiałymi wzgórkami hipertroficznych mięśni. Jeszcze chwila i rozprostowały się na podobieństwo sprężyny, wbijając się w Tarana. Potężny kopniak odrzucił stalkera na dobre dziesięć metrów. Od uderzenia plecami o

pozostałość ceglanego muru zaparło mu dech. Adrenaliny wystarczyło tylko, by zerwać się na nogi, ale zaraz pojawiły się mdłości. Coś ciepłego sączyło mu się po potylicy. Taran dotknął głowy i popatrzył na zakrwawioną dłoń. Kiepsko… Bardzo kiepsko.

Potem ziemia nagle się zakołysała i gwałtownie podążyła mu na spotkanie. Wzrok, słuch, dotyk – wszystko wyłączyło się naraz, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z gniazdka. Stalker pogrążył się w niebycie.

* * *

Też coś… Kino. Miękkie, wygodne fotele, ogromny ekran… Teraz nie sposób już sobie przypomnieć, jak to jest oglądać film w kinie. Tym bardziej w nowomodnym 3D. Dziwne, że świadomość podrzuciła mu właśnie ten obraz. W to, że była to wizja lub sen, Taran nie wątpił. Jak inaczej wyjaśnić pełną widzów salę?

Ból głowy spadł na niego nagle. Ostro. Otrzeźwiająco. Nowe uczucie sprawiło, że rozjaśniło mu się w głowie, obraz stał się ostrzejszy, wyraźniejszy. Zaczął dostrzegać szczegóły. Ekran okazał się cały podziurawiony, fotele zapaskudzone guanem nietoperzy, a w suficie ziała pokaźnych rozmiarów dziura, przez którą do wnętrza sali puszystymi płatami padał śnieg. Zresztą widzowie też nie przetrwali w najlepszej formie – wyschłe mumie i na wpół rozłożone trupy w porozrywanych stalkerskich skafandrach.

To chyba jednak nie sen, a najprawdziwsza z możliwych, szara rzeczywistość. Po prostu jakiś żartowniś, ulegając własnej szaleńczej zachciance, naznosił tu nieboszczyków. I nie ma nawet co spekulować – zrobił to ten sam pasikonik, niech go cholera weźmie.

Stalker obrócił zdrętwiałą szyję i sprawdził ręce i nogi. Niby wszystko całe, z wyjątkiem potłuczonej głowy. No i fajnie. Czas wychodzić, zanim szurnięty nieczłowiek połakomi się na krnąbrnego gościa. Automat najwidoczniej został na zewnątrz, za to pistolet był na miejscu. Też dobrze. Taran zebrał się już, żeby wstać z fotela, ale znieruchomiał, czując za plecami ruch. W polu widzenia pojawiła się pokryta nierówną, łuszczącą się skórą ni to łapa, ni ręka. Istota w

chałacie podawała człowiekowi pomiętą reklamę multipleksu: sala wypełniona po brzegi widzami, a na ekranie tonące w zieleni miasto i tysiące mieszkańców zapełniających ulice megalopolis.

Czy to próbował odtworzyć przedstawiony na ulotce obrazek, aby trafić do cudownego miasta, czy też zwyczajnie – chciał znaleźć przyjaciół… Tak czy inaczej, metody mutanta nie odpowiadały stalkerowi. Wystarczyło, że Taran powoli podniósł się z fotela, by stwór zaczął syczeć. Pamiętając o groźnej broni wyrodka, stalker błyskawicznym ruchem wykręcił mu rękę i rzucił się na niego od góry. Mutant przenikliwie zaskrzeczał, szarpnął się i podkurczył nogi, ale nie zdążył już wyskoczyć. Taran wyciągnął jarygina z kabury, przyłożył lufę do przeciwnika i nacisnął spust – raz, drugi… Huknęły wystrzały. Stwór, zaplątując się w poły chałatu, zaczął się rozpaczliwie rzucać, przewracając potężnymi nogami parę foteli. Lecz kolejny strzał najwidoczniej trafił w jakiś ważny dla życia organ, i stwór zmiękł. Straszne skrzeczenie ucichło, zastąpił je głuchy bulgot.

Taran nie zamierzał przyglądać się potworowi – wystarczyły mu dotychczasowe wrażenia. W głowie się nie mieściło, że podobne diabelstwo mogło powstać z człowieka. Szczególnie te nienaturalnie wygięte kończyny. Mutant nie przypominał też zbytnio jakiegokolwiek innego zwierzęcia czy ptaka. Jednym słowem, wyrodek.

Nie oglądając się za siebie, stalker wyszedł z sali kinowej. Przedostał się przez zawalony śmieciami i pyłem hol i wyszedł na opustoszały parking przed multipleksem. W jego pamięci zaraz pojawiły się wspomnienia pierwszego wyjścia ze szpitalnego schronu, tydzień po Katastrofie. Właśnie tutaj, do „Tęczy” i „Kinostaru” napływali tamtego dnia ocalali z całej okolicy. Napromieniowani, z poparzeniami i ranami, zagubieni i zdemoralizowani uchodźcy tłoczyli się przed postawionym naprędce płotem z drutu kolczastego, za którym dwa ogromne helikoptery transportowe mieszały powietrze śmigłami. Jacyś ludzie w wojskowych mundurach sprawnie przepytywali ofiary, sprawdzając tajemnicze listy nazwisk i odsiewając zwykłych śmiertelników.

Szczęściarzy, którzy dostali się za kordon, szybko załadowali do śmigłowców, a pozostałych… po prostu zostawili na pastwę losu. Jak się okazało, misję ratunkową zorganizowano tylko dla wybranych – wyższych urzędników i ich rodzin.

Kiedy to stało się jasne, zrozpaczeni i doprowadzeni do ostateczności ludzie próbowali przedrzeć się do śmigłowców, ale wtedy żołnierze zaczęli strzelać do tłumu z broni automatycznej. Krzyki przerażenia i jęki rannych, bezładna strzelanina i wszechobecny chaos na zawsze zapadły Taranowi w pamięć. Długo jeszcze zastanawiał się, skąd się wzięli ci żołnierze i dokąd wywieźli ocalałych VIP-ów. Helikoptery więcej nie przyleciały…

Wierny kałach odnalazł się tam, gdzie go Taran stracił. Najemnik podniósł broń i ruszył truchtem dalej. Za nim został zapchany zardzewiałymi wrakami samochodów Witebski Prospekt, podziurawiony norami nasyp wiaduktu, luksusowe niegdyś osiedle Jabłoniowy Sad na Belgradzkiej – dziś nie do poznania rozorane przez bomby pustkowie.

Wydobywający się spod ziemi słup czarnego dymu był dobrze widoczny na tle przyprószonych śniegiem ruin miasta. Służył jako doskonały punkt orientacyjny, wskazując najkrótszą drogę do celu marszu.

Najemnik przemknął obok trzech nieźle zachowanych wieżowców i dotarł wreszcie do skrzyżowania ulic Beli Kuna i Bukareszteńskiej. Wejście na stację Międzynarodowa, pogrzebane pod zawalonym szkieletem niedokończonego kompleksu handlowego, długie lata było niedostępne, co bardzo odpowiadało zamkniętym w sobie mortusom, którzy woleli nie wychylać nosa na powierzchnię. Taran, nie zatrzymując się, minął ruiny, nie próbując nawet szukać w nich przejścia do ruchomych schodów. Zamiast tego wyciągnął z plecaka butlę z mieszanką oddechową i przyczepił ją do zaworu maski przeciwgazowej. Cienka lina rozwijała się, lecąc w dół, w nieprzenikniony mrok szybu wentylacyjnego, który znajdował się nieco dalej, w głębi kwartału ulic. Stalker zatrzasnął asekuracyjny

karabińczyk, po raz ostatni rozejrzał się na boki i dał nura w kłęby dymu.

Schodzić niekończącą się betonową studnią na ślepo, co i rusz natykając się na druciane kratki – to dopiero rozrywka. Szkła maski przeciwgazowej natychmiast pokryły się warstwą sadzy, przez którą nie dało się nic dojrzeć. Do tego wszystkiego gruby materiał skafandra, choć powoli, to jednak nagrzewał się od idącego z dołu gorąca z pieców krematoryjnych mortusów. Zanim stalker poczuł wreszcie pod stopami twarde dno szybu, żar niemal go zabił. Lepki pot zalewał mu oczy, a serce chciało wyskoczyć z piersi. Od stóp do głów pokryty był smoliście czarną sadzą, Taran wyskoczył z łącznika do tunelu, gdzie zaczął przecierać wizjer maski przeciwgazowej i rozglądać się gorączkowo, starając się określić kierunek cugu. Na jednym z końców tunelu, za zakrętem, udało mu się dojrzeć błyski buchających płomieni. Stamtąd też dochodziło miarowe, nieustanne huczenie.

Stalker, słaniając się na nogach, pobiegł w przeciwnym kierunku, jak najdalej od piekielnego pieca. Jeszcze kawałek i tunel urwał się, ukazując jego oczom przestronny magazyn wypełniony równymi rzędami bezkształtnych, podłużnych worków.

Międzynarodowa. Stacja cmentarzysko. Złowieszcza, pogrążona w milczeniu, porażająca swymi rozmiarami kostnica. Wyrostek robaczkowy gigantycznego organizmu o nazwie kolejka podziemna.

Nagie betonowe sklepienie nad głową, podświetlone sterczącymi ze ścian pochodniami, i obfitość martwych ciał tworzyły wrażenie nierealności. Mroczny wystrój przypominającej grobowiec stacji trudno porównać z czymkolwiek. Niedostrzegalna śmierć była tu wszędzie obecna. Zdawało się, że przesycone nią były nawet powietrze i ściany.

Zejście do „królestwa zmarłych” nie pozostało niezauważone. Kilku mortusów przerwało rozładowywanie trupów z wózka i patrzyło w milczeniu na gościa. Z powodu białych masek na twarzach nie dało się rozpoznać reakcji tych ludzi. Znieruchomiali niczym manekiny,

oczekiwali widocznie jakiegoś działania ze strony przybysza. Taran zorientował się i zdjął maskę przeciwgazową. W nos uderzył go specyficzny cierpki zapach spalenizny i rozkładu. Nieprzyzwyczajone gardło zaczęło szczypać, oczy wypełniły się łzami.

Jeden z mortusów rozpoznał najemnika i podszedł bliżej.

– Wszedłeś przez przewód kominowy? Bardzo nierozważnie. Czekaliśmy na ciebie od strony Wołkowskiej. Wszystko gotowe do inspekcji naszych stacji.

Cichy, bezbarwny głos bez akcentu i intonacji. A to ci… Mortusy potrafią mówić. Kto by pomyślał? Taran skinął głową rozmówcy, wołając go na stronę.

– Czy to nie ty reprezentowałeś mortusów na Radzie?

Ten kiwnął głową.

– Posłuchaj, obaj świetnie wiemy, że nie macie nic wspólnego z bombą. Nie będę po tym grobowcu szperać. Muszę tylko porozmawiać z Rupieciarzem. Potem sobie pójdę. Co powiesz na taki wariant?

Mortus zastygł, na kilka chwil zamieniając się w posąg, podobny do grupy oczekujących nieopodal pobratymców. Potem krótko skinął głową, prowadząc stalkera za sobą. Razem przeszli dobrą połowę niedokończonej stacji. I wszędzie, gdzie nie spojrzeć, leżały ludzkie szczątki. Jedne w brezentowych workach, a inne bez… Taran obserwował z niedowierzaniem, jak ściągają z trupów zbryzgane krwią pokrowce i składają je do pękatej beczki.

– Oszczędność surowców – wyjaśnił kolejny mortus, który wyszedł z ciemności za plecami stalkera. – Nie starcza brezentu na wszystkich sztywnych, więc go nie spalamy. Moczymy, czyścimy i wykorzystujemy od nowa do transportu przez zamieszkałe stacje.

Sądząc z wszelkich oznak, był to ten właśnie Rupieciarz. Taki sam jak u pozostałych czarny płaszcz sięgający do ziemi, kaptur na głowie. Spod białej maski aparatu oddechowego wyłazi ruda broda, przez co mortus wygląda nieco komicznie. Choć, gdyby nie ten

szczegół, odróżnienie hieny cmentarnej od swoich pozbawionych twarzy pobratymców byłoby niełatwe.

Mortus, który odprowadzał Tarana, ledwie zauważalnie skinął głową i oddalił się bez słowa. Rupieciarz ściągnął maskę i utkwił w stalkerze wyczekujące spojrzenie.

– Wiem o twoich interesach ze Szmygą. – Najemnik od razu wziął byka za rogi.

Jednak grabarz nawet nie drgnął.

– I jaki masz interes w moich interesach?

– Żadnego. Potrzebuję informacji. Ciała ogryzków z kolektora nieopodal Papy…

– Ach, to! Trzeba było tak od razu. – Rupieciarz wypuścił powietrze: ponury stalker nie przypadł mu do gustu… – Wybili ich jak szczeniaki. Obce bandziory. Zaszli ich z dwóch stron i po krzyku. Może natknęli się na nich przypadkiem, a może czekali w zasadzce…

– Czy wśród zmarłych… nie widziałeś dzieciaka? Dwunastoletniego chłopaka? – spytał Taran, wzdrygając się od własnych słów.

Mortus zmarszczył brwi, wysilając pamięć. Stalker zacisnął pięści w oczekiwaniu na wyrok. Zdawało się, że cała wieczność minęła, zanim rudobrody odpowiedział:

– A kto ich tam wie… Ciemno było, że choć oko wykol. Lepiej sam popatrz. Przywieźli już tutaj wszystkich sztywnych. Widzisz peron rozładunkowy? Tam poszukaj.

Najemnik ruszył, przemykając przez wąskie przejścia między stosami trupów, i podbiegł do stojących na torach wagoników. Kilku mortusów żwawo wyładowywało na peron worki z ciałami. Taran wyciągnął po drodze nóż, padł na kolana obok zwalonych na kupę worków i rozciął pierwszy z brzegu. W środku, jak można się było spodziewać, znalazł trupa ogryzka. Kolejny worek – znów dzikus. Brezent łatwo ustępował pod ostrą klingą. Ręce stalkera wkrótce poczerniały od zakrzepłej krwi, a ubranie na wskroś przeszło mu natrętnym, mdlącym odorem. Taran wciąż jednak rozcinał pokrowce, jeden po drugim.

Mortusy już chcieli się wmieszać, ale Rupieciarz dał im znak i zostawili oszalałego stalkera w spokoju. Wśród szczątków ukazały się dwa ciała w ubraniach roboczych budowniczych metra – widocznie należeli do tych bandytów, którzy napadli na ogryzków. Taran zerknął przelotnie na trupy i kontynuował poszukiwania. Oddychając chrapliwie z wysiłku, przewracał zesztywniałe ciała. Niebawem lepka krew pokrywała już stalkera od stóp do głów.

Zepchnął na bok ciało kolejnego dzikusa i nagle zauważył to, czego tak bardzo nie chciał zobaczyć, czego się lękał i nie chciał przyjmować do wiadomości: worek o zbyt małych rozmiarach, żeby pomieścić dorosłego człowieka. Najemnik zamarł z nożem przygotowanym do cięcia i wciąż nie decydował się postawić kropki w przeciągających się poszukiwaniach, chociaż przeczucie nieuchronnego, nieodwracalnego nieszczęścia opanowało jego świadomość. Taran nie mógł pojąć, skąd wzięła się ta mroczna pewność. Jakby wróciło dawno zapomniane, przeżyte jeden jedyny raz uczucie niepowetowanej straty. Zupełnie jak wtedy, w dzień Katastrofy, kiedy przedzierał się przez oszalały ze strachu tłum do leżącego na asfalcie ciała ukochanej dziewczyny. Rozum podpowiadał, że przeżyć tę masakrę było niemożliwością, ale w sercu wciąż tliła się nadzieja na cud.

Tym razem niestety cud się nie zdarzył. Nie ma już na nie miejsca na tym wykoślawionym świecie. A to znaczy, że nie zdarzy się i teraz. Stalker zbyt wiele już widział, żeby żywić płonne nadzieje. Ostrze noża z cichym szelestem przecięło warstwę brezentu – ostatnią przeszkodę, która oddzielała Tarana od przybranego syna…

Stalker odsunął się, zamykając oczy, ale to, co zobaczył, wyraźnie utkwiło mu pod powiekami. Nie poznał twarzy Gleba. Po prostu nic z niej nie zostało – szczury zjawiły się na miejscu masakry jeszcze przed mortusami. Samo ciało też było okaleczone, a w niektórych miejscach nawet nadpalone. Nie było żadnej możliwości, by w krwawych łachmanach rozpoznać odzież syna.

Taran przemógł się i zaczął badać zwłoki. W końcu dopóki nie ma jasnych poszlak, na podstawie których mógłby rozpoznać syna, nadzieja wciąż jeszcze żyje…

Ręka stalkera namacała poprzez porwane ubranie coś twardego. Stalker podniósł palcami nasączony krwią skraj koszuli i wyciągnął do światła podłużny przedmiot z metalu. Zebrawszy się na odwagę, otworzył palce. Na dłoni leżała do bólu znajoma zapalniczka z dwugłowym orłem na boku. Zapalniczka Gleba.

Stalker pochylił się nad ciałem syna i bezsilnie opuścił ręce na kolana.

Starszy mortus obserwował go beznamiętnie przez otwory w swojej białej masce.

Na skamieniałej nagle twarzy stalkera pojawił się wyraz rozpaczy. Koło oczu pokazały się niewidoczne wcześniej głębokie zmarszczki. Po policzkach, torując sobie jasne ścieżki na pokrytej sadzą skórze, potoczyły się rzadkie, skrzące się w świetle pochodni łzy.

Rozdział 6: BEZBOŻNICY

– Bardzo mi przykro, stalkerze. – Poczuł rękę Rupieciarza na ramieniu. – To, jak rozumiem…

– Mój syn – odparł nieswoim głosem najemnik. – Zatroszcz się o ciało, mortusie. Wrócę po prochy.

Ten krótko skinął głową i bezszelestnie wycofał się w cień.

Taran jeszcze długo pozostawał nieruchomy, kołysząc w dłoniach zesztywniały dziecięcy przegub, jakby próbował go ogrzać, tchnąć w nieruchome ciało choć odrobinę życia. Przed oczami, w jasnych rozbłyskach, przesuwały się fragmenty przeszłości. Gleb na peronie Moskiewskiej. Umorusany, w dziurawych łachach. Wtedy spotkali się po raz pierwszy… Gleb wcinający kaszę z dużej blaszanej miski. Zadowolony, zaczerwieniony… Gleb z nożem w ręku, walczący z młodym wilczkiem. Zły, zdecydowany… Gleb z pistoletem, zasłaniający własnym ciałem skręcającego się w napadzie choroby opiekuna… Gleb w wodzie, przerażony, ze zsiniałymi z zimna ustami… Gleb na brzegu morza. Szczęśliwy, roześmiany… Gleb… Gleb… Gleb…

Obrazki przelatywały jeden za drugim. I z każdego z nich, niczym z fotografii, promieniejącymi energią i nieugiętą wolą oczami patrzył kędzierzawy chłopak o zadartym nosie. Taki różny. I taki żywy…

Taran ścisnął głowę rękami i zmrużył oczy, otwierając usta w niemym krzyku. Potężne plecy wygięły się w kabłąk. Umysł wył, nie chcąc się pogodzić z potworną prawdą.

Minęło niemało czasu, zanim masywna postać w skafandrze poruszyła się, powoli się prostując. Stojący nieopodal mortusi patrzyli z zainteresowaniem, jak wygolony na zero stalker podnosi się z kolan, przechodzi wzdłuż rzędu rozciętych worków i ze złością kopie jeden z nich. Ciało bandyty przewróciło się, odsłaniając

wytatuowaną na ramieniu dużą, ozdobną literę „B” – znak, znany niestety wielu ludziom, w tym najemnikowi. Z głębin pamięci usłużnie wypłynął obraz pogrążonej w rozpaczy kobiety z Frunzeńskiej.

„…Znajdź ich. Znajdź i zabij. Wszystkich. Słyszysz, stalkerze? Zabij ich wszystkich! Zabij!”

Taran zagryzł wargi do krwi, zacisnął pięści w bezsilnej złości. Gdyby wysłuchał wtedy błagania o pomoc, być może wszystko ułożyłoby się inaczej…

Najemnik zaczął się zbierać. Przepakował zawartość kamizelki, sprawdził magazynki automatu. Pojawiła się sprawa niecierpiąca zwłoki. Sprawa ważniejsza od misji Rady. Spotkanie z bezbożnikami.

* * *

Garbiąc się nad warsztatem z kółkiem zębatym zamocowanym w imadle, mężczyzna w podeszłym wieku w zatłuszczonym kombinezonie zręcznie operował pilnikiem i, jak nakręcony, gwizdał wciąż tę samą niewymyślną melodię. Jazzowy motyw brzmiał nienaturalnie dziarsko i pogodnie, przez co tor odstawczy tracił aurę miejsca opuszczonego i groźnego. Samotna lampka zasilana ze starego, zaśniedziałego akumulatora, oświetlała zawalony narzędziami warsztat. Pozostała część tunelu kryła się w mroku – oszczędny mieszkaniec wilgotnej, zakutej w tubingi nory wolał nie marnować energii elektrycznej po próżnicy. Ktoś inny na jego miejscu bałby się zostać sam na sam z nieprzeniknioną ciemnością i ciszą tunelu, ale mechanik dawno już przywykł do samotności. Zresztą czego można się bać w królestwie mortusów? Tutaj, w tunelu odstawczym za Wołkowską, staruszek czuł się w pełni komfortowo pod ochroną tych cudacznych, milczących trupowozaków. Zapewniali mechanikowi to, co niezbędne – jedzenie, paliwo, narzędzia, a on z kolei płacił im tą samą monetą, naprawiając i utrzymując na chodzie ich zmurszałe drezyny.

Co jakiś czas zdmuchując z części metalowy pył, mechanik krytycznie przyglądał się wynikom pracy i mrużąc z niezadowoleniem oczy, znów chwytał za narzędzie. Pochłonięty tym procesem, nie od razu zauważył przebłyski światła na ścianach zajezdni, ale kiedy z głębi tunelu dały się słyszeć kroki, rzucił z rozdrażnieniem pilnik na warsztat. Melodia nagle się urwała.

Opiekunowie jak zwykle zjawili się w najbardziej niewłaściwym momencie. Staruszek wytarł ręce w szmatkę i pokuśtykał naprzeciw gościom, przymykając oczy od ostrego światła latarki. Jednak przymilny uśmiech na jego twarzy zamienił się w wyraz zdziwienia, kiedy zamiast długich płaszczy mortusów przez popękane soczewki okularów udało mu się dojrzeć wzmocniony kombinezon.

Staruszek chrząknął z zakłopotaniem – do jego zakurzonego kącika nie codziennie trafiali stalkerzy. Tym bardziej tacy jak ten. Rosły, o sprężystym kroku, z ciężkim, zapadającym w pamięć spojrzeniem. Gość rozejrzał się i wyciągnął rękę do starego.

– Taran.

– Siemion Michajłowicz. Można po prostu Migałycz.

Uścisk dłoni stalkera, mocny i pewny, spodobał się mechanikowi. W każdym ruchu komandosa czuć było energię i wewnętrzną siłę. Tyle że dziwna to była siła. Zła. A i w oczach gościa wyraźnie dało się wyczytać mroczną determinację. Jednak pomimo groźnego wyglądu, nie budził strachu, prędzej współczucie. Jakaś zgryzota pożerała go od środka. Osobista. Stary od razu rozpoznawał takie rzeczy. Mając swoje lata, wiele już widział…

– Mortusy powiedzieli, że masz tu plany przejazdów i SLŁ. – Taran przerwał milczenie.

– Patrzcie go, jaki prędki! Nawet jeśli tak, to co ci do tego? – zagderał mechanik, wojowniczo potrząsając głową, przez co czubek siwych włosów śmiesznie mu się nastroszył.

– Zapłacę. Jedzeniem, tabletkami… Czego ci potrzeba?

Staruszek zerknął przebiegle na stalkera i pogrążając się w rozmyślaniach, jakby zgadywał, jaką rzucić cenę, żeby się tylko zbyt

tanio nie sprzedać. W końcu, widząc narastającą niecierpliwość najemnika, uśmiechnął się bezzębnymi ustami.

– Rozmowy.

Taran zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

– Zapłacisz rozmową – wyjaśnił Migałycz. – Nudno mi tu. Żadnej żywej duszy oprócz szczurów i mortusów. Ani jedni, ani drudzy nie są zbyt rozmowni.

– Nie mam czasu, ojczulku… – zaczął stalker, ale cherlawy mechanik kuśtykał już w stronę swojego legowiska, wzywając go do siebie.

– Daj spokój, nic nie stracisz! No, oficerze, okaż szacunek staremu. A ja ciebie napoję kwasikiem. Smaczny, grzybowy! Własnej roboty!

Pogwizdując pod nosem tę samą żywą melodię, zniknął w ciemnościach, zabrzęczał butelkami. Wkrótce pojawił się z obszarpanym gąsiorem i parą aluminiowych kubków. Odsunął zwalone na kupę narzędzia i postawił przyniesiony specjał na stole.

– Czyli mówisz, że który łącznik cię interesuje? Chociaż czekaj, chyba się domyślam… Bocznic łączących między liniami nie ma znowu tak dużo, żeby się pomylić… Wybierasz się przecież do bezbożników, czyż nie?

Taran zamarł z kubkiem przy ustach, widząc badawcze spojrzenie Migałycza. Ten nagle spoważniał, po jego starczych żarcikach nie zostało nawet śladu. Na pomarszczonej twarzy drgała mu tylko lekko lewa powieka – czy nie stąd to dziwne przezwisko? Ale tik nerwowy był chyba jedynym przejawem wzburzenia, jakie ogarnęło staruszka.

– Mam z tymi bydlakami swoje porachunki. – Uwadze stalkera nie umknęło, jak mechanik przelotnie zerknął na zmatowiałą od starości obrączkę ślubną na palcu. – Widzę, że ty też. Mamy o czym porozmawiać.

Taran poddał się. Postawił automat pod ścianą i przysiadł na skrzynce, słuchając opowieści życzliwego gospodarza. Wspólny ból jednoczy, a historie ich obu okazały się bardzo podobne. Różnica polegała tylko na tym, że z winy bezbożników stalker stracił syna, a

staruszek – żonę. W chwili, kiedy mechanik skończył opowiadać o swoim nieszczęściu i umilkł wyczerpany, Taran ze zdziwieniem stwierdził, że w rewanżu zaczął swoją opowieść. Czuł potrzebę zwierzenia się komuś, a Migałycz okazał się wdzięcznym słuchaczem. Był pierwszym człowiekiem, przed którym najemnik postanowił się otworzyć, opowiedzieć o Glebie wszystko, zaczynając od tego, jak się poznali, i kończąc na strasznym finale. I kiedy potok poplątanych zdań wreszcie wysechł, zrobiło mu się nieco lżej na duszy.

Obaj pogrążyli się w milczeniu. W takich chwilach to znacznie lepsze od wszelkich słów pocieszenia.

Po jakimś czasie staruszek poruszył się i półgłosem wymamrotał:

– Poczekaj… Zaraz znajdziemy rysunek. Gdzieś tutaj wszystkie są. Tylko włączę światło…

Szczęknął rozłącznik. Zapaliły się podwieszone latarnie, pozwalając obejrzeć szczegółowo przestrzeń tunelu. Taran o mało się nie zakrztusił, widząc na szynach dziwną konstrukcję – pokryty warstwą kurzu spalinowóz z wagonem w kształcie cysterny, z którego boków i szczytu sterczały niezwykłego kształtu wypustki. Póki Migałycz szperał w swoim królestwie w poszukiwaniu planów, stalker z zainteresowaniem oglądał archaiczny mechanizm, stojący tu najwidoczniej jeszcze od czasu Katastrofy.

– Oczyszczarka tuneli – wyjaśnił staruszek, wynurzając się z plikiem pożółkłych kartek w rękach. – Pracowałem w niej przed wojną. Jako maszynista. Sprytna rzecz! I prosta jak wszystko, co genialne. Sam popatrz, pompa strażacka wyrzuca wodę pod ciśnieniem. Dysze są tak skonstruowane, że tunel można myć na całym obwodzie!

Migałycz zapamiętale gestykulował, uwijając się wokół spalinowozu. Stalker nie podzielał jego entuzjazmu, jednak uwagę Tarana przykuł ostry techniczny zapach płynący z cysterny.

– Co jest w środku?

– To jest… – Staruszek zbity z tropu pytaniem znieruchomiał na chwilę, gapiąc się na cysternę, jakby pierwszy raz ją widział. –

Benzyna, naturalnie! Czym według ciebie mam tankować drezyny mortusów? Wszystko jedno, i tak stoi bezczynnie, a tak chociaż jeszcze posłuży…

Stalker z zainteresowaniem przeszedł wzdłuż składu, badając pojazd polewająco-czyszczący.

– A spalinowóz to co, działa?

– Jeszcze jak! – Migałycz żwawo wskoczył do kabiny maszynisty. – Tu się nie ma co zepsuć! Silnik ZIŁ-a, sprzęgło, skrzynia biegów, każdy kumaty ślusarz zorientuje się w parę minut!

– Czemuż tu, ojczulku, siedzisz w tej dziupli? Dawno już byś wsiadł i stąd wyjechał.

Mechanik zeskoczył na tory, uśmiechając się lękliwym, zmęczonym uśmiechem.

– A gdzie tu jechać, panie oficerze? Dawno już przyjechałem na miejsce… A i mortusy się wkurzą, jeśli się ruszę z miejsca.

Taran kiwnął głową ze zrozumieniem. W sumie nie liczył na inną odpowiedź staruszka, złamanego wiekiem, wyrzeczeniami i utratą bliskiego człowieka. Tymczasem Migałycz zaszeleścił starymi papierami, zrzędząc pod nosem i z rozdrażnieniem odsuwając na bok te niepotrzebne. W końcu, po przetrząśnięciu całej sterty, podniósł głowę i przepraszająco wzruszył ramionami.

– Zabij, a nie znajdę. Pamiętam, że były tam pomieszczenia socjalne, gdzieś pośrodku łącznika, ale co i jak, będziesz musiał wyjaśniać na miejscu. Jeśli oczywiście zdołasz się przebić przez blokady bezbożników…

– Dziękuję i za to. Tak czy inaczej, nie mam wyboru. Jakoś przejdę.

– Bądź ostrożny… – Migałycz uwinął się życzliwie, oświetlając Taranowi drogę lampą naftową.

– Dziękuję ci, ojczulku. Za rozmowę, za kwas chlebowy. Może kiedyś się jeszcze zobaczymy. Żegnaj!

Kiedy staruszek spoglądał w ślad za ginącą w mroku postacią stalkera, nagle uderzyło go właśnie to uczucie, które przez długie lata starał się zagłuszyć wydumanymi argumentami i niedorzecznymi

usprawiedliwieniami – uczucie wstrętu do samego siebie. Żałosnego, uznającego swoją bezsilność stworzenia, żyjącego szarym pozorem istnienia. Stworzenia, w którym niewiele zostało z dawnego Siemiona Michajłowicza, człowieka szanowanej i godnej profesji, pracownika metra. Z pamięci wynurzyły się uśmieszki na gębach bezbożników, upajających się bezkarnością, ich pijackie pokrzykiwania i śmiech w odpowiedzi na błagania o litość… W tej chwili coś w nim pękło. Strach, trzymający go na uwięzi mocniej niż jakikolwiek łańcuch, zniknął bez śladu. Pomimo zatęchłego powietrza oddychało mu się lekko, pełną piersią.

– Ja wam pokażę, co znaczy maszynista spalinowozu, gnidy!

Mechanik zebrał się w sobie, gorączkowo zdejmując z torów skrzynki i kanistry. Odczepił od cysterny szlauchy, wskoczył do kabiny. Jeszcze chwila i stareńki silnik, krztusząc się, zaterkotał, po kadłubie lokomotywy przeszedł dreszcz. Wiekowy mechanizm powoli budził się z długiego snu. Zapłonął reflektor na cysternie, oświetlając fragment tunelu przed sobą. Serce staruszka zabiło szybciej, w oczach pojawił mu się ogień. Czując dawno zapomnianą radość z panowania nad wielotonową żelazną bestią, maszynista wrzucił wsteczny. Spod kadłuba lokomotywy buchnęły kłęby czarnego dymu. Oczyszczarka ruszyła z miejsca, powoli nabierając prędkości. Nadgryzione rdzą koła zadudniły na łączeniach. Przez jakiś czas w przedniej szybie lokomotywy widać jeszcze było kiszkę tunelu odstawczego, przez wiele lat służącego maszyniście za dom. Teraz jednak widok ubogiego mieszkania budził w nim tylko odrazę. Obcy stalker rozdrapał zaleczone rany. Starcowi zabrakło sił, żeby godzić się z przeszłością.

Skład dogonił Tarana już za Wołkowską. Jeśli najemnik się zdziwił, to nie dał tego po sobie poznać. Wskoczył na pomost, wszedł do kabiny i popatrzył pytająco na Migałycza. Staruszka jakby ktoś podmienił. Gniewna determinacja udzieliła mu się niczym wirus. Wystarczyła krótka wymiana spojrzeń, żeby zrozumieć – obaj podjęli decyzję i nie zawahają się do końca.

– Potrzebujemy się dostać na pętlę obok Sadowej! – wołał maszynista, przekrzykując hałas silnika. – Żeby się rozpędzić, staniemy przy samym posterunku, przestawimy zwrotnicę i spróbujemy wycisnąć z tego grata tyle, na ile go tylko stać!

– Może ja sam poprowadzę? – Taran zerknął z niepokojem na wątłego Migałycza: nie mógł nie spróbować go od tego odwieść.

– To mój spalinowóz, chłoptasiu. Przeżyłem z nim życie, to z nim też umrę.

Maszynista mrugnął do niego wesoło zdrowym okiem i rozpłynął się w bezzębnym uśmiechu. Stalker nie odważył mu się sprzeciwiać: bezbożnicy mieli dług u obu.

* * *

Ściana, która po sam strop blokowała tunel, przedstawiała niezwykły widok. Sklecone byle jak deski na pierwszy rzut oka zdawały się kruchą obroną przed możliwym atakiem. Lufa cekaemu, sterczącа z otworu strzelniczego pod samym sklepieniem tunelu, choć wyglądała sugestywnie, nie dawała stuprocentowej gwarancji bezpieczeństwa w przypadku zorganizowanego ataku. Głównym czynnikiem odstraszającym, który dotąd skutecznie zniechęcał nieproszonych gości, była wielka litera „B” namalowana białą farbą na całej powierzchni ściany, a także trupy kilku nieszczęśników porozwieszane na hakach pod stropem.

O klanie rozbójników, który upatrzył sobie SLŁ między Sadową a Dostojewską, słyszało wielu. Zła sława bestialstw tych bandytów, przeważnie zasłużona, choć gdzieniegdzie przesadzona za sprawą plotkarzy, rozprzestrzeniła się nieomal w całym metrze. Będąc jednak niezbyt liczną i nie dość potężną bandą, żeby napadać na stacje centralne, bezbożnicy zajmowali się grabieżą peryferyjnych kolonii.

Dziś przez ich siedzibę, zapłaciwszy niemało za przejście, znów szli nielegalni. Przeciągle zaskrzypiały nienaoliwione zawiasy. Masywne skrzydła obitej blachą bramy powoli otworzyły się na boki, wpuszczając procesję zakutych w kajdany kobiet i mężczyzn –

nowych niewolników wegan. Żołnierze Imperium w zielonych mundurach, poganiając żywy towar szpicrutami, spieszyli się, by opuścić tunel znajdujący się niebezpiecznie blisko posterunków węzła handlowego. Za ostatnim handlarzem niewolników wrota natychmiast się zatrzasnęły, omal nie przycinając weganinowi czterech liter.

Kiedy w oddali zamigotało światło i dobiegł huk silnika, wartownicy nie nadali temu szczególnego znaczenia. Może drezyna przemytników albo jeszcze jedna karawana Imperium. Mało to chętnych, by prześlizgnąć się cichaczem, omijając blokady Sadowej? Jednak ułamek sekundy później, z łoskotem, spowity kłębami gryzącego dymu, zza zakrętu wypadł z maksymalną prędkością spalinowóz. Oślepiające światło reflektorów i szybkość składu na kilka sekund wprawiły bandytów w osłupienie. Tych kilka chwil wystarczyło, by pokonać większą część strefy ostrzału. Kiedy obsługa cekaemu wreszcie się opamiętała i otworzyła ogień, było już za późno.

Krzesząc iskry, kule wchodziły w nadgryziony zębem czasu metal kabiny, wzbijając fontanny rdzawego próchna. Setkę odłamków wyrzucił z siebie jeden z reflektorów, rozbity celnym strzałem. W poszyciu kabiny, niebezpiecznie blisko schylonych Tarana i Migałycza, pojawiły się dwie przechodzące na wylot dziury. Ale wszystko to okazało się daremne – skład na pełnej prędkości wbił się w bramę. Od strasznego uderzenia zadzwoniły zęby. Stalkera rzuciło na podłogę kabiny. Solidnie wyrżnął potylicą o metalową ściankę, zdążył jednak chwycić staruszka, łagodząc jego upadek. Szczapy drewna wzbiły się w powietrze. Pozostałości barykady rozleciały się jak wachlarz, łamiąc kruche ludzkie kości. Dały się słyszeć krzyki pokaleczonych bezbożników. Terkot cekaemu ustał.

– Pompa! Włącz pompę! – wychrypiał Migałycz poprzez kaszel.

Stalker dowlókł się do deski rozdzielczej i uruchomił polewanie. Strugi benzyny rozlały się we wszystkie strony, obficie zraszając ściany tunelu, pierzchających bandytów i taranowane przez

lokomotywę zmurszałe chatki. Bezbożnicy byli na tyle nieostrożni, że postawili je niebezpiecznie blisko torów, za co teraz zapłacili. Kilka razy żelazny relikt podskakiwał, miażdżąc ciała roztargnionych bandytów. Koła błyskawicznie zabarwiły się na purpurowo.

Obok nich mignął boczny korytarz. To właśnie gdzieś tutaj zagnieździła się główna część zbójeckiego klanu. Na potwierdzenie z korytarza wyskoczyło kilka postaci. W ślad za oddalającym się składem huknęły wystrzały.

– Koniec! Cysterna jest pusta! – krzyknął staruszek, trzymając się poręczy. W oczach pląsały mu diabelskie ogniki.

Taran zrozumiał partnera w pół słowa, zerwał z ramienia automat, wychylił się przez boczne okno do pasa i, prawie nie celując, wyrzucił w gardziel tunelu granat zapalający. Chwile rozciągnęły się w wieczność. Miękki stuk podlufowego granatnika, lekko wygięty dymny ślad, oślepiająca eksplozja i w końcu pierwsze języki ognia, rozrastając się, pomknęły po mokrych ścianach tunelu, błyskawicznie zamieniając go w piekło, gardziel wypełnioną ryczącymi, wszechogarniającymi płomieniami.

Widok jednocześnie urzekał i przerażał. Stalker pewnie dalej patrzyłby na rozszalały żywioł, gdyby nie kolejne ostre uderzenie, które przygwoździło go do ściany kabiny. Spalinowóz wbił się w przeciwległą blokadę graniczną, chroniącą terytorium bezbożników od strony Dostojewskiej. Lokomotywa uwięzła w jej resztkach, przestrzelony silnik zakaszlał i w końcu ucichł.

Z na wpół zawalonych pomostów posterunku dobiegły ordynarne przekleństwa i szczęk karabinowych zamków. Nie dając bandytom czasu na opamiętanie, Taran poturlał się pod koła spalinowozu, otwierając uprzedzający ogień. Jednego udało się skosić bezpośrednim trafieniem w głowę, drugi przebiegł parę metrów, zanim runął na deski poszycia z przestrzelonymi nogami. Kule przeszyły zbutwiałe drewno niczym papier, nie dając łajdakowi najmniejszych szans.

Po tym, jak skończył z wartownikami, stalker zajrzał do kabiny. Migałycz leżał pod ścianą i uśmiechał się z zadowoleniem. Z kącika ust na żelazną nitowaną podłogę spadały gęste krople krwi, a pod zadartą na plecach koszulą widać było skraj opuchlizny od poważnego stłuczenia, która groziła, że wkrótce zamieni się w wielki krwiak. Ale staruszka, jak się zdawało, takie drobnostki nie martwiły.

– Ładnie ich podsmażyliśmy!

– Co z tobą? Czujesz nogi?

– O mnie się nie martw. Chwilę poleżę i to minie. – Staruszek poruszył się, wyciągając spod fotela maszynisty oksydowaną strzelbę. – Proszę, weź. Żaden ze mnie teraz wojak, jak widzisz. A tobie się przyda.

W rękach stalkera znalazła się ciężka strzelba kalibru 12.

– Przecież to ryś! Do tego w wersji szturmowej! Migałycz, ty na pewno pracowałeś w metrze, czy coś przemilczasz? Skąd masz tę maszynkę?

– Potem będziemy strzępić języki. A teraz idź, nim się rozmyślisz. – Stary przytrzymał najemnika za rękaw i spojrzał na niego surowo, po ojcowsku. – Rozwal ich, synku. Rozwal tych drani!

I znów zakaszlał, rozmazując krew po policzku.

Nie zwlekając dłużej, Taran wepchnął prezent za pas, pospiesznie powsadzał naboje do kieszeni, naciągnął maskę przeciwgazową i ruszył tunelem. Benzyna szybko się wypaliła, jednak z ciągnących się wzdłuż ścian kabli unosił się gęsty, czarny dym. Pierwszych rannych najemnik zauważył już po kilkudziesięciu metrach. Wijąc się na torach, poparzeni bandyci jęczeli głośno niczym bezradne, ślepe szczenięta.

Nie było litości. Ale nie było też satysfakcji z dokonywanej zemsty. Tylko praca, którą należało wykonać. Dlatego, że tak trzeba. Dla kobiety z Frunzeńskiej, której imienia Taran w końcu nie raczył poznać. Dla pociesznego staruszka maszynisty o zabawnym przezwisku. Dla nieszczęśników, którzy padli już ofiarą dzikiego,

nieuzasadnionego, niedającego się wyjaśnić okrucieństwa. Dla samego Tarana.

Nowotworu nie ma sensu leczyć. Trzeba go wyciąć. Wyplenić. Wypalić jak zarazę…

Szczęknął zamek kałacha. Nie zatrzymując się nawet na sekundę, Taran szedł przez tunel, metodycznie dobijając ocalałych. Automat miarowo drgał w dłoniach, zsyłając wieczny odpoczynek duszącym się od dymu bezbożnikom. Bliżej wąskiego bocznego korytarza natrafił na pierwszy poważny opór. Bandyci odgryzali się bezładnymi salwami, czy to jednak byli zbyt zdezorientowani zamieszaniem i pożarem, czy też po prostu fortuna sprzyjała dziś brawurze Tarana, idącego przebojem, nie kryjąc się – kule bezbożników przelatywały obok niego.

Stalker pruł przez całą szerokość tunelu długimi, nieekonomicznymi seriami, nie żałując nabojów – po co je teraz oszczędzać? Jak to się mówi, stacja końcowa. Proszę nie zapominać swoich rzeczy w wagonach…

Magazynki pustoszały jeden za drugim. Pod gradem kul bezbożnicy wycofali się do wąskiego korytarza. Znów stuknął granatnik. Rozległ się huk eksplozji i wyjście z łącznika zasnuło się sinym dymem wymieszanym z betonowym pyłem. W jego ślad niezwłocznie poleciała para granatów odłamkowych – stalker nie był w nastroju do zabawy w chowanego. Stukot podskakujących na betonie granatów i paniczne krzyki bandytów brzmiały dla Tarana jak muzyka. Wyszczerzył zęby i przylgnął do ściany tunelu. Wybuchy od razu zamknęły usta kilku draniom. Z korytarzyka na tory wypadło poharatane odłamkami ciało. Wkrótce tunel otuliła pełna napięcia cisza. Szeleściły tylko okruchy betonu, sypiąc się nieprzerwanym potokiem z pęknięcia w suficie.

Taran nie zdecydował się pchać w wąski łącznik z automatem, zamiast tego wyciągnął strzelbę – w labiryncie ciasnych pomieszczeń mieszkalnych była idealna. Stalker ominął trupy i bezszelestnie pomknął przez krótki korytarz i parę ciemnych składzików

zastawionych skrzynkami. Wszystko wskazywało, że to tu klan przechowywał zagrabione dobra. Przy ślepym korytarzyku najemnik zamarł, ufając wypracowanej przez lata intuicji. Spróchniałe drzwi gwałtownie się otworzyły i z wojowniczym rykiem rzucił się przez nie potężny, goły do pasa facet.

Taran instynktownie poderwał rysia i nacisnął spust. Strzelba huknęła ogłuszająco, podskakując mu w rękach. Bandyta z pogruchotanym mostkiem przewrócił się na plecy, do środka, a najemnik przeładował strzelbę i ruszył dalej.

Metodycznie wybijając bezbożników w ich kryjówkach, brnął coraz dalej w głąb siedziby klanu. Tam, gdzie pojawiały się ogniska zaciekłego oporu, w ruch szły granaty. Pomimo rozpaczliwej kanonady, stalker jak automat łamał kolejne linie oporu, czyszcząc korytarz za korytarzem. Po kilku trafieniach w kamizelkę kuloodporną jego klatka piersiowa zamieniła się w jeden wielki siniak, z każdym krokiem trudniej było mu oddychać, a płuca i bez tego płonęły od ciężkiego, duszącego powietrza. Ale podobne drobnostki nie mogły przeszkodzić oszalałemu z rozpaczy ojcu. Tylko raz, czując pieczenie w ramieniu, najemnik zatrzymał się, spoglądając nieobecnym wzrokiem na ranę. Przez dziurę w rękawie kombinezonu sączyła się krew – jakaś zabłąkana kula jednak go drasnęła. Chrzanić to! Sił powinno starczyć do końca walki, a potem niech będzie, co ma być… Bo czy nadejdzie w ogóle jakieś „potem”? Taran nie wybiegał myślami tak daleko.

Następne minuty zlały się w szereg potyczek, wykrzywionych nienawiścią twarzy, odgłosów przedśmiertnego rzężenia i szkarłatnych kleksów na ścianach korytarzy. Pod naporem zaklętego samotnego wojownika bandyci w końcu się cofnęli. Niedobitki klanu, zbite w gromadę, próbowały się przedrzeć. Jak na złość Taran przeładowywał wtedy strzelbę, ukryty za stertą zardzewiałych beczek, dlatego musiał strzelać praktycznie twarzą w twarz w tłum pędzących korytarzem, oszalałych w poczuciu beznadziei mężczyzn.

Strzelba ostudziła ich zapał, po kilku wystrzałach przerzedzając i tak żałosny liczbowo oddział. Do celu dobiegło tylko dwóch.

Mówią, że zapędzony w róg szczur broni się do ostatka. Te dwa wyrodki chciały żyć. I to bardzo, sądząc po tym, jak wściekle rzucili się na stalkera. Jeden z nich nawet zapomniał na moment, że jest uzbrojony w pistolet. Właśnie jego najemnik zaatakował najpierw, zakładając mu na ręce dźwignię i odsuwając na bok. Drugi bezbożnik przyskoczył bliżej, niezgrabnie machnął nożem i zaklął – stalker zasłonił się pierwszym przeciwnikiem, co nie pozwalało wykonać ciosu tak, by nie trafić swojego. Ułamek sekundy później nieporadny bandyta nic już nie mówił, bo pistolet w wykręconej ręce jego towarzysza wystrzelił, odprawiając zbira do praojców.

Rozległ się złowieszczy trzask. Wyjąc z bólu, pozostały przy życiu bandyta przycisnął do piersi złamaną w nadgarstku rękę. Pistolet upadł u nóg stalkera. Uderzenie rękojeścią w skroń powaliło bezbożnika na podłogę. W ciszy, która teraz nastąpiła, wyraźnie słychać było jego nierówny oddech. Wbił w stalkera mętne spojrzenie, który niespiesznie wkładał naboje do podłużnego magazynka rysia. Głowa bandyty zakołysała się w geście przeczenia.

– Nie trzeba… Oszczędź mnie… – wychrypiał matowym głosem. – Nie…

Huk wystrzału przerwał bandziorowi w pół słowa. Na zbryzganej cudzą krwią, skamieniałej twarzy Tarana nie drgnął ani jeden muskuł. Przed oczami wciąż jeszcze stał mu straszny obraz – stacja-cmentarzysko i okaleczone ciało Gleba.

Pozostało tylko przeczesać ostatnią ślepą kiszkę labiryntu. Za masywnymi drzwiami w końcu korytarza mogło być cokolwiek. Co dziwne, okazały się otwarte. Wiedziony jakimś szóstym zmysłem, najemnik postanowił nie wrzucać do środka granatu. Wszedł chyłkiem, wpatrując się wytężonym wzrokiem w półmrok przestronnego pomieszczenia. Sądząc po bogatym wystroju – kanapy, pogryzione przez mole dywany i prawdziwie królewskich rozmiarów dębowy stół pośrodku – pokój należał do herszta klanu.

Dopiero teraz stalker zauważył człowieka, który siedział nieruchomo przy stole plecami do wejścia. Wysokie oparcie krzesła przeszkadzało w przyjrzeniu się nieznajomemu i kiedy Taran bezszelestnie przesunął się w bok, ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że ten spokojnie śpi z głową opuszczoną na wypolerowany blat. Od obcego czuć było alkoholem, a na bezkresnej powierzchni stołu jak na placu ćwiczeń stała w szyku bateria pustych butelek.

Lufa strzelby dotknęła potylicy kudłatego pijaka. Ten drgnął, obudził się, ale, jak na te okoliczności, zachowywał się nad podziw spokojnie.

– Na co czekasz? Przyszedłeś, to strzelaj, po kiego wała stoisz nad człowiekiem.

Głos nieznajomego okazał się szorstki, przepity i jakiś… nienaturalny. Mimo że wyglądał jak zwyczajny typ spod ciemnej gwiazdy, gburowaty ton do niego nie pasował. Intuicja podpowiadała najemnikowi, że facet nie nadaje się do roli herszta. Do tego zachowywał się jakoś nielogicznie. Jakby nie mówił do wroga, tylko do skorego do psikusów dziecka z pistoletem na wodę. Zachowanie nieznajomego na tyle zbiło Tarana z pantałyku, że nie przyszło mu do głowy nic innego jak tylko zapytać:

– Ktoś ty?

– Bezbożnik.

– Tyle to sam widzę.

– Nie. Nie widzisz. Nie taki jak pozostali… – Pijak nieokreślonym ruchem machnął ręką, odwracając się do rozmówcy. Zepsute zęby, sine wory pod czerwonymi od picia oczami i burza nieuczesanych siwiejących włosów nie dodawały mu uroku. – Jestem Bezbożnikiem. Tym właśnie, od którego się to zaczęło. Taką mam ksywę! Kapujesz?

– Czyli to jednak ty rządzisz klanem?

Mężczyzna z przekrwionymi oczami ciężko westchnął. Odszukał wzrokiem napoczętą butelkę i przyssał się do niej na dłuższą chwilę, potem głośno wypuścił powietrze i otarł usta rękawem zatłuszczonego swetra.

– Było nas trzech… Trzech braci, wszyscy akrobaci. I zupełnie jak w baśni, starszy mądry był chłopina, średni syn ni tak, ni siak, młodszy kawał był kretyna. No więc ja jestem ten „ni tak, ni siak". Bardzo głodowaliśmy. Trzeba było nauczyć się złodziejskiego fachu. Drobne numery, skubaliśmy straganiarzy. I z tego żyliśmy. Potem spróbowaliśmy rozboju i wciągnęło nas. Zaczęło nam się powodzić. Któregoś razu zabrałem krzyż jednemu popowi. To on mnie przezwał „Bezbożnikiem". Braciom się spodobało. I tak właśnie powstał klan. Teraz ogarniasz, żołnierzu? – Opowiadający uśmiechnął się krzywo, biorąc jeszcze jeden solidny łyk samogonu. – Ale to jeszcze nie wszystko, chłopaczku. Słuchaj dalej. Nie na darmo nasz najstarszy brat był też najsprytniejszy. To on zaczął przewodzić w bandzie i to on sprowadził nas na złą drogę, stuknął przejezdnego ćpuna. Od tej chwili wszystko się pomieszało. Brat mnie nie słuchał, rządził jak chciał ze swoimi koleżkami. I zapłacił za to: złapali go ci z Admiratielskiej i rozciągnęli na Madejowym łożu. Od tej pory banda ma nowego bossa. Widziałeś może takiego tłustego wieprza z gołym bebechem?

– Widziałem – potwierdził Taran, wspominając niedawne spotkanie w jednym z korytarzy. – Wyciągnął kopyta ten twój boss. Zresztą tak jak i pozostali.

– Wszyscy? – sprecyzował bandyta z niedowierzaniem. – No, kawał rzeźnika z ciebie, chłopaczku…

W jego głosie nie było żalu. Prędzej podziw dla mistrzostwa stojącego przed nim komandosa.

– Mnie nie ruszał z przyzwyczajenia – ciągnął Bezbożnik. – Udzielałem się tu jako lekarz. Dziurki i skaleczenie ceruję w minutę, w końcu mam wprawę. A naszemu bossowi opowiadałem wieczorami bajeczki. O dawnym życiu, o miastach, pięknych pielęgniarkach, co to pracowały w naszym szpitalu… W końcu przed Katastrofą byłem chirurgiem. Kroiłem ludzi. To znaczy łatałem. Ale żeby już kogoś skasować, mięknie mi rura. Nie nadaję się do mokrej roboty i tyle! Taki paradoks…

Dopiero teraz Taran uświadomił sobie, dlaczego ochrypły głos Bezbożnika wydał mu się mgliście znajomy. Przecież to nie kto inny jak ordynator, który zatrudnił go jako ochroniarza w szpitalu! W tym samym szpitalu, w którego schronie stalker przez cały czas mieszkał!

Jak się zdawało, chirurg też nie rozpoznał starego znajomego. Dalej ciągnął opowieść o niełatwej egzystencji, o niedorozwiniętym bracie o przezwisku Żywczyk, który „choć był z niego głupek, to pocieszny, a nie zły", a parę dni temu zginął głupią śmiercią, wylatując w powietrze na własnej minie pułapce…

Taran przestał wsłuchiwać się w monotonną paplaninę. Intuicja podpowiadała mu, że Bezbożnik nie łże i rzeczywiście jest niewinny, dlatego w sumie nie było go za co zabijać.

– Nie masz może ognia?

– Co? – Stalker spojrzał z roztargnieniem na bandytę, wracając do rzeczywistości.

– Mówię, że jak miałeś mnie stuknąć i nie stuknąłeś, to chociaż daj ognia – zażądał Bezbożnik, wkładając do ust skręta.

Taran poklepał się po kieszeniach, wyciągnął zapalniczkę – jedyną pamiątkę po Glebie – i szczęknął krzesiwem. Bandyta jednak zastygł z papierosem w zębach, patrząc uważnie na trzepoczący płomyczek.

– O! Znajoma rzecz. Skąd ją masz? – spytał czujnie.

– Co znowu? – Stalker zbliżył się powoli. – Znajoma? No, może by tak bardziej szczegółowo…

– Mój brat, bezmózgi kaleka, miał taką… Tamtego dnia nic tylko bawił się zapalniczką! Aż zaczepił o linkę od miny… Z tego, co pamiętam, oddali ciało mortusom razem z tym cackiem… Ech, szkoda Żywczyka. Wyglądał zupełnie jak dzieciak. Gęba mężczyzny, a ciało dziecka…

Serce podskoczyło Taranowi w piersi raz, drugi i zabiło w szalonym rytmie. Bojąc się, że nadzieja okaże się płonna, złapał bandytę za klapy.

– Czyli mówisz, że skąd twój brat wytrzasnął zapalniczkę?

Bezbożnik nieco się speszył, widząc taki upór, i słysząc w głosie najemnika chłód, zaczął szybko paplać:

– Wymienił u jednego chłopaczka! Boss chciał sprzedać małego handlarzom niewolników, a mój świętej pamięci brat po dobroci pomógł mu uciec. Widocznie tak mu się zapalniczka spodobała, łapiesz? I nie wymyślił swoim rozumkiem, że może mu ją po prostu zabrać!

Okaleczone wybuchem ciało Żywczyka, niedorozwiniętego kaleki – oto czyje szczątki Taran wziął za syna. Teraz wszystkie elementy wskoczyły na swoje miejsca. W duszy stalkera działo się coś niepojętego. Myśli mu się plątały. „Żyje! Żyje!" – huczało mu w głowie niczym dzwony triumfalne. Przypuszczenia, jedno bardziej fantastyczne od drugiego, migotały jak w szalonym kalejdoskopie.

Tyle że wątpliwe, aby Gleb mógł tak łatwo rozstać się z jedyną pamiątką po zmarłych rodzicach. Stawką było coś ważniejszego od wolności… Ale co? Chociaż o tym można pomyśleć potem. Teraz trzeba było się spieszyć.

– Dokąd uciekł chłopiec? – Oczy Tarana płonęły.

– A skąd mam wiedzieć? – bezsensownie oburzył się wstawiony bandyta. – Pobiegł w stronę Dostojewskiej. A potem, kto wie, dokąd go nogi poniosły? Może gdzieś się tam błąka, jeśli nie wpadł w oko wegańcom…

Radość na twarzy stalkera zamieniła się w niepokój. Niedobrze. Bardzo niedobrze. Terytorium zielonych jest niedaleko, a na przygranicznych stacjach pełno jest imperialnych szpicli. Może Gleb jest już gdzieś tam, w łapach handlarzy niewolników… Należało natychmiast to wyjaśnić. Teraz każda zwłoka groziła katastrofą.

Schował zapalniczkę i na łeb na szyję rzucił się do wyjścia. Bandyta przez jakiś czas patrzył zmieszany na zatrzaśnięte drzwi, potem z żalem wypluł niezapalonego w końcu skręta.

– A przecież mnie poznałeś, Taranow. Poznałeś mnie, cholero! Wciąż tak samo zabiegany. Przyszedł, narobił syfu i się zmył. To szelma…

Ostatnie słowa brzmiały już całkiem niewyraźnie. Bezbożnik smacznie ziewnął, umościł się na wygniecionej kanapie i w mgnieniu oka zaczął chrapać.

* * *

Kiedy Wygę pilnie wezwano na Sadową, machnął tylko ręką – i bez tego miał dosyć roboty. Ale kiedy się dowiedział, że objawił się najemnik, naczelnik Siennej, rzucił papiery i pospieszył w stronę przejścia.

Taran wyglądał marnie. Od stóp do głów pokryty sadzą i zakrzepłą krwią, śmierdzący, z raną na ręce, stalker siedział na ziemi, oparty o ścianę peronu i troskliwie podtrzymywał głowę wysuszonego staruszka, leżącego obok bez ruchu.

– Gdzie wy się szlajaliście? – wypalił Terentiew, gestem wzywając brygadę medyczną.

– Byliśmy w gościach u bezbożników – odparł ochryple najemnik, próbując złapać oddech.

– Po kiego cię tam poniosło?

– Szukałem twoich terrorystów – wkurzył się Taran, krzywiąc twarz.

Założona w pośpiechu opaska uciskowa zsunęła mu się z ramienia. Krew pociekła z nową siłą. Wyga przyskoczył do stalkera, wprawnie ściągnął ramię paskiem powyżej rany i potrząsnął głową ze złością.

– A to bydlaki! Dawno już chciałem podnieść kwestię tych naszych „sąsiadów”…

– Nieco się spóźniłeś. Dzwoń po mortusów, niech sprzątną cały tunel.

Wyga zerknął z niedowierzaniem na stalkera i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale przybiegli sanitariusze i odsunęli go na bok, pochylając się nad jęczącym maszynistą.

– Nie wiem, jak ci dziękować… – zaczął Terentiew zza pleców medyków.

– Jemu podziękuj. – Najemnik wskazał staruszka. – Zgrillował tylu drani, że się twoim patrolom nie śniło. Nie daj Bóg, żeby umarł,

osobiście obedrę wszystkich ze skóry!

– Nie bój się, wyciągniemy z tego dziadunia. Ty też chodź do węzła sanitarnego na opatrunek. Poleżysz sobie parę dzionków w lazarecie, póki…

– Nie. Spieszy mi się – przerwał mu Taran, podstawiając ramię pielęgniarce. – Dawaj no, kochanieńka, łataj tutaj.

Dziewczyna z oburzeniem przeniosła wzrok na Terentiewa, ale ten tylko niecierpliwie ją ofuknął:

– No, na co czekamy? Bandaże, spirytus! Żywiej! Żywiej!

Kiedy lekarze czarowali nad Taranem, naczelnik Siennej marszczył brwi z niezadowoleniem – tym razem nie uda mu się porozmawiać z najemnikiem o śledztwie sam na sam. Nie, kiedy stalker jest w takim nastroju.

– Powiedz chociaż, dokąd się wybierasz?

Taran wstał, ostrożnie poruszył przewiązanym ramieniem. Popatrzył ciężko, spode łba. Podniósł z torów automat.

– Na targ niewolników. Do wegan.

Rozdział 7: ZIELONA LINIA

Przez ponad dwadzieścia lat spędzonych pod ziemią można przywyknąć do wszystkiego, ale nie do tuneli. Z zasady powinny być do siebie podobne jak dwie krople wody, lecz w rzeczywistości było zupełnie inaczej. Ciemne i troskliwie podświetlone, zarośnięte mchem i wyskrobane do czysta, wypełnione grządkami i osmalone ogniem, przewiewne i ślepe, zamieszkane i porzucone, suche i podtopione, kręte i proste, z szynami i bez… Jednym słowem, różne.

Wśród straganiarzy, na przykład, krąży legenda, że tunele, niczym arterie olbrzymiego organizmu żyją swoim życiem, zmieniają się i mogą z łatwością sprawić, że roztargniony prostaczek poplącze się w nich, zgubi drogę, a czasem nawet straci życie.

Taran nie wierzył w te bajki, niemniej, przemierzając metro, starał się nie osłabiać koncentracji. Nawet jeśli korzystał, tak jak teraz, ze sprawdzonej trasy. Przejazd między Ligą[1] a Planem zawsze uchodził za bezpieczny, jednak i tutaj można było zarobić cios z zaskoczenia. W metrze nie brakowało ani gnilaków, kryjących się w porzuconych szybach wentylacyjnych, ani wygłodzonych bestii, które przedostawały się przez kolektory w poszukiwaniu jedzenia.

Od niekończącego się szeregu podkładów kolejowych, o które tak łatwo potknąć się w półmroku, mieniło się już w oczach, a stęchłe, wilgotne powietrze przenikało ciało na wskroś specyficznym zapachem kreozotu i wiekowego kurzu. Pocięte pęknięciami tubingi przesuwały się jeden za drugim i zdawało się, że nigdy się nie skończą… Ale oto w oddali zamigotało światło – podejścia do stacji Imperium zawsze były dobrze oświetlone. Po minięciu toru odstawczego stalker zwolnił kroku. Lufa miotacza ognia na posterunku od razu się poruszyła – niewidoczny wartownik wziął gościa na cel. Za obłożonym workami z piaskiem przedpiersiem dało

się dostrzec ruch, potem rozległ się wyraźny, niecierpiący sprzeciwu głos:

– Stać! Ręce precz od broni! Coś ty za jeden?

– A przyjrzyj się. I melduj dowództwu.

– Czekaj tu – dobiegło zza przedpiersia. – I żadnych sztuczek.

Niemal fizycznie czując na sobie uważne spojrzenia, najemnik postawił automat pod ścianą, siadł na ziemi, opierając się plecami o żebro tunelu, i wyciągnął zmęczone nogi.

Wartownik na jakiś czas umilkł, naradzając się z kimś przez wewnętrzny telefon. Nieźle tu żyją… Nie każda kolonia mogła sobie pozwolić na przeciągnięcie kabla do posterunków. Zresztą, co tu dużo mówić, w niewielu miejscach starczało elektryczności nawet do oświetlania. Inne przyjemności w ogóle nie wchodziły w rachubę.

Jednak u wegan tego rodzaju ograniczenia nie miały zastosowania. Jako jedna z najlepiej rozwiniętych kolonii Imperium mogło sobie pozwolić na znacznie więcej niż pozostali i w pełni z tego korzystało. Przestrzeń życiowa była jedyną rzeczą, której zielonym brakowało, co było przyczyną ciągłych waśni z innymi zamieszkałymi stacjami.

Ironia losu sprawiła, że Imperium Wegan i Alians Primorski, dwaj główni gracze w piterskim metrze, dwie potężne, gęsto zaludnione struktury, zmuszone były współistnieć na jednej nitce kolejki podziemnej. Uczyniło to z nich nieprzejednanych wrogów w walce o zasoby i terytorium.

Od strony tunelu odstawczego dobiegły przytłumione krzyki. Taran, wpatrując się w mrok, mimowolnie obrócił się w stronę hałasu, . Gdzieś tam, nieopodal dawnego PPT[2], zaczynał się tunel łączący linię pomarańczową i zieloną. Z tego, co było wiadomo najemnikowi, właśnie tam handlarze urządzili swego rodzaju miejsce przeładunku – targ niewolników. To stąd żywy towar płynął do dalszych stacji wegan, do swoich przyszłych panów. Cała trasa była zorganizowana w taki sposób, by podejście do Imperium od strony Majaka[3], a także sam Plan pozostały wolne od obecności niewolników. Wszystko to czyniono wyłącznie po to, by dobrze wyglądać w oczach przybyszów

z peryferyjnych stacji oraz zbiegów z Aliansu Primorskiego – bo zdarzali się i tacy. Będący forpocztą wegan Plan stanowił tymczasem skuteczną machinę do werbowania nowych rekrutów na potrzeby przyszłej wojny. Tam też mieściły się koszary i poligon treningowy. Ochotnicy często wykazywali się świętą niewiedzą odnośnie do swoich opiekunów, nie domyślając się nawet okropieństw, które wyprawiano na południowych stacjach Imperium. Taran też tylko ze słyszenia wiedział o ciemnych sprawkach zielonych i nie odczuwał najmniejszej potrzeby, by nurzać się w tym błocie, jednak okoliczności działały na jego niekorzyść.

Tymczasem od strony posterunku rozbłysnął jasny snop reflektora. W krąg światła wszedł stary znajomy – Satur. Weganin, choć wyglądał na zdyszanego, jak zwykle ubrany był nienagannie. Dobrze skrojony mundur leżał na nim idealnie. Ugrzeczniony, mdły uśmiech nie mógł zmylić stalkera. Gdyby to od niego zależało, dawno rozgniótłby chytrego drania na ścianie. Ale z Saturem trzeba się było liczyć – surowica zielonych pozostawała jak na razie jedynym specyfikiem przynoszącym jakąkolwiek ulgę w chwilach ataku.

– Wiedziałem, że zjawisz się tutaj, a nie przy wejściu frontowym! Chociaż przyznaję: z Majaka kawał drogi.

Taran skinął tylko głową na znak powitania, nie starając się podtrzymać rozmowy.

– Posłuchaj, nie myślisz chyba serio, że weganie są jakoś zamieszani w tę historię z wybuchem? – Satur uśmiechnął się kwaśno. – Sam pomyśl, czy wzięlibyśmy udział w posiedzeniu Rady, gdyby rzeczywiście tak było? Proponuję ograniczyć się do wycieczki po obu stacjach Planu. Popatrzysz na naszych dzielnych wojaków, potem ugoszczę cię obiadem w kantynie, zobaczysz, jest tego wart. Ogólnie biorąc: sprawę załatwisz i czas szybko minie. Umowa stoi?

Weganin puścił oko, ale kiedy natknął się na świdrujące spojrzenie spod krzaczastych brwi, zająknął się. Krzywy uśmiech powoli spełzł z wypielęgnowanej gęby.

– Przecież wiem, że szukasz swojego dzieciaka, a cała ta historia z inspekcją kolonii to kompletna pokazówka.

– Skąd wiesz o Glebie? – ożywił się Taran.

– Spokojnie, spokojnie! Nie rzucaj się. Wieści w metrze szybko się rozchodzą. Bezbożnik przysłał liścik przez straganiarzy, prosił, żeby pomóc w poszukiwaniach. Nie wiem nawet, czemu tak mu się spodobałeś… – Satur podszedł bliżej, zmieniając ton na całkowicie poważny. – Jedno mogę ci zagwarantować: twojego smarkacza u nas nie ma. Szantażowanie oficjalnego śledczego Rady, którym teraz jesteś, nie leży zresztą w interesie wegan. Tak więc proponuję rozstać się polubownie. Nie musisz zaglądać do naszego warzywnika. Jak to się mówi, im mniej wiesz…

– Powiedz mi tylko, Satur – przerwał mu stalker – czy na moim miejscu, uwierzyłbyś wegańcowi?

– Wegańcowi? Za nic w świecie. Żołnierz Imperium uśmiechnął się. – Dobra, szukaj swojego dzieciaka, skoro się uparłeś jak osioł. Tylko pamiętaj, że jesteś zobowiązany nie strzępić języka o tym, co zobaczyłeś…

Taran skinął głową.

Zanim ruszył w drogę, musiał zostawić broń. Tylko pod tym warunkiem Satur gwarantował stalkerowi swobodne przejście przez terytorium wegan. Taran jednak kategorycznie odmówił zdania broni. W końcu zgodzili się na wariant pośredni. Młodzik z patrolu po prostu rozładował kałacha najemnika i zabrał mu jedyny pozostały po rozprawie z bezbożnikami magazynek, a także garść nabojów do rysia. W ich ślady do rąk weganina powędrowały nóż i pistolet. Za to z samą strzelbą podarowaną Taranowi przez starego maszynistę był kłopot. Chłopak obracał nią na wszystkie strony, nie potrafiąc uporać się z nieznanym mechanizmem. Potem, nie chcąc wyjść na laika, po prostu zważył strzelbę w dłoniach i kiwnął głową z zadowoleniem.

– Pusta? – postanowił jednak uściślić, patrząc z ukosa na stalkera.

– A jak myślisz? – odparł ponuro najemnik.

– Nawet głupi wie, że pusta.

Przedziwna sprawa, ale chłopaczek oddał broń Taranowi. I dobrze. Różnie się to może potoczyć. A siedem nabojów w strzelbie to już argument. Satur czekający na zakończenie procedury ożywił się i demonstracyjnie spojrzał na zegarek.

– No to od czego zaczynamy?

– Od łącznika między liniami.

Kiedy pojedynek na spojrzenia dobiegł końca, weganin, sapiąc z irytacją i cicho klnąc przez zęby, powlókł się w stronę SLŁ. Najemnik ruszył za nim.

* * *

– Pod ścianę! Pod ścianę, padlino!

Długi pejcz uniósł się w powietrze i z opóźnieniem uderzył po rękach, przecinając skórę. Krzycząc z bólu, niewolnicy odsunęli się w stronę tubingów, byle dalej od krat i tłustych nadzorców o lśniących brzuchach w odblaskowych kamizelkach założonych na gołe ciało.

Wzdłuż tunelu ciągnął się częstokół z metalowych prętów dzielący tunel na dwie części. Za ogrodzeniem ospale snuła się czerwono-brunatna ludzka masa. Brunatna od błota i nieczystości, czerwona od krwotoków, zadrapań i skaleczeń.

Smród niemytych ciał wijących się na ziemi, żałosne jęki i zaszczute spojrzenia więźniów mogły zaszokować każdego, tylko nie weganina. Satur szedł wzdłuż krat swobodnym krokiem i jakby nigdy nic przeskoczył kałużę krwi obok drgającego w agonii, pobitego prawie na śmierć niewolnika, który widocznie próbował okazać nadzorcom nieposłuszeństwo. Taran szedł wolniej, wpatrując się bacznie w twarze dzieci, które trafiały się pośród niewolników. Mięśnie na twarzy stalkera drgały, mimowolnie zaciskały się pięści. Miał nieodpartą chęć, by wdać się w bijatykę i gołymi rękami poskręcać nadzorcom karki, jednak konieczność zachowania neutralności i dochowania zawartych umów za każdym razem go powstrzymywały. Mimo to Taran nie mógł pozostać całkiem obojętnym.

– Co z was za ludzie? – rzucił w stronę pleców przewodnika. – Gorzej niż zwierzęta… Bydlaki…

– Uprzedzałem, że nic tu po tobie – odparował Satur. – Tak więc powstrzymaj swoje komentarze.

Przed nimi utworzył się zator. Opasły handlarz w wymyślnym kaftanie krytycznie studiował towar, zaglądając w zęby ustawionym wzdłuż płotu niewolnikom. Jakaś kobieta odgryzła się, omal nie ucinając grubasowi palca, ale ten tylko zarżał i dał znak nadzorcy. Ręka trzymająca pejcz natychmiast uniosła się w górę. Kobieta odsunęła się z przestrachem, zakrywając twarz rękoma, ale cios nie nastąpił – Taran złapał brutala za przegub i wyszczerzył zęby.

– Nie, stalkerze! Nie waż się! – Satur przyskoczył z drugiej strony. – Nie masz prawa mieszać się w wewnętrzne sprawy kolonii!

Najemnik zamarł z pięścią gotową do uderzenia i dalej świdrował nadzorcę wściekłym wzrokiem. Dookoła w mgnieniu oka zrobił się tłok.

– Nie pogarszaj sprawy, stalkerze. Nic nie zmienisz…

Pod uważnymi spojrzeniami wegan Taran niechętnie puścił grubasa i ruszył za przewodnikiem, nie reagując na złośliwe uśmieszki stojących za nimi nadzorców.

– Każdy radzi sobie jak może – pouczał dalej Satur. – Weganie potrzebują siły roboczej. Fermy, poletka, asenizacja, kopanie nowych chodników, ktoś musi odwalać czarną robotę. Z Primorskim Aliansem pod bokiem nie możemy sobie pozwolić, żeby rozdrabniać się na przyziemne sprawy. Wszystkie wysiłki koncentrujemy na obronie granic i realizowaniu programu asymilacji…

– Co to za „program”?

– Zobaczysz. Teraz nie o tym mowa. Weźmy dla przykładu ten właśnie Alians. Wiesz, co oni robią ze schwytanymi weganami? Ba-da-ją. Krojąich na stołach operacyjnych jak króliki doświadczalne. Mazuty też nie są lepsi. Na pierwszy rzut oka niewinne szare myszki: z nikim nie prowadzą wojny, nie trzymają niewolników. Ale nie wstydzą się żadnych zleceń. Myślisz, że kto robił te zagrody? – Satur

zadzwonił szpicrutą po metalowych prętach zbrojeniowych wmurowanych w podłogę i sufit tunelu. – Otóż to. A ty sam, po ziółka to do kogo chodzisz?

Taran nie zareagował na szyderstwo, tylko dalej marszczył brwi i świdrował plecy weganina gniewnym spojrzeniem. Wystarczyło wspomnieć o surowicy i w głowie zakołatało – choroba może się odezwać w każdej chwili. Pchać się do wegan bez przeczekania kolejnego napadu byłoby nierozważnie, ale okoliczności gnały stalkera naprzód, nie dając złapać oddechu. Z wyroków losu znalazł się u zielonych, warto by chociaż uzupełnić zapas ampułek…

Tymczasem łącznik został z tyłu. W klatkach nie było Gleba. Odrzuciwszy kolejną propozycję Satura, by odwiedzić Plan, najemnik przeforsował, by pójść w stronę Lizy[4]. Im głębiej zapuszczali się w matecznik zielonych, tym bardziej Taran żałował podjętej decyzji. Weganin niczego nie krył. Z tajemniczym uśmiechem, jakby czerpał niezdrową satysfakcję, demonstrując „osiągnięcia" swojej kolonii, poprowadził najemnika wzdłuż plantacji tajemniczych roślin w formie przysadzistych krzewów o mięsistych, purpurowych liściach. Niby nic specjalnego, ale przebiegający niekiedy przez rośliny dreszcz nie wróżył niczego dobrego. Najemnik przyjrzał się i z przerażeniem rozpoznał pod liśćmi ludzkie ciała.

– Oni…

– Żyją – zakończył zdanie Satur. – Na razie. Ta roślina jest pasożytem. Naprawdę próbowaliśmy hodować ją na glebie, ale nic z tego nie wyszło. Wzrost wymaga ofiary. Zarodniki nie żyją zbyt długo, ale wzrastają zadziwiająco szybko! A sok tej rośliny ma unikatowe właściwości regeneracyjne. Bez niego tworzenie adaptantów po operacji trwałoby niezmiernie długo.

– Nawet nie chcę słyszeć, co to za „adaptanci"…

– Nic dziwnego. Gdybyś wiedział choć trochę o naszym programie asymilacji, to wątpię, byś tak surowo oceniał wegan. Wszystko dla szczytnego celu, zlać się z ekosferą nowego świata, wyjść na powierzchnię i nie zginąć od promieniowania, nie dać się pożreć

drapieżnikom. Przenieść się na zewnątrz, żeby żyć, a nie tylko egzystować. Żyć w promieniach słońca, a nie w norach. Jeśli człowiek nie jest w stanie przywrócić dawnego świata w jego pierwotnym kształcie, to powinien sam się zmienić, przystosować się do nowych warunków. I można to osiagnąć! Konieczne jest tylko pchnięcie we właściwym kierunku, pewna ingerencja chirurgiczna. Doświadczenia z wrastaniem obcych tkanek roślinnych dają zdumiewające rezultaty i w połączeniu z kontrolowanymi mutacjami…

– Sądzisz, że oni mają jakieś szanse? – przerwał Taran, wskazując na separatkę, wewnątrz której skupiła się grupka nastolatków ze szpetnymi zielonkawymi naroślami na plecach i ramionach, sterczącymi spod zwojów bandaży.

Rozszerzone źrenice i nienaturalnie blade twarze adaptantów sprawiały wrażenie spotkania z czymś obcym. Język bronił się przed nazwaniem tych biedaków ludźmi. Zdaje się, że pogłoski o tym, że weganie w istocie nie byli ludźmi, miały solidne podstawy…

– Ci nie mają żadnych. Widzisz, to jest tylko ogniwo pośrednie. Przyspieszony metabolizm, zdolność do samoczynnego wydalania radionuklidów z organizmu… Poza tym to kaleki i długo na górze nie pociągną. Promieniowanie to niestety nie jedyny problem w świecie zewnętrznym. Za to adaptanci-przewodnicy mają większe szanse. Sterować zwierzętami mogą na razie nieliczni, ale gdyby weganom udało się zdobyć do badań choć jednego „mentala”… Interesujący stwór. Jedyny w swoim rodzaju. *À propos*, nie podjąłbyś się…

– Już nie – urwał najemnik – sami się taplajcie w swoim łajnie. Zarzynajcie się nawzajem, katujcie, płódźcie sobie potworki. Może szybciej pozdychacie. Primorskim zostanie mniej roboty.

– Niezbyt jesteś lojalny wobec swojej misji. – Satur uśmiechnął się cierpko. – Ale rozumiem twoje oburzenie. Nieprzygotowanemu człowiekowi dość trudno przyjąć metody wegan. Właśnie dlatego tak mało jest ochotników do asymilacji.

Stalker przystanął, powoli zaczęło się w nim gotować. Straszny domysł przemknął mu przez głowę.

– Poczekaj. Czyli ci, na których eksperymentujecie, też są niewolnikami?

Przewodnik skinął głową. I znów zrobił to zwyczajnie i swobodnie, tak jakby mówili o królikach doświadczalnych i niczym więcej. Jeszcze się przy tym uśmiechnął. Drań…

Dalsza wycieczka po kolejnych kręgach piekieł zamieniła się w szereg koszmarnych wizji, wbijających się w pamięć obrazów gwałtu i nieuzasadnionego, wyrafinowanego okrucieństwa. Wszystko to z trudem mieściło się w głowie. Sektor mieszkalny szokował nie mniej od laboratoriów. Wokół spasionych od słodkiego życia wegańców krzątały się dziesiątki niewolników, spełniając wszystkie zachcianki swoich panów. Satur nie omieszkał dodać, że wszyscy bez wyjątku służący są wykastrowani, pozbawieni języków i uszu. Taran nie mógł pojąć sensu tej poniżającej procedury, podobnie zresztą jak potrzeby ciągłego bicia. Za najmniejsze przewinienie należała im się natychmiastowa kara. Z charakterystycznymi wegańskimi szpicrutami biegały tu nawet dzieci.

Piszcząc z zachwytu, grupa wyrostków w jednym z zaułków metodycznie tłukła zwijającego się na ziemi niewolnika. Ten otworzył usta i beznadziejnie wył, co rodziło tylko nowe ataki śmiechu. Satur potrzebował całej swojej siły perswazji, żeby powstrzymać stalkera przed reakcją na zabawę nieletnich sadystów.

Kiedy wreszcie obchód stacji dobiegł końca i przed nimi zamajaczyło wyjście na peron Planu, Taran czuł się obrzydliwie i szczerze pragnął tylko jednego – jak najszybciej wynieść się stamtąd jak najdalej i zapomnieć o strasznych sekretach Imperium. Pocieszające było tylko to, że Gleba rzeczywiście nie znalazł u zielonych. Stalker odrzucił propozycję obiadu, przeciął lśniący czystością placyk pośrodku peronu i zamierzał już opuścić wysuniętą placówkę Imperium, kiedy przypomniał sobie o surowicy.

– Poczekaj tu, zaraz wrócę – obiecał Satur i pospieszył w stronę wejścia do pomieszczeń służbowych. – Wybacz, ale w takim razie twoje naboje pójdą akonto ampułek.

Weganin zniknął w korytarzu. Taran rozejrzał się dookoła, zwrócił uwagę na stertę pustych skrzynek pod ścianą i przysiadł na jednej z nich. Obok niego co i rusz przechodzili żołnierze, przenosząc niekończące się toboły, obite metalem kufry i inne graty. Starszy wojak ze szramą na policzku musztrował nieopodal grupę rekrutów, każąc im robić pompki i przysiady.

W pamięci stanęły mu lekcje z Glebem, gdy stalker trenował chłopca, ucząc go podstaw przetrwania. Gdzie on teraz jest? Dokąd skierował się po ucieczce? Ślad po nim przepadł. Pozostało liczyć na to, że starczy mu szczęścia i sprytu, by dotrzeć do Aliansu Primorskiego. Przydałoby się pewnie wpaść na Plac Powstania…

Z rozmyślań wyrwał stalkera chichot żołnierzy wyśmiewających się ze starego sługi roznoszącego wodę rozgrzanym treningiem żołnierzom.

Zgarbiony pod ciężarem bańki, którą niósł na plecach, na wpół ślepy starzec dreptał wokół wegan, narażając się na upadek spowodowany sypiącymi się ze wszystkich stron kopniakami i policzkami. Ledwie poruszając cienkimi nogami, nosiwoda obszedł wreszcie wszystkich, którzy chcieli ugasić pragnienie, i pokuśtykał pod ścianę. Obserwując, jak staruszek męczy się z szelkami plecaka i krzywi z bólu w udręczonych ciężarem ponad siły ramionach, najemnik nie wytrzymał – podszedł do biedaka i pomógł mu ściągnąć ciężką butlę na ziemię. Siwowłosy nosiwoda w popłochu zaczął się rozglądać, ale wyglądało na to, że nikt się nimi nie interesował, więc podniósł na stalkera białawe, zasnute bielmem oczy i skinął mu ukradkiem na znak wdzięczności.

Tarana jakby przeszedł prąd. Ten wzrok rozpoznałby zawsze, w każdych okolicznościach. Mądry, żywy… i po dawnemu silny, pomimo trudów niewolniczej egzystencji. Zupełnie tak samo patrzył Gleb. Stalker zamarł, nie odrywając oczu od nosiwody. Poprzez chorobliwą

chudość i sieć zmarszczek przecinających zasuszoną twarz dało się dojrzeć wyraźne podobieństwo. Czyżby…

Najemnik gorączkowo poszperał w kieszeniach i wyciągnął zapalniczkę. Staruszek ożywił się, ręka mimo woli wyciągnęła mu się w stronę cacka.

– Możesz mówić? – szepnął Taran, starając się nie przyciągać uwagi.

Niewolnik szybko pokiwał głową, w kącikach słabo widzących oczu pojawiły się łzy.

– Gleb… Synek… – powiedział ledwo słyszalnie. – Co z nim? Wszystko u niego w porządku? Zatroszczyłeś się o mojego chłopczyka, prawda?

Stalker patrzył porażony na słabego, wycieńczonego staruszka i wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom. Prawdziwy ojciec Gleba, którego ten dawno uznał za zmarłego, żyje! Z obliczeń wynikało, że powinien być mniej więcej w wieku Tarana, lecz lata niewoli i ciągłe bicie postarzyły jeńca przed czasem. Szczęśliwy traf sprawił, że znalazł się właśnie tutaj, a nie na którejś z wewnętrznych stacji wegan, gdzie zostałby okaleczony i pozbawiony męskości, jak to robiono z pozostałymi służącymi. Na terytorium Planu, frontowej stacji Imperium, zieloni nie pozwalali sobie na podobne bestialstwa, starając się pokazać w korzystnym świetle przed najemnymi żołnierzami swojej rozrastającej się armii…

– U Gleba wszystko świetnie… – Taran nie chciał niepokoić więźnia. – Cały i zdrowy! Mądry dzieciak z niego rośnie! Bądź spokojny, teraz wszystko będzie dobrze!

Staruszek zadrżał, uśmiechając się zaschłymi ustami. Łzy radości potoczyły się po pomarszczonej twarzy.

– Niedługo go zobaczysz, obiecuję! Wyciągnę cię stąd i sam z nim…

Jeniec spochmurniał i pokręcił głową przecząco. W zmęczone spojrzenie wkradł się smutek.

– Nie… Nie trzeba. Ja już do niczego się nie nadaję… – wymamrotał bezzębnymi ustami. – Nie chcę być ciężarem. Niech syn pamięta mnie takiego, jakim byłem.

– Ale…

– Obiecaj, że mu nie powiesz! Obiecaj! Obiecaj! – więzień zatrząsł się, łapiąc stalkera za ręce.

Taran skinął głową, zastanawiając się nad różnymi wariantami. Można by choć spróbować umieścić biedaka w Aliansie, ale w żaden sposób nie wolno zostawiać go tutaj. Inaczej jak mógłby spojrzeć potem Glebowi w oczy?!

Staruszek nieco się uspokoił i opuścił wzrok na ręce najemnika.

– Co to? – zapytał, widząc ślady zastrzyków. – Nie wyglądasz, jakbyś się szprycował… Poczekaj, zdaje się, że… Miewasz bóle? I korzystasz z wegańskiego lekarstwa?

– Tak. Skąd to…

– Poczekaj, stalkerze! Pytanie później! – Więzień zbliżył się do Tarana i przeszedł na konspiracyjny szept. – Nigdy, w żadnych okolicznościach, nie wierz tym fałszywym bydlakom! Podsłuchałem kiedyś pewną rozmowę w laboratorium i musisz koniecznie wiedzieć, że…

Gruchnął wystrzał. Ciało staruszka drgnęło i bezwolnie zawisło na rękach najemnika. Usta jeszcze poruszały się w nieskutecznych próbach zdradzenia jakiejś tajemnicy, ale po chwili oczy zamknęły mu się na zawsze. Lepka gorąca krew kapała na posadzkę stacji. Przez chmurę dymu prochowego patrzył na stalkera Satur. Pistolet w jego rękach lekko drgał.

Martwe ciało więźnia wysunęło się z objęć Tarana. Najemnik popatrzył na umazane krwią dłonie i przeniósł zagubiony wzrok na zabójcę. Mocno zaciśnięte usta weganina wyrażały napięcie i skrajne niezadowolenie.

– Co on ci nagadał? Ej, wy! – Satur przywołał dwóch rekrutów. – Zabierzcie stąd to stare łajno!

Słowa weganina to była kropla, która przelała czarę. Dyplomacja, cierpliwość, neutralność, lojalność w stosunku do wegan – wszystkie te napuszone słowa straciły naraz jakikolwiek sens. Nie pozostało nic poza nieopanowaną chęcią, by zgnieść, zetrzeć, unicestwić tego ohydnego elegancika wierzącego we własną wyjątkowość. Ryś płynnie wsunął się w lepką od krwi dłoń, ręka ze strzelbą podnosiła się powoli. W oczach stalkera zastygł lód.

– Czekaj, co ty robisz? No, opuść broń! Stój, bo strzelam!

Kula z pistoletu uderzyła w kamizelkę kuloodporną. Lufa strzelby zachwiała się i kontynuowała ruch.

– Stój, mówię!

Jeszcze jeden wystrzał. Fala gorącego powietrza oparzyła mu policzek. Pewnie zostanie szrama… Chrzanić to. Celownik nałożył się na przerażoną twarz Satura. W oczach weganina pojawiła się autentyczna panika. Ułamek sekundy rozciągnął się w wieczność. Palec nacisnął na spust – broń odczuwalnie podskoczyła w ręku. Błysk płomienia na moment zasłonił znienawidzone oblicze, a kiedy siny dym się rozwiał, już go nie było. Pozbawione głowy ciało zwaliło się na bok, nogi jeszcze przez kilka sekund chaotycznie skrobały po ziemi.

Rekruci dalej stali w odrętwieniu jak zaklęci, wytrzeszczając oczy na tryskającą krew. Najbliższy żołnierz z osłupieniem spojrzał na zabójcę, potem przeniósł wzrok na drewnianą atrapę broni, z którą jeszcze chwilę temu przechadzał się po placu ćwiczeń… Korzystając z zamieszania, stalker zbił go z nóg i pomknął w stronę posterunku, gorączkowo analizując warianty ucieczki. Właściwie było ich całkiem niewiele. Naprzeciw najemnikowi z budki punktu kontrolnego wyskoczył już młody strażnik, trzęsącymi się rękami szarpiąc za zamek automatu. Chłopaczek dostał strzelbą w szczękę, upadł na plecy, a Taran przeskoczył ogrodzenie. Od strony stacji gruchnęły w końcu wystrzały i, co gorsza, z tunelu biegli już w stronę hałasów wartownicy z zewnętrznej granicy, odcinając mu drogę do stacji Aliansu.

Stalker wystrzelił raz, drugi. Fortel zadziałał. Weganie doskoczyli do ścian, przylgnęli do tubingów. Najemnik zyskał kilka cennych chwil, paroma dzikimi skokami dotarł do otworu wentylacyjnego i pomknął korytarzykiem. Tunel skręcał w bok, dzięki czemu udało mu się zejść z linii strzału, zanim korytarz wypełnił się gradem pocisków.

Taran przeleciał obok zakurzonego wentylatora, wsunął się do pionowego szybu i pędem ruszył w górę. Pozostało tylko modlić się, żeby wyjście na zewnątrz nie było zaspawane. Wdrapując się po szczebelkach, stalker o mało nie wpadł na rozciągniętą w poprzek linkę. W ostatniej chwili cudem zauważył błysk żyłki w świetle czołowej latarki. Teraz jednak pułapka była jak nigdy przydatna. Drogocenne sekundy upłynęły na rozbrajaniu miny, ale było warto. Śmiercionośny prezent poleciał w dół prawie jednocześnie z pierwszymi wystrzałami, które zagrzmiały w szybie. Potem na dnie błysnęły płomienie. Od huku wzmocnionego przez echo w wąskiej studni zatkało mu uszy. Taran odpoczął chwilę i ruszył dalej. Z każdą minutą szanse na pomyślną ucieczkę rosły. Zapał wegan osłabł, a oni sami nie spieszyli się, by pchać się do szybu wentylacyjnego, obawiając się kolejnego wybuchu.

Do czasu, kiedy nad głową zamajaczył otwór wyjściowy, nogi i ręce uciekiniera zrobiły się ciężkie jak z ołowiu. Na szczęście drogę na zewnątrz zagradzała tylko kratka wmontowana w ścianę komina. Kolejny nabój trzeba było zmarnować, żeby rozwalić kłódkę. Taran założył maskę przeciwgazową, wypadł na śnieg i wreszcie złapał oddech.

Pomimo udanej ucieczki, sytuacja nadal była niepewna. Zaraz, ile to my tego mamy? Jeden strzał na tego bydlaka, kolejne dwa w tunelu, czwarty – teraz. Zostały marne resztki – trzy naboje. Krucho. Z takim arsenałem wiele się nie da zwojować. Ale nie było wyboru. Stalker podniósł z ziemi rysia i skierował się w głąb ruin miasta. Trzeba było za wszelką cenę dostać się do węzła Majak–Plac Powstania. Glebowi po prostu nie pozostała inna droga odwrotu.

* * *

Newski Prospekt… Główna arteria północnej stolicy, nagromadzenie pomników, pereł architektury, tradycyjne miejsce urządzania uroczystości i świątecznych procesji… Wszystko to pozostało w odległej przeszłości. Stare budynki rozsypały się, zamieniając się w porosłe chwastami ruiny, pomniki przekrzywiły się i zarosły grubą warstwą brunatnozielonej śniedzi, zakute w kamień kanały dawno już zamieniły się w cuchnące bagna. Jednak, zachodząc tu, Taran nawet dziś odczuwał religijną cześć przed mroczną wspaniałością opustoszałego miasta – starego, rozsypującego się pod naporem żywiołów, lecz do tej pory zachowującego niepojętą siłę przyciągania.

Mając w pamięci ostatni wypad na powierzchnię i wynikłe podczas niego komplikacje, dziś stalker przekradał się po miejskich ruinach nad wyraz ostrożnie. Wielkiego wysiłku wymagało zachowanie koncentracji, kiedy oczy zamykały się na stojąco. Zranione ramię i nagromadzone zmęczenie dawały o sobie znać. Taran nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz udało mu się przespać. Zdawało się, że to było w innym życiu. Pozostało tylko się modlić, żeby na drodze nie stanęła jakaś spragniona ludzkiego mięsa bestia.

Przed nim majaczył już pawilon wejścia do metra. Od szczęśliwych ciemności kolejki podziemnej dzieliło go tylko zasypane odłamkami, przyprószone szarawym śniegiem pole – dawny plac Powstania. Ogromne bryły granitu – wszystko, co zostało po trzydziestometrowym obelisku „dla miasta-bohatera Leningradu” – zagradzały dobrą jego połowę, układając się w zaimprowizowany labirynt. Właściwie można spróbować przebiec na przełaj, pod osłoną wielotonowych gigantów, ale otwarte przestrzenie zawsze przyciągają latające drapieżniki, a teraz jakiekolwiek spotkania z mutantami były skrajnie niepożądane. Dlatego Taran wolał obejść z daleka niebudzące zaufania miejsce.

Przemknął wzdłuż ulicy 1. Sowieckiej i chciał już przeciąć Ligowski Prospekt, gdy nagle dał o sobie znać stalkerski szósty zmysł, ostrzegając go przed niebezpieczeństwem. Nie widząc żadnych zewnętrznych oznak zagrożenia, Taran intuicyjnie dał nura do najbliższej klatki schodowej. Nie miał najmniejszej ochoty bawić się z nieznanym przeciwnikiem w kotka i myszkę, lecz jego niewidzialna obecność nie pozwalała mu przebiec ostatniego odcinka do pawilonu. Należało się rozejrzeć.

Uważnie stąpając między płatami zerwanego tynku, stalker przekradł się po zakurzonych schodach na górę i przez okno na poddaszu wydostał się na dach. Przenikliwy wiatr od razu zaczął mu targać ubranie, ostro przeszył ciało. Maska przeciwgazowa całkiem nieźle chroniła twarz od podmuchów lodowatego powietrza, chociaż guma bardzo szybko stygła.

Umościwszy się na arkuszu blachy dachowej, najemnik wyjrzał zza skraju daszka. Z góry przed oczami odsłaniały się nowe detale pejzażu i okazały się na tyle surrealistyczne, że stalker na moment zwątpił we własne zdrowie psychiczne. Niedaleko pawilonu metra, na środku zaśnieżonego prospektu stało… dziecko. Pomimo workowatego skafandra ochronnego i naciągniętej na głowę maski przeciwgazowej wystające spod gumy końce warkoczyków jednoznacznie wskazywały, że była to dziewczynka. W rękach ściskała jakiś podłużny przedmiot, ale Taran nie mógł ze swojego miejsca dojrzeć, co to konkretnie było.

Może dają o sobie znać skutki niewyspania? Stalker pokręcił głową i znów spojrzał w dół. Widzenie nie zniknęło. Co więcej, dało się też dostrzec jeszcze jedną krępą figurkę w o wiele za dużym kombinezonie, zwijającym się w harmonijkę na całym tułowiu. Drugie dziecko – co do tego też nie było wątpliwości – stało w pewnej odległości od dziewczynki i trzymając w rękach, prymitywnie skleconą giwerę, obserwowało okolicę. Wystarczyło spojrzeć na oszczędne, pewne ruchy, na zwodniczo rozluźnioną pozę i na to, jak porządnie właściciel własnoręcznie zmajstrowanego karabinu

„trzymał sektor” – Taran od razu rozpoznał swoją szkołę i efekt długich godzin treningu. Nie było żadnych wątpliwości. To był Gleb! Żywy!

Imię już prawie wyrwało się z ust najemnika, ale widząc ledwo dostrzegalny ruch na sąsiednim kawałku dachu, stalker ucichł i jednak nie zawołał syna. Na samym skraju, na wyciągniętych krzywych łapach przysiadł nieruchomo ten właśnie wróg, którego obecność była przez cały czas tak wyraźnie odczuwalna. Stalker wzdrygnął się, zaskoczony – mutant okazał się tak wielki – i uniósł strzelbę, rozpaczliwie układając w głowie warianty dalszych działań.

A był powód do paniki. Gotując się do skoku i nie spuszczając z dzieci głodnych, paciorkowych oczu, na dachu przyczaił się trepan – silna, chytra i bezlitosna bestia. Swoje przezwisko zawdzięczał umiejętności otwierania ofiarom czaszek w sposób nie gorszy niż analogiczny instrument chirurgiczny. Ulubionym przysmakiem mutanta był niezmiennie mózg. Taran napotykał już trupy stalkerów z rozłupanymi jak skorupa orzecha głowami – drapieżnik dawno już skosztował delikatesowego smaku dwunogów i potrafił, siedząc w zasadzce, długo czatować na kolejną ofiarę.

Ten trepan był, jak się zdawało, tak pochłonięty polowaniem, że nie zauważył, jak na dachu pojawił się nowy przeciwnik. Jeśli Gleb zacznie teraz uciekać, mutant natychmiast rzuci się do ataku. Taran podniósł strzelbę i przypomniawszy sobie, że pozostały mu trzy naboje, skrzywił się niezadowolony. Z całą pewnością trzeba było zaatakować, a potem przyjdzie czas na improwizowanie…

Żylaste, jaszczuropodobne cielsko trepana drgnęło, kiedy w szary, szczeciniasty bok uderzył go kawałek lodu. Spłaszczony, wyciągnięty pysk bestii natychmiast obrócił się w stronę napastnika. Mutant wyszczerzył palisadę ostrych jak brzytwa zębów, zasyczał i powoli ruszył w kierunku stalkera.

– Dawaj, pokrako, taszcz tutaj swój tłusty zad – dogadywał Taran, cofając się.

Śliskie pokrycie spadzistego dachu to nie najlepsze miejsce do walki, ale nie było wyboru. Niezgrabnie krocząc na umięśnionych łapach, trepan przypadał do ziemi, wodził ziemistym ryjem, ale wciąż nie decydował się na skok. Pazury nie miały się za co zaczepić na warstwie lodu. Tarana to zupełnie urządzało. Najważniejsze, że udało się całkowicie zawładnąć uwagą drapieżnika i odciągnąć go jak najdalej od dzieci.

Dystans między przeciwnikami powoli się zmniejszał i już z całą pewnością pozwalał na użycie strzelby, kiedy rozległ się niespodziewany trzask. Kawałek lodu pod nogami stalkera drgnął, odłączył się od reszty i zaczął zjeżdżać po pochyłości dachu. Stalker zachwiał się, padł na kolana, chwytając się kurczowo nierówności blachy, ale ruch w stronę krawędzi wciąż nie ustawał. Trepan ryknął, w końcu podjął decyzję i wzbił się w powietrze w pięknym, ciągnącym się w nieskończoność skoku. Chwilę wcześniej najemnikowi udało się pochwycić lewą ręką skorodowany arkusz blachy i przeturlać na plecy. Uniósł rysia i wziął na cel rozmyty, zasłaniający pół nieba cień.

Czas błyskawicznie przyspieszył. Rzeczywistość rozsypała się na mnóstwo fragmentów, składających się z oddzielnych dźwięków i porażających wyrazistością statycznych obrazów. Huk wystrzału. Ryk. Uderzenie ciężkiego cielska drapieżnika o dach. Eksplozja bólu w żebrach. Trzask rozerwanej kamizelki kuloodpornej. Strzępy warstwy tłumiącej na wygiętych pazurach. Wyrzucone w powietrze płytki tytanu, wirujące w szalonym tańcu. Przerażający pysk przesuwający się tuż obok i znikający z pola widzenia. Zgrzytanie szponów o blachę dachu. Jeszcze jeden gniewny zwierzęcy ryk.

Najemnik podniósł głowę i zobaczył, jak na skraju dachu ześlizguje się i szamoce kłąb skowyczącego z wściekłości mięsa. Łamiąc wątły kratkowy płotek, niezgrabne ciało mutanta znikło za krawędzią dachu. Trepan runął na podwórko. Teraz od dzieci oddzielał go wielopiętrowy budynek, co dawało stalkerowi możliwość ostrzeżenia ich przed niebezpieczeństwem. Ostrożnie podniósł się na czworaka i

zaczął się gramolić po pochyłości na szczyt dachu, ale nowy płat lodu, ześlizgując się z góry, zbił Tarana z nóg. Wszystko, co zdążył zrobić, to przeturlać się do rynny, w ostatniej chwili łapiąc się rury. Potem pod nogami otworzyła się mu przepaść. Krucha blacha żałośnie zaskrzypiała pod ciężarem człowieka, obok coś groźnie zatrzeszczało i rura zaczęła się chwiać, powoli oddalając się od ściany. Oszronione segmenty konstrukcji trwale spajał lód, ale teraz mocowania, jedno za drugim, z chrzęstem wysuwały się ze ściany. Rynna zaczęła się przewracać w bok z przenikliwym zgrzytem.

Gdzieś w dole mignął daszek wejścia na klatkę schodową, wrośnięta w ziemię ławeczka, zardzewiały szkielet placu zabaw. Potem przed oczami z szaloną prędkością zamigotały mu gałęzie drzewa. Stalker puścił rynnę i rozcapierzył ręce, próbując pochwycić się czegokolwiek.

Od potężnego uderzenia zabrakło mu tchu. Mostek odezwał się nową eksplozją kłującego bólu. Najemnik złożył się wpół, zawieszony na grubym konarze, ale nie wytrzymał i ześlizgnął się niżej. Na szczęście swobodny lot skończył się niemal natychmiast – upadkiem całym ciężarem w gęste krzaki, Taran zsunął się na ziemię.

Przez kilka sekund miotał się w śniegu, spazmatycznie próbując złapać oddech. Kiedy wreszcie mu się to udało, stanął jakoś na nogi. Przed oczami tańczyły mu różnokolorowe kręgi, od wyrzutu adrenaliny całym ciałem wstrząsały silne dreszcze.

Mętny wzrok zarejestrował ruch. Siedząc pionowo, całkiem jak małpa, trepan kołysał przednią łapą, którą od przedramienia pokrywała brunatna krew. Czy to niezręcznie wylądował, czy to ładunek trafił jednak w kość…

Bestia, gdy dostrzegła wroga, przeraźliwie zawyła i poderwała się z miejsca, zauważalnie kulejąc. Ręce Tarana odruchowo powędrowały do strzelby, chwytając zamiast niej powietrze – broń mu gdzieś wypadła, kiedy spadał. Instynkt kazał mu rzucić się w nieoczekiwanym, lecz, jak się zdawało, jedynie słusznym kierunku – naprzód i w dół, pod brzuchem skaczącego drapieżnika. Stalker

rozpłaszczył się na ziemi i poczuł z tyłu głowy, jak cielsko trepana przemknęło niczym błyskawica kilka centymetrów nad nim. Spóźnione pazury drapnęły jego but, potem inercja pociągnęła mutanta dalej, przeciągając go po dywanie ze ściętych mrozem, spadłych liści. Stalker natychmiast zerwał się na nogi i uciekł, zdając sobie sprawę, że od śmiertelnych objęć drapieżnika dzielą go tylko sekundy.

Parę metrów przed nim, tonąc w zwałach puszystego śniegu, mignął mu znajomy podłużny przedmiot. Czarne na białym. Strzelba.

Najemnik chwycił broń w biegu, przeładował i rzucił się w stronę placu zabaw. Rytmiczny tupot i ochrypły oddech za plecami pognały go skuteczniej od wszelkich stymulatorów. Stalker wturlał się pod zardzewiałe słupki „domku na drzewie" i dał odpór za pomocą lufy rysia. Groźna broń plunęła ogniem, lecz trepan błyskawicznie rzucił się w bok i, nie zwracając uwagi na osmalony bok, władował się z rozpędu w metalową kratownicę. Osłabione przez wilgoć rury, zgniecione naporem nieposkromionej zwierzęcej siły, pękły z przeciągłym hukiem. W głowie Tarana rozbłysły tysiące iskier, kiedy odpadający kawałek pręta trafił go w głowę. Stalker odpłynął. Mutant kotłował się gdzieś obok, uwięziony w gąszczu metalowych belek. Wciąż jeszcze zamroczony uderzeniem, Taran spróbował wycelować broń w rozmytą sylwetkę wprost przed nim, ale trepan wierzgnął, drapiąc łapami o ziemię, i naparł mocniej, próbując pochwycić przeciwnika.

Masywna konstrukcja domku po utracie połowy podpórek niebezpiecznie się przechyliła, lecz przyciśnięty mutant na ślepo rwał się w stronę upragnionej zdobyczy. Stalker nacisnął na spust, ale wystrzał nie nastąpił. Taran sklął samego siebie za to, że zapomniał załadować ostatni nabój, i chwycił za łoże strzelby. W tym momencie trepan rozpaczliwie naparł całym cielskiem, przeciskając się do przodu. Szczęki zgrzytnęły, zamykając się dokładnie na strzelbie. Brutalne szarpnięcie omal nie wyrwało broni z rąk. Stalker wczepił się w rękojeść i kolbę strzelby, przytrzymując pysk mutanta na

odległość wyciągniętej ręki. Bestia spróbowała dosięgnąć przeciwnika łapą. Najemnik nie ustępował i kopnął w nią. Trepan zawył – widocznie but trafił w ranę – spróbował się wycofać, jednak fragmenty rur wbite w grzbiet nie pozwalały mu się uwolnić. Tułów potwora wił się, drapał i rzucał na zewnątrz konstrukcji, podczas gdy głowa na dobre ugrzęzła mu w środku.

Korzystając z krótkotrwałej dezorientacji trepana, Taran siadł mu okrakiem na głowie i z całej siły nacisnął na strzelbę. W żaden sposób nie mógł wyrwać broni. Bestia wczepiła się w nią kurczowo i nie zamierzała puszczać. Sytuacja zdawała się patowa. Jeśli stalker zostawi zwierzę w pułapce, ten nieuchronnie się z niej wydostanie. Czyli…

Chrypiąc z wysiłku, człowiek zaczął przekręcać trepanowi głowę. W ruch poszedł ten sam pręt zbrojeniowy, który wcześniej trafił w najemnika. Taran wsunął go do lufy strzelby i nacisnął na improwizowaną dźwignię ze zdwojoną siłą. Czy to mutant osłabł od ran, czy po prostu zmęczył się przygnieciony żelastwem, ale tym razem poszło. Powoli, centymetr za centymetrem, lufa strzelby przesuwała się, a w ślad za nią przekręcała się głowa potwora. Stalker cisnął, zdając sobie sprawę, że z każdą chwilą maleją szanse, by zastać Gleba w metrze. Cisnął, czując, jak zbliża się kolejny atak choroby. Cisnął, niemal fizycznie czując, jak uciekają drogocenne sekundy.

W którymś momencie kark mutanta nie wytrzymał i trzasnął. Trepan wierzgnął po raz ostatni i jego ciało sflaczało.

Stalker nie pamiętał, jak wydostał się na zewnątrz, jak, zataczając się, przeszedł na drugą stronę budynku. Plac okazał się pusty. Tylko dwa nierówne łańcuszki śladów na śniegu wskazywały na niedawną obecność dzieci obok pawilonu metra. Co przywiodło Gleba na powierzchnię? Dokąd się potem skierował? Gdzie go teraz szukać?

Jak zawsze niespodziewanie i w nieodpowiednim czasie ogarnął go ból. Nie było czym go zagłuszyć – najemnik nie uzupełnił w końcu zapasów surowicy. Bez lekarstwa wymęczone urazami ciało wygięło

się w pałąk. Stalker upadł. Bez broni, bez sił, stanowił teraz łatwą zdobycz dla każdego choć trochę ciekawskiego mieszkańca powierzchni. Jakby drwiąc z jego rozpaczliwych starań, by przeżyć, gdzieś z tyłu zachrzęścił zlodowaciały śnieg. Nie miał już siły, by się odwrócić. Nie starczyło ich nawet, żeby zachować uciekającą przytomność. Taran popadł w otępienie.

W rzadkich chwilach, gdy rozjaśniało mu się w głowie, oczy wychwytywały dziwne, nielogiczne obrazy. Ponure, zaciągnięte zasłoną chmur niebo… Szkielety domów powoli przepływają obok niczym porzucone, dryfujące statki… Tuż nad głową majaczą kanciaste plecy ni to robota, ni rycerza wlokącego bezwolne ciało stalkera za sobą… Chociaż co to znowu za bzdura? Jaki, do cholery, rycerz? Zdrowy rozsądek głośno zaprotestował, starając się wydzielić spośród majaków ziarna rzeczywistości, ale kolejny spazm wyłączył umęczoną świadomość.

1 Stacja metra Ligowski Prospekt (przyp. aut.).

2 Punkt Przeglądów Technicznych (przyp. aut.).

3 Stacja metra Majakowska (przyp. aut.).

4 Stacja metra Jelizarowska (przyp. aut.).

Część II: INNA

Rozdział 8: NA ROZSTAJACH

– Mały, co tam ciamkasz? Chodź do ognia!

Głupio było odrzucać zaproszenie. Zresztą Gleb nie był w takim położeniu, żeby wybrzydzać. Chłopiec chwycił tuszkę upolowanego w tunelu szczura i nieśmiało podszedł do ogniska, umościł się między wielgachnym typem w śmiesznej wiązanej czapce z pomponem a piegowatym chłopaczkiem z gitarą. Okazało się, że w ciasnym kółeczku było znacznie więcej ludzi, niż wydawało się z daleka. Nad samym ogniem, ociekając kroplami tłuszczu, które kapały w płomienie, syczała i skwierczała na rożnie ogromna wieprzowa szynka. Kawałek dalej, na improwizowanych stołach z pustych skrzynek, przyciągały wzrok prawdziwie królewskie potrawy – nie wiadomo skąd zdobyta szynka konserwowa, marynowane grzybki, a nawet biaława trawka z rzadkimi listkami – substytut pietruszki, o której kiedyś opowiadał Taran.

Gleb obrzucił „ucztę" głodnym wzrokiem i spojrzał z ukosa na trupka gryzonia we własnej ręce. Dopiero co chciał go oddać jako zapłatę za miejsce przy ogniu, ale widząc tak suty posiłek…

– Ależ wyrzuć stąd tę zarazę! – zaśmiał się ten sam facet w ekstrawaganckiej wiązanej czapce. – Jedz, nie wstydź się. Nie jesteśmy jakieś żłoby, dziecko zawsze nakarmimy.

Chłopiec skinął głową z wdzięcznością i bez ociągania rzucił się na poczęstunek. Buntujący się spazmatycznie żołądek zaburczał z wdzięcznością, a Gleb, oblizując tłuste palce, uśmiechnął się po raz pierwszy od kilku dni.

Wypadki, które mu się przydarzyły, okazały się na tyle niespodziewane i przerażające, że nie miał teraz ochoty na wspomnienia. Za każdym razem, kiedy przed oczami pojawiał mu się obraz półdzikich ogryzków albo bandy bezbożników, chłopiec

przeklinał się za to, że otworzył wtedy te nieszczęsne drzwi. Najadł się strachu co niemiara. Szczególnie nieprzyjemnie było podczas krótkotrwałej potyczki w kolektorze, kiedy kule bandytów gwizdały mu nad głową. A zakończona sukcesem ucieczka z perspektywy czasu w ogóle wydawała się czystą brawurą. Na szczęście karawaniarze nie zauważyli obcego, który zawieruszył się w tłumie niewolników, i tylko dzięki temu udało mu się niezauważalnie opuścić terytorium bezbożników. Lecz wszystkie przeżyte niepokoje wynagrodziła mu z nawiązką pełna otuchy wiadomość, którą podzielił się z nim rozgadany rozbójnik o przezwisku Żywczyk.

Kaleka opowiedział o pewnym bandycie z ich szajki, który cierpiał na chorobę według opisów bardzo podobną do schorzenia Tarana. A najważniejsze w tej historii było to, że biedak się wyleczył! Do końca i bez nawrotów wyzdrowiał! Żywczykowi starczyło niestety rozumu, żeby zmilczeć to, jak i gdzie szukać ratunku. Za tę właśnie informację trzeba było się rozstać z ulubioną zapalniczką. Gleb starał się jednak nie myśleć o tej bolesnej stracie. Za zdrowie świeżo przybranego ojca można oddać i więcej…

Chłopiec rozejrzał się. Chociaż Władimirska zdawała się ciasna i niepozorna ze względu na krótką centralną nawę, gościnność i prostota jej nielicznych mieszkańców tworzyły na stacji niepowtarzalną atmosferę ciepła. Kilka ognisk chaotycznie rozpalonych wzdłuż peronu, własnoręcznie zrobione namioty dookoła i niedbale zwalone na wspólną stertę worki z prowiantem – oto chyba całe proste wyposażenie tego niczym niewyróżniającego się miejsca.

Żywy chłopaczek – ten, który trzymał gitarę – nawijał bez ustanku, przeplatając pustą paplaninę niewyszukanymi wprawkami muzycznymi. Sąsiedzi zwali go Psychopatą. Gleb uznał, że nie będzie dopytywał dlaczego. Być może gitarzysta był nadmiernie emocjonalny, wyżywając się w słownej paplaninie… Obserwując, jak palce zręcznie fruwają po strunach, chłopiec wsłuchiwał się w dźwięki kołyszącej do snu melodii, ale myśli miał zajęte czym innym.

Powrót do splądrowanego schronu byłby niebezpieczny: ogryzki mogą tam na niego czekać, a wtedy lepiej nie liczyć na jeszcze jeden szczęśliwy zbieg okoliczności. Pytania, dlaczego pokojowo nastawione dzikusy nagle zamieniły się w łowców ludzi i dlaczego szukają właśnie jego, trzeba będzie na razie odłożyć na potem. Teraz najważniejsze – jak można najszybciej znaleźć Tarana i podzielić się z nim dobrymi wieściami. Ten, oczywiście, będzie go szukać i zacznie od stacji najbliższych Moskiewskiej, dlatego najlepiej będzie teraz iść do Dyma, na Elektrę. Pod opieką mutanta można spokojnie poczekać na ojca.

Z rozmyślań wyrwał Gleba kolejny wybuch śmiechu. Prowodyrem był jak zwykle Psychopata. Przedmiotem jego uwagi stała się tym razem grupa odpoczywająca przy sąsiednim ognisku. Piegowaty chłopak tytułował ich nie inaczej jak przyjezdnymi turystami. Gleb dowiedział się już z rozmowy, że na stacji zebrało się dość wielobarwne towarzystwo. Kogo tu nie było! Goszczący Gleba postrzeleńcy okazali się skoczkami na linie, a małomówni wujaszkowie z drugiego ogniska – speleologami. Znalazło się także miejsce dla kilku alpinistów z nie wiedzieć gdzie zdobytym wyposażeniem. Próbując przysłuchiwać się niespiesznym dyskusjom zebranych, chłopiec pogubił się w obfitości terminów i, choć bardzo się starał, nie pojął istoty tego, co się działo na tej stacji.

Dawno nie miał okazji usłyszeć tylu nowych słów za jednym posiedzeniem. Tyle że wciąż nie mógł uchwycić sensu w pasjach tych ludzi. Badać tunele – to jeszcze od biedy można zrozumieć. O diggerach krąży wiele historii. Ale, przykładowo, łażenie po ścianach… Po co, jeśli są drabinki? Chłopiec nie miał jednak śmiałości, żeby wypytywać, poza tym nie było czasu na bzdury. Kiedy już z woli losu znalazł się tak daleko od domu, to trzeba było jak najszybciej ruszać w drogę powrotną.

Gleb podziękował towarzystwu za nocleg i skierował się w stronę tunelu. W połowie drogi dogonił go Psychopata.

– Czekaj! Dokąd to, bez światła? Trzymaj. – W ręce chłopca znalazła się latarka. – Przejdę się z tobą kawałek. Nawiasem mówiąc, czemu sam się włóczysz, bez dorosłych? Sierota?

– Żaden sierota! – wypalił Gleb. – Mam ojca.

– Czyli uciekłeś? – Muzyk uśmiechnął się półgębkiem.

Chłopiec postanowił, że zmilczy. Sapał tylko ze złością i popatrywał spode łba na odprowadzającego.

– A skąd jesteś i dokąd się wybierasz? – Psychopata nie ustępował.

Pomimo życzliwego tonu współtowarzysza, chłopiec nie pałał chęcią, by opowiadać o swoich ciężkich przeżyciach. Wiadomo co ten typ może mieć w głowie?

– Muszę iść do mazutów – odparł wymijająco.

– A tutaj to po co przydreptałeś, głupolu ty? Chociaż czekaj… Widać nie wiesz nic o Szczelinie?

– Jakiej znowu Szczelinie?

– Ha, bracie! No nieźle! Dobra, chodźmy. Zaraz sam wszystko zobaczysz.

Muzyk mrugnął konspiracyjnie i pospieszył naprzód. Gleb, zaintrygowany do niemożliwości, ruszył za nim. Kiedy nagle tunel przed nimi się urwał, niknąc w smoliście czarnej pustce gigantycznego urwiska, którego krawędzie ginęły w mroku po bokach tunelu, zrobiło mu się jakoś nieswojo. W mgnieniu oka zakręciło mu się w głowie.

– No, co się zatrzymujesz? Nie bój się, nie zawali się. Porządna robota.

Z łokciami opartymi na zbitej z desek poręczy, Psychopata stał na wątłym, zdawało się, drewnianym mostku zwisającym nad urwiskiem i pobłażliwie obserwował reakcję Gleba. Ten ostrożnie przeszedł po deskach i złapał się balustrady, zaglądając w dół.

– I to jest Szczelina? – uściślił chłopiec zmatowiałym ze zdenerwowania głosem.

– W rzeczy samej. Spece gardła sobie pozdzierali i wciąż nie mogą rozstrzygnąć, skąd się to cholerstwo wzięło. Jedni mówią, że to

jaskinia krasowa, inni, że… jak jej tam… szczelina tektoniczna. Tu to jeden geolog opowiadał, że niby Piter leży na styku Płyty Bałtyckiej i Rosyjskiej. A w dzień Katastrofy doszło do jakichś przesunięć przez wybuchy głowic nuklearnych na całym kontynencie. Szczerze mówiąc, to specjalnie nie wnikałem… Mówi się, że jeszcze przez jakiś czas można było przedostać się do Puszkińskiej. Tubingi osiadły, ale dalej było przejście. Starsi opowiadają, że w dniu, w którym zawalił się tunel, szedł bogaty tabor z amunicją. Majątek przepadł pod ziemią. Ech…

– Głęboko tam jest?

Nieprzenikniony mrok wypełniał sobą wszystko dookoła. Jedynie światło pochodni wmurowanej w resztkę tubingu wycinało z ciemności gardziel pozostawionego za plecami tunelu i fragment gliniastej pionowej ściany.

– A kto ją tam wie? Nikt jeszcze nie dotarł do dna. Speleolodzy zamówili nawet u mazutów specjalną linę. Wszyscy kombinują, jak zbadać, co tam jest w głębinie. A nas to nie grzeje. Skaczemy sobie dla przyjemności. Dobrze, że ściana jest pionowa – człowiek się nie roztrzaska.

Chłopiec obrzucił wzrokiem liny i karabińczyki porozkładane na pomostach, wyciągarkę na statywie z kółkami zębatymi mechanizmu obrotowego. Psychopata chyba nie kłamał. A więc rzeczywiście zdarzają się dziwacy gotowi ryzykować własnym życiem nie dla jedzenia, ale w poszukiwaniu mocnych wrażeń. Glebowi zdawało się to nienaturalne. Jeśli już chce się połechtać nerwy, to dlaczego nie wyjść na powierzchnię, nie zdobyć na przykład czegoś cennego?

– Adrenalina, brachu… – Muzyk jakby czytał w jego myślach. – To mocniejsze od narkotyków. Wszyscy tutaj są od tego uzależnieni. Jak poczekasz chwilę, zobaczysz, co to takiego skakanie na linie. Nie da się tego opowiedzieć… Nieprzeniknione ciemności… Swobodny lot… I nikogo dookoła. Tylko ty i otchłań. Jeden na jeden…

Psychopata zmrużył oczy, rozpostarł ręce. Postał tak z minutę, zachwycając się wyobrażonym lotem. Potem otworzył oczy, popatrzył

na rozmówcę z zakłopotaniem i smutkiem.

– A potem szarpnięcie… I już znowu odczuwasz ciężar swojego ziemskiego ciała, zawisasz nad otchłanią niebytu, a potem powoli wyciągają cię na górę, do świata żywych…

– Mówisz o tym z takim żalem – powiedział Gleb, zerkając z ukosa na mrok za balustradą – jakbyś nie chciał stamtąd wracać…

Muzyk wzdrygnął się, jakby dostał w twarz. Popatrzył na chłopca z pewnym zdziwieniem, nie spodziewał się, że dziecko ot tak, od razu i bezbłędnie znajdzie główny problem, zbliży się do zrozumienia istoty jego niezdrowego zauroczenia Szczeliną.

– A może i masz rację! W imię czego w ogóle wracać? W imię życia w norach? Niekończących się posiadówek przy ogniskach? Ochłapów od przyjezdnych turystów z bogatych kolonii? Już mi się to przejadło. Na górę człowiek nie wyjdzie – radiacja. Jedyne miejsce, którego nie zdążyliśmy zapaskudzić jest tam, w dole. W pierwotnym mroku. Może i dlatego ciągnie nas tam jak magnes. Stamtąd przecież wyszliśmy. I tam wrócimy. Mrok na zewnątrz, mrok wewnątrz nas…

Nastrój chłopaka bez powodu nagle się pogorszył. Ale kiedy Psychopata zauważył, jak Gleb się spiął, potrząsnął głową, a w oczach znów mu się pojawił łobuzerski błysk.

– Nie przejmuj się. Tylko udawałem. – Zmieszał się. – No, podaj lepiej tamten wynalazek.

Chłopiec podniósł z pomostu ciężką kuszę i podał ją Psychopacie. Ten wprawnym ruchem naciągnął mechanizm spustowy, zapalił końcówkę bełtu i wystrzelił. Ognisty zawijas przeszył egipskie ciemności. Z głuchym stuknięciem bełt wbił się w przeciwległą ścianę rozpadliny jakieś dziesięć metrów przed nimi, oświetlając niewielki kawałek przestrzeni wokół. Teraz chłopiec mógł ocenić rozmiary lokalnej katastrofy naturalnej.

– Czyli dostać się na Puszkińską…

– Tą drogą się nie da. – Dokończył zdanie muzyk. – Dalsza część tunelu jest gdzieś po tamtej stronie, pod warstwą gruntu. Będziesz musiał wybrać inną drogę.

To było to. Odpowiedź na dręczące Gleba pytanie – iść w stronę domu w poszukiwaniu przybranego ojca, czy spróbować szczęścia u lekarzy wojskowych i znaleźć sposób, by wyleczyć Tarana. Okoliczności same popychały go, by wybrać drugi wariant. Tym bardziej że Plac Lenina był o rzut kamieniem – jakieś trzy stacje. Ojciec będzie się oczywiście denerwował, ale jeśli wszystko się powiedzie, to wynagrodzi mu zszargane nerwy z nawiązką.

– No cóż, jeśli inną, to inną. Dziękuję ci za wycieczkę, Psychopato.

Ostrożnie stawiając nogi, chłopiec zszedł z pomostu. Wszedł na betonowe podłoże tunelu i odetchnął z ulgą. W odróżnieniu od współtowarzysza, spotkanie ze Szczeliną nie wydało mu się urzekające. Budziło raczej strach. Muzyk wciąż jeszcze stał na skraju przepaści, wpatrując się w mrok pod nogami.

– Idź – rzucił, nie odwracając się. – Pobędę tu jeszcze przez chwilę. Sam na sam…

Gleb skinął głową i szybko odszedł. Czekały na niego poważniejsze sprawy niż rozmowa z na wpół oszalałym miłośnikiem sportów ekstremalnych. Przed nim widać już było skraj peronu stacji, kiedy, wiedziony instynktownym impulsem, chłopiec się odwrócił. Daleki ognik pochodni oświetlał pusty pomost. Wytężając wzrok, chłopiec ciągle starał się wypatrzeć na mostku figurkę Psychopaty, ale ten jakby wyparował. Czy to światło było zbyt słabe, czy też…

Chłopiec postał przez chwilę w niepewności, potem odrzucił głupie myśli i ruszył na drugą stronę stacji, do przeciwległego tunelu. Koniec końców Psychopata jest dorosłym człowiekiem. Niech sam jakoś się upora z toczącym go robakiem.

* * *

W odróżnieniu od posterunków Placu Powstania, podejście do Czernyszewskiej nie było tak silnie chronione. Wartownik nie czepiał się samotnego chłopaczka, przyjmując, że to miejscowy. Zagroził tylko, że następnym razem, kiedy Gleb będzie się szlajał nie wiadomo gdzie bez nadzoru rodziców, to na pewno wytarga go za

uszy. Stacja przypominała w czymś Moskiewską, z której pochodził: podobne zapachy prostego jadła, tulące się do siebie pudełka baraków, słabe światło lamp pod stropem…

Chodników, co zrozumiałe, tu nie brakowało, lecz mimo to miejscowi wyraźnie różnili się od mieszkańców Placu Powstania. Żadnych podejrzliwych spojrzeń, ani snujących się wszędzie patroli. Przez tamtą stację chłopiec przemknął jak cień, cudem nie zwracając niczyjej uwagi. Dało się odczuć bliskie sąsiedztwo chodników ze znienawidzoną Majakowską należącą do Aliansu Primorskiego. Taran opowiadał mu kiedyś poplątaną historię o jakimś skradzionym dieslu, ale opowieści o porachunkach między koloniami brzmiały wtedy dla chłopca niczym ciekawe baśnie – tak bardzo wygodne i dostatnie zdawało się życie w bezpiecznym schronie przeciwlotniczym.

Teraz natomiast trzeba było gorączkowo przypominać sobie te nieliczne informacje o mieszkańcach metra, które zdążył mu przekazać małomówny stalker.

O samej stacji Gleb wiedział niewiele. Fakt, że była jedną z najgłębiej położonych w piterskim metrze (coś koło siedemdziesięciu metrów), nie robił specjalnego wrażenia. Ci, którzy urodzili się pod ziemią, nie cierpieli na klaustrofobię, wręcz przeciwnie. Im więcej metrów oddzielało sklepienie stacji od przerażającej powierzchni, tym raźniej było na duszy.

Jak na złość, nie udało mu się przypomnieć więcej przydatnych informacji. Zdążył tylko wejść na stację przed ogłoszeniem godziny policyjnej, po rozpoczęciu której wejścia i wyjścia były zamykane aż do rana. Oczywiście umownego rana, bez jakiegokolwiek związku z następstwem dnia i nocy na powierzchni. Jednak, aby oszczędzać energię elektryczną i zachować dyscyplinę, większość kolonii trzymała się ogólnie przyjętego trybu z gaszeniem świateł i pobudkami. Po kilku minutach oświetlenie w nawie centralnej i na peronach zostało wyłączone, obwieszczając nadejście „nocy”.

Chłopiec zrugał samego siebie za ślamazarność i rozejrzał się dookoła. Nic nie poradzi, trzeba będzie koczować na stacji, póki

znów nie otworzą posterunków. W przyćmionym świetle rzadkich dyżurnych lamp odnalazł wolny kawałek przestrzeni, oparł się o fornirową ściankę najbliższej chałupki i zamknął oczy. Należało chociaż trochę się zdrzemnąć, kiedy już nadarzyła się sposobność. Ale sen nie nadchodził: bolały go utrudzone nogi, posadzka nieprzyjemnie ziębiła mu boki.

Gleb odwrócił głowę i natknął się na czujne spojrzenie starszej kobiety, która siedziała obok, sprawnie operując drutami dziewiarskimi.

– Obserwuję cię – wyszeptała gwałtownie, grożąc mu koślawym palcem. – Tylko spróbuj coś podwędzić, od razu doniosę komendantowi!

Chłopiec zerknął na tobół z włóczką i demonstracyjnie odwrócił się w drugą stronę. Sądząc z ponownego postukiwania drutów, podejrzliwa dama w olbrzymim berecie własnej roboty wróciła do wcześniejszego zajęcia, lecz, by uniknąć ekscesów, Gleb cały czas starannie sapał, udając, że śpi, i tak się wciągnął, że sam nie zauważył, kiedy odpłynął.

Hałas od strony posterunku wyrwał go ze stanu półsnu głęboką nocą. Chłopiec wyprostował zdrętwiały kark i spróbował dojrzeć, dlaczego wartownicy nagle się ożywili, a w szeregach sennych mieszkańców rozległy się niespokojne szepty. Wreszcie w polu jego widzenia ukazała się ogromna postać ludzka. Chociaż – czy na pewno ludzka? Przez chwilę Glebowi przywidziało się już, że to Dym – tak imponująco wyglądał rosły gość. Lecz kiedy nieznajomy wszedł w obręb światła lampy, dało się dojrzeć szczegóły jego przerażającego stroju.

A było na co popatrzeć!

Gościa od stóp do głów pokrywał pancerz. Szczelny metalowy hełm z wąską szczeliną wizjera, kirys na piersi, nagolenniki, naramienniki – wszystko czarne jak węgiel. Pomimo masywnego i na oko potwornie ciężkiego stroju, gigant poruszał się nad podziw płynnie i lekko. Zza pleców przybysza wystawał wierzchołek podłużnej butli. Wąski,

wzmocniony metalem wąż ciągnął się od dna pojemnika do sprężarki miotacza płomieni z osmaloną dyszą.

Ignorując napięte spojrzenia strażników, siłacz ruszył centralnym przejściem, co chwila się zatrzymując i długo patrząc na tulących się do filarów ludzi.

– Święty, święty… – zaczęła zawodzić szwaczka, przeżegnawszy się. – Panie, chroń nas od napaści, wybaw od przelewu krwi…

W odpowiedzi na nieme pytanie Gleba kobieta szybko wyszeptała:

– Siedź cicho i módl się, żeby nas ominął! To Czarny Sanitariusz! Widocznie na stacji pojawili się zadżumieni! On ich wyłapuje w całym metrze. Mówią, że ma specjalny przyrząd, który wykrywa zarazę. Jak znajdzie chorego, to już po nim. Był człowiek i nie ma człowieka! A teraz tu go licho przyniosło…

Chłopiec skulił się, starając się nie oddychać. Serce zaczęło mu walić jak młotem. Od razu przypomniało mu się, jak dorośli na Moskiewskiej za wszystkie wybryki straszyli jego i pozostałe dzieciaki tym właśnie Sanitariuszem. Gleb zawsze uważał go za wymyśloną postać i nie reagował na z pozoru niepoważne groźby. Za to teraz, kiedy przyszło mu stanąć z koszmarem z dziecięcych opowieści w cztery oczy, po ciele przeszedł mu dreszcz. Niby nie ma się czym przejmować, Gleb nie narzekał na zdrowie. Ale co jeśli ten mityczny bojownik z dżumą nagle się pomyli?

Gigant tymczasem nieubłaganie się zbliżał, z każdą chwilą stawał się coraz większy, wypełniając sobą i bez tego ciasną przestrzeń środkowego korytarza. Szerokie naramienniki czarnej od sadzy zbroi co i rusz zawadzały o krawędzie zmurszałych chatynek, wydając nieprzyjemny zgrzyt, od którego strasznie bolały zęby.

„Idź dalej, idź dalej, idź dalej…” – powtarzał sobie Gleb jak nakręcony.

Złowieszczy cień powoli pełzł po peronie, wyprzedzając swojego właściciela. Widząc na popękanej posadzce stacji kontur hełmu, chłopiec nie wytrzymał i zacisnął oczy. Buch… buch… buch… Każdy krok olbrzyma odzywał mu się w głowie jak dzwon na trwogę, zabijał

myśli, kruszył wolę. Od pobrzękiwania płyt pancerza krew stygła w żyłach.

Osiągnąwszy apogeum, kakofonia dźwięków towarzyszących przemarszowi Czarnego Sanitariusza nagle się urwała. W panującej dookoła grobowej ciszy Gleb słyszał tylko własny urywany oddech. Cała wieczność minęła w pełnym napięcia oczekiwaniu. „Czyżby poszedł?" – przemknęła mu przez głowę rozpaczliwa myśl. Nie będąc w stanie pozostawać dłużej w niewiedzy, chłopiec otworzył oczy. Jego wzrok padł na ogromne metalowe buciory, prześlizgnął się po zakutej w zbroję postaci… Głowa Sanitariusza była zwrócona w stronę Gleba. Zamknięty hełm z aparatem oddechowym wmontowanym pod płytą chroniącą obojczyk nie pozwalał dojrzeć jego oczu, ale z jakiegoś powodu chłopiec był pewien, że walczący z dżumą gigant patrzy właśnie na niego.

Gleb nie oderwał wzroku. Jakiś wewnętrzny upór zabraniał mu odwrócić się z przerażeniem. Czarny Sanitariusz wznosił się nad chłopcem jak góra i zdawało się, że patrzy prosto w jego duszę. Sekundy płynęły jedna za drugą. Nerwy dźwięczały jak naprężone struny. Obok dał się słyszeć histeryczny szloch – kobieta z robótką ręczną nie wytrzymała i spazmatycznie odczołgiwała się gdzieś na bok.

Nie wiadomo, czym zakończyłby się ten pojedynek na spojrzenia, gdyby nie zamieszanie obok zejścia do maszynowni. Klnąc i wymyślając miejscowym mechanikom od najgorszych, na peron wyskoczył, machając rękami, przysadzisty okularnik z wysłużoną teczką. Sfatygowany sweter w romby, okulary jak denka od butelek… Gleb go rozpoznał. Administrator Siennej, Pantelej Gromow we własnej osobie. W celu podtrzymania kontaktów handlowych nierzadko przychodziło mu porzucać przytulny gabinet rodzinnej stacji. I to był najwidoczniej właśnie taki przypadek.

W ślad za nim wyszedł miejscowy zarządca i coś zajadle tłumaczył mikrusowi, ale widząc zakutego w zbroję olbrzyma z miotaczem

ognia, urwał w pół słowa i pierzchnął z powrotem w głąb pomieszczeń technicznych.

Czarny Sanitariusz wreszcie się poruszył, gwałtownie odwracając się w stronę hałasu. Kiedy zobaczył Panteleja, poderwał się jak ogar, który złapał trop, i pospiesznie przeciął peron. Podszedł blisko i wyciągnął spod pancerza nieznane urządzenie – coś w rodzaju pistoletu z miniaturowym ekranem zamiast celownika. Gleb starał się ze wszystkich sił, ale nie zdołał dojrzeć ze swojego miejsca wymyślnego przyrządu. Nie było nawet widać, żeby ekran się świecił. Mimo to Sanitariusz, kierując się sobie tylko znanymi oznakami, schował detektor z powrotem i łapiąc potężną dłonią podniszczony sweter, z łatwością podniósł Panteleja do góry. Ten łapał tylko ustami powietrze i mrugał oczami, podczas gdy gigant taszczył go przez peron, na skrawek posadzki, jakim był zaimprowizowany centralny placyk.

Biedaczysko klapnął na beton, krzyknął z oburzeniem i próbował wstać, ale bezlitosne kopnięcie metalowego buta w brzuch sprawiło, że zwinął się na ziemi w pozycji embrionalnej. Nikt właściwie nie zdążył niczego zrobić, a strażnicy stali w otępieniu, nie decydując się na interwencję, kiedy z dyszy miotacza wyleciał strumień ryczących płomieni. Tam, gdzie przed momentem szamotała się figurka człowieka, teraz szalał ogień. Kłęby czarnego, gryzącego dymu wzbiły się w górę, rozlewając się pod sklepieniem.

Koloniści, mimowolni świadkowie strasznej rozprawy, rzucili się na boki. Wyjąc histerycznie, ci o najsłabszych nerwach rzucili się do wyjścia, w stronę tuneli.

– Stać! – Dał się słyszeć władczy głos dowódcy warty. – Do tyłu, mówię! Zachować spokój!

Przy posterunku natychmiast zrobił się ścisk. Żołnierze z trudnością powstrzymywali oszalały ze strachu tłum. Nikt nie miał ochoty podzielić losu Gromowa. Wydawało się, że jeszcze chwila i kordon będzie musiał pęknąć pod naporem ludzkiej rzeki, lecz sylwetka Czarnego Sanitariusza oddalającego się w przeciwnym kierunku

zadziałała na nich trzeźwiąco. Krótkotrwały obłęd zakończył się równie szybko jak się zaczął. Wystarczyło, by opancerzony gigant opuścił stację, a tłum rozproszył się w ciągu minuty. Krzyki przerażenia zastąpiły westchnienia ulgi. Teraz, kiedy bezpośrednie zagrożenie minęło, zachowanie obecnych jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki uległo zmianie. Ktoś żarliwie się żegnał, inni półgłosem wychwalali bezlitosnego bojownika tępiącego dżumę. Jakkolwiek patrzeć, była to zacna misja, a w imię wykorzenienia zarazy można znieść pewne niedogodności… Na dymiącą czarną plamę na środku peronu starali się nie zwracać uwagi.

Gleb podszedł na sztywnych nogach do żarzących się szczątków. Poczuł drapanie w gardle od ostrej woni spalonego ciała. Starając się nie patrzeć pod nogi, chłopiec zdjął wiatrówkę i przykrył nieboszczyka, przeklinając się za to, że nie zdołał… Nie opanował własnego strachu, nie wmieszał się, nie zrobił niczego, by jakkolwiek wpłynąć na los Panteleja. To, że aktywny i pełen niespożytej energii administrator Siennej okazał się zadżumiony, wciąż nie mieściło mu się w głowie. A nawet jeśli tak było, to nie mogło to usprawiedliwiać takiego okrucieństwa.

Chłopiec rozejrzał się z niepokojem, studiując twarze snujących się wokół kolonistów. Senni, ponurzy, zatroskani, przerażeni… Ale wszyscy jak jeden mąż obojętni. Dlaczego ludzie wokół pozwalają na takie rzeczy? Dlaczego tak trzęsą się o swoje życie i za grosz nie cenią cudzego? Wygląda na to, że w skarbonce, do której zbierał nierozwiązane kwestie, pojawiła się kolejna. A Tarana, jak na złość, nie było w pobliżu. Już on na pewno wyjaśniłby Glebowi, skąd u dorosłych taka obojętność na cudze nieszczęście.

Miejscowy lud jak gdyby nigdy nic rozszedł się po namiotach i leżakach – żeby dospać pozostałe do pobudki godziny. Chłopiec nawet nie zauważył, jak został na środku peronu sam. Nie dało się powiedzieć, że dobrze znał Gromowa, ale nie potrafił pozostać obojętnym, a tym bardziej po prostu odejść. Poczuł czyjąś rękę na ramieniu.

– Niedługo przyjadą mortusy. Nie powinieneś na to patrzeć. – Kobieta w berecie z włóczki łagodnie popchnęła Gleba w plecy. – Chodźmy, nakarmię cię.

Nie był to, mówiąc wprost, najlepszy moment na posiłek.

– Dziękuję… Coś nie mam ochoty. – Gleb znacznie się odsunął, ale podstarzała dama dalej nalegała.

– Chodźmy, chłopczyku, chodźmy. Poczęstuję cię zupą, a ty oddasz mi to, co zabrałeś… – Kobieta sztucznie się uśmiechnęła.

– O czym pani mówi? – zapytał ze zdziwieniem Gleb.

– O tym, co znalazłeś… U tego zadżumionego… Już tyle czasu tu sterczysz. Po prostu mi powiedz. Co tam było, hę? – Kobieta podważyła czubkiem buta stopioną od gorąca teczkę Panteleja, odsunęła na bok wieko i zajrzała do środka. – Dawaj, złodziejaszku, wyciągaj, czym się wzbogaciłeś!

Chłopiec skrzywił się i odsunął. Potrząsnął głową, nie był w stanie pogodzić się z takim przejawem bezduszności. Na twarzy zastygł mu wstręt. Na kobiecie reakcja Gleba wywarła nie mniejsze wrażenie. Urwała w pół słowa i nagle zasłoniła usta rękami, próbując jakby zawrócić rzucone w porywie chciwości słowa, potem wstydliwie odwróciła twarz i uciekła.

Kiedy nad peronem rozbłysły dodatkowe lampy, oznajmiając o nadejściu poranka, chłopca nie było już na stacji. Wartownik z posterunku potulnie przepuścił go na zewnątrz jeszcze w nocy z obawy, że umorusany nastolatek, sterząc obok trupa, mógł złapać zarazę.

Krocząc po podkładach kolejowych, Gleb wciąż nie mógł ochłonąć po przebytym wstrząsie. Teraz, jak nigdy wcześniej, chciał zobaczyć się z Taranem, podzielić się przeżyciami, skryć się za szerokimi, pewnymi plecami stalkera, uspokoić zszargane nerwy. Przez ostatnie kilka dni ten miniaturowy, ocalały z nuklearnego kataklizmu świat nie przestawał go zadziwiać i zdążył porządnie mu się sprzykrzyć przez swoją absurdalność, nieuzasadnione okrucieństwo i beznadziejny cynizm. I Gleb dawno już przestałby wierzyć w jego przyszłość,

gdyby nie osadnicy z Moszcznego. Ludzie otwarci i pogodni, w odróżnieniu od nieczułych i złych mieszkańców metra… Przebijając się przez mrok nieznanego tunelu w stronę siedziby wojskowych lekarzy, chłopiec zostawił za sobą chandrę i zaczął iść żwawiej. Myśl o dalekiej wyspie ogrzewała mu serce.

Rozdział 9: PRZYSIĘGA

Rubinowa ciecz w retorcie leniwie uwalniała bąbelki, powoli dochodząc do stanu wrzenia. Pierwsze krople kondensatu pociekły po pochyłej szyjce naczynia, kiedy ktoś natarczywie zastukał do drzwi. Krzywiąc się z niezadowoleniem, ubrany w biały kitel mężczyzna w średnim wieku pospiesznie zdjął pękatą kolbę z ognia, ale gorące szkło sparzyło mu palce. Ręka drgnęła, retorta wyślizgnęła się i rozbiła w drobny mak. Klnąc, pechowy eksperymentator przedostał się między nagromadzonym sprzętem laboratoryjnym i z rozdrażnieniem szczęknął zasuwą.

– Prosiłem przecież, żeby mi nie przeszkadzać, kiedy…

Końcówkę zdania połknął, chwytając ustami powietrze. Na progu stał wąsaty komendant we własnej osobie i patrzył surowo spode łba.

– Kantemirow, znów te twoje fanaberie! Dlaczego nie objąłeś jeszcze dyżuru?

– Kiedy ja… – Lekarz zaczął się uwijać, gorączkowo zbierając rzeczy. – Już biegnę!

– Pamiętaj tylko! Jeszcze raz spóźnisz się na dyżur, to cię wpakuję do karceru!

Pobladły lekarz przecisnął się obok rozsierdzonego komendanta i popędził korytarzem.

– Władlen! – zawołał tamten, gładząc się po wąsach.

Lekarz odwrócił się, nieomal wpadając na szafę z lekarstwami.

– Masz tam gościa. Mówi, że osobiście do Kantemirowa. Dowiedz się, czego chce, i poślij go do wszystkich diabłów. Nie mamy dziś czasu na wizyty…

Medyk skinął głową i pospieszył, by zejść z oczu rozgniewanego naczelnika. Cóż, nowe receptury będą musiały zaczekać. Tego

jeszcze brakowało, żeby narazić się władzy przez własne badania naukowe. Nastrój już był do niczego, a przed nim jeszcze dwunastogodzinna zmiana w szpitalu…

Lekarz minął odgrodzone parawanami łóżka szpitalne, przemknął wzdłuż szeregu stojaków z kroplówkami, skręcił w korytarz utworzony z regałów na materiały opatrunkowe i znalazł się wreszcie przy drzwiach do izolatki.

– Gdzie?! – Strażnik pojawił się przed wejściem. – Kwarantanna. Bez maski nie wolno.

Władlen niechętnie pogrzebał w kieszeni, wyciągnął kawałek materiału i z demonstracyjnym lekceważeniem założył go na twarz. Masywne drzwi z okratowanym okienkiem otwarły się na oścież. W ciasnym pomieszczeniu na kozetce siedział mniej więcej dwunastoletni chłopiec. Umorusany, potargany, ale nadzwyczaj poważny. Na widok nieznajomego dorosłego nie speszył się, tylko podszedł niespiesznym krokiem, wyciągając rękę na powitanie.

– Gleb.

Lekarz mimowolnie się uśmiechnął i potrząsnął drobną rączką chłopaczka.

– Władlen. Czyli to ty mnie szukasz?

– Tak. – Gleb wdrapał się z powrotem na kozetkę. – Niech pan się nie boi, nie zarażam. Może pan mnie badać, ile pan chce, wszystko rozumiem.

Uśmiech na twarzy Kantemirowa zrobił się jeszcze szerszy. Maska okazała się bardzo na miejscu, gdyż skrywała mimikę dorosłego.

Władlena zdradzały tylko wesołe zmarszczki w kącikach oczu.

– Skąd się tu wziąłeś taki pojętny?

Chłopiec zignorował jednak żartobliwy ton, przyglądając się rozmówcy badawczym, nad wiek mądrym spojrzeniem. Przyprószona siwizną, przygładzona fryzura, spiczasty podbródek, ostro zarysowane kości policzkowe… Spod podziurawionego żarem z papierosa lekarskiego kitla wystawał zatłuszczony kołnierzyk koszuli. Zaczerwienione, zmęczone oczy.

– Zna pan Tarana?

Lekarz zmieszał się. Zwlekając z odpowiedzią, przysiadł na taborecie naprzeciwko niezwykłego gościa, popatrzył na niego uważnie, z rosnącą ciekawością.

– Zaraz, słyszałem, że kogoś usynowił. Czy to aby nie ciebie właśnie…

– Właśnie mnie. – Gleb niecierpliwie pochylił się do przodu. – Potrzebuję pańskiej pomocy.

Słuchając zagmatwanej opowieści, Władlen nabierał coraz większej sympatii do tego zdeterminowanego i nieustraszonego chłopaka. Nawet jeśli tylko połowa z tego, co naplótł, była prawdą, to stawało się jasne, dlaczego tak się spodobał najemnikowi. Jednocześnie wyrachowanie i pragmatyzm uczonego nie pozwalały lekarzowi tak po prostu, bezinteresownie, spełnić prośbę Gleba.

– Widzisz, sprawa wygląda tak… – Kantemirow ściągnął z twarzy niewygodną maskę. – Ten bandyta, o którym wspominałeś, cierpiał na epilepsję. W jego przypadku diagnoza była jasna. Jeśli zaś chodzi o twojego przybranego ojca… Z nim sprawa jest trudniejsza. W końcu zwracał się już kiedyś do mnie ze swoją dolegliwością.

Chłopiec wyprostował się, łowiąc każde słowo.

– Tak, tak – ciągnął Władlen, widząc reakcję Gleba. – Zaproponowałem mu kompleksowe badanie w zamian za pewne zlecenie, które najemnik wolał odrzucić.

– Co to za zlecenie? Może ja dam radę…

– Wątpię – urwał lekarz. Dało się zauważyć, że rozmowa z dzieckiem była dla Kantemirowa nużąca. – Nie dasz rady. Wybacz, młody, ale Taran dokonał wyboru, a ty nie masz niestety niczego do zaoferowania w zamian za moje usługi.

Wstając, Władlen zauważył nagle w dłoni chłopca ampułkę. Brunatna zawartość buteleczki wzbudziła jego zawodowe zainteresowanie.

– Co tam masz?

– Wegańską surowicę. – Gleb otworzył palce, spoglądając na niewielki zalakowany szklany walec.

Pojedyncza porcja, którą udało mu się nie tylko ukryć podczas zdradzieckiego napadu ogryzków na schron, ale też ustrzec w niewoli u bezbożników. Chłopiec pociągnął nosem i wyjaśnił:

– Dzięki niej szybciej ustępują ataki.

– Ataki, powiadasz? Daj no, niech zerknę. – Kantemirow wyciągnął rękę. – Daj, nie bój się. Wezmę odrobinę do analizy, resztę ci oddam. I tak będziesz musiał tu tkwić, póki nie przejdziesz testów, czy nie zostałeś zakażony.

Zawahawszy się przez moment, chłopiec podał ampułkę lekarzowi. Może nie na darmo ocalała ze wszystkich tarapatów? Może właśnie po to, żeby w końcu trafić w ręce wojskowych lekarzy? Rozpaczliwie chciał wierzyć, że właśnie tak było. A nuż, widelec i Władlen coś podpowie? Gleb westchnął, odprowadzając wzrokiem lekarza. Drzwi zatrzasnęły się, a chłopiec pozostał sam na sam z mnóstwem nierozwiązanych pytań.

Czas w chłodnej izolatce ciągnął się niemiłosiernie. Zaraz po wyjściu Kantemirowa chłopca zbadano, pobrano też od niego próbkę krwi. Od tamtego czasu minęło przynajmniej kilka długich godzin oczekiwania, które zamieniły się w wieczność. Nie mając już nadziei na cud, Gleb uspokajał się tym, że chociaż próbował zrobić wszystko, co możliwe, by Taran wrócił do zdrowia. Chłopiec nie chciał zawczasu się poddawać, ale wolał nie żywić płonnych nadziei.

Jakże wielkie było jego zdziwienie, gdy drzwi się otworzyły i na progu znów pojawił się Władlen. Tym razem lekarz w sfatygowanym kitlu wprost promieniał samozadowoleniem.

– Mam dla ciebie dwie wiadomości, chłopcze. A właściwie nawet trzy! Po kolei. – Kantemirow od razu klapnął na taboret. – Zaczniemy może od tego, że jesteś zdrowy. Krew jest czysta, wszystkie wskaźniki w normie.

Gleb ledwo zauważalnie kiwnął głową, niecierpliwie zaciskając palce. Nie to chciał teraz usłyszeć…

– Po drugie – ciągnął lekarz, oddając surowicę – zabieraj tę wegańską lurę. Hmm… Zabawna rzecz, ale uwierz mi, to będzie znacznie skuteczniejsze.

W dłoni Władlena pojawił się niepozorny flakonik z przezroczystym płynem.

– To jest… – Chłopcu aż zaschło w gardle ze zdenerwowania.

Lekarz uroczyście pokiwał głową, upajając się osiągniętym efektem.

– Tak, tak, młodzieńcze. To jest to. Lekarstwo dla uwielbianego przez ciebie Tarana. Nie uwierzysz, ale zsyntetyzowanie go okazało się banalnie proste, wystarczyło tylko wydzielić składowe surowicy, sprawdzić ich oddziaływanie na organizm i sposób, w jaki przerywają ataki choroby. A znając objawy, obeznany specjalista, taki jak ja, bez problemu określi czynnik chorobotwórczy. Nie będę cię zamęczać terminami medycznymi, bo i tak niczego nie zrozumiesz. To zresztą nieważne. Powinieneś teraz pamiętać przede wszystkim o tym, że zdrowie najemnika jest w tej fiolce.

Nie wierząc własnym uszom, Gleb wyciągnął rękę po bezcenną buteleczkę, ale ta zniknęła w dłoni lekarza równie szybko, jak się pojawiła.

– Nie tak szybko, chłopcze… Jak rozumiesz, dobroczynność w naszych czasach nie jest w cenie. Mam więc dla ciebie trzecią nowinę. – Władlen zerknął na zamknięte drzwi i konspiracyjnie ściszył głos. – Ciągle się zastanawiałem, czego zażądać w zamian… Jest taki jeden interesik…

Na twarzy lekarza widać było wewnętrzną walkę. Targany wątpliwościami, wciąż nie decydował się, by zdradzić chłopcu swój sekret, jednak dociekliwość naukowca wzięła w końcu górę.

– Wiesz, dlaczego Taran zrezygnował z badania? Zaproponowałem mu, żeby coś dla mnie odszukał. Pewne sekretne miejsce. Kompleks. Ogromny schron dla wybrańców. Całe miasto głęboko pod ziemią z ogrodami, basenami, czystym powietrzem i świetnym jedzeniem…

– Zurbagan! – wyrwało się Glebowi.

– No, można i tak. Widzę, że znasz już tę historyjkę? – Kantemirow uśmiechnął się półgębkiem. W oczach uczonego pojawił się szalony błysk. – Najemnik machnął wtedy ręką, stwierdził, że to niby wszystko bajki. Brednie. A jednak bajeczka okazała się jedną z tych, w których tkwi ziarenko prawdy…

Chłopiec zapomniał na chwilę o lekarstwie i jak urzeczony słuchał rozmówcy. Trudno było odgadnąć, na ile ten mówił poważnie i czy warto było w ogóle brać to na serio, ale w głowie natrętnie kołatały się słowa usłyszanej kiedyś piosenki. Strasznie chciało się uwierzyć we frapującą historię, którą opowiadał mu jeszcze wujek Pachom.

– Od dawna podejrzewałem, że istnieje schron dla grupy trzymającej władzę. Miejscowi się ze mnie śmieją, mówią, że się zajmuję bzdurami. Że niby pod metrem nic nie ma i być nie może. Ale ja jestem pewien, że gdzieś tam, pod nami, jest kompleks… „Obiekt 30”, pod takim oznaczeniem figuruje w pewnej rządowej instrukcji, którą udało mi się zdobyć. Przez długi czas szukałem jakichkolwiek punktów zaczepienia, żeby określić jego położenie, wszystko na próżno. Ale parę dni temu opatrzność sama zesłała mi klucz do rozwiązania tej tajemnicy! – Rozemocjonowany uczony triumfalnie zerwał się ze stołka. – Dziwna dziewczynka… Nietutejsza… Złapali ją na Siennej, kiedy próbowała ukraść lokalnemu handlarzowi maskę przeciwgazową. Wydawałoby się, zwyczajna dziewczyna, ale od razu zrozumiałem, że jednak wcale nie jest taka zwykła. Jakoś za bardzo jest… zadbana. Rumiana, o zdrowej skórze. Bez porównania z bladymi dzieciakami, takimi jak ty. Do tego rzucała wyszukanymi słówkami: kafeteria, barter, degeneraci… Krótko mówiąc, załagodziłem konflikt, a dziewczynkę wziąłem ze sobą, kłamiąc przy tym jak z nut. Ciągle wyrywała się na powierzchnię, nie wiedzieć po co. Teraz siedzi pod kluczem, głuptaska, zdiagnozowałem ją jako gruźliczkę, żeby nie było niepotrzebnego gadania. No więc czekam, aż się przyzna i opowie o obiekcie. Gdzie jest zlokalizowany, no i jak tam trafić… I tu właśnie twoje zadanie, młody.

– Tak nie powinno być! – oburzył się Gleb. – Nawet jeśli ona naprawdę jest z tego… Zurbaganu, to nie ma pan prawa trzymać jej w zamknięciu! Albo ją pan wypuści…

– Albo co? – przerwał szorstko lekarz, wpatrując się w gościa świdrującym spojrzeniem. Potem jakoś szybko złagodniał i się uśmiechnął. – Dobrze, nie gorączkuj się. Właśnie to zamierzałem zrobić. Za to ciebie poproszę o małą pomoc i dziewczynka sama zaprowadzi nas do schronu. To żadna robota…

Słuchając instrukcji Kantemirowa, chłopiec wciąż starał się przekonać sam siebie, że postępuje słusznie. Nie chciał brać udziału w oszustwie, ale możliwość uwolnienia nieznajomej dziewczynki, a przede wszystkim zapewnienia Taranowi upragnionego powrotu do zdrowia z nawiązką rekompensowały kłamstwa obmyślone przez Władlena. Kłamstwo w słusznej sprawie – czy to nie dorośli ukuli takie wyrażenie?

– A więc zgadzasz się? – Ton Kantemirowa, demonstracyjnie ostry i niecierpiący sprzeciwu, ostatecznie przeważył szalę.

Gleb powoli skinął głową.

– Daj słowo.

Chłopiec popatrzył ze zdumieniem na dorosłego, ale napotkawszy jego poważny, badawczy wzrok, powiedział krótko:

– Przysięgam.

Władlen entuzjastycznie pstryknął palcami i poklepał gościa po plecach.

– Zuch chłopak! Dobry wybór. I wiesz co… Jakoś ci ufam, tak więc trzymaj. – Lekarz zaszeleścił notatnikiem, wydzierając kartkę. W dziecięcej dłoni znalazła się drogocenna fiolka, niedbale zapakowana w kawałek papieru. – I nie otwieraj przed czasem, w świetle może się zepsuć.

Chłopiec wziął zawiniątko ostrożnie, niczym wielki skarb, i schował je za pazuchą. Lekarz wywiązał się ze swojej części umowy. Teraz Gleb musiał wypełnić swoją. Tym bardziej że słowa należało dotrzymywać. Tak uczył go Taran.

* * *

Głucho zgrzytnął mechanizm zasuwy. Okute metalem drzwi otworzyły się, wpuszczając do ciemnej separatki snop boleśnie jasnego światła. W progu pokazał się na moment czyjś cień i ułamek sekundy później ciało kolejnego więźnia padło na wilgotną podłogę. Masywne drzwi zatrzasnęły się z przeciągłym skrzypnięciem. Cela znów pogrążyła się w ciemności.

Mrużąc oślepione oczy, Gleb na próżno wytężał wzrok – próby dojrzenia czegokolwiek były daremne. Nieco później zauważył tuż pod sufitem zakratowane okienko, z którego sączyło się słabe światło. Kiedy jego oczy nieco przywykły do ciemności, ujawniły się zarysy prostego wyposażenia pomieszczenia. Przymocowana do ściany kozetka, osłonięta ubikacja w rogu i wreszcie sylwetka siedzącej na podłodze więźniarki, obejmującej rękami kolana.

Chłopiec usadowił się pod przeciwległą ścianą i przez jakiś czas zachowywał milczenie. Twarz nieznajomej pozostawała poza zasięgiem jego wzroku, a zaczynać rozmowę ot tak, w ciemno, było trudno. Sytuacja rozwiązała się sama, kiedy strażnik wsunął przez okienko w drzwiach miski z jedzeniem. Na czas obiadu światło w komórce zostało włączone.

Glebowi w końcu udało się przyjrzeć koleżance z celi. Teraz zrozumiał, o czym mówił Władlen. Zdrowy, kwitnący wygląd zdradzał obcą na kilometr. Pomimo dość dziwnej fryzury – krótkiej, przyciętej niezgrabnie, jakby w pośpiechu – włosy nieznajomej wyglądały na zadbane i czyste, a skóra istotnie nie miała trupio bladego odcienia właściwego pozbawionym słońca mieszkańcom metra. Chłopiec przypomniał sobie, jak Taran faszerował go jakimiś tabletkami, wyjaśniając, że trzeba uzupełniać deficyt… jak jej tam… witaminy D. Widocznie w tajnym schronie, jeśli rzeczywiście istnieje, z witaminami nie ma problemu. Co do reszty, była to całkiem zwyczajna dziewczynka mniej więcej w wieku Gleba, może rok–dwa starsza, ale nie więcej. Regularne, przyjemne rysy twarzy, wyraziste

szare oczy. Lekko zadarty koniuszek nosa i dołeczki w policzkach nadawały jej nieco figlarny, łobuzerski wygląd, a o wiele za duży kombinezon wywołał u chłopca uśmiech.

Nieznajoma z kolei nie mniej uważnie i badawczo patrzyła na Gleba, zachowując przy tym powagę. Nie spuszczając ze współwięźnia czujnego wzroku, zbliżyła się do miski, kiedy jednak powąchała zawartość, skrzywiła się z obrzydzeniem i odepchnęła jadło daleko od siebie. Gleb podniósł swoją porcję, pewnie złapał za aluminiową łyżkę i zamlaskał z apetytem.

– Grzybowa polewka – wyjaśnił, widząc, że dziewczynka bacznie śledzi każdy jego ruch. – Smaczna! Spróbuj!

Ta tylko prychnęła niezrozumiale i odwróciła głowę.

Kiedy Gleb skończył swoją porcję, czknął z zadowoleniem i, kierowany intuicją, przysunął się do drugiej.

– Ty nie będziesz jeść?

Nieznajoma natychmiast złapała miskę i zaczęła zachłannie pochłaniać polewkę. Chłopiec uśmiechnął się – mały podstęp przyniósł efekt. Jak to się mówi, syty głodnego nie zrozumie, teraz zaś szanse na owocną komunikację rosły. Pospiesznie przełykając, więźniarka nagle zakrztusiła się i zaczęła kasłać. Gleb podbiegł, poklepał ją po plecach. Ta kiwnęła głową z wdzięcznością i w końcu cicho wymówiła pierwsze słowo:

– Dziękuję.

– Ależ nie ma za co. – Chłopak wrócił na swoje miejsce. – Mam na imię Gleb.

– Aurora – odpowiedziała dziewczynka po krótkim wahaniu.

– Piękne imię. Bogini jutrzenki…

Na twarzy więźniarki pojawiło się zdziwienie. Uprzedzając pytanie gotowe wyrwać się z jej ust, chłopiec dodał:

– Mam książkę o mitologii. Ciekawa.

– To ty umiesz czytać? – wyrwało się Aurorze. Zdawało się, że ta informacja po prostu ją poraziła.

– A cóż to takiego? U nas wiele osób potrafi. Czy u was jest inaczej?

– Nie gadaj głupot. W Edenie nie ma analfabetów… Oj!

Rozumiejąc, że powiedziała za dużo, dziewczynka z przestrachem zasłoniła sobie usta rękami.

– Czyli tak go nazywacie… Nie denerwuj się, domyśliłem się, że jesteś stamtąd. – Gleb w nieokreślony sposób wskazał ręką na podłogę. – Wasz schron to wielka tajemnica, prawda?

– Niczego więcej nie powiem. – Więźniarka zasępiła się. – Z dzikusami nie wolno rozmawiać.

Chłopiec się zmieszał. Teraz przyszła jego kolej, by okazać zdziwienie.

– Według ciebie jestem dzikusem? Niezbyt to uprzejme.

– Wszyscy, którzy zamieszkują zewnętrzne peryferia, są dzikusami. – Ton dziewczynki był kategoryczny. – Jecie szczury i sobie podobnych.

– Szczury owszem, zdarza się. – Gleb zgodził się. – Nie każdego stać na wieprzowinę. Ale nie ludzi. Mówią wprawdzie, że gnilaki wykradają dzieci, ale jeszcze nigdy ich nie spotkałem.

Łapiąc się na myśli, że próbuje się usprawiedliwiać, Gleb popadł w zadumę. A przecież, czy rzeczywiście warto bronić mieszkańców metra? Jakby nie patrzeć, sytym i zadowolonym ludziom z tajnego schronu i tak będą się wydawać brudnymi, zaniedbanymi barbarzyńcami. Ogryzki podobnie nie budzą specjalnej sympatii u kolonistów z kolejki podziemnej. Ale co poradzić, każdy jest zmuszony dostosowywać się do tych warunków, w których przyszło mu żyć… Inna sprawa, to w jakim celu taka wyniosła osoba porzuciła swój rajski gród?

– I w tym rzecz, że nie spotkałeś – ciągnęła Aurora, zapominając, że zamierzała milczeć. – Gdybyś widział, co się wyprawia w kolektorach dookoła stacji… Kiedyś mieliśmy lekcję w pokoju kontrolnym monitoringu. Pokazywali nam, w co się zamienimy, jeśli przestaniemy się pilnie uczyć.

– Czyli wy nas obserwujecie?

– Jeszcze czego! – prychnęła dziewczynka. – Ochrona zewnętrzna obserwuje. A nas dzikusy nie obchodzą.

– Ale coś nie możesz usiedzieć w tym twoim Edenie? – Gleb zasępił się. – Dlaczego uciekłaś?

Po reakcji więźniarki zrozumiał, że trafił w sedno. Właśnie uciekła, łapiąc co popadnie – kombinezon uszyty na dorosłego.

– Dobra, możesz nie odpowiadać. Mam inne pytanie… A raczej propozycję. Zamierzam stąd nawiać. Mogę zabrać i ciebie. A w zamian za to zaprowadzisz mnie do waszego schronu. Umowa stoi?

– Nie – ucięła Aurora. – Nie ma mowy. Eden to obiekt specjalny. Obcych tam nie wpuszczają. Poza tym jak zamierzasz uciec z zamkniętej celi?

Widząc błysk zainteresowania w spojrzeniu dziewczynki, chłopiec uroczystym ruchem iluzjonisty wyłowił z kieszeni spodni ciężki pęk kluczy i konspiracyjnie mrugnął.

– Zwinąłem z wartowni, kiedy mnie tu prowadzili. To dyżurny komplet. Duplikaty. Do wszystkich zamków.

Po raz pierwszy odkąd się poznali na twarzy Aurory zagościł wymuszony uśmiech. Potem zaczęła całkiem przyziemnie obgryzać paznokcie, kalkulując coś w myślach.

– Nawet jeśli wszystko się uda, to i tak nie wpuszczą cię do obiektu! – wypaliła nagle.

– To już nie twoje zmartwienie. Sam spróbuję się dogadać. Ty mnie tylko zaprowadź!

Zamiast odpowiedzi dziewczynka skinęła niezdecydowanie, widocznie wciąż jeszcze nie wierząc, że ten pomysł się powiedzie. Ale Glebowi tego rodzaju wątpliwości nie przeszkadzały. Na razie wszystko szło gładko, ściśle według planu Władlena, lecz każde opóźnienie groziło fiaskiem całej tej farsy. Gdyby dać Aurorze czas na zastanowienie, to może zacząć coś podejrzewać – wszystko zbyt pomyślnie się układało…

Nie tracąc czasu, chłopiec przyskoczył do drzwi i zaczął manipulować przy zamku. Więźniarka śledziła jego ruchy z przejęciem, choć raczej sceptycznie, lecz kiedy usłyszała szczęk zasuwy, nie zdołała powstrzymać emocji i wydała radosny okrzyk. Gleb od razu na nią syknął i ostrożnie uchylił drzwi, wyglądając ukradkiem na zewnątrz. Wstrzymując oddech, uciekinierzy przemknęli na palcach przez więzienny korytarz i wybiegli na drewniane schody z grubo ciosanymi, rozeschniętymi poręczami. Kilka stopni, zakręt i ich oczom ukazała się budka wartownicza.

Tak jak obiecał Kantemirow, wartownikowi nie w głowie byli jeńcy. Zalany w trupa facet w wysłużonym mundurze pochrapywał z nalaną twarzą opuszczoną na biurko. Kolba po sprezentowanym mu przez pomysłowego lekarza spirytusie medycznym walała się obok, przy kuble na śmieci.

Po minięciu szeregu niczym niewyróżniających się izb mieszkalnych dzieci bez przeszkód pokonały większą część pomieszczeń technicznych niższego poziomu i podkradły się do samego włazu prowadzącego na peron. Wszystko szło jak po maśle i najbardziej ryzykowny etap operacji właściwie dobiegł końca, kiedy Aurora złapała nagle towarzysza za rękaw.

– Zaczekaj!

– Co? – Gleb się odwrócił.

– Moja torebka. Ten lekarz ją zabrał…

– I co z tego? Nie ma czasu!

– Bez niej nie idę – oznajmiła dziewczynka. – To bardzo ważne.

Odstępstwo od planu było nadzwyczaj niebezpieczne, jednak kiedy chłopiec napotkał uparty wzrok Aurory, zrozumiał, że trzeba będzie improwizować.

– Dobra, zaczekaj tu. Zaraz wrócę. – Gleb wcisnął uciekinierkę w wąską szczelinę między ścianą a zakurzoną szafą i popędził do laboratorium Władlena, w biegu starając się przypomnieć sobie rozkład wąskich przejść.

Parę razy napotykał ponurych ludzi w kitlach. Wtedy zwalniał i miło się uśmiechając, jak gdyby nigdy nic, przechodził obok. Zdając sobie sprawę, że w każdej chwili szczęście może się od niego odwrócić, odetchnął z ulgą, gdy wreszcie wślizgnął się do pokoiku naukowca, gdzie całkiem niedawno otrzymywał ostatnie instrukcje. Władlena nie było na miejscu, za to znalazły się dwie latarki. Bardzo przydatne! Rzeczy Aurory na szczęście nie trzeba było długo szukać – wzrok od razu natrafił na niepozorną torbę z materiału, walającą się na szafce. Sądząc z opisu dziewczynki, to właśnie o nią chodziło.

Chłopiec chwycił torebkę, wyskoczył na korytarz i pomknął z powrotem. Czas dany im na ucieczkę nieubłaganie się kurczył, wartownicy lada chwila zaczną swoją zmianę, a wtedy nie będzie już szans, by niezauważenie wyślizgnąć się ze stacji. Gleb wybiegł zza rogu i wzdrygnął się zaskoczony – obok nieszczęsnej szafy miotał się komendant, próbując wyciągnąć Aurorę do światła. Uciekinierka syczała i wiła się jak zapędzone w pułapkę zwierzątko, ale siły były nierówne. Nieopodal, wyprostowany w postawie na baczność, stał pobladły Władlen.

Nie było czasu na analizę sytuacji. Gleb zrobił pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

– Granat! – wrzasnął przenikliwie.

Odruchy i żołnierskie wyszkolenie zrobiły swoje – porzucając niewdzięczne zajęcie, wąsaty komendant rzucił się na ziemię niczym wyborowy pływak do basenu i zakrył głowę rękoma. Nieomal potykając się o rozpostarte na ziemi ciało, chłopiec popędził korytarzem, wyciągnął współtowarzyszkę z kryjówki i ruszył w stronę schodów. Na ziemię runęły z łoskotem liczne fiolki i preparaty – po drodze udało im się zagrodzić wąski prześwit korytarza, przewracając stojący pod ścianą regał. Uciekinierzy w ciągu paru sekund wbiegli po metalowych schodkach na górę, ale ta krótka chwila wystarczyła, żeby rozwścieczony taką bezczelnością wąsacz przyszedł do siebie i rzucił się w pogoń. I to byłby koniec ucieczki, gdyby nie Władlen, który w porę zdecydował się ułatwić im sprawę. Przyskoczył do

schodów wcześniej od komendanta i zaczął niezgrabnie gramolić się na górę, teatralnie ślizgając się i potykając.

– No co ty wyprawiasz, zakichany słoniu morski?! – wrzeszczał z niższych stopni purpurowy z wściekłości naczelnik. – Żwawiej, trutniu! Spasłeś się na darmowym żarciu! Zgnoję cię w karcerze! Łap ich, trzymaj, w mordę!

Fory, które otrzymali, okazały się bardzo przydatne. Po odsunięciu kwadratowych drzwiczek włazu, dzieci wydostały się na peron i co sił w nogach pomknęły w stronę posterunku granicznego.

Gleb zauważył z rozpaczą, jak na punkcie kontrolnym tłoczy się trzech żołnierzy zamiast, jak było w planie, jednego. Widocznie wartownik, który był zaprzyjaźniony z Władlenem i dlatego zgodził się „nie zauważyć" zbiegów, zakończył już służbę, a to znaczyło, że trzeba będzie przebijać się własnymi siłami. Główny problem polegał na tym, że nie dostaną już obiecanej przez lekarza broni…

– Alarm! – pisnęła nagle Aurora. – Szczury na stacji!

Jakby na potwierdzenie jej słów, gdzieś z dołu dobiegł bas komendanta.

– Zaduszę tych małych… Straż do mnie, żywo!

Wartownicy zerwali się z miejsc i przemknęli obok zbiegów. Ostatni żołnierz zwolnił, zastanawiając się, czy nie wrócić na pozostawiony bez opieki posterunek, ale ordynarne przekleństwa naczelnika sprawiły, że ze zdwojoną energią popędził za pozostałymi.

Jeszcze kilka chwil i dzieci dały nura w zbawienny mrok tunelu, pozostawiając za sobą placówkę wojskowych lekarzy. Krótkotrwały, acz intensywny bieg wyczerpał ich siły do cna. Potykając się o nadwerężone zębem czasu podkłady kolejowe, uciekinierzy pędzili co tchu przed siebie. Zdecydowali się zatrzymać i złapać oddech dopiero po tym, jak znikły ostatnie odbłyski światła z dalekiej stacji.

– Pójdziesz przodem – zarządził Gleb, wręczając dziewczynce jedną z zabranych z laboratorium latarek.

– Boisz się? – spytała szyderczo Aurora.

Chłopak tylko pokręcił głową.

– W tunelach częściej napadają z tyłu. I dawaj no, na razie bez rozmów. I tak nie mamy broni.

– Ani masek przeciwgazowych… – dodała dziewczynka.

– Po kiego ci maska pod ziemią?

– Muszę wyjść na powierzchnię.

Gleb zatrzymał się, kierując światło latarki na współtowarzyszkę.

– Poczekaj no. A to znowu po co? Czy nie idziemy do Edenu?

– Najpierw na górę. Tak trzeba. – Upierała się Aurora z zasępioną miną. – Byłeś tam, na powierzchni?

Chłopiec kiwnął głową. Wiele mógłby opowiedzieć o przeżytej parę miesięcy wcześniej przygodzie, ale sytuacja nie sprzyjała długim rozmowom.

– Dasz radę mnie zaprowadzić?

– Nie za dużo wymagasz? – wzburzył się Gleb. – Skąd mam wiedzieć, może naplotłaś mi tu jakichś bzdur, a ja się z tobą cackam!

Dziewczynka prychnęła i zamiast odpowiedzi zaczęła grzebać w swojej torbie. Rozerwała podszewkę, sięgnęła do ukrytej kieszonki i wyciągnęła niepozorny kawałek ciemnoszarego plastiku z metalowym kwadracikiem w rogu i nadrukiem z czarnych cyfr.

– Co to? – zapytał, przyglądając się karcie.

– Klucz do elektronicznego zamka. Przepustka do Edenu.

– Nietypowa rzecz. No dobra, przyjmijmy, że nie kłamiesz…

– Nadal nie odpowiedziałeś.

Gleb ciężko westchnął, z grubsza analizując warianty. Pchać się na zewnątrz bez ekwipunku to pewna śmierć. A zdobycie masek przeciwgazowych bez jednego naboju przy duszy też nie należy do łatwych zadań. Ukraść? Łatwiej będzie odwieść uparciucha od szalonego pomysłu. Teraz przynajmniej stało się jasne, skąd tej dziwnej obcej dziewczynie wpadło do głowy, żeby uciec ze schronu. Pytanie tylko, czy zainteresowanie zewnętrznym światem było zwykłą zachcianką, czy też za szalonym uporem, by wyjść na górę, kryło się coś więcej?

– Tak czy inaczej, musimy iść na Powstania albo na Majak – podsumował chłopiec. – To duże, ludne stacje. Stalkerzy często je odwiedzają. Zobaczymy, może ktoś pomoże…

Usatysfakcjonowana zaproponowanym planem działania, Aurora ruszyła przed siebie. Gleb poszedł za nią, zaczynając już żałować danej Władlenowi obietnicy. Problemy piętrzyły się, coraz bardziej oddalając chwilę spotkania z Taranem. Gdzie on teraz jest, co robi? Pewnie się martwi i go szuka. Albo przeczekuje jeden z napadów choroby, które w ostatnim czasie stały się częstsze i dłuższe…

Chłopiec sprawdził, czy fiolka z lekarstwem jest na miejscu, i zacisnął pięści w wyrazie bezsilności. A może rzucić to wszystko w cholerę? Zapomnieć o lekarzu i obcej dziewczynce wraz z ich natrętnymi pomysłami i pójść na własne śmieci, na granatową linię? Dlaczego Władlen był taki pewny, że Gleb spełni obietnicę? Co zrobiłby Taran, gdyby znalazł się w takiej sytuacji? Czy dotrzymałby słowa?

Znów tyle pytań i żadnej odpowiedzi…

– Aurora!

– Co?

– Dlaczego tak się wyrywasz na powierzchnię?

Piasek cicho skrzypiał pod nogami. Przeciąg tunelu targał niesfornymi włosami dziewczynki, która z jakiegoś powodu zwlekała z odpowiedzią.

– Dlatego, że obiecałam… – To była cała odpowiedź.

Rozdział 10: OSTATNIA WOLA

Znajomą trasą szło się znacznie łatwiej. Czy to dlatego, że nie było już dręczącego ciągłego oczekiwania na nieznane, czy że marsz tunelem we dwoje nie wydawał się już tak niebezpieczny… Zanurzony w ojczystym żywiole wilgotnych tuneli, pełnych zwielokrotnionych odgłosów, Gleb poczuł się znacznie lepiej. Aurora wręcz przeciwnie, przez całe przejście do Czernyszewskiej nerwowo się rozglądała, wpatrując się z obawą w nieprzeniknione ciemności wnęk technologicznych i bocznych korytarzy. Światło jej latarki co i rusz przeskakiwało po tubingach, a w każdym dźwięku słyszała szelest łap i oddechy nieznanych potworów.

Towarzysz podróży nie dodawał jej otuchy, wiedząc z własnego doświadczenia, że strach przed tunelami trzeba na własnej skórze poczuć, przecierpieć i przezwyciężyć. Na wspomnienie swojego pierwszego samodzielnego wyjścia do szpitalnej piwnicy chłopiec mimowolnie się uśmiechnął. Tamte włóczęgi w egipskich ciemnościach skończyły się dla niego nie tylko zszarganymi nerwami, ale i kilkoma bolesnymi siniakami. Za to później, dzięki opiekunowi i niekończącej się bieganinie po metrze, niezdecydowanie i strach zniknęły, ustępując miejsca ostrożności i umiejętności „czytania" tunelowych znaków.

Minąć posterunki Czernyszewskiej pomogła wiza przezornie wydana przez Władlena. Gleb po prostu w odpowiednim momencie okazał wartownikom starannie złożoną we czworo kartkę papieru, wyjaśniając Aurorze półgłosem, że gwizdnął dokument z laboratorium.

Ta wiadomość na szczęście nie wzbudziła podejrzeń dziewczynki, która była całkowicie pochłonięta obserwacją ubogiego wystroju stacji i z nieskrywanym obrzydzeniem oglądała nagromadzenie

tulących się do siebie chatynek, wewnątrz i wokół których jak w gigantycznym mrowisku snuli się niechlujni, posępni mieszkańcy miejscowych slamsów. Gleb nie raz łowił nieprzyjazne spojrzenia współtowarzyszki, patrzącej na kolonistów jak na trędowatych, ale nie robił żadnych uwag, skupiając się na tym, by jak najszybciej znaleźć się w następnym tunelu.

– Skąd ten dziwny zapach? – Dziewczynka skrzywiła nos ze wstrętem.

– Dużo tu ludzi. Wentylacja sobie nie radzi, a kąpiele odbywają się według harmonogramu. Najprawdopodobniej co drugi raz. Standardowy tryb, nic więcej.

– Co drugi raz, to znaczy co drugi dzień?

– Tydzień. W sumie dwa mycia w miesiącu. Czego tu nie rozumieć?

Dziewczynka ucichła wstrząśnięta, przetrawiając informację.

W drodze do Placu Powstania Aurora, której wyraźnie nie przypadł do serca koloryt zamieszkanego metra, w końcu się rozkleiła. Gleb cały czas nie wiedział, czego bała się bardziej: ciemnych, opustoszałych tuneli czy dusznych, przeludnionych stacji z ich mieszkańcami wegetującymi w ciasnocie i nędzy? Mieszkańcami doprowadzonymi do rozpaczy i dlatego tracącymi czasem ludzkie oblicze…

Okropnie pociągając nosem i ocierając łzy rękawem kombinezonu, dziewczynka szła coraz wolniej, a w końcu zupełnie się zatrzymała. Jej plecy drżały tak, że torba zsunęła się z jej ramienia i upadła na tory.

– No, starczy! – Gleb nie wytrzymał. – Weź się w garść!

Wziął dziewczynkę za rękę i zdecydowanie pociągnął ją za sobą niczym małe dziecko. Aurora przestała szlochać i ścisnęła dłoń współtowarzysza, jakby tylko czekała na wsparcie drugiej osoby. O tym, że idzie za rękę z „dzikusem”, wyniosła uciekinierka zupełnie nie pamiętała.

Chociaż chłopak nadrabiał miną, niepokój towarzyszki udzielił się i jemu, kiedy latarka oświetliła na ścianie tunelu czarną gardziel

bocznego korytarza. Dobrze zapamiętał to miejsce poprzednim razem, mijając je w drodze do wojskowych lekarzy. Wtedy przejście było na głucho zamurowane cegłami i pospiesznie skleconą z desek zaporą. Takie środki stosowano najczęściej po to, by zamknąć drogę do tuneli nieproszonym gościom z powierzchni. Teraz jednak rozrzucone bezładnie deski walały się w promieniu kilku metrów, a w ceglanej ścianie ziała potężna dziura.

Gleb przystanął, przyglądając się uważnie wyrwie. Aurora siłą rozpędu wpadła na niego od tyłu i znieruchomiała, przestraszona. Upłynęło kilka sekund w napiętej ciszy. Chłopiec wsłuchiwał się ze wszystkich sił, ale oprócz urywanego oddechu współtowarzyszki niczego nie wychwycił. Kto lub co wyrąbało sobie dziurę? Mutant czy człowiek? Jakoś nie miał ochoty tego wyjaśniać.

Starając się trzymać bliżej przeciwległej ściany, dzieci powoli obeszły podejrzane miejsce. Gleb chciał już przyspieszyć kroku, kiedy uciekinierka nagle stanęła ze stłumionym krzykiem. W ogromnych oczach Aurory odbijało się autentyczne przerażenie.

– Co ty? – wyszeptał chłopiec.

– Coś mnie trzyma! – pisnęła, szarpiąc się gorączkowo.

Latarka dziko tańczyła mu w ręku, w ustach błyskawicznie zaschło. Powoli kierując nieposłuszną smugę światła w dół, Gleb odetchnął w końcu z ulgą. Gwóźdź. To tylko kretyński gwóźdź w desce, niech go szlag! Widząc reakcję współtowarzysza, dziewczynka odwróciła się i z wściekłością odczepiła nogawkę kombinezonu ze szpikulca. Uśmiechnęła się nerwowo, wzruszyła ramionami, przysiadła pod ścianą i… rozbeczała się w głos.

Chłopiec nie wiedział, jak się zachować w podobnej sytuacji. Taran nigdy nie próbował pocieszać go w trudnych chwilach, zawsze pozostając otrzeźwiająco surowym i nieco gburowatym. Ale w stosunku do tej kruchej osoby takie zachowanie wydało się Glebowi nie na miejscu. Po zastanowieniu usiadł obok, mocno objął Aurorę i uspokajająco pogłaskał ją po głowie.

Kilka długich minut spędzili w milczeniu.

– Jesteś dobry – powiedziała cicho uciekinierka, stopniowo dochodząc do siebie. – I wcale nie jesteś dzikusem.

Chłopiec zmieszał się, nie wiedząc, jak zareagować. I czy w ogóle trzeba reagować? Podniósł się, podszedł z pechową deską do szyny i po chwili wyciągnął gwóźdź – długi i zardzewiały. Nie była to oczywiście nie wiadomo jaka broń, ale w tej sytuacji nie mieli wyboru. Gleb schował znalezisko pod podszewkę rękawa, stanowczo podniósł partnerkę na nogi i ruszyli w dalszą drogę.

Do granic stacji szli w milczeniu. Aurora chyba wstydziła się okazanej słabości i aż do samego posterunku nawet nie pisnęła.

Plac Powstania powitał ich harmidrem wielu głosów i nieustającą ani na chwilę krzątaniną. Biznes był u chodników zakrojony na szeroką skalę: stoiska handlowe roiły się od towarów odpowiednich na każdy gust i grubość portfela, niewiele ustępując bazarom węzła Sadowa–Sienna–Spasska. I chociaż Gleb nie miał nabojów, zdecydowanym ruchem poprowadził towarzyszkę wzdłuż straganów, lawirując w tłumie zachwalaczy i różnorakich kupujących z całej okolicy.

Obok stoiska mięsnego z podwieszonymi w równym rządku szczurzymi tuszkami Aurora podskoczyła jak oparzona, zasłaniając rękami usta i nos. Chłopiec tylko się uśmiechnął, spiesząc dalej, ku stoiskom z ekwipunkiem. Dość szybko odszukali odpowiedniego handlarza. Używane maski przeciwgazowe, „puszki” filtrów, para jasnozielonych skafandrów ochronnych – oferowany asortyment okazał się całkiem przyzwoity. A i sam potężny sprzedawca miał chyba stalkerską przeszłość: przez policzek i szyję ciągnęła mu się szkaradna blizna, ginąc gdzieś za kołnierzykiem koszuli, a zamiast prawej ręki sterczał mu krótki kikut. Spojrzał protekcjonalnie na nieletnich gapiów i już chciał ich pogonić, ale to Gleb odezwał się pierwszy.

– Po ile namordniki?

– Patrzcie go, jaki fachowiec! – Handlarz mimowolnie rozpłynął się w uśmiechu, szturchając w bok sąsiada ze straganu z nożami. – Słuchaj, Pietro, namordników mu się zachciewa! Widziałeś coś takiego?

Mówił demonstracyjnie głośno i wkrótce już kilku sprzedawców, uśmiechając się pod nosami, obserwowało z zainteresowaniem rozwój wydarzeń.

– To za ile sprzedasz?– Chłopiec zasępił się.

– Chyba się nie wybierasz na górę, co, mały? Nie pogubisz po drodze portek?

Handlarze zarżeli chórem, ochoczo łykając niewyszukany żart. Jednak chłopcu nie było do śmiechu. Gleb przez chwilę świdrował właściciela blizny znaczącym spojrzeniem, po czym odszedł od straganu i uspokajająco skinął głową Aurorze.

– Spróbujemy gdzie indziej.

– Poczekaj, chłopcze! – Rozległo się za ich plecami.

Chłopiec odwrócił się. Przed nim stał rozczochrany szczudlasty typ z małą kozią bródką, wychudłą, zniszczoną twarzą i z pożółkłymi białkami oczu. Gdyby nie jego sprytny, wyrachowany wzrok i cwaniacki, rzeczowy ton, z łatwością można by go pomylić ze zwykłym żebrakiem, jakich kręciło się po stacjach bez liku.

– Potrzeba masek przeciwgazowych?

Gleb kiwnął głową.

– Chodźcie za mną. Tu obok…

– Ale my nie mamy nabojów… – spróbował zaoponować chłopiec, jednak nieznajomy już zaczął przeciskać się przez tłum.

– Idziemy, mówię. Dogadamy się…

Mętna odpowiedź zaniepokoiła Gleba dopiero po upływie kilku minut, w trakcie których on i Aurora, starając się nie stracić brodacza z oczu, pędzili za nim po peronie, a potem dalej, wąskim korytarzem kolektora z kablami, dopóki nie znaleźli się poza granicami stacji, gdzieś koło opuszczonego POT-u[1]. Tu nieznajomy zatrzymał się, nieprzyjemnie wyszczerzył zęby i krótko gwizdnął. Na ten dźwięk z

ciemności wyszło dwóch rosłych młodzieńców w roboczych ubraniach ziemistego koloru. Nietrudno było ich poznać. Grzybiarze z ulicy Dybienko. Jedyni, nie licząc wegan, dostawcy narkotyków, którzy zdołali objąć swoją zarazą praktycznie całe metro.

Temu, który stał pośrodku, z ramienia zwisał automat. Kolejny trzymał w rękach chałupniczy wynalazek, coś na kształt karabinu, i przyglądał się badawczo gościom.

– Ładna laska! A dzieciaka po kiego wała przyprowadziłeś?

Gleb ani się obejrzał, jak dwóch bandziorów chwyciło Aurorę i pociągnęło ją po torach. Rzucił się w ślad za nimi, ale dosłownie jakby wpadł na ścianę. Od ciosu kolbą w głowę w oczach rozbłysło mu tysiące iskier, potem naraz wszystko wokół pociemniało, dźwięki się wyostrzyły. Po czole popłynęło mu coś lepkiego i ciepłego, zasłaniając widok, zalepiając oczy. „Krew…" – pomyślał mgliście chłopiec.

Na ślepo macając ścianę w poszukiwaniu podpory, rozpaczliwie próbował wstać. Krzyki towarzyszki drażniły jego nerwy, rozum miotał się gorączkowo, szukając rozwiązania. Walcząc z pulsującym bólem i napływającymi falami mdłościami udało mu się wreszcie złapać za kabel i podnieść.

– Masz, zasłużyłeś. – Usłyszał gdzieś całkiem blisko.

Zamglony wzrok uchwycił ruch. Jeszcze chwila i niewyraźne sylwetki nabrały czytelnych kształtów. Ten sam typ z kozią bródką, przytupując z niecierpliwości, próbował się uporać z opakowaniem jakiegoś czarnego lepkiego świństwa.

– Wynocha stąd!

Narkoman rozejrzał się ukradkiem, schował dawkę w dłoni i uciekł.

Gleb skupił wzrok na przeciwniku, który stał naprzeciwko, bawiąc się samopałem. Nie bardzo rozumiejąc, co robi, chłopiec zacisnął pięści i ruszył naprzód.

– Odważnie! – Grzybiarz uśmiechnął się pod nosem bezzębnymi ustami. – Głupio, ale odważnie! No, dawaj, mały, bij! Daję ci trzy próby.

Mężczyzna nadstawił policzek i opuścił karabin.

Cios wyszedł niezdarny i słaby. Gleb ledwie maznął przeciwnika po policzku i zachwiał się. Obraz wciąż jeszcze dwoił mu się w oczach.

– No, i jeszcze raz! Dawaj, nie krępuj się! – Facet rozkręcił się, jawnie szydząc z chłopca.

Ten zaatakował po raz kolejny, lecz jego wysiłki tylko rozbawiły szczerbatego. Głośno się śmiejąc, zręcznie otworzył torebkę z kwasem i wysypał sobie zawartość na język.

– Weź się w garść, mały! Jesteś kompletnie do niczego! Prędzej przekręcę się ze śmiechu niż od twoich szturchańców!

Znów dał się słyszeć przenikliwy krzyk Aurory. Nie było sensu dłużej zwlekać. Taran lubił powtarzać, że wcześniej czy później przychodzi chwila, kiedy moralność odchodzi na dalszy plan i trzeba działać twardo i skutecznie, pozostawiając rozterki duchowe na później. Gleb poruszył nadgarstkiem w rękawie, zamachnął się i gwałtownie, na wydechu, włożył wszystkie siły w decydujący cios. Gwóźdź błysnął mu w dłoni i z ohydnym chrzęstem wszedł prosto w skroń. Uśmiech na twarzy grzybiarza zastąpiło chwilowe zakłopotanie i prawie natychmiast oczy mu się zapadły, a z gardła wyrwało spazmatyczne rzężenie. Miotane konwulsjami ciało runęło jak worek na tory.

– Wesoło mu… – rzucił zmęczonym głosem chłopiec, podnosząc karabin. – Gnida…

Pozostali dwaj bandyci uwijali się nieco dalej, próbując uspokoić wierzgającą ofiarę. Słysząc kroki, młodzieniec z automatem powiedział:

– Co tak długo? Chodź, pomóż!

Zamiast kompana w świetle lampy naftowej pojawił się Gleb, celując w przeciwników z karabinu.

– Na bok, sukinsyny! Żywo!

Jeden z grzybiarzy zerwał z ramienia wała[2]. Huknął strzał. Właściciel automatu zawył z bólu i odskoczył od dziewczynki, łapiąc się za przestrzelone udo. Sądząc z obfitego upływu krwi, kula

przebiła tętnicę. Trzeci napastnik nie czekał, aż rozczochrany dzieciak o świdrującym wzroku przeładuje karabin, tylko zaskrzeczał i rzucił się do ucieczki.

Gleb przyskoczył do Aurory, pomógł jej wstać i wprawnie ją zbadał. Jak się zdawało, dziewczynka wywinęła się paroma zadrapaniami i rozbitą wargą. Rozmazując łzy na brudnych policzkach, wyrwała samopał z rąk chłopca i drżąc, w skrajnym napięciu nakierowała lufę na rannego.

– Dzikus! Szuja! Zwierzę!

Chłopiec wzdrygnął się i zmrużył oczy, kiedy uciekinierka nacisnęła na spust. Ale nic się nie stało. Klnąc, Aurora szarpnęła za zamek. Jak na złość, prymitywny mechanizm się nie poddawał. Wtedy podniosła z ziemi wała i popatrzyła ze złością na napastnika znad szczerbinki.

Grzybiarz był przerażony i wyglądał żałośnie. Po udawanym chojractwie nie pozostało śladu. Blady, roztrzęsiony, z wykrzywioną strachem twarzą… Gorączkowo pogrzebał po kieszeniach, wysypał u nóg dzieci pokaźną garść nabojów i papierowe paczuszki z narkotykami, znów zacisnął dłonie na krwawiącej ranie i opuścił wzrok, oczekując na swój los.

– Posłuchaj, on i tak już dostał za swoje… – Gleb spróbował interweniować.

– Milcz!

Dziewczynką wstrząsały potężne dreszcze. Wycelowała broń w poszarzałą twarz grzybiarza, ale wciąż nie decydowała się, by nacisnąć na spust. Emocje ulotniły się, ustępując miejsca zdrowemu rozsądkowi. Chłopiec nie wtrącał się, sekundy upływały jedna za drugą. Wtem mdłości napłynęły z nową siłą, ziemia zakołysała się pod nim, a osłabione nogi zdradziecko się ugięły. Gleb runął na ziemię, czując, jak odpływają dźwięki i rozmazują się kształty otaczających go przedmiotów.

– Co z tobą? Gleb!

Poprzez ociężałość, która ogarnęło jego ciało, poczuł, jak czyjeś ręce ciągną go w górę. Zebrawszy resztki sił, naprężył się i wstał.

Tuż obok majaczyły zapłakane, pełne niepokoju oczy Aurory.

– Masz całą głowę we krwi! Gleb, powiedz coś! Co z tobą?

Okrzyki towarzyszki otrzeźwiły go. Zasłona mgły rozwiała się, obraz przed oczami stał się wyraźny. Oglądając się na stojącego pod ścianą grzybiarza, dzieci zabrały broń, naboje i pokuśtykały na stację. Jakieś pięćdziesiąt metrów od posterunku natknęli się na bezwładne ciało typa z kozią bródką. Narkoman leżał nieruchomo z wywróconymi oczami, przeżywając swój „haj". Biedak widocznie nie wytrzymał do stacji i wziął wprost w tunelu. Bardzo lekkomyślnie z jego strony, jako że nieopodal, obserwując swój przyszły obiad zachłannymi paciorkowatymi oczkami, rozsiadło się stadko dobrze odżywionych szczurów. Dzieci przeszły obok, nie dostrzegając przyczajonych między kablami zwierzątek. Może to i lepiej. Dzisiaj gryzonie otrzymały szansę posmakowania delikatnego mięsa niefrasobliwego dwunoga. Każdy dostał to, na co zasłużył…

* * *

– Wała wezmę. Maszynka co się zowie, w doskonałym stanie… A tę rurę od odkurzacza schowaj, nie kompromituj się.

Handlarz z blizną spojrzał z ukosa na młodego klienta. Gleb zabrał ze straganu chałupniczo zrobiony karabin, nie zapominając przy tym, by pilnować Aurory. Po ostatnim incydencie dziewczynka była wciąż czujna i starała się nie przyciągać uwagi. Trzeba było nieco skorygować jej wygląd. W bezkształtnej czapce naciągniętej aż po brwi i z sadzą na twarzy przypominała raczej drobnego chłopca niż urodziwą dziewczynkę.

– Więc czego chcesz za broń i naboje? – Straganiarz troskliwie włożył cenny nabytek do skrzyni.

– Maski przeciwgazowe, skafandry, dozymetr… i przydałby się nóż…

– Toś się rozpędził, mały! Trochę dużo za jednego wała. – Handlarz niechętnie podniósł się ze stołka i podszedł do straganu. – Trzymaj swoje namordniki.

Na blat klapnęły dwie GP-5[3] i dwa grube, ogumowane pakunki.

– Skafandry są stare, dziurawe. Ale jak podłatać, to jeszcze posłużą. I już się nie gap! Więcej nie dam, nawet nie proś!

Gleb nie zamierzał się kłócić. To, że udało im się zdobyć choć taki ekwipunek, można już było uznać za duże szczęście. Dzieci zabrały zakupy i pospiesznie skryły się w tłumie.

* * *

Dwa krótkie warkoczyki sterczące spod gumowej maski wyglądały komicznie. Ale tak przynajmniej włosy nie przeszkadzały i nie obciągały skóry. Chłopiec dokładnie obejrzał współtowarzyszkę i skinął głową z aprobatą.

– Wszystko zapamiętałaś? – zabrzmiał spod maski przytłumiony głos. – Przede wszystkim się nie wychylaj. I ani kroku bez mojego polecenia.

Aurora podniosła kciuk na znak zgody. Przez wizjer Gleb zauważył jej przerażony wzrok, ale na razie dziewczynka się trzymała. On sam też czuł się trochę nieswojo tutaj, w komorze śluzy łączącej się ze schodami ruchomymi, poza zaporą hermetyczną stacji. Tutaj od pełnego niebezpieczeństw świata zewnętrznego oddzielały ich tylko metalowe drzwi pomalowane łuszczącą się czerwoną farbą.

Obrotne chodniki, o dziwo, nie zażądali łapówki za wyjście na zewnątrz. Widocznie zadziałał handlarz i szepnął słówko za swoimi klientami… Krępy facecik z kałachem przewieszonym przez ramię wprawnym ruchem zakręcił kołem mechanizmu zamykającego. Drzwi otwarły się z przeciągłym zgrzytem. Po przekroczeniu wysokiego progu dzieci znalazły się w krótkim korytarzyku prowadzącym do maszynowni schodów ruchomych. W świetle latarki dość szybko odkryli drabinkę na górę. Chłopiec pierwszy wyszedł po szczeblach i odsunął pokrywę włazu, rozglądając się czujnie.

Na grubej warstwie błota pokrywającego placyk przed schodami widniały liczne ślady butów. Stalkerzy nierzadko korzystali z tej drogi, by wychodzić na powierzchnię. To pozwalało mieć nadzieję, że stare stopnie, niejednokrotnie testowane przez obciążonych bronią

mężczyzn, nie runą pod ciężarem dwójki dzieci. W każdym razie nie warto było się spieszyć.

Wspinaczka do górnego hallu zajęła nieco więcej czasu, niż chłopiec na początku szacował. Wszystko dlatego, że uciekinierka dość często zatrzymywała się, nie od razu decydując się, by przeskoczyć liczne wyrwy w schodach. Brunatne zacieki na ścianach i wilgoć sącząca się niemal zewsząd nie ułatwiały jej przeprawy. Nogi ślizgały się na pokrytych mchem stopniach, a światło latarki gubiło się w mroku zgęstniałym w niekończącej się przestrzeni prowadzącego w górę korytarza.

Przy samym wyjściu na zewnątrz z Aurorą stało się mniej więcej to, co z Glebem w chwili jego pierwszego spotkania ze światem zewnętrznym. Widok nieogarnionego, pokrytego zasłoną chmur nieba wywołał u niej wstrząs. To, co widziała na własne oczy, nijak nie mogło się równać z jakimikolwiek zdjęciami. Ale dzięki instrukcjom współtowarzysza dziewczynka szybko poradziła sobie z atakiem paniki i po minucie wyszli jednak na zmrożony śnieg, kuląc się pod naporem chłodnego jesiennego wiatru.

Ogromna przestrzeń placu, otoczonego ze wszystkich stron powyginanymi budynkami z zapadniętymi pod warstwą lodu dachami, wyglądała złowieszczo. A nuż, widelec przypałęta się pteranodon albo coś jeszcze poważniejszego i zostanie po nich tylko wspomnienie… Jednak trzymanie się blisko domów też było niebezpieczne: wśród ruin mogły się czaić równie groźne stwory. Starzy wyjadacze zapewniali, że przy pawilonie nie ma promieniowania, ale pchać się w miejski gąszcz bez dozymetru, do tego jeszcze w dziurawych skafandrach, było zbyt ryzykowne. Gleb powoli przeszedł wzdłuż równego szeregu zasp skrywających wraki samochodów, rozejrzał się uważnie, szukając wśród brył betonu oznak ruchu. Kojąca cisza okolicy zdawała się złudna. Ściskając karabin, chłopiec z niepokojem zawołał do współtowarzyszki.

– No, jesteśmy na górze. Co dalej?

Aurora zrobiła niepewny krok, wchodząc w śnieg jak do wody. Potem jeszcze jeden. Nabrała odwagi i skierowała się w stronę placu.

– Poczekaj. Zaraz wrócę – zatrzymała Gleba, który chciał już ruszyć za nią.

Chłopiec pokręcił głową z niezadowoleniem, ale został na miejscu. Coś mu podpowiadało, że uciekinierkę lepiej teraz pozostawić samą sobie. Przygnębiający szary pejzaż wokoło nie napawał optymizmem. Monotonny, nigdy niecichnący wiatr mógł z łatwością przynieść jakąś zarazę. Z drugiej strony zwiewał zapach ludzi w określonym kierunku, wskazując, skąd w pierwszej kolejności należy się spodziewać mutantów.

Kontrolując drogi podejścia, Gleb co i rusz spoglądał na zachowującą się dziwacznie towarzyszkę. Aurora przeszła jakieś dziesięć metrów, zatrzymała się i sięgnęła do torby. W jej dłoniach pojawił się podłużny cylinder podobny do piórnika. Władlen mówił, że wśród rzeczy więźniarki nie znalazł niczego godnego uwagi. Jeśli tak, to co za urządzenie teraz trzymała?

Aurora odkręciła pokrywkę i podniosła walec wyżej. Ze środka wysypał się szary pył.

Popiół? Urna z prochami?

Poryw wiatru pochwycił chmurę pyłu w locie i błyskawicznie uniósł, rozsiewając go nad bezludnymi ulicami martwego miasta.

Dziewczynka postała jeszcze jakąś minutę i powlokła się z powrotem. Zrównała się z partnerem i kiwnęła głową w stronę metra. Gleb nie wypytywał, co i jak… Zechce, to sama opowie. A jak nie, to on nie będzie w to wnikał. Jeśli to zrobiła, znaczy, że tak trzeba. I kropka.

Od strony sąsiedniego budynku usłyszeli huk wystrzału, a w ślad za nim – ryk nieznanego mutanta i odgłosy walki. Gdzieś całkiem blisko toczyło się poważne starcie. Może stalkerzy, wracający do metra, spłoszyli jakiegoś drapieżnika. Albo może myśliwi oczyszczają okolice pawilonu? Tak czy inaczej, najlepszym wyjściem dla praktycznie

bezbronnych i skąpo wyekwipowanych dzieci był natychmiastowy powrót do metra.

Po podjęciu tej decyzji chłopiec pociągnął Aurorę za rękaw. Lepiej było nie kusić losu. Nieustannie oglądając się za siebie, dzieci pospieszyły, by skryć się w pochyłym szybie ruchomych schodów.

Droga w dół minęła im spokojnie, bez przygód. Szczęście, jak wiadomo, sprzyja śmiałym i najwyraźniej fortuna była dziś łaskawa dwojgu brawurowym nastolatkom. Kilka niespokojnych minut oczekiwania sprawiło, że mocno się zdenerwowali, kiedy na umówione pukanie nikt za zaporą nie zareagował. Ale potem rozległ się długo wyczekiwany zgrzyt zasuwy i zaspany strażnik, gderając z niezadowoleniem, wpuścił spacerowiczów do środka.

Resztki sił zużyli na dezaktywację, degazację i badanie lekarskie. Nie przynieśli ze sobą pasożytów, nie dostali większej dawki radiacji – to już dobrze. Kiedy zmęczeni wędrowcy doczekali się zakończenia obowiązkowych procedur, wpadli na stację. Najpierw przyszło im rozstać się z garstką nabojów. Chodniki, skrupulatni w kwestii ochrony zdrowia, za wykonane usługi zdzierali paskarskie opłaty, ale nie było wyboru.

Za pozostałe w karabinie kilka nabojów udało im się w miejscowym „hotelu" dostać prostą kolację i wolną klitkę do spania. Koniecznie trzeba było choć nieco zregenerować siły po nieskończenie długim i bogatym w wydarzenia dniu. Gleb ułożył się na stercie nadbutwiałej słomy, natychmiast poczuł, jak powieki robią się ciężkie, i smacznie ziewnął. Przeżycia minionego dnia zrobiły swoje – świadomość błyskawicznie odpływała, umęczone ciało żądało odpoczynku.

– Dziękuję ci…

Cichy głos Aurory wyrwał go z drzemki.

– Za co? – Chłopiec nie zrozumiał, wyrwany ze snu.

– Za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Uwolniłeś mnie… Obroniłeś przed tymi dzikusami… Zaprowadziłeś na powierzchnię… To dla mnie bardzo ważne, naprawdę! Wybacz, że przeze mnie musiałeś ryzykować. – Dziewczynka zacięła się, z wysiłkiem dobierając słowa.

– Moja mama… Ona długo chorowała. Przed tym, jak… Przed śmiercią ciągle powtarzała, że chce wrócić do miasta. Zobaczyć niebo. Słońce. I musiałam spełnić jej życzenie, jej ostatnią wolę, rozumiesz? Musiałam!

Gleb podniósł się ze swojego legowiska, uspokajająco chwycił Aurorę za ramiona.

– Zrobiłaś wszystko jak trzeba. Twoja mama wróciła do domu. Do tamtego, dawnego miasta. Jak na obrazkach. Tam jej będzie dobrze.

Niewyszukane słowa chłopca miały na dziewczynkę dobroczynny wpływ. Aurora zwinęła się w kłębek, uśmiechnęła się z wdzięcznością i zamknęła oczy. Niedługo potem Gleb usłyszał jej miarowy oddech.

Jemu natomiast, przeciwnie, po krótkiej rozmowie nie udawało się zasnąć. W głowie znów zawirowały myśli. Przypomniał sobie własnych rodziców, bez których było mu tak ciężko i czuł się osamotniony… Aż pojawił się Taran, zastępując oboje – potrafił być i nauczycielem, i troskliwym ojcem, a czasem po prostu przyjacielem, z którym zawsze można podzielić się przeżyciami, poprosić o radę, wreszcie pomarzyć…

Żeby chociaż posłać mu jakąś karteczkę… Tylko dokąd? Taran mówił coś o mazutach, o jakiejś pilnej sprawie… Może wciąż jeszcze jest na Technolożce i nawet nie podejrzewa jego zniknięcia? Gleb obiecał sobie, że wpadnie do mazutów przy pierwszej sposobności, wymacał w kieszeni drogocenny flakonik z lekarstwem i zapadł w niespokojny sen.

Gdzieś całkiem blisko, sześćdziesiąt metrów wyżej, dzikie psy już rozszarpały parujące cielsko trepana, nie zaczepiając niebezpiecznego dwunoga, który ciągnął teraz rannego współplemieńca ruinami Newskiego Prospektu. Upragniona zdobycz umknęła im dosłownie sprzed nosa. A więc widocznie tak miało być…

Los jest kapryśny, nieprzewidywalny. Bywa uległy i potulny, pozwala toczyć się wypadkom, a swoim podopiecznym uwierzyć we

własne siły, lecz częściej igra z nimi, testuje ich wytrzymałość, nieustannie poddając jednej próbie za drugą. Bezlitośnie wrzuca w wir wydarzeń, tasuje talię ludzkich dusz wedle własnego uznania, zderza głowami jednych, rozbija sojusze drugich… Czasem temu łotrowi zachciewa się, by drogi tych, którzy się szukają, nie przecięły się. Czy nie dlatego, że każdy z nich ma przygotowaną rolę w ważniejszym spektaklu?

Los jest jak rączy rumak. Nigdy nie wiesz, kiedy okaże się narowisty i zacznie wierzgać. Jedni wolą się z nim nie spierać i puścić mu wodze, inni przeciwnie – starają się go okiełznać. Osiodłać go udaje się nielicznym. Zostać panem losu – jednostkom.

1 Punkt Obsługi Technicznej (przyp. red.).

2 AS Wał, rosyjski karabin szturmowy (przyp. tłum.).

3 Cywilna maska przeciwgazowa (przyp. aut.).

Rozdział 11: ZŁE WIADOMOŚCI

Gleb z trudem rozkleił powieki, spróbował wstać, jęknął i złapał się za głowę. Zaraz przypomniał mu się dziadek Pałycz ze swoimi niekończącymi się pijatykami i porannymi jękami. Teraz chłopiec mógł sobie mniej więcej wyobrazić, co znaczy obudzić się na kacu. Odczucia były właściwie te same. W skroniach miarowo stukały młoteczki, w całym ciele łamało go po nocy spędzonej na niewygodnej starej pryczy, kark potwornie zdrętwiał. Nocleg w dusznym, ciasnym pokoiku nie dodał mu sił. Starając się nie zwracać uwagi na tępy, ćmiący ból w potylicy, Gleb wypełzł na zewnątrz i ostrożnie obmacał sobie głowę. Krew na jej czubku podeschła, tworząc skorupę.

No i dobrze. Jakoś się zagoi.

Przeciągnął się, rozejrzał sennym wzrokiem i dopiero teraz zwrócił uwagę na puste posłanie. Aurora zniknęła bez śladu. Przy umywalce też jej nie było. Czyżby oszukała? Dostała, co chciała, i potajemnie się zmyła? Chłopak pozbierał swoje manatki, przeszedł się po stacji i pobieżnie zajrzał w każdy zakątek, w każdy zaułek. Jak się zdawało, na próżno. W takiej ludzkiej ciżbie trudno było się nie zgubić, a co dopiero – kogoś odszukać. Najprawdopodobniej uciekinierka jest już gdzieś daleko, w tunelu. Ale w którym z tych kilku? A przecież nie wspomniała ani słowem o dalszej trasie!

Może to i lepiej? Nie uda mu się wykonać zadania Władlena, i co z tego?

Na szczęście wszystko rozwiązało się samo. Znajoma fryzura mignęła w tłumie przy przejściu na Majak. Chłopiec podszedł bliżej i stał świadkiem dość niezwykłej sceny. Aurora, próbując się dostać na terytorium Aliansu Primorskiego, wciskała strażnikowi w wytłuszczonym waciaku ten sam karabin, który uratował ją kilka

godzin wcześniej. Ponury facet na posterunku wahał się – oczy chciwie mu błyszczały, ale strach przed przełożonymi nie pozwalał przyjąć łapówki.

– Dzień dobry, wujku Karpacie!

Gdy wartownik rozpoznał gościa, od razu rozpłynął się w uśmiechu.

– Gleb, to ty, czy jak? Jakim zrządzeniem losu?

Chłopiec wzruszył ramionami, uporczywie ignorując uciekinierkę. Ta spuściła wzrok, ale nie próbowała się już ukrywać, obserwując ukradkiem rozmowę.

– A ja, jak widzisz, odszedłem do Aliansu. Nie te lata, żeby kiblować na Moskiewskiej! Będzie już tydzień, odkąd przydzielili mnie na Majak. Powolutku zapuszczam korzenie… Aha! Słyszałeś o rebelii? Katorżnicy za Zwiozdną się buntują, komuniści znów obcięli racje. Też nam Bóg zesłał sąsiadów… – Facecik podrapał w zadumie pokryty szczeciną podbródek. – Pałycz ciągle się wypytywał, jak się masz i co u ciebie… Eh, całkiem się staruszek posunął. Widać przyszedł na niego czas… A ty?… Zajrzałbyś może czasem w rodzinne strony…

Gadatliwego Karpata chłopiec znał dość dobrze. Jak się go nie powstrzyma, będzie mełł językiem, aż skończy się jego zmiana. Dlatego bez ceremonii przerwał staremu znajomemu.

– Przy okazji obowiązkowo wpadnę. A teraz proszę wybaczyć, ale spieszę się. Czas na nas. – Gleb pociągnął Aurorę za sobą i przeszedł obok wartownika.

– A…

– A ona jest ze mną. Przy okazji, ma pan pozdrowienia od Tarana.

– Och ty! Od Tarana? Fajnie! – Facecik się rozpromienił, szczerząc się głupawo. – Wzajemnie!

Wybieg zadziałał. Prostoduszny Karpat nawet się nie zainteresował, co to za obca i skąd.

– Przepuszczaj. – Rzucił ważnym głosem do kolegi. – Swoi.

Dzieci bez przeszkód minęły posterunek, wypełnione podróżnymi przejście podziemne i znalazły się na terytorium Majaka.

Różnice między dwiema stacjami były widoczne we wszystkim. Ściśle wytyczone, niczym nie zawalone przejścia, rozmowy toczone półgłosem, żelazna ekonomia wolnej przestrzeni, przemyślany rozkład sektorów mieszkalnych – wszystko wskazywało na bardziej surowe porządki ustanowione przez Alians Primorski.

Kiedy euforia wywołana tym, co zobaczyli, minęła, oboje nagle przypomnieli sobie o niezręcznej sytuacji, w której się znaleźli.

– Oddaj karabin – burknął rozgniewany Gleb. – I tak dobrze, że nie zabrali go, jak wchodziliśmy…

– Dlatego, że jest rozładowany. – Dziewczynka ochoczo rozstała się z ciężką bronią i wreszcie podniosła wzrok na współtowarzysza. – Ja…

– Postanowiłaś uciec. – Dokończył chłopiec. – A co z naszą umową?

Aurora tylko ciężko westchnęła, nie znajdując ostatecznie słów usprawiedliwienia.

– Sama i tak nigdzie nie dojdziesz. Nie masz ani dokumentów, ani znajomości…

– Jaki ty jesteś głupi! – wybuchła nagle dziewczynka. Policzki zapłonęły jej gniewnym rumieńcem. – Okłamałam cię, słyszysz? Nie ma żadnego Edenu i nigdy nie było! Myślisz, że nie domyśliłam się, że to ten natrętny lekarz cię podesłał? Zapomnij o jego bujdach! To wszystko brednie! Bajki!

– W takim razie skąd przepustka? – wypalił Gleb wojowniczym tonem. Potem nagle złagodniał. – Posłuchaj, przecież i tak wiem, że Eden jest gdzieś pod Zwiozdną.

– Skąd ten pomysł? – zdenerwowała się Aurora.

– Gdybyś widziała swoją minę, kiedy Karpat opowiadał o katorżnikach! Nie umiesz dochować tajemnicy, to nie ma co się szlajać po metrze!

Obca dziewczynka umilkła na dłuższy czas, zastanawiając się, jak najlepiej postąpić w zaistniałej sytuacji. Gleb nie naciskał, czując, że Aurora musi podjąć właściwą decyzję.

– A ty pomożesz mi się tam dostać?

Chłopiec skinął głową z zadowoleniem i zarzucił sobie karabin na ramię.

– Trzeba było tak od razu. Droga jest długa, więc chodźmy… Judaszu!

Do tuneli można było się dostać bez przeszkód. Obowiązywały ustanowione między stacjami Aliansu porozumienia. Tunel do Gostinki, oświetlony, przemierzany wzdłuż i wszerz, nie stanowił żadnego zagrożenia. Aurorze ni z tego, ni z owego zebrało się na rozmowy.

– Więc czytałeś też Biblię? A wiesz, na przykład, dlaczego właściwie Judasz był Iskariotą?

Chłopiec wzruszył ramionami. Tego rodzaju problemy jakoś go wcześniej nie zajmowały.

– Wyjaśnień jest wiele. Według jednego z nich jest to zniekształcone greckie *sikarios*, „uzbrojony w sztylet", „zabójca". Jest też wersja, według której chodzi o słowa *isz karia*. W przekładzie z języka aramejskiego znaczy to „fałszywy".

– Tego też uczą was na lekcjach?

Aurora potrząsnęła głową przecząco.

– Sama to wyczytałam. Fakultatywnie.

Gleb nie zrozumiał ostatniego słowa, ale zajmowało go teraz coś innego.

– Mówisz, że w jakim języku… armijnym?

– W aramejskim, głuptasie! – Dziewczynka parsknęła śmiechem. – Mówię przecież *isz karia*.

– Znałem jednego takiego… Sztylet zresztą też miał…

Gleb nie zdążył dokończyć: gdzieś przed nimi dał się słyszeć zgrzyt metalu, szczodrze doprawiony stekiem ordynarnych przekleństw. Wystarczyło podejść bliżej, by hałas z bocznego korytarzyka prowadzącego do szybu wentylacyjnego się nasilił. Dziecięca ciekawość przeważyła nad ostrożnością. Wędrowcy przekradli się chodnikiem i zamarli pod ścianą. Obok dmuchawy krzątało się kilku

robotników. Jedni sprawdzali wentylator w trybie wstecznym, drudzy pospiesznie montowali ślepe żelazne drzwi na wysokość całego przejścia.

– Po co to? – zapytała szeptem Aurora.

– Gdybym tylko wiedział… – Chłopiec wzruszył ramionami w rozterce. – Może jakaś zaraza przesącza się z powierzchni? Inaczej nie widzę sensu ustawiania zasłon. Wewnątrz szybu są kraty chroniące przed mutantami. Alians surowo tego przestrzega.

Ze względu na szum i przekleństwa robotników oboje nie usłyszeli kroków, dlatego wzdrygnęli się, zaskoczeni, słysząc za plecami surowy głos.

– A wy co tu zgubiliście? Dlaczego nie na stacji? No, sio mi stąd!

Trzeba było raz dwa się zbierać. Przemknęli obok czerwonego na twarzy mechanika w zatłuszczonym fartuchu i skierowali się z powrotem do tunelu.

Przy wejściu na Gostinkę zebrało się jeszcze więcej ludzi niż w szybie wentylacyjnym. Przeważnie byli to obnośni handlarze z tobołami pełnymi towarów. Wszyscy robili straszny harmider, napierając na ogrodzenie posterunku, ale ich próby przedostania się do środka, były duszone w zarodku.

– O co chodzi? Dlaczego nie wpuszczają?

Zasuszona staruszka z dziurawym wózkiem sklepowym na pytanie Gleba z niezadowoleniem machnęła tylko ręką.

– Tranzyt zamkli, przeklenci! Mówiom, że na całym Aliansie wprowadzili godzine policyjnom. Terrorystów jakichś szukajom. Obcych! – Babcia, żeby nadać większą wagę swoim słowom, uniosła w górę krzywy palec. – Kto widział, uczciwych ludzi gazem straszyć, jak jakie karaluchy? Tfu, antychrysty!

Po zakończeniu gniewnej tyrady staruszka żwawo dała nura w największy ścisk. Wartownicy nie reagowali na krzyki, poradzili tylko, by wracać na Majak. Tam, tak jak obiecywali, można było bez przeszkód opuścić terytorium Aliansu Primorskiego. Niektórzy

posłuchali rady i zniknęli w mroku tunelu, inni pozostali przy posterunku w nadziei, że blokada jednak nie potrwa długo.

– Chyba trzeba będzie nadłożyć drogi przez Powstania, Władimirską i Dostojewską. Inaczej nie da się trafić na granatową linię.

Chłopiec zerknął na współtowarzyszkę. Ta jakby go w ogóle nie słyszała – stała przy ścianie tunelu, wpatrzona w jeden punkt i kreśliła ręką w powietrzu zawiłe linie, jakby rysowała z pamięci.

– Co…

– Poczekaj!

Uciekinierka czarowała tak jeszcze przez jakiś czas, potem niespodziewanie ruszyła w głąb tunelu.

– Chodźmy, to powinno być gdzieś obok…

– Co takiego? Gdzie ty biegniesz?

Chłopak dogonił Aurorę obok niepozornego zejścia po kilku betonowych schodkach, prowadzącego do korytarza z nisko sklepionym sufitem. Dziewczynka dała nura w wąskie przejście i przedostała się do wyjścia na równoległy tunel z torowiskiem, z którego czuć było obornikiem i dało się słyszeć kwiczenie świń. Postała chwilę niezdecydowana i wróciła na środek łącznika między tunelami.

– Gdzieś tutaj…

– Ale co „tutaj”?! – Gleb nie wytrzymał.

– Powinno być przejście. Dokładnie pamiętam… – Widząc zdumienie we wzroku współtowarzysza, Aurora pospieszyła z wyjaśnieniami. – Rozumiesz, zanim uciekłam, pooglądałam plany metra. W sali kontrolnej było ich bardzo dużo. Taka gruba zszywka… Wykułam nawet kilka na pamięć, zanim mnie nakryli. W centrum jest dużo połączeń. Rury ciepłownicze, szyby z kablami, kolektory… Są takie, o których nawet dzikusy nie wiedzą! Jeśli tylko plan nie kłamie, można się przedostać na Plac Sienny…

Gleb rozejrzał się sceptycznie. Gładkie ściany, strzępy zbutwiałych szmat na ziemi, zeschnięte ekskrementy… Dziewczynka w pośpiechu

musiała wszystko poplątać.

Skąd tu wziąć przejście? Chyba że…

Wziął zamach i uderzył kolbą karabinu w ścianę. Tynk popękał, szary pył posypał się na ziemię. Parę kroków dalej chłopiec uderzył znowu. Jeszcze jedno wgniecenie – i nic więcej. Po paru próbach obrana taktyka przyniosła jednak owoce. Tym razem odpadł cały płat tynku, obnażając starą warstwę cegieł.

– Wiedziałem. Przejście jest, ale zamurowane. Trzeba się przebijać.

Udało im się wypchnąć jedną za drugą kilka cegieł, robiąc wystarczającą wyrwę, żeby dostać się do środka. Gleb chwycił latarkę w zęby i jako pierwszy zanurkował w czeluść pokrytego pyłem otworu. Za ścianą odkrył wejście do pionowego szybu. Chłopiec poświecił w dół i dojrzał na dnie zawał z odpadków budowlanych. Jedyna droga prowadziła na górę, po wmurowanych w ścianę żelaznych szczeblach.

Gleb był przyzwyczajony do tego rodzaju ćwiczeń, za to Aurorę niebezpieczne podejście kosztowało kilka minut strachu i zdarte do krwi palce. Zastałe powietrze ciasnej betonowej kiszki nie ułatwiało zadania. Mrok studni działał przygnębiająco, dlatego oboje westchnęli z ulgą, kiedy wydostali się w końcu do szybu kolektora kanalizacyjnego. Tutaj dziewczynka znów stanęła na czele poszukiwań, w niepojęty sposób orientując się w plątaninie wilgotnych tuneli. Parę razy trzeba było gramolić się po śliskich pochylniach chodników, ryzykując w ciemności skręceniem karku. Z każdym pokonanym metrem Gleb czuł, jak nieubłaganie zbliżają się do powierzchni i od tego niepokój jeszcze się nasilał. Kiedy półkoliste betonowe sklepienia ustąpiły miejsca krzywym ścianom z pochylonymi drewnianymi szalunkami, Aurora przyspieszyła kroku.

– Słyszałeś cokolwiek o dziedzińcu Apraksina? Już w osiemnastym wieku znajdował się tam targ. A pod ziemią składy, piwnice, a nawet sieć łączących to wszystko korytarzy. Jeśli się nie mylę, jesteśmy właśnie w jednym z nich.

Jak na złość, chłopiec nie miał w swojej kolekcji żadnej książki o historii miasta, dlatego nie mógł sobie przypomnieć niczego przydatnego o słynnym niegdyś targu na powierzchni.

Nagle wąski korytarz się urwał. W ślepej ścianie znajdowały się zwyczajne, poczerniałe od wilgoci drewniane drzwi. Wystarczyło lekko popchnąć, by wpadły do środka, zamieniając się w próchno. Wędrowcy trafili do przestronnego pomieszczenia o niskim sklepieniu, całego w girlandach pajęczyn, którego koniec ginął w oddali – światło latarek okazało się bezsilne w obliczu zgęstniałego mroku. Rząd masywnych kolumn, zmurszałe mury z czerwonej cegły i specyficzny zapach rozkładu tworzyły klimat niewiarygodnej przeszłości tego dziwnego, zapomnianego przez Boga miejsca.

Omijając kałuże, młodzi wędrowcy przecięli jedną salę i przez mały łącznik weszli do drugiej. Wkrótce przed ich wzrokiem otworzyła się amfilada obszernych piwnic, poprzecinana siecią wąskich chodników wyłożonych takimi samymi, pociemniałymi ze starości cegłami.

– Te piwnice urządzili jeszcze kupcy. Przechowywali w nich towary jak w chłodniach. – Aurora, urzeczona, przesunęła ręką po nierównej powierzchni ściany. – Czytałam, że pod Apraszką mieściły się nawet sekretne manufaktury, w których pracowali katorżnicy.

– Co do katorżników, to nie wiem, ale ktoś tu rzeczywiście szył ubrania… – Dobiegł ją przytłumiony głos Gleba, który zajrzał do sąsiedniej sali. – I to, zdaje się, znacznie później niż w osiemnastym wieku.

Przy wejściu spoczywały luzem stosy nieforemnych pakunków z na wpół zetlałymi rolkami materiału i zgniłe do cna sterty kartonowych szablonów. Równe rzędy stołów z maszynami do szycia zdawały się obcym, kompletnie zbędnym detalem zabytkowych katakumb. Jednak fakt pozostawał faktem – dzieciom udało się natrafić na dawną nielegalną fabrykę. Chłopiec zatrzymał się przy wybranym na chybił trafił biurku, oglądając wyblakłe zdjęcie przyczepione do lampy. Z fotografii patrzyła na niego kobieta w sukience w kwiaty i troje dzieci, uśmiechniętych od ucha do ucha. Cała czwórka tak

mrużyła oczy, że na ich twarzach widniały tylko wąskie szczeliny. Gleb zastanowił się i spisał dziwne miny na karb ostrego słońca. Bardziej zainteresował go olbrzymi mur, na którym stali ludzie ze zdjęcia. Długa budowla, wijąc się po szczytach grzbietów górskich, ciągnęła się nieomal po horyzont. Ochrona przed mutantami? Ale przecież przed Katastrofą ich nie było! I człowiek nie miał się kogo obawiać, oprócz siebie samego… Czyżby takie tytaniczne wysiłki były podejmowane, żeby odgrodzić się od sobie podobnych?

Kolejna sala w rzeczywistości okazała się warsztatem montażu „podrabianych komórek". Właśnie tak, dziwnie i niezrozumiale, wyraziła się Aurora o walających się wszędzie różnokolorowych pudełeczkach z mnóstwem przycisków. Mikroschematy, przewody, lutownice… Chłopiec nie mógł zrozumieć przeznaczenia wszystkich tych cudacznych przedmiotów, a zresztą niezbyt się starał. Jedną rzecz jednak rozpoznał. Elektroniczny zegar stołowy! Nieco masywniejszy od tego, który przyciągał wzrok w gabinecie naczelnika Siennej (obiekt jego szczególnej dumy), na oko w świetnym stanie. A może zadziała? Urządzenie w obecnych czasach unikatowe. Można powiedzieć artykuł luksusowy, bo baterie produkowane przez mazutów były nieprzyzwoicie drogie…

Gleb schował znalezisko do kieszeni i pobiegł za współtowarzyszką. Kiedy minął następny korytarz, omal na nią nie wpadł. Aurora stała pośrodku przestronnej piwnicy, nie mogła wydusić słowa i wytrzeszczała oczy na oślizgły kawał pokrytego szczeciną cielska, który wężowym ruchem wysuwał się spod ziemi i równie niespiesznie znikał w rozwalonej ścianie piwnicy.

– Nie ruszaj się! – szepnął rozpaczliwie chłopak. – Niech pełznie. To kanałowy robak. Wujek Pachom mi o nich opowiadał.

– Ale takie robaki nie istnieją! – Dziewczynka potrząsała głową z rozpaczą, nie chcąc uwierzyć własnym oczom. – Największy znany nauce…

– Zapomnij o nauce! I wyrzuć swoje podręczniki! Tamten świat został w przeszłości. Wszędzie wokół są mutanty! Teraz to ONE będą

nas badać jak ginący gatunek. I degustować.

Aurora gniewnie zamrugała, ale postanowiła się nie spierać, rozważając słowa współtowarzysza. Tymczasem białawe cielsko nadal niespiesznie wsuwało się w dziurę w ścianie. Zdawało się, że nie będzie temu końca. Cichy, złowieszczy szelest wydawany przez szczecinę na cielsku giganta dręczył nerwy znacznie bardziej niż ryki jakiegokolwiek naziemnego drapieżnika.

Wtem dziewczynka nie wytrzymała i omijając kawały ziemi, które osypały się z sufitu, rzuciła się w stronę przeciwległego końca sali.

– Stój! Nie ruszaj się! – syknął Gleb w ślad za nią, ale uciekinierka skryła się w ciemności. Tylko słabe światełko latarki migotało pod odległą ścianą.

Chłopiec skierował światło na mutanta i spochmurniał. Segmentowy tułów, drgając, poruszał się znacznie szybciej niż wcześniej… Ale teraz w przeciwnym kierunku!

– A żeby cię…

Dalsze ukrywanie się nie miało sensu. Nogi same poniosły go przez złowieszcze podziemia. Szybciej! Szybciej! Na drodze, jak na złość, z nieprzeniknionych ciemności wyłaniały się jedna za drugą wszelkie możliwe przeszkody – sterty pokruszonych cegieł, osypiska ziemi sięgające niemal sufitu, przeżarte przez rdzę taczki… Po wgramoleniu się na kolejny wzgórek Gleb zauważył, jak pod ścianą mignęła mu sylwetka Aurory, i jak kamień sturlał się na dół. Drogocenne sekundy upłynęły, zanim zorientował się w kierunkach po twardym lądowaniu na posadzce. Chłopak potrząsnął głową, wstał z ziemi i wtedy przed nim coś wyraźnie szczęknęło, a ledwo widoczne światło znikło.

Ostatni odcinek do końca sali Gleb pokonał targany złymi przeczuciami. Z ciemności wyłoniły się potężne żelazne drzwi. Chłopiec rozpaczliwie szarpnął szeroki uchwyt skobla i zrozumiał, że potwierdziły się jego najgorsze obawy. Mimo wysiłków, ciężkie drzwi nie poddawały się.

– Otwieraj, słyszysz?! Otwórz te cholerne drzwi!

Gleb zabębnił bezsilnie pięściami w metal, krzyczał i klął, ale uzmysłowił sobie w końcu daremność bezowocnych starań, przysiadł plecami do drzwi i umilkł. Biorąc pod uwagę okoliczności, trzeba było natychmiast uspokoić zszargane nerwy i spróbować znaleźć wyjście z sytuacji.

Mutant na razie nie pokazywał się w jego polu widzenia. Może pokręci się trochę i popełznie w swoją stronę? Rozpaczliwie uchwycił się nadziei na podobny obrót spraw, lecz doświadczenie podpowiadało mu, że na pobłażliwość ze strony zdradzieckiej fauny zewnętrznego świata lepiej nie liczyć.

– Wybacz mi, Gleb… – Usłyszał nagle zza drzwi. – Nikt nie może wiedzieć o Edenie. Nikt, słyszysz? Zrozum mnie, jeśli potrafisz… Po prostu nie mogę postąpić inaczej… Wybacz…

Z uchem przyciśniętym do chłodnego metalu, chłopiec rozpoznał cichnące echo pospiesznych kroków. Aurora odeszła. Teraz już na pewno. Jak mawiał Taran: „Ufając innym, licz tylko na siebie". Pewnie warto było w swoim czasie z większą uwagą słuchać morałów doświadczonego stalkera, ale teraz mleko już się rozlało. Gleb wstał i chyłkiem ruszył z powrotem. Jeśli dopisze mu szczęście, może uda się wrócić na Gostinkę tą samą drogą?

Lepka, paraliżująca cisza otulała przestrzeń piwnicy, w przygaszonym świetle latarki przypominającej zapieczętowany na wieki grobowiec. Wilgotne, stęchłe powietrze starego podziemia więzło w płucach niczym ciągnący się kisiel. Chłopiec strzepnął z brwi krople gryzącego potu, pokonał kolejne osuwisko i poświecił w głąb sali. Przed nim jak niewyraźny cień wznosił się on – ogromny robak w pozycji gotowej do skoku kobry. Płat głowowy giganta kołysał się miarowo, zahaczając o belki stropu. Owalna paszcza na pokrytym śluzem pysku otwierała się regularnie, obnażając drżącą gardziel bez dna.

Paraliżujący, krępujący ręce i nogi strach przyszedł niespodziewanie, przetoczył się po całym ciele niekontrolowanym dreszczem, osiadając w żołądku ciężką grudą. Gleb przełknął ślinę,

przezwyciężył emocje i przesunął się w prawo. Ciężka głowa mutanta od razu obróciła się w ślad za nim. Ofiara rzuciła się w panice w przeciwnym kierunku, ale tępo zakończony pysk bezbłędnie podążał za chaotycznymi ruchami.

„Z czasem to poczujesz. Wrażenie wielkiego zagrożenia, stalkerski zmysł, którego w żadnym wypadku nie wolno ignorować…”

W tej samej chwili chłopak, zdaje się, zrozumiał to, co tak uporczywie powtarzał opiekun. Świadomość eksplodowała mu tysiącem iskier, krew zawrzała od adrenaliny, a poplątane myśli zlały się w jeden niecierpiący sprzeciwu nakaz: „Ratuj się!!!”. Gleb skoczył w bok, kątem oka widząc ruch rozpostartego w locie galaretowatego cielska. Z ogłuszającym łoskotem rozpadła się masywna kolumna – szpetna głowa potwora zwaliła przeszkodę bez widocznego wysiłku. Miękko przeturlawszy się po posadzce, chłopiec natychmiast wykonał kolejny skok i cudem rozminął się z paszczą mutanta, który tułowiem niczym gigantyczną kosą ściął następne kilka kolumn. Odłamki cegieł poleciały na wszystkie strony i chłopak poczuł, jak bębnią mu po plecach. Gleb rzucił się do ucieczki co sił w nogach, a ciężkie sklepienie, w jednej chwili pozbawione kilku podpór, groźnie zatrzeszczało. Tynk zarysowały pęknięcia, a w kilku miejscach sufit zaczął osiadać. Potężny segment sali zapadł się z głuchym łoskotem i zniknął pod tonami ziemi, kamieni i ciężkich belek stropu. Robak zaczął się rzucać w straszliwych drgawkach, bezładnie waląc segmentem czołowym w skraj osuwiska, jednak nie mógł uwolnić tylnej części tułowia przygniecionej na amen warstwą ziemi.

Szanse ratunku wyraźnie wzrosły. Oczywiście nie było wiadomo, czy Glebowi uda się przejść obok rozwścieczonej bestii, ale też nie groziło mu, że w najbliższym czasie zostanie zjedzony. Przełykając wiszący w powietrzu betonowy pył, wrócił do nieszczęsnych drzwi i uważnie przyjrzał się przerdzewiałym zawiasom. Biorąc pod uwagę wilgoć w podziemiach i nagromadzone przez lata zmęczenie materiału, warto było spróbować.

Kolba karabinu uderzyła w żelazo. Całe drzwi przeciągle zadzwoniły, posypały się kawałki rdzy, obnażając na zawiasie świeży odprysk. To już coś…

Chłopiec dalej operował samopałem jak pałką, póki nie rozbolały go ręce. Wtedy przysiadł, by odpocząć, i poświecił w stronę zapadliska.

Robak przestał się miotać w agonii. Teraz powoli pełzł naprzód, z każdy metrem rozciągając się na podobieństwo elastycznej liny. Przez tułów giganta przebiegło drżenie i nagle, z ohydnym mlaśnięciem, okaleczony odwłok oderwał się od reszty ciała. Pozostawiając na posadzce wyraźny ślad gęstego różowawego śluzu, sączącego się z kikuta, mutant popełzł w stronę ofiary. Instynkt myśliwego okazał się silniejszy od bólu.

Gleb podskoczył jak oparzony i wściekle załomotał karabinem w zawiasy. Zdając sobie już sprawę, że raczej nie zdąży zrealizować swojego planu, walił w metal ze złością: na chytrą cudzoziemkę, która zdradziła go w najtrudniejszej chwili, na Tarana, który nie wiadomo gdzie się włóczył, na samego siebie za to, że władował się w cudze problemy po same uszy.

Nagle pojawiła się wyraźna, przerażająca w swojej prostocie myśl: „To koniec… Za późno…". Chłopiec odwrócił się. Pysk mutanta zawisł niebezpiecznie blisko. Paszcza, cała usiana tysiącami miniaturowych haczykowatych kłów, otwierała się niespiesznie, owiewając ofiarę zgniłym oddechem. Gleb z żalem rzucił spojrzenie na karabin w sparaliżowanych nagle rękach. Jak na złość, nie było już ani jednego naboju! Gdzie jest teraz Taran ze swoją cyzelowaną przez lata sztuką ukatrupiania wrogich form życia?

Gdyby chłopiec wiedział, że doświadczony stalker zetknął się już z tym stworem i wolał obejść go z daleka… Gdyby z kolei stalker przewidział, co wyniknie z jego decyzji, by uniknąć starcia… Czasem czyny jednych przesądzają o losie innych, a impulsywne ruchy wykonywane pod wpływem emocji dają lepsze owoce niż przemyślane decyzje. Czy nie po to człowiek jest pozbawiony daru

jasnowidzenia, aby w pełni odczuć odpowiedzialność za dokonane lub zaniechane czyny?

Robak podciągnął się ze złowieszczym szelestem, gotując się do ostatecznego skoku. I wtedy Gleb zrobił to, co pierwsze przyszło mu do głowy – zamachnął się i cisnął karabin w głąb sali. Głowa mutanta natychmiast obróciła się w stronę, z której dobiegł hałas upadającej broni, chłopiec zaś ucichł, starając się niczym nie zdradzić swej obecności. Na czole pojawił mu się pot, a w oczach pociemniało od ogromnego napięcia. Gleb wstrzymał nawet oddech, lecz serce, niezależne od woli, waliło jak oszalałe.

Drapieżnik zasłuchał się, chłonąc wibracje z otaczającej go przestrzeni. Krótkotrwały rozbłysk aktywności natychmiast przeminął, za to tuż obok dochodził sygnał, ledwie wyczuwalny, lecz rytmiczny i niezmienny. Zdobycz…

Gleb zauważył tylko ogromną, rozdziawioną paszczę, która przybliżała się z prędkością lokomotywy, a potem nieznana siła przewróciła go na plecy. Zgrzytnęły zatrzaskujące się drzwi, szczęknął rygiel. Ułamek sekundy później stara konstrukcja zatrzęsła się od potężnego uderzenia. Zdeformowana zasuwa zacięła się, skrzydła drzwi wygięły się jak arkusze folii aluminiowej, ale jednak wytrzymały.

Wciąż jeszcze nie wierząc w niespodziewany ratunek, chłopak podniósł wzrok. Aurora, zapłakana i drżąca, ze wszystkich sił ciągnęła go jak najdalej od drzwi. Glebowi udało się jakoś wstać. Nieposłuszne nogi zaczęły się plątać, pulsujący ból niczym rozżarzony gwóźdź wwiercał mu się w mózg, ale przekleństwa gotowe wyrwać się z ust uwięzły mu w gardle. Dziewczynka… płakała. Gorzko, zanosząc się, wczepiona piąstkami w koszulę chłopca. Poprzez szlochy bełkotała coś niezrozumiale i wciąż wytrzeszczała na towarzysza na wpół oszalałe oczy, jakby zobaczyła ducha. I u Gleba z jakiegoś powodu pojawiło się wyraźne przekonanie, że już nie musi się obawiać z jej strony dwulicowości i fałszu. Aurora dokonała wyboru, plunęła na wszystkie sekrety i

pouczenia, stawiając jedno jedyne istnienie wyżej od pomyślności i łatwego życia całej kolonii.

Wyjaśnianie ich postaw od razu wydało się zbędne i nie na miejscu. Kiedy dziewczynka nieco się uspokoiła, a Gleb doszedł do siebie po przebytym stresie, poszli dalej. Odpowiedni szyb z przewodami udało się odkryć dosyć szybko – pamięć wzrokowa Aurory okazała się znakomita. Długie, męczące zejście obyło się bez komplikacji. Doszli do maleńkiej rozdzielni elektrycznej, odległej o jakieś sto metrów od posterunku granicznego Siennej. Tu też znalazł ich czujny patrol handlowej stacji.

* * *

– Tak więc chcecie powiedzieć, że przez cały ten czas mieliśmy pod nosem nieznane wejście na stację?

Wyga świdrował dzieci badawczym spojrzeniem, nerwowo przesuwając skręta z jednego kącika ust w drugi. Nieoczekiwane i efektowne pojawienie się znikąd podróżników od siedmiu boleści wewnątrz chronionych granic narobiło sporo szumu. Szczęśliwym zrządzeniem losu, naczelnik Siennej zbyt dobrze znał jednego z gości, by podejrzewać w dzieciach nieprzyjacielskich zwiadowców.

– Raczej nie można tego nazwać wejściem… Prędzej włazem. Ale znaczenia to temu, jak się wydaje, nie ujmuje. – Gleb spuścił wzrok, czując się niezręcznie. Potem zreflektował się i sięgnął do kieszeni. – Wujku Witio, to dla wujka. Prezent, że tak powiem…

Na stole pojawiło się miniaturowe plastikowe pudełko z monochromatycznym elektronicznym wyświetlaczem i rzędem przycisków. Oczy naczelnika Siennej natychmiast zabłysły.

– A mój akurat zdechł! Dziękuję!

Terentiew podniósł urządzenie i zaczął obracać je w rękach, uważnie studiując. Chłopiec nie zdążył się nacieszyć własną inwencją, kiedy twarz Wygi nagle się wykrzywiła, a pudełeczko z głośnym stukotem wróciło na stół.

– Skąd to wzięliście? – W głosie dorosłego dał się słyszeć chłód stali. – Rozumiecie chociaż, co przywlekliście na stację?!

– Zegarek… stołowy… – wymamrotał ochryple Gleb. – Tam jest cały warsztat z kupą różnych rupieci…

Zapanowała nieprzyjemna cisza. Wyga zmęczonym gestem potarł zdrętwiały kark, w końcu zapalił porządnie już sfatygowanego skręta, wypuścił z zadumą strużkę sinego dymu i nagle spochmurniał.

– To jest timer. Dwukanałowy, wielotrybowy, programowalny, jego mać, timer! Idealne cholerstwo, żeby opóźnić detonację bomby! Czy ty rozumiesz, co to znaczy, chłopcze?!

Ten tylko pokręcił przecząco głową, blednąc w oczach. Naczelnik Siennej zerwał się z miejsca, zaciekle gestykulując.

– A to, że na węzeł handlowy padną podejrzenia o wysadzenie wyspy! Będziemy się musieli natrudzić, by udowodnić, że tak nie było! Możecie pokazać, gdzie jest ten warsztat?

Śmiertelnie przerażona, Aurora w milczeniu chwyciła ze stołu ołówek, kartkę pożółkłego ze starości papieru i zaczęła starannie szkicować plan trasy do podziemi Apraszki. Terentiew nachylał się obok, zaglądając dziewczynce przez ramię, i Gleb przez jakiś czas był pozostawiony samemu sobie.

Dopiero teraz słowa dorosłego zagrzmiały mu w głowie niczym grom. Bojąc się własnych myśli, Gleb próbował zachować spokój, jednak przeczucie nieuchronnej katastrofy nadciągało z gwałtownością lawiny.

– Mówi pan o Moszcznym? – Zerwał się z miejsca. – Czy coś się tam stało?

– To ty nie wiesz? – Naczelnik Siennej oderwał się od studiowania rysunku. – Nie ma już Moszcznego.

W ciszy, jaka zapadła, huczenie krwi w skroniach brzmiało niczym dzwony na trwogę. Poczucie braku wyjścia wielkim ciężarem spadło mu na ramiona, ale w oczach wciąż jeszcze tliła się nieśmiała nadzieja.

– A sąsiednia wyspa? – odezwał się chłopiec, ledwie obracając nieposłusznym językiem.

– O czym ty w ogóle mówisz, Gleb? Wiesz co to takiego wybuch jądrowy? Wyspa Mała znalazła się w strefie skażenia. Nie jest już zdatna do życia.

Zdawało się, że dzień wstrząsów nigdy się nie skończy. Wyga sypał złymi wiadomościami, jakby uznał, że wygada się raz a dobrze. Atak terrorystyczny, ultimatum marynarzy z platformy, przepychanki kolonii próbujących zrzucić z siebie podejrzenia… Co jeszcze musiało się wydarzyć, żeby wreszcie zakończyły się konflikty i bezsensowne ofiary? Czy garstka ocalałych będzie się wzajemnie wyrzynać do ostatniego człowieka? Komu przeszkadzali kochający wolność i nieustraszeni wyspiarze? Pytania, pytania, pytania… Z każdym nowym dniem coraz trudniejsze stawało się rozumienie dorosłych i usprawiedliwianie ich czynów. Niedorzeczna, bezpodstawna, nieuzasadniona agresja nie budziła już niczego poza rozczarowaniem.

Marynarze z Babla postąpili wcale nie lepiej niż mieszkańcy Pitera. Zemsta nie zawsze ma szlachetną twarz. Jeśli naprawdę zamierzali odpowiedzieć ciosem na cios, to niczym się nie różnią od mieszkańców metra. Z drugiej strony, czy należy od nich oczekiwać wyrozumiałości i szlachetności? Nieszczęśnicy zostali w jednej chwili pozbawieni wszystkiego – pożywienia, dachu nad głową, rodzin…

Kiedy Gleb uświadomił sobie rozmiary tragedii, zrozumiał nagle, że jest zmęczony ludzkim okrucieństwem i nie życzy już tej ludzkości lepszego jutra. A wraz z zagładą wyspy o jakiejkolwiek przyszłości, dobrej czy złej, w ogóle można zapomnieć. Żadnej już nie ma. Pozostała tylko teraźniejszość, straszna i przewidywalna. Agonia ginącego gatunku…

Czując wewnętrzną pustkę i przygnębienie, chłopiec ospale zareagował na wieść o nowym zleceniu Tarana. To, że śledztwo powierzono doświadczonemu najemnikowi, wydawało się całkiem logiczne. Podobnie jak jego zamiar, by odwiedzić wegan. Inna

sprawa to, czemu stalker nie zatroszczył się do tej pory o odnalezienie własnego syna?

Rozczarowanie tym brakiem troski już niemal przeszło w obrazę, ale w następnej chwili Glebowi zrobiło się wstyd. Marynarze gotowi są wpuścić gaz na zamieszkałe stacje, grożąc śmiercią tysiącom bogu ducha winnych ludzi, całej ludności metra! W takiej sytuacji roztkliwianie się nad sobą jest po prostu szczytem egoizmu! I w ogóle dbanie o siebie to najmniej ważna sprawa. Gleb gwałtownie wstał z mocnym przekonaniem, że jest w stanie sam się o siebie zatroszczyć, skoro przybrany ojciec ma poważniejsze zadania.

– Wujku Witio, na Gostince w wentylacji zakładają zasłony. Widać mają one chronić przed atakiem gazowym. Może i wy się zabezpieczycie?

– Pracujemy już nad tym. Tylko wątpię, czy to nas uratuje. Iperyt to wynalazek z piekła rodem. Jedna butla tego paskudztwa może takich rzeczy nawyrabiać, że lepiej o tym nie myśleć. Jak zechcą zatruć stację, to zrobią to bez problemu. – Wyga zgasił niedopałek i popatrzył na chłopca. – Tak więc lepiej, żeby twój Taran pospieszył się z inspekcją. Inaczej wszyscy oberwą…

Do oczyszczenia piwnic Apraszki wysłano wzmocniony oddział pod dowództwem dwóch doświadczonych stalkerów, wyposażając go w plan sporządzony przez dziewczynkę. Natomiast Gleba i Aurorę naczelnik Siennej umieścił na noc w pomieszczeniu gospodarczym, obiecując, że załatwi im miejsca w taborze handlowym jadącym do samej Moskiewskiej, który miał wyruszyć w drogę o świcie. Młodzi przyjęli zaproponowaną pomoc z radością – miniony dzień był aż nadto bogaty w wydarzenia i emocje.

W odróżnieniu od spokojnie śpiącej dziewczynki, chłopiec nie zmrużył tej nocy oka. Zamiast tego rozpaczliwie przypominał sobie tych niewiele rzeczy, które zdążył zobaczyć na wyspie podczas krótkiej wizyty. Wspominał, świadom, że pewnie nie będzie miał już szansy ujrzeć na własne oczy czegoś równie pięknego. Wraz ze

zniknięciem jedynego zakątka nietkniętej przyrody w jego duszy na stałe zagnieździła się pustka, jakby ktoś usunął z niej coś bardzo ważnego… Nadzieję na lepsze jutro? Czy tylko dziecięce iluzje, niepotrzebne marzenia przeszkadzające w trzeźwym spojrzeniu na niedoskonałość świata i ludzkie przywary?

Po raz pierwszy w życiu, rozmyślając o przyszłości, Gleb nie odczuwał dawnego entuzjazmu, tylko rozczarowanie i apatię. Może dlatego, że utracił wiarę w ludzi. Albo po prostu wydoroślał.

Rozdział 12: TRANZYT

Boski aromat. Pobudzający i niepowtarzalny. Nie można było pomylić go z czymkolwiek innym. Zapach kaszy gryczanej z tuszonką już zawsze będzie mu się kojarzył ze szpitalnym schronem przeciwlotniczym. Właśnie tam po raz pierwszy miał okazję posmakować tego prostego dania i od tej pory prawie każdy poranek niezmiennie zaczynał się od tradycyjnego śniadania w kojącym otoczeniu – znajoma maleńka kuchenka, zbity z desek stół pod ścianą i dwie miski z parującą kaszą, dla niego i Tarana.

Przełykając ślinę, Gleb zeskoczył z kozetki i zmieszał się, odkrywając, że zamiast w znajomym bunkrze jest w komórce z wiadrami, mopami i innymi sprzętami gospodarczymi. Aurora spała jak suseł – cichutko posapywała pod drugą ścianą, zwinąwszy się w kłębek na starym materacu. Chłopiec wsunął nogi w buty i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, które okazało się zakurzonym składzikiem z regałami gęsto zawalonymi wszelkimi możliwymi gratami. Maleńki stolik w samym środku tego królestwa chaosu oświetlała jedna jedyna żarówka kołysząca się samotnie na białym od pleśni przewodzie. Obok, na szafce, koło zepchniętego na bok fornirowego pudełka z kwitami ewidencyjnymi magazynu, parował kociołek przykryty czystą ściereczką. Chłopiec z rozkoszą wciągnął powietrze. Brzuch w mgnieniu oka obudził się ze snu i zaburczał rozkazująco.

– No, co tak stoisz? Budź tego drugiego i jedzcie szybko! Nie mam dla was czasu… Nakarmić, ułożyć do snu… Przecież to nie jakiś hotel!

Gleb obrócił się w stronę głosu. Przy wejściu, oparta o drewnianą futrynę, stała kobieta w waciaku i spod chustki zachodzącej aż na brwi ślepawym wzrokiem zezowała na lokatora. Jak się wydawało,

magazynierka nie zorientowała się, że „ten drugi” nie jest wcale chłopcem, a dziewczynką. Ale wędrowcom było to tylko na rękę. Chłopiec obudził Aurorę, wrócił do stołu i parząc sobie język, spróbował dania. Kasza z gulaszem okazała się godna wszelkich pochwał. Dzieci spałaszowały poczęstunek, nim upłynęła minuta, i kiedy gospodyni wróciła, pakowały już swoje manatki.

Wygę zastali na peronie. Ten był wyraźnie w złym humorze i gromkim głosem ochrzaniał podwładnych za przedziurawiony worek, z którego wysypała się pokaźna ilość drogocennej soli spożywczej. Widząc młodych, Terentiew nieco ochłonął i uśmiechnął się sztucznie. Przestraszeni ładowacze nie omieszkali skorzystać z sytuacji i z godną pozazdroszczenia zwinnością zabrali dziurawy wór z oczu rozsierdzonego szefa.

– A ja już chciałem po was słać! Walcie do sektora załadunków, tabor zaraz wyruszy. – Wyga machnął ręką w stronę peronu. – Zapytajcie Stepana Kostromę, on wie, co i jak.

– Wujku Witio…

– Hę?

– Dziękuję i przepraszam za kłopot. – Chłopak się zaciął. – Aż tak jakoś niezręcznie…

– Daj spokój, Gleb! Jak zobaczysz Tarana, to przekaż mu, żeby do mnie wpadł. Bo zegar tyka, ale jak na razie – na naszą niekorzyść… Niestety nie mogę poświęcić wam więcej czasu: spraw mam po uszy, a do tego Pantelej dotychczas nie wrócił…

Widząc zmieszany wzrok chłopca, naczelnik Siennej urwał w pół słowa. Nie doczekał się wyjaśnienia, więc podszedł bliżej.

– Widziałeś go? Gdzie? Co z nim?

– Dżuma – odparł Gleb ledwie słyszalnie. – Panteleja spalili na Czernyszewskiej.

Wyga sposępniał. Mięśnie twarzy zaczęły mu drgać, czoło przeorały głębokie zmarszczki.

– Co to za diabelstwo… – odezwał się wreszcie. – Skąd dżuma? W lazarecie ani jednego zarażonego! I nigdy przecież nie chorował…

Zapominając się pożegnać, Terentiew zmęczonym krokiem powlókł się z powrotem. Chłopiec z opóźnieniem pomachał ręką w ślad za nim, ale ten nie zareagował, przybity złą wiadomością. Aurora podeszła cicho od tyłu i pociągnęła towarzysza za rękaw. Trzeba było się spieszyć.

Bieg na złamanie karku przez całą stację po zastawionym towarami peronie okazał się niepotrzebny. Tabor składający się z dwóch sczepionych motodrezyn spokojnie stał na torze i sądząc po rozmontowanym silniku i kupce części na wytłuszczonej szmacie, o rychłym odjeździe składu można było śmiało zapomnieć. Stepan Kostroma okazał się krępym typem w średnim wieku z gęstą, czarną jak smoła brodą i takimi samymi krzaczastymi brwiami, przez co wyglądał na surowego i nieskorego do rozwlekłych dyskusji. Dlaczego właśnie „Kostroma" – czy to nazwisko, czy pseudonim – Gleb w końcu się nie dowiedział. Było niby takie miasto… Może Stepan stamtąd pochodził? Chłopiec rozsądnie nie zaczął wypytywać. Przewodnik karawany i bez tego się miotał, próbując naprawić silnik, który nie w porę odmówił posłuszeństwa.

Obok brodacza, podając klucze do nakrętek, krzątała się niemłoda kobieta w wiązanej szarej bluzce, roboczych spodniach i chustce spranej tak, że straciła zupełnie kolor.

– Dzień dobry. Czy odjazd będzie niedługo? – zapytał się Gleb.

Nieznajoma popatrzyła nieobecnym wzrokiem i jakby nigdy nic wróciła do swoich zajęć.

– Czo się gapisz, chłopyc? Ona niema jest. – Kostroma wyprostował się, otarł pot wielką, pokrytą odciskami łapą, przyglądając się z niezadowoleniem zbierającym się podróżnym i z ukraińskim akcentem powiedział: – Siadyjcie z boczku. Maszynkę naprawim i zara zawołam.

Trzeba było czekać. Niezadowoleni z opóźnienia straganiarze kisili się nieopodal, pilnując towaru. Najbardziej niecierpliwi wkrótce zaczęli się kolejno oddalać do miejscowego baru – przepuścić co nieco.

Po upływie kilku godzin pociąg wciąż stał tak samo martwo na torach, a motorniczy, cicho się wściekając, dalej czarował nad silnikiem. Obserwując męki brodacza, Gleb w końcu nie wytrzymał, nabrał odwagi i podszedł do drezyny.

– Proszę mi to dać.

Kostroma otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy chłopiec wyjął mu z ręki klucz nastawny, ale potem rozmyślił się, beznadziejnie machnął ręką i usiadł na skraju peronu. Chłopiec zakasał rękawy i wsunął się pod metalową pokrywę skrywającą mechaniczne wnętrzności pojazdu. Po kilku minutach coś okropnie zgrzytnęło, a spod podwozia wyleciała uwalana smarem część.

– E! Czoś ty tam wychachmęcił, łobuzie?! – Motorniczy zaniepokoił się.

– Spokojnie. Bez tego badziewia będzie tylko lepiej. – Na zewnątrz ukazała się umorusana i zadowolona twarz Gleba. – Lepiej niech pan tutaj przytrzyma… Oczywiście siedzę bardziej w generatorach Diesla, ale tu wszystko jest znacznie prostsze.

Stepan z nowym entuzjazmem rzucił się na pomoc młodemu talentowi. Na cztery ręce praca szła aż miło. Straganiarze zaczęli się krzątać z nowym zapałem. Zebrali się wokół drezyny, ze znajomością rzeczy pokazując palcami na maszynerię, że niby tu trzeba dokręcić, a tam poluzować, na co zaczerwieniony Kostroma przystępnie, obrazowo i z intymnymi szczegółami pozamałżeńskich związków wszystkich krewnych do piątego pokolenia włącznie wskazał gadułom to właśnie skryte przed wzrokiem miejsce, gdzie powinni byli niezwłocznie się udać ze swoimi cennymi radami.

Pomimo interwencji Gleba na usuwaniu awarii zeszła dobra połowa dnia. Przewodnik karawany w wolnych chwilach opowiedział chłopcu sporo ciekawych rzeczy – o niełatwym biznesie, chytrych mazutach z ich lichwiarskimi opłatami za tranzyt, o swojej niemej towarzyszce, którą przygarnął na jednej z peryferyjnych stacji. Tej, jak się okazało, przydarzyła się bardzo smutna historia: biedaczka przestała mówić po nieudanym porodzie. Dziecko urodziło się martwe, a do

tego z okropnym defektem – bez twarzy i uszu. Kobieta oszalałaby do reszty z rozpaczy, gdyby nie Stepan. Ogrzał ją, wyleczył. Krótko mówiąc, zżyli się.

– Sprytna z Fimy gospodyni – wyjaśnił Kostroma, spoglądając ukradkiem na partnerkę. – A że milczka, to tylka na plus! U innych baby cały dzień piłują, a moja patrzałami połypie, posapie i się uspokoi!

Gleb wyjrzał zza drezyny. Kobieta w chustce siedziała pod ścianą, wpatrzona nieobecnym wzrokiem w jeden punkt, i miarowo kołysała się na boki. Dziwna, zagubiona i nieskończenie nieszczęśliwa, Fima budziła tylko wielką litość i podskórne pragnienie, by choć trochę jej pomóc. Chociaż wątpliwe, by istniało cokolwiek zdolnego uspokoić, pocieszyć tę biedną kobietę, całkowicie pogrążoną we własnym cierpieniu…

Przy niespiesznych dyskusjach naprawa niepostrzeżenie zbliżyła się do końcowej fazy i kiedy reanimowany silnik wreszcie zaterkotał kłótliwie, po peronie rozeszło się westchnienie ulgi. Chłopiec naprędce wytarł ręce szmatą, przysiadł się do Aurory, która już usadowiła się na tylnej drezynie, wdrapawszy się na worki z suszonymi grzybami. Jako ostatni na odjeżdżający skład wskoczyli dwaj straganiarze, którzy przez cały ten czas sterczeli w barze. Do chwili odjazdu obaj zdążyli się nieźle upić i dlatego, po tym jak klapnęli na swoje miejsca, od razu zaczęli chrapać.

Skład niespiesznie wjechał do tunelu, w lepkie objęcia pierwotnej ciemności. Samotna lampa przedniej drezyny oświetlała wycinek torowiska, ale siedzenie na samym końcu karawany okazało się nieco straszne – z tyłu nieprzeniknioną ścianą podnosił się mrok. Co i rusz korciło, żeby się obejrzeć, ale Gleb zachowywał stoicki spokój, pamiętając o często powtarzanych historiach. Nierzadko zdarzało mu się słyszeć, że strach w tunelach zyskuje mistyczną moc i przyciąga całkiem realne nieprzyjemności. Odpędzisz złe myśli – przejdziesz bezpiecznie, przestraszysz się – sprowadzisz nieszczęście.

Jego towarzyszka, jak się okazało, miała słabsze nerwy. Aurora siedziała jak na szpilkach i Kostroma, zerknąwszy na pasażerkę, w końcu nie wytrzymał.

– Ej, wiercipięta! Czo, cykasz się? Głupia, tocz to granatowa nićka! Czysta jak łza!

Dziewczynka spuściła wzrok, oblewając się rumieńcem. Teraz siedziała bez ruchu i pozwoliła sobie tylko westchnąć z ulgą, kiedy zza zakrętu ukazał się w końcu wjazd na Technolożkę.

Próbując choć trochę nadrobić stracony czas, motorniczy uporał się z rutynowymi sprawami w rekordowym tempie. Aurora nie zdążyła w końcu porządnie obejrzeć cudownej stacji, chociaż Gleb starał się pokrótce opowiedzieć jej o potędze technicznej i uczonych mieszkańcach tej kolonii, chyba jednej z najbardziej rozwiniętych w piterskim metrze.

Po odliczeniu należnych za przejazd nabojów dla wartowników i szybkim wyładunku na peron części towarów przeznaczonej dla mazutów, Kostroma poprowadził skład dalej.

Znowu tunel. I znowu wszechobecny, przenikający aż do serca mrok. Na szczęście tym razem nie tak przerażający. Miarowy warkot starego silnika działał usypiająco. Gleb ułożył się wygodnie na workach. Pojawiła się nawet przelotna myśl, żeby pójść za przykładem podchmielonych straganiarzy i trochę się przekimać. Myśli wirowały ospale i niechętnie, powolny stukot kół na łączeniach szyn hipnotyzował, wprawiał w odrętwienie. Dlatego niespodziewane i gwałtowne zatrzymanie się drezyn spowodowało natychmiastową reakcję – pasażerowie ożywili się, jeden przez drugiego zaczęli wołać:

– Dlaczego stoimy? Kostroma, co się dzieje? Niech ktoś włączy światło!

Motorniczy bez pośpiechu zeskoczył na tor i mruknął z zakłopotaniem, drapiąc się po głowie. Przed nim, wprost na szynach, leżał masywny betonowy słup. Brodacz gapił się na przeszkodę, jakby nie wierzył własnym oczom. Jednak jego zdziwienie nie trwało

długo, ustępując rykowi oburzenia. Coś ze złowieszczym szelestem pomknęło w jego stronę z ciemności. Kostroma zachwiał się. Zardzewiałe ostrza haka abordażowego wbiły mu się w ramię, cienka linka napięła się. Z grymasem bólu krępy Kostroma chwycił za sznur i z całej siły szarpnął. W krąg światła wpadł bosy człowiek, cały owinięty podartymi szmatami. Szkaradne, pokryte broczącymi posoką strupami ręce nieznajomego gorączkowo starały się wymacać na ziemi koniec liny.

– GNILAKI! – wrzasnął przenikliwie straganiarz z przedniej drezyny. – GNI…

Gwóźdź kolejowy wszedł z chrzęstem w nasadę karku i pokazał się w ustach pechowca. Chłopak wypadł na zewnątrz w ochrypłym bulgotem, a tunel wypełnił się krzykami i zgrzytem żelaza. Na tabor ze wszystkich stron rzuciły się szare cienie, potrząsając bosakami, pałkami i kawałkami rur.

Pasażerowie wyrwali się z odrętwienia i ruszyli z miejsc, zaszczękały zamki automatów. Kostroma wskoczył na drezynę, gorączkowo sięgnął do skrzyni na narzędzia i wyciągnął z niej myśliwską dwururkę z wyślizganą drewnianą kolbą.

Smród niemytych ciał wypełnił cały tunel. Szara, pozbawiona twarzy masa zwaliła się na tabor jak fala przyboju, oblepiając pojazdy ze wszystkich stron. Rozległy się liczne wystrzały. W rozbłyskach światła Gleb zauważył, jak Aurora zerwała się na nogi, i w porę zwalił ją z nóg podcięciem – w powietrzu mignął harpun, mijając głowę dziewczynki o milimetry.

– Leż, głupia! Leż, nie wierć się!

Straganiarze walczyli desperacko. Każdy rozumiał, że w przypadku klęski nie będzie litości, bo gnilaki to stworzenia okrutne, skrajnie agresywne, które nie gardzą ludzkim mięsem. Nie sposób było nazwać ich ludźmi. Wiele osób dziwiło się zdolności gnilaków do przeżycia w przesyconych radiacją kolektorach wodociągowych i porzuconych szybach. Patrole dużych kolonii co jakiś czas przeprowadzały czystki w pobliżu stacji, ale trędowaci w niepojęty

sposób, jakby z powietrza, pojawiali się znowu i znowu jak karaluchy, których ludzkość przez całą swoją długą historię nie zdołała wytępić.

Tuż obok ukazała się przeżarta zgnilizną twarz. Aurora pisnęła – w miejscu nosa u napastnika ziała dziura, a przez wyrwę w górnej wardze widać było przerzedzoną palisadę krzywych zębów. Gleb instynktownie się odchylił, zasłaniając towarzyszkę.

– Ej, młody! Łap!

Kostroma wziął krótki zamach i rzucił chłopcu ciężki tasak. Mówi się, że strach wyzwala w człowieku nieznane siły… Gleb sprytnie złapał broń w locie, zrobił wydech i rąbnął długim ostrzem z góry na dół. Tasak ugrzązł w głowie pokraki. Ten zatrząsł się i zwalił pod koła.

Obrońcy na przedniej drezynie mieli szczególnie ciężką przeprawę. Kilku gnilaków zawisło na rękach szerokiego Kostromy, ale obdarzony nieprzeciętną siłą motorniczy, rycząc niczym niedźwiedź, strząsał agresorów jednego po drugim, energicznie wymierzając cios za ciosem nienaładowaną dwururką.

Gdzieś obok znów świsnął, rozwijając się w locie, hak abordażowy. Chłopiec schylił się, rozglądając się wokół. W świetle latarki mignęła przerażona twarz Fimy. Machnąwszy niezgrabnie rękami, kobieta z przeciągłym wyciem cofnęła się w stronę skraju drezyny. Lina strasznej broni ściśle otaczała talię ofiary. W ostatniej chwili Gleb rzucił się w ślad za nią i chwycił biedaczkę za rękę, nie pozwalając, by wypadła z pojazdu. W oczach kobiety zastygł zwierzęcy strach. Wczepiła się w Gleba i rozpaczliwie wierzgnęła, wydając nieartykułowane dźwięki. Aurora przyskoczyła, złapała ją za drugą rękę, ale gnilaki, kryjąc się w ciemnościach przed zabłąkanymi kulami, nieubłaganie ciągnęli złapaną na lasso ofiarę ku sobie.

Wzrok Gleba padł na straganiarza, do niedawna spokojnie śpiącego po długiej libacji. W czasie krótkotrwałej potyczki chłopak zdążył wytrzeźwieć i teraz trząsł się ze strachu wciśnięty pod ławkę.

– Pomóż! – Przytrzymując Fimę ostatkiem sił, chłopiec ruchem głowy wskazał na nóż sterczący straganiarzowi zza pasa. – No,

pomóżże!

Ale ten nawet się nie poruszył. Wytrzeszczał tylko na Gleba ogromne z przerażenia oczy i potrząsał przecząco głową. Pod kanonadą wystrzałów główna masa gnilaków wycofała się i tylko na tyłach taboru dało się wyczuć ruchy bezkształtnych ciał niechcących zrezygnować ze zdobyczy.

Widząc Fimę, Gleba i Aurorę, Kostroma wściekle ryknął i rzucił się im na pomoc, skacząc po chwiejnych stertach skrzyń z towarami… Zabrakło im kilku sekund. Wilgotne ręce kobiety wyślizgnęły się z osłabionych palców dzieci. Gleb i Aurora upadli na plecy, a Fima przerażająco zawyła i zniknęła za krawędzią drezyny.

– Stój! Wracaj! Zginiesz! – odezwały się głosy straganiarzy, ale Kostroma, nie zatrzymując się, wyskoczył z pojazdu i rzucił się w ciemność w ślad za gnilakami wlokącymi po torach opierającą się Fimę.

Nikt nie odważył się porzucić taboru, dopóki Gleb nie wstał i nie zeskoczył z drezyny. Za jego plecami dał się słyszeć tupot nóg – pozostali przezwyciężyli strach i ruszyli za nim. Z daleka dobiegały niewyraźne krzyki, ale nie było żadnych szans, by się zorientować, co dzieje się tam, poza granicą światła. Za nimi pozostało już dobre sto metrów, a migotliwe światło latarek nadal wychwytywało z mroku tylko wilgotne tubingi. Motorniczy przepadł jak kamień w wodę. Może w pośpiechu przegapili jakiś boczny korytarz? Albo tunel po prostu odbiera od podróżnych należną sobie daninę, zsyłając zrodzonych z pierwotnych ciemności gnilaków?

– Chyba już po wszystkim. Najeździł się Kostroma, niech mu ziemia lekką będzie… – powiedział któryś z przygaszonych pasażerów.

Minuty płynęły jedna za drugą. W złowieszczej ciszy nie było słychać nic prócz chrapliwych oddechów handlarzy.

– Sterczymy tu jak… Trzeba wracać, bracia. Pókiśmy cali…

Po ciemku Gleb nie mógł dojrzeć mówiącego, ale nie miało to teraz szczególnego znaczenia. Kimkolwiek był ten „bohater”, powiedział to,

o czym wszyscy myśleli. Straganiarze bez słowa zawrócili w stronę taboru.

Ten sam typ, który odmówił pomocy w najtrudniejszym momencie, tym samym skazując na śmierć Fimę i Stepana, wciąż jeszcze ukrywał się między siedzeniami. Glebem zatrzęsło. Przyskoczył do ławki i spróbował wyciągnąć tchórzliwego straganiarza z kryjówki, ale szybko się zmęczył i zaczął wściekle kopać bezbronne ciało.

– Wyłaź, sukinsynu! Ty ścierwo! Wyłaź, mówię!

Chłopak nie reagował, cierpliwie znosząc ciosy. Zasłonił tylko rękami głowę i zgięty jak scyzoryk, apatycznie starał się unikać kopniaków. Gleba w końcu odciągnęli, ale długo jeszcze nie mógł się uspokoić, rzucając na wyrodka gniewne spojrzenia.

Z potwornie ciężkim słupem blokującym przejazd trzeba się było porządnie namęczyć. Dopiero kiedy naparli na niego wszyscy razem, udało się usunąć przeszkodę z toru. Któryś z ocalałych stanął za dźwignią sterowania. Silnik zaterkotał, skład ruszył z miejsca, pokonał kilka zakrętów tunelu i wkrótce dotarł na Frunzeńską.

Nikt nie miał ochoty omawiać napaści: zbyt nieoczekiwane okazało się spotkanie z gnilakami pośrodku jednego z najbezpieczniejszych szlaków handlowych piterskiej kolejki podziemnej. W całkowitym milczeniu pomogli dwóm straganiarzom wyładować towary, po czym bez słowa wrócili na swoje miejsca.

Kiedy komendant stacji dał zgodę na odjazd, z mroku tunelu niespodziewanie wychynęła barczysta postać Kostromy. Chwiejąc się i utykając na jedną nogę, przewodnik karawany powoli brnął w stronę taboru. Na rękach niósł nieruchome ciało Fimy. Oczy kobiety były zamknięte, zakrwawione usta na zawsze zastygły w niemym krzyku.

Aurora odwróciła się, wtulając twarz w ramię towarzysza, i cicho zapłakała. Gleb jednak nie odrywał wzroku od zbliżającego się Stepana. Szkarłatna plama na koszuli, zmiażdżone ucho i pocięte do krwi ręce były wymowniejsze niż jakiekolwiek słowa – świadczyły o tym, ile go kosztowała próba uratowania kobiety. Nic nie powiedział,

tylko ostrożnie położył pozbawione życia ciało na metalowej podłodze między siedzeniami, przykrył ciało Fimy razem z twarzą kawałkiem płótna workowego i wygonił straganiarza z fotela motorniczego.

– Powinieneś iść do szpitala… – odezwał się tamten.

Kostroma nie zareagował, tylko instynktownie złapał za dźwignię. Był teraz w szoku i pewnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Skład nabrał prędkości i potoczył się dalej, bez przeszkód przeleciał przez Moskiewskie Worota, ale im bliżej byli Elektry, tym bardziej motorniczy się garbił, stopniowo opuszczając głowę. Na próby pomocy reagował tylko głuchymi rykami i wściekłym machaniem rąk. Kiedy karawana zatrzymała się przy peronie stacji, Stepan nagle bezgłośnie zwalił się na bok, upadając przy burcie drezyny. W jego zeszklonych oczach na zawsze zastygł gorzki ból.

Gleb zdecydował się zabrać stamtąd wrażliwą Aurorę, podczas gdy strażnicy ze stacji sprzątali trupy i wypytywali pasażerów o szczegóły. Jakkolwiek ciężko było mu na duszy, należało skorzystać z krótkiego przystanku i odwiedzić pewną osobę…

– Chodźmy. Poznam cię z moim dobrym przyjacielem. – Chłopiec pewnym krokiem skierował się do Pentagonu, mocno ściskając dłoń towarzyszki.

Jednak, ku jego wielkiemu rozczarowaniu, Dyma nie było w barze. Od jednego z kelnerów Gleb usłyszał dość dziwną historię o bójce Giennadija z Taranem, a kiedy ten odmalowywał mu szczegóły pamiętnego spotkania, w oczach chłopca rosło coraz większe zdumienie.

– I dzień później Dym odszedł. Zaraz po tym, jak usłyszał historię o wybuchu nuklearnym i ultimatum – mówił kelner konspiracyjnym szeptem. – Spakował rzeczy i już go nie było. Gdzie, jak, nikomu nie powiedział. I tak…

Skrywana nadzieja, że wraz z przybyciem na Elektrę wszystkie problemy same się rozwiążą, pękła jak bańka mydlana. Do dręczących Gleba pytań dołączyły nowe, co nie dodawało ani

spokoju, ani hartu ducha. Rozkleić się nie pozwalała tylko obecność Aurory – nie chciał wyglądać w jej oczach na mięczaka.

Trzeba było wrócić do taboru z pustymi rękami. Tu wrzały już spory co do jego dalszych losów. Chętnych, by zagarnąć darmowy pojazd, było aż nadto. Gdyby nie spoczywające na drezynach towary, skład spokojnie mógłby stać się własnością Elektrosiły, ale straganiarzom udało się przekonać miejscowe władze, by nie przeszkadzały w przepływie towarów, a i to tylko pod groźbą embarga ze strony miasta handlowego.

Kiedy w końcu niezbyt ludny peron Papy został za nimi i skład zatrzymał się przy wjeździe na Moskiewską, Gleb nagle poczuł pewne zdenerwowanie. Przecież kilka kroków stąd, za przezornie zamkniętymi skrzydłami przesuwnych drzwi, był jego dawny dom…

– Boisz się? – spytała Aurora, próbując pochwycić spojrzenie współtowarzysza.

Chłopiec pokręcił przecząco głową, zasłaniając oczy. Nie tylko komuś – teraz nawet przed samym sobą ciężko było się przyznać, że możliwość dotknięcia stopami posadzki ojczystej stacji wywołała w nim zdenerwowanie i jakiś… smutek? Zbyt wiele wspomnień wiązało się z tym miejscem: dobrych i złych, nostalgicznych i nieprzyjemnych – jednym słowem, różnych. Kiedy zdarzało mu się chodzić ze szpitalnego schronu na Zwiozdną, zawsze starał się mijać Moskiewską niepostrzeżenie, gdyż nie lubił wspominać szczegółów tego pamiętnego dnia, kiedy stał się przedmiotem transakcji…

Tymczasem drzwi przesunęły się w bok i w progu pojawił się zasuszony staruszek z solidną, ręcznie wystruganą laską.

– No, młodzieży, z drogi! Nie przeszkadzamy w rozładunku karawany!

Widząc nieśmiały uśmiech Gleba, surowy dziadek zatrzymał się z zakłopotaniem.

– Wesoło ci, chłopcze?! Jak cię zaraz pasem poczęstuję, to ci się odechce naśmiewać ze starszych!

Staruszek zaczął niezdarnie grzebać przy portkach. Przy tym komicznie nastroszył mu się czubek siwych włosów, rozwiewając się w podmuchu tunelowego przeciągu. Chłopiec mimowolnie uśmiechnął się od ucha do ucha, pod wpływem ogarniających go emocji poczuł szczypanie w oczach.

– Pałycz…

Dziadek znieruchomiał, podniósł głowę, zmrużył oczy, przypatrując się…

– Glebuszka… To chyba nie ty?

Chłopiec pochylił się do przodu i objął staruszka, wtulając twarz w pachnący szarym mydłem waciak. Łzy dławiły go, przeszkadzając w mówieniu, ale słowa były zbędne. Pałycz, który z przejęcia stracił dar mowy, głucho szlochał i po ojcowsku poklepywał Gleba po karku.

Aurora cichutko stała z boku, nie wtrącając się. I dopiero kiedy staruszek zwrócił na nią uwagę, ledwie słyszalnie się przywitała. Dziadek Pałycz okazał się człowiekiem życzliwym i energicznym mimo podeszłego wieku. Do Gleba odnosił się jak do własnego wnuka – rzucało się to w oczy natychmiast, wystarczyło tylko posłuchać, z jakim ciepłem w głosie ten staruszek zwraca się do chłopca. Z nietypowym dla swojego wieku entuzjazmem Pałycz oprowadził młodych po stacji, podzielił się ostatnimi nowinami, pokazał niedawno urządzony warsztat szewski – skromny biznes wróżył kolonii może nie wielki, ale stabilny dochód.

Serce Gleba ścisnęło się na widok tego samego mieszkalnego zakątka, w którym razem z ojcem i matką spędzili dziesięć długich, szczęśliwych lat. Kłaniając się znajomym, chłopiec rozglądał się na wszystkie strony i każdy nowy szczegół urządzenia stacji uruchamiał w pamięci kalejdoskop wspomnień.

– I tak sobie żyjemy… – Pałycz głęboko westchnął, masując sobie utrudzone plecy. Potem kontynuował, spuszczając wzrok. – Zaszedłbyś może do Nikanora. Jeszcze, nie daj Bóg, umrze z grzechem na sercu…

Gleb poderwał się, spoglądając z niepokojem na staruszka.

– Jak to umrze? Co się stało?

– Chodźmy. Sam zobaczysz.

Pałycz podreptał w stronę bloku medycznego. Minąwszy kilka pustych szpitalnych łóżek, przeszedł w głąb pomieszczenia, odsłonił szmacianą zasłonkę i zrobił zachęcający gest. Chłopiec zostawił Aurorę na zewnątrz, a sam wszedł do izdebki. W środku, zakutany w kilka starych koców, leżał naczelnik stacji. Trupia bladość na postarzałej twarzy, zaschnięte, spękane wargi, dziki, błędny wzrok wymownie świadczący o ciężkich fizycznych męczarniach… Pierś unosił mu słaby, często urywany i prawie niesłyszalny oddech.

Nikanor wyglądał bardzo źle. Nie trzeba było być lekarzem, by zrozumieć, że jego dni są policzone. Gleb zbliżył się do wezgłowia łóżka. Widząc gościa, pacjent obrócił lekko głowę. Spojrzenie zasnutych bielmem oczu przybrało rozumny wyraz.

– Gleb… Czy to ty?

Głos, ochrypły, z przydechem, niczym nie przypominał zwykłego donośnego ryku dawnego Nikanora – zdecydowanego i obrotnego naczelnika Moskiewskiej. Zdawało się, że jeszcze trochę i dusza ciężko chorego wyfrunie na zewnątrz, rozpłynie się w powietrzu wyrzucanym przez umęczone płuca.

Twarz mężczyzny zniekształcił grymas cierpienia. W oczach miał łzy.

– Wy… wybacz mi, Gleb… że cię wtedy sprzedałem… Sam nie wiem, jak to… Licho mnie podkusiło… Wybacz… Klnę się na Boga…

Nikanor zaczął kaszleć i miotać się w spazmach. Chłopiec ścisnął przerażająco zimną rękę chorego i szybko pokiwał głową.

– Oczywiście, wujku Nikanorze! Oczywiście! Niech się tylko wujek nie przejmuje! Nie gniewam się, naprawdę!

Pielęgniarka podbiegła i odsunęła Gleba na bok, krzątając się przy pacjencie. Pałycz łagodnie, ale stanowczo pociągnął chłopca do wyjścia. Odwróciwszy się, Gleb pochwycił pełne wdzięczności spojrzenie i słaby uśmiech na wyczerpanej twarzy. Potem zasłona opuściła się i kontakt się urwał.

Po wyjściu na korytarz, chłopiec oparł się o blaszaną ścianę. Cały drżał z emocji.

– Co z nim?

– Pogryzły go diabły bagienne – odparł staruszek, wyciągając skręta. – Taka muszka. Moskit. Lekarze rozkładają ręce, mówią, że zakażenie jest silne. Czy jak jej tam… anafilaksja. Jeszcze się z czymś takim nie zetknęli. Można powiedzieć, że spisali już człowieka na straty, cholerne konowały…

Gleb podskoczył i gorączkowo wsunął rękę do kieszeni. Fiolka spokojnie leżała na swoim miejscu. Nagle zaschło mu w gardle. W głowie zakręciło mu się od natłoku myśli.

Co to? Niewiarygodny zbieg okoliczności, czy kolejny przypadek ironii losu, stawiający go przed okrutnym wyborem bez prawa do błędu? Po wszystkich tych próbach, które trzeba było przejść, myśl o tym, by oddać lekarstwo Nikanorowi, wydała się bluźniercza. Tym bardziej że naczelnik Moskiewskiej jest umierający i najpewniej nic mu już nie pomoże. Do tego bez wątpienia Taran zasługuje na wyleczenie znacznie bardziej niż ten chytry i bezduszny karierowicz Nikanor.

Z drugiej strony najemnik z powodzeniem radził sobie ze swoją dolegliwością i mógłby z pewnością wytrzymać jeszcze przez jakiś czas, póki nie uda się wycyganić od Władlena nowej ampułki z lekarstwem… Tyle że ataki się ostatnio nasiliły i każdy kolejny jest coraz mocniejszy. Chłopiec nie miał ochoty ryzykować zdrowiem przybranego ojca.

„Kim ty dla niego jesteś? No? Kim? – nakręcał sam siebie Gleb. – Towarem! Po prostu byle towarem, który można korzystnie wymienić na kawałek wieprzowiny! Więc nad czym się zastanawiasz?! Po kiego licha jeszcze się wahasz?!”

Z bloku medycznego dobiegł głos wymyślającego komuś lekarza. Jakieś szkło zabrzęczało i rozsypało się po posadzce. Pielęgniarka krzyknęła.

Odrzucając wątpliwości, chłopiec zdecydowanym ruchem wyciągnął zawiniątko z flakonikiem i popędził z powrotem do izolatki. Pałycz już chciał mu zagrodzić drogę, ale Gleb rzucił się w bok, omal nie zbijając staruszka z nóg. Ściana, zwrot, kolejna ściana, zasłona w wejściu… Chłopiec wdarł się do środka, ściskając w garści preparat.

– Lekarstwo! Dajcie mu le…

Pielęgniarka stała u wezgłowia z opuszczoną głową. Tyczkowaty lekarz w okularach trzymał pacjenta za przegub, próbując wymacać puls. Potem puścił rękę i powoli przesunął dłonią po twarzy Nikanora, zamykając mu oczy. Spojrzał na Gleba, pokręcił głową i przykrył martwe ciało prześcieradłem.

Chłopiec słabo pamiętał to wszystko, co było potem. Pałycz długo poił go grzybową herbatą, próbując pocieszyć i choć trochę podnieść na duchu. Współczująca Aurora siedziała obok Gleba i po prostu milczała, rozumiejąc, że takiego bólu nie da się zagłuszyć żadnymi słowami, lecz trzeba go samemu poczuć, przeżyć i przezwyciężyć.

Staruszek był jednak innego zdania i paplał bez ustanku. O zbiorach, o handlu, o nowych taryfach za światło, o łączności telefonicznej aż z Aliansem Primorskim, którą niedawno zapewnili mazuty. Mówił też o tutejszych mieszkańcach. Ogólnie rzecz ujmując, plotkował. Gleb słuchał jednym uchem – wciąż nie mógł zapomnieć widoku przedśmiertnego uśmiechu Nikanora. I dopiero kiedy usłyszał o dawnych towarzyszach zabaw, przypomniał sobie nagle o dziewczynce z sąsiedztwa, chromej Nacie, której z jakiegoś powodu nie spotkał na peronie Moskiewskiej.

– To ty nie wiesz? – Pałycz przygasł, starczo zaciskając drżące wargi. – Razem z matką była w pierwszej partii kolonistów, która przeprawiła się na wyspę. A więc nie ma jej już na świecie. Taki los…

Gleb milczał, doświadczając kolejnego ciosu. Za co to wszystko? Czy mógł sobie kiedyś wyobrazić, że zupełnie niewinne i szlachetne pragnienie odnalezienia ziemi obiecanej obróci się w straszną tragedię, spopielając tak wielu Bogu ducha winnych ludzi w

nuklearnym ogniu? I kiedy uzmysłowił sobie, jak wiele setek istnień wtedy zginęło, ogarnęło go przerażenie.

Rozdział 13: W MROK

– Gleb… Gleb… Co z tobą? No, powiedz coś! GLEB!

Chłopiec uniósł głowę. Spojrzał na towarzyszkę bezmyślnym, niewidzącym wzrokiem, pozostając wciąż nieosiągalnie dalekim i obcym.

– Źle się czujesz? – Aurora bezsensownie kręciła się dookoła, szarpiąc towarzysza za rękawy. – Coś cię boli?

Gleb skinął głową, łapiąc się za kołnierz koszuli. Dziewczynka dość dokładnie określiła to dziwne, dławiące uczucie, które rozdzierało mu od środka klatkę piersiową, zapierało dech, przeszkadzało trzeźwo myśleć. Ból, nieuchwytny, ćmiący, palący… Ból, którego nie da się zagłuszyć lekarstwami, zdjąć zaklęciami, usunąć razem z zainfekowaną tkanką. Ból dotykający tylko jednego organu w ludzkim ciele, którego istnienie tak uparcie odrzucają lekarze – duszy.

Chłopiec nie chciał wyjaśniać Aurorze natury dręczących go cierpień. Zdawało się, że wystarczy, by podzielił się z nią swoimi przeżyciami, wtajemniczył w szczegóły historii z wyspą, a przepełniające go poczucie winy przeleje się, zarazi dziewczynkę beznadziejnym smutkiem i tłumiącą wolę apatią, przeniknie do jeszcze niedojrzałej duszy jak kropla smoliście czarnego mroku, zacznie metodycznie pożerać ją od wewnątrz, gwałtownie wciągając w otchłań niebytu… Ku rozpaczy i beznadziei.

Przez jakiś czas szli, nie próbując nawiązać rozmowy. Każde z nich miało o czym rozmyślać.

– Wiesz co… – odezwała się znów Aurora. – Jeśli zamierzasz dalej zbywać mnie milczeniem, to chociaż nie rób takiej cierpiętniczej miny! Nie tobie jednemu jest źle! Co dobrego w ogóle może być w

tym kanale?! Wszędzie śmierć, ale to jest rzeczywistość, w której żyjemy! Więc bądź tak dobry i przestań się mazać!

Gleb poderwał głowę, oczy gniewnie mu rozbłysły, ale natknął się na niespodziewanie twarde, pewne spojrzenie. Wraz z tą ostatnią kwestią wykopał z pamięci scenę pierwszego spotkania z Taranem. Wtedy stalker takim samym tonem strofował Gleba za słabość, którą okazał w walce z grubasem Prochą. Tyle że problemy, które nadmiernym ciężarem zwaliły mu się teraz na barki, były bez porównania trudniejsze od tych dręczących go w niedalekiej przeszłości. Może dziewczyna ma rację i warto chociaż postarać się odegnać mroczne przemyślenia, zostawić samobiczowanie na później, kiedy cena za lekarstwo, którą wyznaczył Władlen, zostanie zapłacona w całości.

Wtórując niewesołym myślom, smuga światła nieubłaganie przygasała, wychwytując z ciemności tylko kilka najbliższych podkładów kolejowych – niekończący się szkielet umarłego wiele lat temu gigantycznego organizmu, który wciąż wiernie służył swojemu twórcy, nawet po własnej śmierci.

– Wyłącz latarkę – burknął chłopiec. – Będziemy oszczędzać.

Pstryknięcie zabrzmiało ogłuszająco głośno. Mrok wokoło natychmiast zgęstniał, podszedł bliziutko, osiadając na twarzach i rękach lepką, efemeryczną substancją. Natrętne uczucie stało się nie do zniesienia i Gleb przesunął ręką po policzku. Na palcach został mu szarawy brud – nalot z wiszącego w powietrzu pyłu. A to znaczy, że gdzieś przed nimi są sztolnie katorżników i rezultat dziesiątków lat bezsensownych, niepoddających się logice wysiłków – wielki i straszny Czerwony Szlak, drążony ręcznie tunel w kierunku Moskwy o długości kilku kilometrów.

– Niedługo będzie posterunek Zwiozdnej. Na stację bez legitki się nie wejdzie, jeśli tylko…

– Nie trzeba – przerwała Aurora. – Idziemy dalej.

Cóż… To ułatwiało zadanie. Kiedy przed nimi rozbłysnął oślepiająco jasny snop światła, dzieci zmrużyły oczy i stanęły. Nie czekając na

pytania, chłopiec wykrzyknął swoje imię.

– Kto jest z tobą? – zawołano czujnie zza szańca.

– Dama serca! – krzyknął Gleb, improwizując.

– Nie za wcześnie dla ciebie na takie figle-migle? – Znudzony wartownik wyraźnie nie miał nic przeciwko temu, by trochę pogadać.

– Ależ nie moja, tylko Pachoma! Jak to mówią: pohulać pohulał, a zapłacić zapomniał! To go teraz szukam!

Z posterunku dobiegł ochrypły śmiech.

– Czyli ty masz z tego dolę, sutenerze małoletni?

– A mnie wszystko jedno, byle po drodze. Zgaś reflektor, oczy mi łzawią!

Wartownicy pośmiali się i wyłączyli światło. Szukając drogi na ślepo, młodzi przekroczyli granicę, mijając wyblakłe bladoróżowe płachty z wizerunkiem sierpa i młota. Tak jak przypuszczał Gleb, udało im się przedostać na drugą stronę stacji stosunkowo łatwo. Sam zdążył się już opatrzyć miejscowym strażnikom, a i użyteczna znajomość ze znanym na całe metro rusznikarzem otwierała przed nim wiele drzwi.

Patrząc z ukosa na stacyjne drzwi, równym rządkiem ciągnące się na lewej ścianie, Aurora lękliwie przylgnęła do współtowarzysza. Z głównej sali dobiegał zgodny śpiew wielu głosów, a kiedy muzyka ucichła, po tunelu poniosło się echem trzykrotne „Hura!", sprawiając, że dziewczynka wzdrygnęła się z przestrachem.

– Nie bój się, to tylko agitbrygada. Wydzierają się codziennie o tej samej godzinie przed obiadem.

– Modlitwa?

– A kto ich tam wie. Ty wiesz lepiej, uczyłaś się przecież historii…

– Komunizm jest utopijny. Postulaty leżące u podstaw tej doktryny są antynaukowe…

– Tylko nie mów tym świrom, że są antynaukowi. Ani się obejrzysz, a zakują cię w kajdany, i naprzód budować Czerwony Szlak…

– Dlaczego wykorzystują więźniów, a nie kopią sami?

– Nie więźniów, tylko sprawiających „trudności wychowawcze”. Komuniści mają takie ulubione powiedzonko. Jak to szło… A, przypomniałem sobie: „Praca uszlachetnia człowieka”.

– I co, wielu się już poprawiło?

– Szczerze mówiąc, to takich nie widziałem. W ogóle ze sztolni można wyjść w jeden sposób – przez piec mortusów.

Dalsza granica Zwiozdnej była ochraniana nieporównanie lepiej niż posterunek północny. Metalowa krata z grubych prętów przegradzała tunel od ziemi do sufitu. Kilka stanowisk ogniowych, wysoki szaniec i drut kolczasty dookoła stanowiły solidną ochronę zarówno przed więźniami, jak i nieproszonymi gośćmi z powierzchni.

– Gdzie? – warknął surowo wartownik, ale kiedy rozpoznał Gleba, rozluźnił się.

Kłamstwo zadziałało po raz kolejny. Przepuścili ich, jak najsurowiej zabraniając chodzenia dalej niż do budki strażników – tam mieścił się jeden z licznych punktów handlowych Pachoma.

Przed nimi ukazało się rozwidlenie oświetlone podwieszonymi wzdłuż ścian lampami naftowymi. Część bocznych tubingów rozebrano i widać było pokaźnych rozmiarów przebitkę ze ścianami w drewnianych szalunkach. Niedaleko od rozwidlenia na torach stało kilka sczepionych ze sobą kopalnianych wagoników, wypełnionych po brzegi ziemią i kamieniami. Pod nadzorem strażników, paradujących po torach w nieforemnych czapkach z otokami i blaszanymi czerwonymi gwiazdami, niekończący się sznur lśniących od potu katorżników wyciągał z korytarza wykopaną ziemię, wyładowując zawartość taczek obok wagonów.

– Wszystko, co wykopią, wywożą do Kupczina – wyjaśnił chłopiec, widząc zainteresowany wzrok towarzyszki. – Tam jest opuszczona zajezdnia, i powolutku zapełniają ją ziemią

– A co z promieniowaniem?

Gleb skrzywił się ponuro, obserwując wycieńczonych zeków.

– A kto by się tym przejmował? Napromieniowanie to nie najgorsze, co może się zdarzyć przy wyładunku. Dużo tam

zwierzyny. Mutantów. Dlatego winnych wykroczeń wysyłają przeważnie do zajezdni, zamiast do karceru. Bywały przypadki, że ginęła cała brygada. A kiedy następna grupa szła szukać wagoników, to dookoła ani trupów, ani kości…

– Może po prostu uciekli? – wyraziła przypuszczenie dziewczynka.

– Dokąd tam uciekać? Mówię przecież, okolica wokół Kupczina jest okropna, same bestie i bagna…

Gdy dotarli do strefy załadunku, Aurora zdecydowanie skierowała się w boczny korytarz. Nadzorcy im nie przeszkadzali. Dwóch byków z automatami zerknęło spode łba na dzieci i dalej leniwie paliło papierosy – obecność osób postronnych, jak się zdaje, w ogóle ich nie ruszała. A może obowiązki mundurowych ograniczały się tylko do nadzoru nad katorżnikami, co zresztą miało czysto formalny charakter – z tunelu „czerwonych” nie było dokąd uciec. Tak czy inaczej, miejscowe porządki, a raczej całkowity brak takowych, były dzieciom na rękę – w na wpół pustych, zakurzonych sztolniach były pozostawione same sobie.

Wzdłuż głównego korytarza ciągnął się rząd przestronnych jam służących zekom jako miejsce noclegu. Sugerowały to miski z mętną wodą i przegniłe szmaty na klepiskach – chyba jedyne elementy prymitywnego wystroju tych strasznych cel. Teraz, w środku zmiany, komory były puste. Tylko w jednej z nich leżał bez ruchu półnagi, chudy mężczyzna – czy to chory, czy może martwy.

Nieco dalej ukazała się rozległa sala zawalona stertami rdzewiejącego złomu. W oddzielnych segmentach i połączeniach dało się jeszcze rozpoznać resztki maszyny do drążenia tuneli, która nie posłużyła w końcu do budowy Czerwonego Szlaku pomimo wszystkich sztuczek szalonych mieszkańców Zwiozdnej.

Wędrowcy postarali się przemknąć obok dyżurki, tak by ich nie dostrzeżono, bo Gleb nie chciał okłamywać Pachoma, a nie mógł też wyjawić mu prawdy. Im dalej brnęli, tym węższy stawał się korytarz, wzmocniony byle jak zbitym szalunkiem. Lampy naftowe zdarzały się coraz rzadziej, sztolnia przypominała tu prędzej opuszczony korytarz

dla pieszych pod stacją niż tunel transportowy, co nijak nie pasowało do jego pompatycznej nazwy. Wkrótce marsz stał się zdecydowanie trudniejszy: chodnik na tym odcinku zmieniał nachylenie, łagodnie się podnosząc. Być może winny był gliniasty grunt, który zmusił katorżników do szukania bardziej podatnej warstwy gleby bliżej powierzchni. Na drodze nierzadko napotykali rozwidlenia. Aurora ignorowała ciemne sztolnie i wąskie wejścia do komór pomocniczych, wciąż niespiesznie posuwając się główną drogą. Tylko raz musieli dać nura w zbawczą ciemność bocznej odnogi i przeczekać, aż minie ich kolejna partia „sprawiających trudności wychowawcze" pod nadzorem ziewającego konwojenta. To zdarzenie było bodaj jedyną niedogodnością podczas całej drogi, nie licząc podtopionych odcinków, które musieli pokonywać po kolana w zimnej wodzie.

Pozornie nie było żadnych powodów do niepokoju, ale jednak coś w zachowaniu Aurory sprawiło, że Gleb wytężył uwagę. Dziewczynka poruszała się teraz już nie tak pewnie, obserwowała uważnie każdy boczny chodnik, jakby szukała czegoś, jakiegoś jej tylko wiadomego znaku.

– Jesteś pewna, że dobrze idziemy?

Aurora w odpowiedzi skinęła tylko głową, wpatrując się w napięciu w półmrok tunelu.

– Posłuchaj, czy mi się zdaje, czy tak naprawdę jesteś tu pierwszy raz? – Chłopiec nie wytrzymał. – Może się w końcu wytłumaczysz?!

Jego towarzyszka zatrzymała się i ciężko westchnęła.

– Masz rację. Z Edenu wyszłam drugą drogą. Ale tam moja karta dostępu już nie zadziała. Nie pytaj dlaczego. Teraz koniecznie musimy znaleźć rezerwowe wejście.

A to ci nowina… Nie bacząc na dotychczasowe wydarzenia, dziewczyna nadal ściemniała, nie mówiła wszystkiego. Z drugiej strony, czy należało oczekiwać od niej szczerości, jeśli sam Gleb też nie zamierzał odkrywać wszystkich kart?

– Ale przecież Czerwony Szlak powstał znacznie później niż Eden! Dlaczego szukamy wejścia do schronu tutaj, w wyrobiskach

komunistów?

– Zaraz zobaczysz – odparła wymijająco Aurora, wskazując na wyłom przed nimi.

Jakieś pięćdziesiąt metrów na wprost od nich tunel się rozszerzał, okrążając grubą kolumnę z ułożonych jeden na drugim betonowych kręgów. Zadarłszy głowę, przez przebitą w przeszkodzie wyrwę można było dojrzeć zakratowany otwór wyjściowy i kawałek ponurego, szarego nieba. Gleb skulił się. Powierzchnia była znacznie bliżej, niż przypuszczał. Dno szybu ginęło gdzieś pod warstwą mętnej stojącej wody.

– Studnia? – odgadł chłopiec.

– To nie jest zwykła studnia, tylko wlew systemu odprowadzania wody. Czerwoni natknęli się na niego przypadkiem i wykorzystują dla wentylacji tunelu i wypompowywania wód gruntowych. W rzeczywistości parę metrów wyżej idzie kolektor z kablami. To on prowadzi w odpowiednim kierunku.

– Skąd masz taką szczegółową wiedzę?

– Później się dowiesz – ucięła Aurora.

– Niezbyt to uprzejme! I jak zamierzasz…

– Cicho! – przerwała mu, nasłuchując z niepokojem.

Z mroku tunelu bezszelestnie wychynęła przygarbiona postać. Człowiek w zatłuszczonym ubraniu roboczym z szarą od pyłu skórą patrzył na dzieci mętnym, nierozumiejącym wzrokiem. Na rdzawej obroży, która przez wiele lat niewoli odcisnęła mu na skórze wyraźny brudnożółty pasek, widniał starannie namalowany białą farbą numer porządkowy. Widząc torbę na ramieniu Aurory, katorżnik ożywił się i obnażył w krzywym uśmiechu zepsute czarne zęby.

– Jedzenie?

Ręka mężczyzny powędrowała w stronę torby. Dziewczynka pokręciła głową i odsunęła się.

– Niczego nie mamy. – Gleb zagrodził mu drogę.

Dalej wszystko działo się tak szybko, że nie było czasu na rozmyślania. Zek spojrzał spode łba złym wzrokiem, poruszył się,

unosząc ciężki kilof, który ściskał drugą ręką, i ułamek sekundy później z chrapliwym wydechem machnął narzędziem w stronę chłopca. Ten ledwo zdążył uskoczyć – ostrze przecięło powietrze tuż obok. Więzień stęknął, próbując wyrwać kilof z ziemi, lecz ten mocno utkwił w udeptanym gruncie.

Katorżnik zostawił trzonek w spokoju i rzucił się na chłopaka z gołymi rękami. Gleb nastawił się na blokowanie uderzeń, dlatego był nieprzygotowany na to, co napastnik zrobił chwilę później. Pomimo rozpaczliwego oporu haczykowate palce katorżnika zacisnęły się na szyi chłopaka. Przed oczami zamajaczyły mu straszne, wyszczerzone zęby, z ust napastnika wionął smród.

Gleb nie zdążył spanikować: Aurora zaatakowała zeka od tyłu, wczepiając się obiema rękami w jego tłuste kudły. Ten zawył, próbując strząsnąć dziewczynkę z pleców, a chwyt zaciśniętych na gardle palców nieco osłabł. Tych parę chwil wystarczyło, by chłopiec przypomniał sobie wskazówki Tarana. Ostry cios po oczach, potem w grdykę – i ręce napastnika same oderwały się od szyi. Zek zachrypiał, cofnął się niezgrabnie i potknął o dziewczynkę, która rzuciła mu się pod nogi. Gleb przyspieszył upadek katorżnika, wbijając mu głowę w brzuch. Wyrzucone w powietrze nogi, przerażony krzyk, wykrzywiona strachem twarz… Zek niezgrabnie machnął rękami i zwalił się do studni, cudem chwytając się krawędzi. Jego palce bezradnie skrobały po chropawym betonie, przez wycie i szlochy dało się słyszeć niewyraźne:

– Po… mó… życie!

Oczy nieszczęśnika, pełne desperacji i bólu, wydobyły z pamięci wydarzenia z niedawnej wyprawy: szyb windy, kipiąca gdzieś w dole woda i zagubiony wzrok Farida wpadającego w przepaść, na spotkanie śmierci… Gleb rzucił się w stronę mężczyzny, złapał go za kołnierz i co sił pociągnął do siebie. Katorżnik rozpaczliwie skrobał nogami o ścianę, wczepiając się w chłopca. Powoli, podnosząc się centymetr za centymetrem, zdołał w końcu wciągnąć tułów na górę i położyć się na brzuchu. Obaj zamarli na ułamek sekundy, mierząc się

wzrokiem. Gleb nie zdążył złapać tchu, gdy więzień, zamiast podziękować za ratunek, znów wyciągnął ręce w stronę jego szyi. Wybałuszył oczy, wył i szczerzył się, próbując zadusić ofiarę. W spojrzeniu szaleńca nie było już nic ludzkiego, tylko zwierzęca złość i… rozpacz?

Aurora, która dotąd obserwowała wszystko z boku, rzuciła się na pomoc.

– Zostaw go w spokoju! Słyszysz? Odczep się!

Dziecięce piąstki bezradnie załomotały w plecy zeka, ale ten wcale nie zamierzał przestać, przyciągając broniącego się zaciekle Gleba coraz bliżej. Złość i poczucie beznadziei doprowadzały biednego więźnia do szaleństwa, budząc w nim niekontrolowaną i niedającą się racjonalnie wyjaśnić żądzę mordu. Udusić! Zabrać jedzenie! Zaspokoić dręczący żołądek głód!

Cień, który nad nim zawisł, katorżnik zauważył zbyt późno. Dziewczynka podniosła wysoko nad głowę skalny odłamek, krzyczała coś, ale zek poczuł już palcami podatną szyję i nie był w stanie się zatrzymać.

Aurora zacisnęła powieki i opuściła kamień na głowę nieznajomego. Jego ciało natychmiast sflaczało, ręce bezwolnie rozpostarły się na ziemi. Pozbawiony oparcia katorżnik bezszelestnie zsunął się do studni, pozostawiając na ziemi wyraźny, krwawy ślad. Trup nieznajomego z głuchym pluskiem na zawsze zniknął w głębi kamiennej czeluści.

Przez własny urywany oddech Gleb usłyszał cichy szloch. Wypuściwszy kamień z rąk, dziewczynka wpatrywała się w swoje dłonie z jasnoczerwonymi plamami i powtarzała jak nakręcona:

– Boże… Ja przecież… zabiłam człowieka… Zabiłam… człowieka… Zabiłam…

Atak histerii mógł przyciągnąć czyjąś uwagę, dlatego chłopiec, kiedy już uspokoił nieco oddech, wstał, oderwał kawałek swojej koszuli i podał go towarzyszce.

– Wytrzyj ręce… I postaraj się uspokoić. Człowiek umarł w nim znacznie wcześniej. A to… to tylko powłoka. Bezduszna. Pusta.

– Ja…

– Postąpiłaś słusznie. W tej studni mogliśmy się znaleźć ty i ja. Tak więc weź się w garść i pokaż, dokąd mamy iść, zanim ktoś nas usłyszy i się tu pojawi.

Nie wiadomo, co podziałało na dziewczynkę bardziej – słowa towarzysza czy groźba nowych niechcianych spotkań, ale przestała drżeć i wciąż jeszcze pociągając nosem, ostrożnie zbliżyła się do szybu:

– Przytrzymaj mnie…

Aurora chwyciła Gleba jedną ręką i obmacała wewnętrzną ścianę studni gdzieś u góry, nad krawędzią wyrwy.

– Jest!

Z góry wypadła, rozwijając się, drabinka sznurowa, dotąd skryta przed wzrokiem postronnych za odpowiednio umiejscowionym występem.

– Zdaje się, że nie ty pierwsza korzystasz z tej drogi… Ktoś inny z Edenu bywał już tu przed tobą?

Aurora ograniczyła się do krótkiego skinienia i starając się nie patrzeć w przerażającą otchłań pod nogami, ruszyła w górę. Na szczęście wspinaczka po chwiejnej sznurowej konstrukcji skończyła się dość szybko. Dosłownie kilka metrów wyżej ukazał się wylot rury spustowej. Umieściwszy drabinkę na miejscu, wędrowcy przecisnęli się przez wąską gardziel betonowej kiszki i dotarli do kwadratowego, poziomego chodnika niemal wysokości człowieka, który prowadził gdzieś w dal, daleko za granicę widoczności. Smuga światła latarki oświetliła pokryte strzępami wiekowego kurzu gumowe węże ciągnące się wzdłuż obu ścian korytarza.

– To właśnie jest kanał przewodowy? – zapytał szeptem chłopak.

Z niewytłumaczalnych powodów nie miał ochoty mówić głośno w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu. Wiszące nad głową masywne płyty, stojące, jakby stłoczone powietrze i brak

jakichkolwiek źródeł światła – wszystko to tłamsiło psychikę, budząc mglisty, podświadomy niepokój.

– Tak jest. Rezerwowa linia zasilania. Teraz już niedaleko.

Pomimo zapewnień Aurory droga okazała się długa i męcząca. Chodnik, niekończący się i prosty jak strzała, prowadził coraz dalej od Czerwonego Szlaku, a jednocześnie również od metra, które zostało daleko z tyłu. Według obliczeń Gleba przeszli co najmniej kilka kilometrów, zanim zamajaczyła przed nimi ślepa ściana. Tu wiązki kabli szły w górę, przez prostokątny otwór w suficie. Dzieci weszły po krótkiej, dostawianej drabince i znalazły się w zakurzonym pomieszczeniu, zastawionym transformatorami, rozdzielnicami elektrycznymi i inną maszynerią, której przeznaczenia chłopiec nie umiał odgadnąć. Wpatrując się w tabliczki z oznaczeniami, zdał sobie nagle sprawę, że nie jest w stanie przeczytać ani słowa. Winna okazała się latarka, która zgodnie z prawem Murphy'ego wysiadła w najmniej właściwym momencie.

Gleb poświecił w stronę Aurory i ledwie rozróżnił zlewającą się z ciemnością jej sylwetkę.

– Wyjmij latarkę. Moja chyba zdechła.

Dziewczynka sięgnęła do torby, wkładając rękę aż po łokieć, potem zaczęła gorączkowo grzebać i nagle zatrzymała się, mrugając z zakłopotaniem.

– Wydaje mi się, że zostawiłam ją tam, w tej komórce, w której chowaliśmy się przed czerwonymi…

Nowina, co tu kryć, była taka sobie. A jak już być szczerym, to do kitu… I, jak na złość, wokół nic palnego, żeby zrobić jakąkolwiek, choć najmarniejszą pochodnię! Chłopiec wsunął rękę do kieszeni, ale zamiast zapalniczki wymacał tylko fiolkę z lekarstwem – ukochana zippo została u Żywczyka. Trzeba było zatroszczyć się o ogień wcześniej, kiedy byli gośćmi u Wygi, ale teraz mleko się już rozlało.

Jakby na potwierdzenie czarnych myśli latarka ostatecznie zgasła, otulając pomieszczenie nieprzeniknioną zasłoną duszącego, pierwotnego mroku.

– Gleb? – W głosie dziewczyny pojawiły się nuty paniki. – Gleb!

– Nie krzycz tak! Tu jestem.

Chłopiec zrobił krok do tyłu, znalazł jej rękę i ostrożnie ruszył wzdłuż przejścia, macając na boki w zupełnych ciemnościach. Nogi niefortunnie zaczepiały o zwoje kabli, narożniki porozrzucanych chaotycznie skrzynek, kawałki przewodów. Aurora ucichła, wczepiona w towarzysza obiema rękami. Kompensując brak obrazów, słuch wyostrzył im się do granic możliwości. Otaczająca ich przestrzeń wypełniła się ledwie rozróżnialnymi dźwiękami – złowieszczym wyciem przeciągu w szybach wentylacyjnych, rzadkimi i niepojętymi szmerami i bulgotem wody w podtopionych piwnicznych korytarzach.

Strach, że na zawsze zostaną w labiryncie niezamieszkanych podziemi, okazał się zdradzieckim i silnym przeciwnikiem. Chłopiec nadrabiał miną ze wszystkich sił, dodawał towarzyszce odwagi, jak tylko mógł, ale wkrótce również we własnym głosie usłyszał pierwsze nutki rodzącej się paniki. Sytuacja skomplikowała się tak, że ani on, ani Aurora nie mieli już pojęcia o choćby przybliżonym kierunku, w którym należało szukać pechowego kanału przewodowego. Próbując zawrócić, coraz bardziej błądzili, a resztki opanowania niknęły z każdą sekundą spędzoną w jądrze nieprzeniknionego, absolutnego mroku.

Chcąc jakkolwiek dodać otuchy partnerce, Gleb chlapnął pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy.

– To co będziesz robić, jak wrócisz do Edenu?

Aurora wzruszyła ramionami, ale kiedy zorientowała się, że chłopiec nie zobaczy jej gestu w ciemności, cicho powiedziała:

– Nie wiem… Żyć. A co niby?

– To nudne. – Gleb uśmiechnął się do własnych myśli. – Bo ja mam takie marzenie, trafić do Władywostoku. Słyszałaś o nim?

– Miasto portowe na wybrzeżu Morza Japońskiego. Liczba ludności przed Katastrofą… – Dziewczynka zawahała się, szukając w pamięci.

– Nie. Teraz ci nie powiem. Uczyliśmy się tego na geografii, ale to było dawno… A dlaczego właśnie Władywostok?

– Tam jest pięknie… – Chłopiec westchnął, przypominając sobie naklejkę z urzekającą panoramą. – Przynajmniej tak było przed Katastrofą. Może i teraz coś z tego zostało…

Nieskomplikowana konwersacja pomogła im się na chwilę zapomnieć, odegnać panikę. Spokój chłopaka udzielił się też Aurorze. Cierpliwie obmacując każdy kawałek ściany, powoli posuwali się coraz dalej.

Nie wiadomo, jak długo jeszcze przyszłoby im błądzić w egipskich ciemnościach, gdyby nie zapach. Z początku słaby, potem coraz bardziej wyczuwalny, nakierował Gleba niczym nić Ariadny. Zapach zjełczałego oleju napędowego, którego po prostu nie dało się pomylić z niczym innym. Palce dotknęły zimnego metalu pokrytego obficie smarem maszynowym. Serce mu zamarło – mechanizm, który stał im na drodze, chłopiec znał bardzo dobrze…

Agregat Diesla zaskoczył z półobrotu, co świadczyło o regularnej konserwacji urządzenia. Kilka razy kaszlnął, po czym żywo nabrał obrotów i do wtóru pełnego wigoru warkotu starej maszyny w całym pomieszczeniu rozbłysły, nagrzewając się, podwieszone lampy.

Ich oczom ukazało się jeszcze jedno pomieszczenie. Gleb nie miał żadnych wątpliwości co do jego przeznaczenia. Wystarczyło tylko spojrzeć na rzędy beczek pod ścianą i regał z narzędziami, by od razu przypomniał mu się taki sam składzik na Moskiewskiej.

– Jesteśmy już w Edenie? – zapytał.

Aurora nie spieszyła się z odpowiedzią. Skubiąc nerwowo pasek torby, przysiadła na skraju masywnego kadłuba agregatu.

– Nie, Gleb… Eden jest daleko. Znajduje się pod centralną częścią miasta.

Podejrzenia potwierdzały się z przerażającą dokładnością. Dziewczyna jednak go oszukała…

– W takim razie gdzie jesteśmy?

– W maszynowni Obserwatorium w Pułkowie. Tu, na kilku piętrach pod ziemią, mieścił się kompleks naukowy. Aparatura do śledzenia, system łączności z satelitą na orbicie monitorującym aktywność słońca, laboratoria… To miejsce odkrył pewien katorżnik podczas kopania tunelu. Nie zdążył nikomu wygadać, zabił go ten, kto przyszedł jego śladem i urządził tu sekretną kryjówkę.

– Znam go?

– Nie jestem pewna. On rzadko pojawia się na stacjach… Słyszałeś kiedyś o eksterminatorze dżumy?

Gleb drgnął. Przed oczami pojawił mu się obraz Panteleja w płomieniach ogarniających go od stóp do głów.

– Zaraz… Chcesz powiedzieć, że przyszliśmy do siedziby Czarnego Sanitariusza? Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jakie to niebezpieczne?!

Dziewczynka milczała ze spuszczonym wzrokiem.

– Po co? Słyszysz, po co?!

Chłopak złapał Aurorę za ramiona i lekko potrząsnął, próbując uzyskać odpowiedź, ale ta gwałtownie się odsunęła, obrzucając towarzysza trzeźwiąco chłodnym, zdecydowanym spojrzeniem.

– Muszę zobaczyć się z ojcem…

* * *

W świetle płomieni ogniska twarze siedzących wokół ludzi wyglądały jak nienaturalne, grubo ciosane maski. Całkiem jakby nieznany artysta, który niedbałymi pociągnięciami pędzla przedstawił na nich zmęczenie, ból, rozpacz i gniewną determinację, do końca wahał się, czy powinien zawrzeć na płótnie tyle smutku i cierpienia naraz. Niewidzialne napięcie wiszące w powietrzu groziło tym, że wytryśnie na zewnątrz, przerodzi się w desperacki, beznadziejny szturm całego zamieszkanego metra i tylko obecność kapitana powstrzymywała jeszcze uchodźców przed tym ostatnim krokiem. Starzec obrzucił wzrokiem podwładnych i z trudem poruszył zdrętwiałymi plecami. Artretyzm dokuczał mu od chwili, gdy po

przedarciu się przez ruiny miasta, z rannym na plecach, stanęli na posadzce opustoszałej Czkałowskiej, która przez te wszystkie lata zamieniła się w niezdatną do zamieszkania, wystygłą pieczarę.

Na oczyszczaniu i tworzeniu stanowisk obronnych upłynęło kilka dni i babelczycy, zawaleni pracą do granic możliwości, nie mieli kiedy się smucić. Problemy rosły niczym śnieżna kula – ograniczony zapas pożywienia, brak źródeł wody, pilna potrzeba zorganizowania szpitala polowego i leków… Do tego mutanty z powierzchni wciąż testowały wytrzymałość pospiesznie wzniesionych barier ochronnych.

Ciężko było wszystkim ocalałym, ale marudziły i narzekały tylko jednostki. Marynarze pracowali, nie szczędząc wysiłku, zjednoczeni uczuciem jedynym w swoim rodzaju – żądzą zemsty. Po postawieniu ultimatum ubyło im zmartwień, pozostało tylko czekać i się gotować. Gotować do nieuchronnej, krwawej wojny. Czekać, aż upłynie dany mieszkańcom metra czas.

Od niewesołych rozmyślań oderwał kapitana głos wartownika, który podszedł do ogniska, szukając wzrokiem dowództwa.

– Chyba przybył poseł…

Stary nie dosłuchał do końca. Zerwał się na nogi, poprawił czapkę i energicznym krokiem ruszył w kierunku krańca peronu. Przy posterunku zaczął się już niepokojący zamęt. Oprócz oddziału wartowników i obsługi stanowisk ogniowych tłoczyli się gapie, zaglądając za barykadę.

– Dlaczego osoby postronne są przy posterunku zewnętrznym?! – ryknął kapitan. – Komu tu dorzucić roboty?!

W ciągu kilku sekund tłum się rozszedł, pozostawiając swojego przywódcę sam na sam z dowódcą zmiany.

– Gdzie jest? – zapytał sucho starzec i nie czekając na meldunek, podszedł do okienka obserwacyjnego.

W swoim długim życiu ten siwobrody marynarz widział różne rzeczy i dawno już przestał się czemukolwiek dziwić, ale wygląd gościa czekającego przed posterunkiem zrobił na nim naprawdę mocne wrażenie.

– Jak się nazywasz, mutancie?

Kapitan podniósł się, żeby przybysz mógł go dojrzeć.

– Dym.

Głos nieznajomego, niski i szorstki, sprawił, że kapitan się skulił.

– Po co przyszedłeś?

– Chcecie się dowiedzieć o bombie?

Wokół zawisła pełna napięcia cisza. Naraz ucichły szepty mimowolnych świadków rozmowy. W absolutnym milczeniu pod sklepieniem stacji dał się słyszeć szelest skrzydeł pojedynczego nietoperza. Któryś z wartowników nerwowo przełknął ślinę, jednocześnie zerkając z obawą na dowódcę.

Mutant zrobił krok naprzód, demonstrując puste ręce. Popatrzył na kapitana bez mrugnięcia okiem i wyzywająco oświadczył:

– To ja wysadziłem wyspę.

Część III: STRÓŻ

Rozdział 14: ROZPRAWA

Światło – rażąco jasne, natarczywe – paliło oczy przez opuszczone powieki, oślepiało, zbijało z tropu. Dawno zapomniane uczucie, chociaż powodowało dyskomfort, przywoływało też przyjemne wspomnienia. Niegdyś leżenie pod odkrytym słońcem, rozkoszowanie się jego łagodnym ciepłem było bezpieczne. A błękitne, bezchmurne niebo budziło miast paniki zachwyt. Niegdyś… ale nie teraz.

Ręka sama dotknęła czoła, próbując namacać przyciemniające filtry. Jednak ani ich, ani maski przeciwgazowej nie było na miejscu. Kiepsko. Bardzo kiepsko!

Stalker z trudem rozkleił powieki i zmrużył oczy. Światło, w rzeczywistości sztuczne, płynęło z wyłupiastej lampy, wiszącej nad stołem operacyjnym. Rozpaczliwie starając się odtworzyć w pamięci ciąg wydarzeń, najemnik nie od razu zauważył rękę ze strzykawką, która zatrzymała się przy jego przedramieniu.

– Hej, spokojnie, spokojnie! – odezwały się głosy tuż obok, kiedy Taran złapał za przegub. – To tylko zastrzyk przeciwtężcowy!

W polu widzenia, zasłaniając światło, pojawił się nieznajomy w białym kitlu. Wychudła z niewyspania twarz, uszy na sztorc, badawcze spojrzenie przymrużonych oczu…

– Trzeba by ręce poobrywać temu konowałowi, który szył ci ramię! – Lekarz zaczął bez wstępnych uprzejmości. – Oczyściłem ranę, ale nieprędko się zagoi. Z żebrem też bądź ostrożniejszy. Złamanie to nie katar, dwa–trzy wesołe miesiące masz jak w banku. Kto cię tak załatwił, co, komandosie niedorobiony?

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Kantemirow…

Władlen mrugnął zachęcająco. Odwrócił się w stronę wejścia do salki i zamachał ręką przyzywająco.

– Chodź! Już oprzytomniał.

Do pomieszczenia, zahaczając głową o nadproże, niezgrabnie wszedł dwumetrowy gigant z przepotężną klatką piersiową i rękami jak podkłady kolejowe. Szeroko uśmiechnięty gość skierował się w stronę Tarana, po drodze biorąc w dwa palce krzesło, które w potężnej dłoni odwiedzającego wydawało się dziecięcym mebelkiem. Zerknąwszy sceptycznie na kruche drewniane nóżki, odstawił je na bok i przysiadł na krawędzi przykręconego do podłogi metalowego stołu.

– Pachom? Czegoś tu zapomniałeś? – Najemnik skrzywił się, czując ostre ukłucie bólu w okolicach złamanego żebra.

– Jeszcze pyta, bezczelna morda! – Rusznikarz teatralnie klasnął w ręce, o mało co nie przewracając przy tym kroplówki, i obejrzał się na lekarza w poszukiwaniu pomocy. – To ja go, bydlaka, taszczyłem od Majaka na własnych plecach! Właściwie, od samej zapory!

– Nie nadwerężyłeś się? – burknął Taran, obmacując obcisły bandaż na żebrach. – Mogłeś mnie zostawić u miejscowych.

Pachom, dotknięty w swoich najlepszych uczuciach, wpatrywał się w starego znajomego z wyrzutem, ale nie doczekawszy się w końcu przeprosin, machnął tylko ręką.

– Akurat! Primorscy ogłosili godzinę policyjną. Wszystkim obcym w Aliansie kopa w tyłek! Tak to wygląda. Ciebie zresztą też nie chcieli wpuścić na stację. Dobrze, że miałem coś do załatwienia na Majaku! Patrzę, a przy zaporze jakaś draka. Zaglądam, a tam ty, mój drogi, rozłożyłeś się przy schodach ruchomych! Trzeba było cię tachać aż tutaj, do tych eskalopów.

– Eskulapów – poprawił Władlen.

– Dla mnie to jeden pies, i tak rzeźnicy. Nawiasem mówiąc, jesteś mi winien litra za kłopot – Rusznikarz uśmiechnął się z zadowoleniem, zerkając na stalkera.

– Policzymy się, Pachom. U mnie jak w banku, wiesz przecież.

Taran kiwnął głową z wdzięcznością i przymknął oczy, przeczekując ogarniającą go słabość. To i owo jednak pozostawało niejasne. Bo

kto pomógł mu dotrzeć do metra? Czy nieznany dobroczyńca tylko przywidział mu się w malignie, a do wrót hermetycznych dotarł sam?

– No, odsuń się – zakomenderował Kantemirow, bezceremonialnie wyganiając rusznikarza ze swojego miejsca. – Jeszcze zdążycie się nagadać. Teraz dostaniesz glukozę z kroplóweczki i będziesz świeży jak szczypiorek na wiosnę!

Stalowa igła, poddając się precyzyjnym ruchom lekarza, weszła w żyłę.

– Nawiasem mówiąc, ja też mam nowiny! – Władlen mrugnął konspiracyjnie. – Odwiedził mnie twój chłopaczek. Ależ nie rzucaj się tak! Wszystko u niego w porządku. Ty mi wtedy nie wierzyłeś, jak mówiłem o obiekcie specjalnym pod metrem, a on od razu się zapalił i poszedł szukać.

– Co to za obiekt specjalny? – ożywił się Pachom, zostawiając w spokoju różnokolorowe probówki na półkach.

– Tajny kompleks głęboko pod ziemią. Dla możnych tego świata. Nikt mi nie wierzy, a ja wiem, że on istnieje! Teraz wiem już na pewno. A wkrótce będę też mógł wskazać miejsce!

Rusznikarz obdarzył Władlena osowiałym spojrzeniem, przeniósł wzrok na Tarana, potem znów na lekarza i nagle roześmiał się całą siłą swoich potężnych płuc. Kantemirow speszył się, zaczerwienił, ale nie opuszczał stalkera, wciąż poprawiając kroplówkę.

– Potem wszystko ci opowiem. Bez niepożądanych słuchaczy. Bo niektórzy tu wątpią…

Pachom nie wytrzymał i znowu parsknął śmiechem, ale pod gniewnym spojrzeniem Władlena zaczął się zbierać.

– Dobra, włóczęgo, kuruj się! Pójdę już chyba, zanim ten fantasta czegoś jeszcze nie wymyśli…

Trzasnęły drzwi. Bez energicznego Pachoma w sali operacyjnej zrobiło się jakoś cicho i mrocznie. Tykał tylko chronometr Tarana, odmierzając czas przeznaczony na wypełnienie pechowej misji. Jak na złość, oczy same mu się zamykały, obolałe ciało wciąż jeszcze potrzebowało spokoju.

– Na razie się prześpij. Później wpadnę i wszystko przedyskutujemy.

Taran wysilał się, by spytać o Gleba, ale zdradziecka słabość okazała się szybsza. Sylwetka Kantemirowa straciła ostrość, oddaliła się i zniknęła w gęstniejącej czerni.

* * *

Dzień? Noc? A może szarówka przed świtem? Czy jednak późny wieczór? Określić na oko porę dnia, tak jak zresztą porę roku, nie zdołałby nawet najuważniejszy obserwator. Kłęby kopcącego siwego dymu zasnuły całe miasto gęstą zasłoną. Pośród czerwonej łuny pogorzelisk gdzieniegdzie można było dojrzeć zarysy powyginanych wieżowców. Na podobieństwo szczytów górskich nakłuwały niekończącą się brudnoszarą narzutę ze smogu w bezowocnych próbach dotarcia do słońca, skrytego przed wzrokiem postronnych za ołowianymi chmurami i tą właśnie wszechobecną zawiesiną drobnych ziarenek popiołu. Ślady szalejącego jeszcze niedawno ognistego żywiołu w postaci bezkresnej wypalonej ziemi na południe od obwodnicy Petersburga mimowolnie przyciągały wzrok. Stąd, z na wpół zniszczonego dachu wielopiętrowego budynku, świetnie widoczne były zarówno tlące się ogarki drzew, jak i krawędzie potężnego leja powstałego na miejscu lotniska po jedynym celnym uderzeniu. Miasto ucierpiało mniej. Chociaż zniszczenia były tu poważne, to w dymiących ruinach wciąż jeszcze dało się rozpoznać zniekształcone, zapadnięte zarysy znajomych arcydzieł architektury.

Ile czasu minęło od chwili ataku? Tydzień? Dwa? Wewnątrz szpitalnego schronu czas sam na sam z własnym bólem ciągnął się w nieskończoność. Pożywienie, woda, lekarstwa – wszystkiego miał do woli. To nie potrzeba sprawiła, że otworzył hermetyczne drzwi i wyszedł na zewnątrz. Tu, na powierzchni, pozostała niezałatwiona pewna ważna sprawa. Sprawa, przez którą nie raz już zamierzał pożegnać się z bezpieczeństwem i komfortem przytulnego bunkra.

Pierwsze wyjście na górę, do okaleczonego, spalonego miasta, zapadło mu w pamięć równie silnie jak wspomnienia o dniu Katastrofy. Martwe, pozbawione zwykłej ludzkiej krzątaniny ulice, czarne od sadzy wraki samochodów, rozbite witryny hipermarketów i… ciała. Zwęglone, bezkształtne… Trupy nieporadnych mieszkańców miasta, umarłych w strasznych spazmach, bez jakiejkolwiek nadziei na ocalenie.

Miejsce, w którym zostawił pozbawione życia ciało swojej ukochanej, okazało się pogrzebane pod ruinami zawalonego na jezdnię domu. Błądząc wśród masywnych brył betonu, Taran wciąż pocieszał się nadzieją, że zdoła odszukać i pogrzebać szczątki, pożegnać się z nią po ludzku. Lecz długotrwałe poszukiwania okazały się próżne. Wojna nie chciała rozstawać się ze swoimi trofeami.

Całą masę trupów znalazł na ruchomych schodach, przed zamkniętą na głucho hermetyczną zaporą. Ci nie byli tak bardzo poparzeni. Sądząc z wszelkich oznak, biedacy umarli od ran i promieniowania po tym, jak nie dostukali się do tych, którzy ukryli się wewnątrz. To, co zobaczył, wprawiało w osłupienie, pozbawiało panowania nad sobą i resztek woli. Poradzić sobie z emocjami nie był w stanie nawet on, nawykły do wyzwań i trudów wojennego życia zawodowego oficera.

Taran wybiegł z przejścia podziemnego i błądził bez celu po bezludnych podwórkach, póki nie usłyszał alarmującego piszczenia dozymetru. Trudno było się oswoić z tym, że powierzchnia stała się teraz śmiertelnie niebezpieczna. No jasne… Śmiertelnie niebezpieczna… Ale przecież nie na tyle, by w jednej chwili zginęła populacja całego miasta? Może ci, którzy mieli szczęście ocaleć, porzucili już zburzone dzielnice i oczekują na ewakuację gdzieś tam, na peryferiach?

Jednak obraz zniszczeń widziany z wieżowca jedynie pogłębił pesymizm. Gdzie okiem sięgnąć, tylko pogorzeliska i śmierć. Zamierzając już iść do domu, do schronu, Taran nagle znieruchomiał przy krawędzi dachu i intensywnie aż do bólu w oczach zaczął

wpatrywać się w szarą mgiełkę rozścielającą się przy samej ziemi. Przy metrze dał się zauważyć jakiś ruch. Czyżby ludzie? Z daleka niewyraźne figurki wydawały się lalkami dla dzieci. Trzech uciekinierów w opatrunkach z gazy taszczyło w stronę wylotu szybu wentylacyjnego jakiś podłużny przedmiot… Butlę z gazem? Po paru minutach domysły się potwierdziły. Zabłysnął płomyk palnika, język ognia oblizał oszronioną kratę. Śmiałkowie chyba zamierzali dostać się do metra kuchennymi drzwiami…

Obserwując z zainteresowaniem pracujących włamywaczy, Taran przegapił moment, w którym z przejścia podziemnego wynurzyła się grupa uzbrojonych ludzi w ciężkich skafandrach ochronnych. Również nieszczęsna trójka przeoczyła pojawienie się patrolu. Daremne błagania o litość, trzask automatów… W ciągu sekundy wszystko było skończone. Rutynowo, jakby całe życie nie zajmował się niczym innym, dowódca oddziału obejrzał rozstrzelanych i kontrolnie strzelił każdemu w głowę. Potem ludzie z automatami zniknęli w przejściu. Równie niespiesznie i beznamiętnie.

Cóż… Oto i odpowiedź na dręczące go przez dłuższy czas pytanie. Ocaleni są w metrze. I sądząc po tym, co zobaczył, humanitaryzm nie znaczy u nich wiele. Od razu odeszła mu ochota, by skontaktować się ze współplemieńcami. Oczywiście wcześniej czy później trzeba będzie to zrobić, ale teraz na pewno lepiej poszukać bezpieczniejszej drogi do metra. A pozostawiony przy trupach palnik może się do tego przydać. Może za jego pomocą uda się w końcu otworzyć zamknięty na głucho właz oddzielający mieszkanie Tarana od systemu podziemnych tuneli? Na tę przeszkodę Taran natknął się już pierwszego dnia swojego dobrowolnego uwięzienia w schronie przeciwlotniczym, lecz nie był w stanie sforsować masywnej pokrywy bez narzędzi.

Nieco później, przeciągając ciężkie urządzenie w kierunku wejścia do szpitala, Taran popełnił niewybaczalny błąd, przedwcześnie tracąc czujność. Odgłos pojedynczego wystrzału zaskoczył go. Od strony pobliskich ruin dobiegły ordynarne przekleństwa. Kolejny trzask. Kula

wzbiła fontannę pyłu parę metrów od niego. Mężczyzna zaufał intuicji, legł na jezdni i znieruchomiał w niezgrabnej pozie.

Z ciemnej bramy wysunął się blady chłopak z tetetką[1] w drżącej ręce. Złoty łańcuch na szyi, zapaskudzony granatowy garnitur w arystokratyczne prążki… Czy to ostatniego sortu bandzior, czy też jakiś gracz giełdowy… Wszystko jedno – nie umiał obchodzić się z bronią: pochopnie położył ją na ziemi, przeszukując ofiarę. Za swoją niefrasobliwość musiał zapłacić.

Po wzięciu pistoletu w charakterze trofeum, Taran nie wyżywał się już na i tak bojaźliwym biedaczynie. Wymierzył mu tylko parę policzków na postrach i kazał nieść butlę z gazem. Przy schodach do szpitalnej piwnicy nieznajomy źle się poczuł. Widać zdążył przyjąć sporą dawkę radiacji. Padł jak ścięty, zaczął rzęzić. Różowa piana z ust, czerwone, chore oczy, szara jak popiół twarz. Krótko mówiąc, paskudna sprawa…

Chłopak stanowczo odmówił zejścia do schronu. Czy to przeczuwał rychłą śmierć, czy też zwyczajnie nie wierzył w bezinteresowną pomoc… Tak też pozostał: siedząc na schodkach, drżąc i strasznie kaszląc. Taran zawahał się przez chwilę, ale w końcu poszedł. Zdrowy rozsądek przeważył nad emocjami. Za późno, by chłopaka żałować, wciąganie go do środka siłą nie ma sensu. Tak czy inaczej, już jest martwy…

Drzwi zatrzasnęły się ze szczękiem, pozostawiając za progiem okropieństwa świata zewnętrznego, ale w głowie długo jeszcze brzmiał mu niepocieszony, przejmujący głos:

– Zostaw mnie w spokoju! Zostaw mnie w spokoju! Zostaw…

Chciał za wszelką cenę pozbyć się dokuczliwych, rozdzierających duszę dźwięków. Najemnik z wysiłkiem otworzył oczy.

Trzeba było trochę czasu, by uzmysłowić sobie niepokojący fakt – histeryczne jęki nie były częścią snu. Ktoś krzyczał naprawdę i to gdzieś blisko. Głos, zniekształcony przez strach, przechodzący w chrypienie, wydawał mu się mgliście znajomy. Czyżby Kantemirow?

Pokonując słabość, Taran podniósł się. Bose stopy dotknęły chłodnej, drewnianej podłogi. To go orzeźwiło, przepędzając zawroty głowy i resztki senności. Nie czas na oddawanie się wspomnieniom! Stalker w pośpiechu przepatrzył krzesła w poszukiwaniu swoich rzeczy. Tymczasem krzyki za ścianą nasiliły się, zmuszając go, by gorączkowo wbił się w kombinezon, klnąc i plącząc się w paskach. Buty znalazły się obok, przy stole operacyjnym. Dyżurna szafka z bronią w rogu była otwarta – choć raz roztargnienie Władlena okazało się pomocne! Taran odsunął butelki, które nie wiedzieć czemu znalazł w środku, i wyciągnął słabiutki, ale gotowy do użytku karabinek AN-94. Jeszcze chwila i otworzył szeroko drzwi, miękkim krokiem wsunął się do sąsiedniego pomieszczenia. Potłuczone szkło, porozrzucane meble, przewrócone kozetki… Wyglądało, jakby przez izbę przeszedł huragan.

Pośrodku panującego chaosu, gorączkowo przebierając rękami i ślizgając się w kałużach rozlanego płynu fizjologicznego, czołgał się Kantemirow. Stalker już chciał zawołać lekarza, jednak nagle zastygł w miejscu, rozróżniając poprzez ciągłe jęki odgłos ciężkich kroków.

Wtem w krąg światła, wznosząc się nad wciśniętym w róg pomieszczenia Władlenem, wkroczył On.

Okrutny i bezkompromisowy eksterminator dżumy. Czarny Sanitariusz.

Stalker przybył w samą porę. Wylot miotacza płomieni był już wycelowany w lekarza, gotowy zionąć strumieniem oczyszczającego ognia, lecz zakuty w pancerz nieznajomy nie zdążył puścić w ruch swojej piekielnej machiny, słysząc za plecami krótki rozkaz:

– Stać! Ruszysz się, zastrzelę.

Głowa w zamkniętym hełmie powoli obróciła się w stronę stalkera, który zamarł w drzwiach z automatem przygotowanym do strzału. Dłoń w metalowej rękawicy wskazała na Władlena, potem na znak zagrożenia biologicznego na pokrytym sadzą napierśniku, a w końcu wymownie przesunęła się po szyi.

– W takim razie dlaczego jest taki poobijany? Ściemniasz, facet… Ręce do góry, żywo!

Zamiast odpowiedzi Sanitariusz znów odwrócił się w stronę ofiary. Kantemirow, plując krwią, z trudem odczołgał się za krawędź stołu. Twarz lekarza, bordową od krwiaków, wykrzywił grymas bólu i nieodpartego przerażenia.

– Co tak stoisz? – wymamrotał rozbitymi ustami. – Strzelaj do niego! On…

Koniec zdania zniknął w ogłuszającym warkocie AN-94 – stalker otworzył ogień, widząc, że dysza miotacza znów kieruje się w stronę Władlena.

Kule uderzyły w pancerz, krzesząc iskry, i rykoszetowały po pomieszczeniu. Przestrzeń sali wypełniły brzęk metalu i przekleństwa przeciwników. Bryznęła odłamkami rozbita lampa, regał ze zwojami bandaży zajął się ogniem, salę zasnuł dym. W rozbłyskach nierównego światła postać w czarnej zbroi, złowieszcza i olbrzymia, zaczęła się w końcu ruszać, obracając się całym korpusem w stronę źródła zagrożenia. Strumień ognia uderzył dokładnie w otwór drzwiowy, opalając ściany. Od nieznośnego żaru farba wybrzuszyła się, a futryna zajęła ogniem jak zapałka. Terkot automatu od razu ucichł – stalker w porę ukrył się na zewnątrz. Jak tylko fala ognia ustąpiła, uderzył w odpowiedzi, strzelając krótkimi mierzonymi seriami, ale wciąż nie udawało się znaleźć luki w szczelnym pancerzu przeciwnika.

Teraz Sanitariusz przynajmniej był uwikłany w walkę. Wytworzony hałas nieuchronnie przyciągnie uwagę miejscowego garnizonu, a to znaczy, że schwytanie naruszającego spokój jest tylko kwestią czasu. Tylko czy uda mu się długo przetrwać z jednym magazynkiem? Najemnik ze smutkiem popatrzył na praktycznie pusty AN-94.

Zdając sobie sprawę, że znalazł się w niewygodnej sytuacji, agresor obrócił głowę w poszukiwaniu Kantemirowa, lecz jego wzrok niezmiennie natrafiał tylko na spiętrzenie łóżek szpitalnych.

Rozpaczliwie walcząc o życie, lekarz zdążył się jednak ukryć w dalszej części przestronnej sali.

Gra w kotka i myszkę nie mogła trwać wiecznie i na rozwiązanie nie trzeba było długo czekać. Ignorując stalkera, Czarny Sanitariusz znów podniósł swoją straszną broń i obficie polał płomieniami całą przestrzeń izby. Rozległ się przeszywający krzyk Władlena, który w mgnieniu oka znalazł się w epicentrum ognistego piekła. Taran nie mógł dalej zwlekać. Rzucił się do środka, wystrzelił resztki amunicji i całą swoją masą wbił się w przeciwnika. Od bolesnego uderzenia, przypominającego kolizję z litą ścianą, zadzwoniły mu zęby, a w oczach pociemniało.

Na gigancie nieroztropny atak stalkera nie zrobił szczególnego wrażenia. Nie zachwiał się nawet, tylko złapał głowę Tarana w żelazny uścisk i uderzył kolanem w brzuch, pozbawiając go tchu. Złamane żebro natychmiast dało o sobie znać, odzywając się ukłuciem ostrego bólu. Nieznajomy nie dał Taranowi oprzytomnieć, tylko wytrącił mu z rąk automat i wymierzył policzek opancerzoną rękawicą. Stalker padł na wznak, boleśnie uderzając zranionym ramieniem o kozetkę. Splunął krwią. Odetchnął głębiej. Ignorując ogarniającą go słabość, wyszczerzył zęby i spróbował wstać, macając dookoła rękami w poszukiwaniu czegoś do podparcia. Sanitariusz zrobił krok w jego stronę, kręcąc ostrzegawczo głową. Poważny argument w postaci dyszy miotacza płomieni zamajaczył tuż przy twarzy stalkera.

Spoglądając spode łba na olbrzyma w zbroi, Taran nagle uświadomił sobie, komu zawdzięcza cudowne ocalenie na placu. Obraz tajemniczego rycerza z gorączkowych majaczeń przybrał całkowicie realną postać. Ogromny i niewiarygodnie obcy, Sanitariusz stał w milczeniu naprzeciwko i wciąż zwlekał, jakby czegoś oczekiwał. Za nieprzeniknioną dla wzroku warstwą pancerza, w wąskiej szczelinie hełmu zabłysły na moment oczy. Ludzkie. Żywe. Taranowi zrobiło się od razu lżej na duszy, gdy uzmysłowił sobie, że za spiętrzeniem żelaza jest nie bezduszny robot, nie mutant, lecz taki

sam jak on człowiek. Choćby wrogo nastawiony, ale jednak z krwi i kości. Krwi – takiej jak u pozostałych. A do bojów z tego rodzaju wrogami był bardziej przyzwyczajony. Takich bliźnich było w metrze aż za dużo. Można uznać, że kiedy kończy się jedzenie, wszyscy są dla siebie wrogami.

Od strony środkowego peronu dały się wreszcie słyszeć zaniepokojone głosy i tupot wielu stóp. Nie czekając na rozprawę, nieznajomy ożywił się, opuścił miotacz płomieni i dał nura w korytarz, naprzeciw zbliżającemu się patrolowi. Stalker oparł się z ulgą o krawędź kozetki, ale przeciągły jęk gdzieś za nim sprawił, że gorączkowo zerwał się na nogi. Za stertą dymiących materaców, wśród połamanych mebli słabo poruszał się Kantemirow. Opuchnięta twarz, umazana krwią i sadzą, nie bardzo przypominała oblicze człowieka. Na rękach, szyi i górnej części tułowia miał straszne poparzenia, skóra zwisała płatami.

– Cicho, cicho… Wytrzymaj chwilkę, Wład.

Przytrzymując lekarzowi głowę, Taran przyłożył do rozbitych warg manierkę z wodą. Ten wziął chciwy łyk, zakrztusił się i cały się zatrząsł. Nogi zaczęły mimowolnie skrobać po podłodze, w przeczuciu rychłej agonii.

– Ja wiedziałem… Wiedziałem! Słyszysz, Taranow, wiedziałem, że nie chodzi o dżumę!

Władlen miotał się w ramionach stalkera. Oczy lśniły mu gorączkowo. Wysilone, świszczące oddechy robiły się coraz słabsze.

– Jak obejrzałem z bliska tę jego atrapę detektora, to od razu wszystko stało się jasne! On nie eliminuje zarażonych, tylko tych, którzy się domyślili!

– Czego?

– Jak to, nie rozumiesz?! Że tajny schron istnieje! On jest stróżem tajemnicy, rozumiesz?

Na Kantemirowa nie dało się patrzeć bez współczucia. Blady, udręczony, z rozbieganym wzrokiem, nadrabiał miną do ostatka, będąc na granicy szoku. Drżenie ust zdradzało skrajne napięcie.

– Ten drań mnie torturował… Swołocz… Pytał, gdzie wywęszyłem o Edenie? Właśnie tak, Taranow! Eden! Oto, jak go nazywają! Nikt mi nie wierzył! Ty też nie! A on istnieje…

Lekarz zakasłał, czepiając się kurczowo kombinezonu najemnika. Odetchnął kilka razy i pospiesznie, plącząc się, opowiedział o obcej dziewczynce i ucieczce. Stalker rzucił niecierpliwe spojrzenie w stronę wyjścia, lecz odsiecz się spóźniała. Najprawdopodobniej maczał w tym palce Czarny Sanitariusz. Jego nietykalność znów zrobiła swoje, pozwalając mu odciągnąć uwagę patrolu.

– Musisz się uspokoić. – Taran pospiesznie otworzył apteczkę, wyciągając bezcenną ampułkę z morfiną. – Tylko nie zamykaj oczu. Patrz na mnie!

– A po kiego wała mam się na ciebie gapić?! Weź lepiej z górnej półki… Tak, tak, właśnie tę lampę. Nie przerywaj, to bardzo ważne! Słuchaj uważnie, póki się jeszcze nie przekręciłem… Z tym czymś znajdziesz Gleba. Dałem mu na drogę marker na tusz sympatyczny. Szukaj znaczków na ścianach. Widać je tylko w ultrafiolecie. I przekaż swojemu dzieciakowi, żeby nie zapomniał o obietnicy. On wie, o czym ja…

Straciwszy resztki sił na rozmowę, Władlen opuścił bezsilnie głowę na troskliwie podłożony waciak. Jak na złość, strzykawka podskakiwała w trzęsących się rękach jak szalona. Kiedy Taran uporał się w końcu z igłą, usłyszał nagle spazmatyczne westchnienie i przeniósł wzrok na Kantemirowa. Klatka piersiowa lekarza zastygła w bezruchu, oczy wpatrywały się martwo w sufit.

– Drańst‌wo!

Stalker zerwał się i rozrzucając na boki dymiące odłamki mebli, wyskoczył na korytarz. W wąskim łączniku nie było ani strażników, ani lekarzy. Ciosem podkutego buta sprawił, że wątłe drzwi o mało nie wyleciały z zawiasów, z hukiem uderzając o ścianę. Na drodze stał mniej więcej siedemnastoletni chłopak w niechlujnym, wygniecionym mundurze i mrugał oczami w osłupieniu.

– Gdzie on jest?! – Taran złapał młodzika za klapy i ostro nim potrząsnął.

– Kto?

– Czarny Sanitariusz!

– A, bo on… Właśnie wyszedł… Powiedział, że w oddziale zakaźnym jest dezynfekcja. Nikt nie może wchodzić…

Najemnik zaklął, puścił ogłupiałego żołnierzyka i wyskoczył na peron. Od razu zagrodziło mu drogę kilku ponurych strażników z wycelowanymi w niego lufami automatów. Naprzód wystąpił napakowany dowódca ochrony w wyczyszczonych na błysk wojskowych butach i z pewnym lekceważeniem w oczach spojrzał na niespokojnego pacjenta.

– Nie tak szybko, stalkerze. Musimy pomówić.

1 Pistolet TT – Tulski Tokariewa (przyp. aut.).

Rozdział 15: ROZMOWA OD SERCA

Przeciągłe skrzypienie zardzewiałych zawiasów oderwało staruszka od rozmyślań. Skrzywił się, zatrzasnął butwiejące, wypaczone od wilgoci drzwi i skinął głową jedynemu strażnikowi. Ten usunął się, wpuszczając gościa do izolatki. Afanas przystawił sobie stołek i usadowił się w bezpiecznej odległości od krat, zespawanych pospiesznie z prętów zbrojeniowych, zgarbił się starczo i wyciągnął kapciuch z machorką.

Na celę dla aresztantów przerobiono na Czkałowskiej ciasną klitkę na poziomie technicznym. Taka potrzeba pojawiła się niemal zaraz po przybyciu marynarzy na stację. Okazało się, że nie każdy był w stanie przeboleć utratę bliskich, a do tego znaleźć w sobie siłę, by dalej żyć, tocząc walkę o przetrwanie pod ziemią, w ciemnych i wilgotnych labiryntach metra. Nerwy puszczały nawet najtwardszym. Załamania, napady histerii, awantury… Ostatnio sporo przeżyli i przez izolatkę przewinęło się wielu winnych naruszenia porządku.

Olbrzymi więzień w celi pozostawał nieruchomy. Po przeogromnych, oplecionych węzłami mięśni plecach zielonoskórego giganta cienkimi strużkami ściekała kapiąca z sufitu wilgoć, przesączając się przez zarosłe frędzelkami pleśni pęknięcia w betonie. Mutant nie zwracał jednak na podobne drobnostki uwagi. Zdawało się, że nic już nie może wyprowadzić go ze stanu obojętnego odrętwienia.

Afanas bez pośpiechu robił sobie skręta. Aromat machorki przyrządzonej z troskliwie wyhodowanych pędów „mutoliści” – wątłej, bladej trawki przywiezionej kiedyś na Moszczny jako namiastki tytoniu – pozostał chyba jedynym wspomnieniem utraconej wyspy i minionych dni chwały. Staruszek zapalił skręta od drzazgi, zaciągnął się głęboko i zmrużył oczy z zadowoleniem.

Szaroniebieski dym rozpełzł się po pomieszczeniu, łechcąc nozdrza. Drażniący zapach nie pozostawił Giennadija obojętnym. Odwrócił się do kraty i zerknął na gościa. Dziadek Afanas poczuł na sobie uważny wzrok. Otworzył oczy.

– Oczywiście podłe ziele nie umywa się do prawdziwego tytoniu, ale z czasem można się przyzwyczaić… – Staruszek wskazał na kapciuch. – Zapalisz?

Dym przez chwilę się wahał, potem kiwnął na zgodę.

– Pamiętam, jak jeden Fin przywiózł kiedyś na wyspę sadzonki ze skażonej ziemi. Pracował u nas w kambuzie jako pomocnik kuka. Posadził je drań na wybrzeżu, a one rozrosły się pięknym kwieciem! Jak w sztabie dowiedzieli się o tym arboretum, to wypalili wszystko do czysta, a chłopaczek kisił się z tydzień w areszcie wojskowym. – Kontynuując niespieszną opowieść, dziadek Afanas nabił machorką drugiego skręta, rozpalił i podał więźniowi przez kraty. – Tyle że zaraza okazała się żywotna. Kiełki na pogorzelisku znowu wzeszły, z czego wszyscy się ucieszyli… Fin nie był głupi, znalazł niezły zamiennik tytoniu. Tylko mu potem podziękowali. Jeszcze jak…

Staruszek obserwował ukradkiem mutanta. Ten ostrożnie wciągał dym ze swojej porcji, sprawdzając doznania, i smutno wzdychał. Po wyrazie twarzy, czy raczej pyska o wydatnych kościach policzkowych i masywnych łukach brwiowych, nie dało się ocenić, czy Dyma interesuje mamrotanie starego gościa, czy też własne myśli zajmują go znacznie bardziej.

– Słabiutki… – Więzień przerwał milczenie. – Ale aromatyczny. Dziękuję ci, ojczulku.

Afanas kiwnął głową w odpowiedzi, że niby nie ma za co, intuicyjnie wyczuwając, że mutant dojrzał do rozmowy. Dlatego zamarł w oczekiwaniu, obserwując taniec samotnego języczka ognia na cienkiej drzazdze. Giennadij nie kazał na siebie długo czekać. Strząsnął popiół i znów się odezwał.

– Wujaszek przyniósł raz z wyjścia na powierzchnię karton „Biełomorów”. Niezgniły, calutki. Szybko schował i palił tylko od

święta. Dostało mi się nawet w spadku kilka paczek. O, to był tytoń! Ostry, mocny…

Staruszek gorliwie pokiwał głową, uśmiechając się. „Biełomory”… Na wpół zapomniane słowo z przeszłości w mgnieniu oka przyniosło miłe sercu obrazy, wizje utraconego dawnego życia. Palące letnie słońce, milionami świetlistych kropelek odbijające się w oknach wysokościowców. Cienisty, tonący w zieleni bulwar, gdzie tak chętnie i łatwo oddychało się pełną piersią. Dźwięczny śmiech wnuka, kręcącego się w kółko na nowiutkiej jaskrawoczerwonej hulajnodze. Łagodny okołopołudniowy skwar. Pełnia lata…

Dopalony pet sparzył mu wargi. Afanas drgnął, z żalem wracając do realnego świata – ciasnego, wilgotnego korytarza skrytego pod warstwą ziemi.

– A kim był ten wujaszek? Krewny, czy jak?

Mutant nie spieszył się z odpowiedzią, widocznie też oddawał się wspomnieniom.

– Jak to powiedzieć… Pewnym dobrym człowiekiem, któremu zawdzięczam życie… Moja matka umarła podczas porodu. Mnie też zamierzali… tego… razem z nią pochować. Bo kto mnie takiego chciał? Potwór nie człowiek… Wujaszek nie pozwolił. Stanął w mojej obronie. Zabrał mnie ze wspólnoty. Zaczęliśmy mieszkać we dwóch w piwnicy dawnego klubu sportowego… Wychował mnie, rozumu nauczył. Pamiętam, że ciągle powtarzał, że niby „wcale nie jestem dla ciebie ojciec, tylko wujaszek”. Miał na imię Trifon. Dla mnie na zawsze został wujaszkiem. I tak mu na krzyżu nabazgrałem, kiedy go chowałem. Teraz jest tam, na górze. Promieniowanie jednak go wykończyło. W końcu nie mieszkaliśmy w metrze, powierzchnia była blisko…

– A ciebie, nieszczęśniku, nie usmażyło, co?

– Mnie się ta zaraza nie łapie. Jest chociaż jakiś pożytek z mojej ułomności… Jak sam rozumiesz, mutantów w metrze nieszczególnie szanują. A takich straszydeł jak ja, tym bardziej.

Giennadij rozgniótł niedopałek, oparł się o ścianę i przez dłuższy czas milczał. Staruszek w zadumie rozcierał szczeciniasty podbródek, z rzadka zerkając na rozmówcę. Z którejkolwiek strony popatrzeć, Dym nie robił wrażenia człowieka zdolnego do dokonania aktu bezgranicznego okrucieństwa – unicestwienia ludności całej wyspy…

– Przecież ty nałgałeś o tej całej bombie… – zdecydował się w końcu Afanas. – W głowie mi się nie mieści, dlaczego bierzesz na siebie cudzy grzech, ale jeśli już chcesz oszukiwać, to rób to składnie. Widziałem protokół z przesłuchania. W sumie sensownie referujesz, tyle że z twoich wyjaśnień absolutnie jasno wynika, że bomby w rodzaju tej, która walnęła na wyspie, nie widziałeś nigdy nawet z daleka. Nasi specjaliści o mało nie dostali przepukliny ze śmiechu, kiedy czytali te twoje nonsensy. Po co ci to, hę? Po co?

Ciężkie westchnienie okazało się wymowniejsze od słów. Staruszek nie miał już wątpliwości, że więzień próbuje wziąć na siebie cudzą winę.

– Zrozum, chłopcze – ciągnął z naciskiem – ludzie wszystko stracili. Za nasze rodziny odpowie i tak ten, kto tego piwa nawarzył, nie trzeba nam figurantów. Nikt nie zamierza przelewać niewinnej krwi.

– Jak to, a ultimatum? A iperyt?

– Jaki tam, u diaska, iperyt… – Afanas machnął ręką. – To tylko blef. Próba dopadnięcia zabójców bez zbędnych konfliktów. Jak nie wypali, to sami będziemy szukać. Choćby nawet długo i z kłopotami, ale nieszczególnie mamy się teraz dokąd spieszyć… Tak więc niepotrzebnie cię przysłali. Straciłeś tylko czas. Należałeś się tylko tu, na twardym, w tej ciemnicy, biedaczysko.

– Nikt mnie nie przysyłał. Sam tak postanowiłem. Dla pozostałych i tak jestem wyrzutkiem. Brudnym mutantem. A tak chociaż przydam się do czegoś dobrego…

Staruszek w myślach klasnął w dłonie i znów sięgnął do kapciucha z machorką.

– Głupiec z ciebie, chłopaku, oj, głupiec! Wyrosłeś pod sufit, ręce na miejscu, nogi na miejscu, główka też zdaje się pracuje. Czemu ci

się nie wiedzie?

– To spróbuj, ojczulku, jak ci się będzie wiodło z piętnem człowieka drugiego sortu, to wtedy zrozumiesz, co i jak!

– Tu masz rację. Trzeba wejść w czyjeś buty, żeby zrozumieć… Ale jednego nijak nie mogę pojąć, choćbym nie wiem jak myślał. Jeśli ludzie cię odrzucili, to dlaczego, biedaku, tak się o nich troszczysz, że aż własnej głowy nie żałujesz?

Giennadij otworzył już usta, ale nagle się zaciął, zamrugał i popatrzył w podłogę, pochmurniejąc.

– Nie wszyscy się mnie brzydzą do końca – odparł po długim milczeniu. – Są i tacy, którzy umieją dojrzeć coś więcej poza kolorem skóry. Dla takich jak oni można i oddać życie.

– A nie przypadkiem dla tego chłopaczka, który pomógł ci wylecieć z Aliansu Primorskiego? – Dziadek Afanasij chytrze zmrużył oczy. – No, co tak wytrzeszczyłeś oczy? Dużo o tobie wiemy. Zasięgnęliśmy języka, kiedy tu kiblowałeś.

Dym całkiem zgasł. Słowa przychodziły mu teraz z widocznym trudem.

– Taran to porządny facet. Czasem oczywiście przegina pałę i wkłada palce między drzwi, ale…

– Z szubienicy cię ściągnął – zakończył za niego staruszek.

– Ściągnął – zgodził się Giennadij i znów ciężko westchnął.

– I chyba raczej nie po to, żebyś właził na kolejną…

Miarowe kapanie wbiło się klinem w niespieszną rozmowę. Obaj westchnęli i pogrążyli się w rozmyślaniach.

– Posłuchaj. – Afanas nagle się ożywił. – Przecież ten Taran był jako pierwszy na wyspie… Może miał motyw…

– Nawet o tym nie myśl! On nie ma nic wspólnego z wybuchem – uciął Dym.

– Na tyle dobrze znasz tego najemnika?

Czekając na odpowiedź, staruszek nie spuszczał oczu z rozmówcy, jakby próbował doszukać się w jego zachowaniu fałszu. Giennadij

zmieszał się, zastanawiając się nad pytaniem, ale już po chwili patrzył pełnym przekonania wzrokiem.

– Znam Tarana wszystkiego kilka miesięcy. Ale uwierz mi, to wystarczy, żeby mu w pełni ufać.

– O ile nam wiadomo, to jemu zlecono prowadzenie śledztwa. Przyniósłbyś znacznie więcej pożytku, pomagając w poszukiwaniu winnych niż leżąc w celi… Więc dlaczego nie ma cię teraz z twoim przyjacielem?

– Dlatego, że ze mnie kretyn… – Mutant skrył twarz w wielgaśnych dłoniach i zamilkł.

Nie zaczął wyjaśniać, zresztą pewnie i tak by nie zdążył – od strony peronu dobiegły odgłosy częstych wystrzałów. Czyjś rozpaczliwy krzyk urwał się w połowie, za to od razu odezwało się kilku kolonistów i wtórując narastającej kakofonii, ostrzegawczo zadzwonił sygnał alarmowy.

Dziadek Afanas wstał ze stołka i z niepokojem zerknął na wyjście.

– Coś się dzieje…

Na potwierdzenie jego słów za ścianą okropnie krzyknął strażnik. Trzask odrzuconego na bok krzesła, szczekanie automatu. Jeszcze chwila i oszalały terkot ucięło jak nożem. Odgłosy walki i histeryczne wycie przeszły w głuchy bulgot. Drzwi uchyliły się ze złowieszczym skrzypieniem i w powstałą szczelinę wpadło zakrwawione ciało strażnika więziennego. Głowa mężczyzny majtała bezwolnie na rozszarpanej szyi, a tułów podrygiwał jak u marionetki. Za progiem, skryte przed wzrokiem za drzwiami, coś się ruszało. Po skupionym mlaskaniu i chrzęście łamanych kości nietrudno było się domyślić, co się właściwie działo. Coś pożerało nogi chłopaka. Tutaj, głęboko za linią obrony!

– Patrz!

– Hę? – Staruszek drgnął, gapiąc się zagubionym wzrokiem na trupa.

– Tam, obok ręki! – Dym wskazał na strażnika.

Afanas przyjrzał się. Teraz on też dojrzał wystający spod ciała pęk kluczy. Otrząsnął się z odrętwienia i krokiem dostawnym ruszył ku drzwiom. Nieznany stwór czy to nie wyczuł bliskości ludzi, czy też był całkowicie pochłonięty zdobyczą, próbując wyciągnąć trupa na zewnątrz.

Starając się nie hałasować, staruszek podniósł klucze i rzucił się do tyłu, do kraty.

– Szybciej! No, dalej! – poganiał go więzień. – Daj, ja sam!

Dym wziął klucze i zaczął dłubać przy kłódce. Afanas odwrócił się. Trup zniknął z progu, pozostawiając tylko czerwoną plamę na wilgotnej betonowej podłodze. Dźwięki strasznej uczty też ucichły. Albo bestia poszła szukać nowej ofiary, albo…

Jednocześnie ze strasznym domysłem z korytarza dał się słyszeć przeciągły ryk. Staruszek był szybszy. Przyskoczył do wyjścia, naparł na drzwi i zacisnął powieki. Agresor nie kazał na siebie czekać. Od uderzenia zatrzęsło się całe skrzydło, górny zawias zawisł na wyrwanych śrubach. Mocno przyciskając czoło, Afanas zachwiał się, ale jednak ustał. Osłabione artretyzmem nogi nieprzyjemnie dały o sobie znać, w skroniach zapulsował ból.

– A żeby cię… Pospiesz się, chłopcze! Boję się, że nie na długo wysta…

Kolejne uderzenie. I jeszcze jedno… Stwór nie ustawał w wysiłkach, by dostać się do upartych dwunogów. Drapał, wył, w napadzie wściekłości wciąż i wciąż rzucał się całym swoim cielskiem na kruchą przeszkodę. Afanas skrzywił się. Siły topniały zbyt szybko, ale upór i marynarskie wyszkolenie nie pozwalały mu się poddać bez walki.

Uparta kłódka ustąpiła akurat w chwili, kiedy wycieńczony staruszek padł na kolana. Ułamek sekundy później, razem z wyrwanymi drzwiami, rzuciło go na ścianę i do pomieszczenia wpadło coś bezkształtnego, skomlącego, z wydłużoną, najeżoną zębami paszczą, wielkości dorodnego doga niemieckiego. Zielonoskóry więzień wyszedł z celi i wyrzucił przed siebie pięść. Z

głośnym klapnięciem bestia poleciała do tyłu i zebrawszy sierpowate łapy ze skórzastymi błonami, znów skoczyła, tym razem już nie tak chyżo jak za pierwszym razem. Dym z głośnym wydechem zwalił na drapieżnika swoje potężne ręce, złapał go jak w kleszcze i przygwoździł do podłogi. Zdezorientowany stwór miotał się i kłapał szczękami, ale nie potrafił się oprzeć potędze ogromnych muskułów. Giennadij chwycił bestię za kark i tylne łapy, po czym podniósł ją w powietrze i z wielką siłą uderzył o zgięte kolano. Trzasnęły pogruchotane kręgi. Z rzężeniem i w spazmach zwierzę padło na beton i wkrótce ucichło. Tylko długi, zakończony kolcem ogon jeszcze przez jakiś czas spazmatycznie podrygiwał, jakby żył niezależnie od ciała.

– Co z tobą? – Dym przyskoczył do staruszka i ostrożnie przewrócił go na plecy.

– Bywało lepiej… – wystękał Afanas, powoli podnosząc się na sztywnych nogach. – Dziękuję, chłopcze. W porę pomogłeś.

Marynarz zajrzał za potężne ramię swojego wybawcy i ze wstrętem wpatrywał się w pokonanego drapieżnika.

– Co to za cholerstwo?

– A kto go tam wie. Mało to różnego świństwa się rodzi na górze… Zdechło, to i dobrze. Co prawda, nie wydaje mi się, żeby jedna bestia mogła narobić tyle hałasu…

– Tak, tak. – Staruszek ożywił się. – Musimy się spieszyć!

Minąwszy rozszarpane ciało strażnika więziennego, pomknęli korytarzem. Automat biedaka okazał się nienaładowany. Dym ze złością odrzucił broń i w ślad za towarzyszem wyskoczył na peron. Hala stacji była zalana światłem licznych reflektorów. Niewyraźne cienie błyskawicznie przemykały po ścianach i suficie, rozbłyski serii z automatów migotały po całym peronie. Wśród ciał zabitych mutantów zdarzały się też ludzkie. W zaciekłym starciu o przeżycie obie strony walczyły do ostatniej kropli krwi.

Giennadij podniósł walającą się samotnie na posadzce siekierę i potruchtał w stronę centrum peronu, gdzie ciągnęła już główna

masa ocalałych. Parę razy zwinne bestie próbowały atakować potężnego mutanta, ale rezultat był niezmienny – pod druzgocącymi ciosami podłużne łby stworów rozpadały się niczym przejrzałe arbuzy.

– Krąg! Formuj krąg!

Słysząc donośny, basowy ryk, babelczycy odwrócili głowy, wpatrując się ze zdziwieniem w zielonoskórego giganta, pewnie kroczącego przez stację, jakby nie dostrzegał panującego wszędzie chaosu. Panika i bezładna strzelanina zamieniły się naraz w zorganizowany odwrót.

– Bez bałaganu, chłopaki! W dwa szeregi! Gęściej! Brać skrzynki! Barykaduj!

Marynarze niedoświadczeni w obronie podziemnej łapali wszystko w lot. Już po paru minutach na środku stacji powstała pospiesznie wzniesiona barykada z podręcznych maneli, kufrów i skrzyń z prowiantem. Najeżywszy się lufami automatów, walczący wyznaczyli sektory i rozpoczęli ostrzał. Losy bitwy odwróciły się. Szaroskóre bestie padały na posadzkę jedna po drugiej, nie będąc w stanie podejść do plujących ogniem dwunogów.

Jednak czas mijał, a strumień bestii nie ustawał. Na miejsce podziurawionych kulami drapieżników z ciemności wynurzały się nowe, rzucając się na oślep w krzyżowy ogień z broni automatycznej.

Ustawiając kufry z amunicją, Dym pomagał umacniać linię obrony, kiedy zawołał go siwobrody kapitan.

– Ej, nowy! Widzę, że Afanas już cię wypuścił… I dobrze. Jest robota. Bierz broń i ruszaj za pozostałymi. – Starzec skinął w stronę ponurych żołnierzy, którzy pobrzękując karabinami, gotowali się do wypadu. – Trzeba odbić posterunek, inaczej to zoo nigdy się nie skończy!

Giennadij zerknął sceptycznie na oddział, na resztki zebrane z pozostałych przy życiu marynarzy. Tylko dwaj spośród nich wyglądali na doświadczonych żołnierzy, pozostali, choć nadrabiali miną, broń

trzymali nieumiejętnie. Dowodził rosły typ w zapaskudzonej kamizelce kuloodpornej. Sądząc po pasiastym podkoszulku wystającym spod kołnierza wiatrówki, niegdyś służył w piechocie morskiej. Szturchnięciami i okrzykami udało mu się jednak zorganizować z ochotników coś na podobieństwo grupy szturmowej.

– Trzymaj lewą flankę i nie wychylaj się – rzucił Giennadijowi i odwrócił się do pozostałych. – Ruszamy! Nasz cel: południowy posterunek przy szybie wentylacyjnym. Tam mogą jeszcze być żywi. Dalej w zależności od sytuacji. To wszystko, chłopcy. Z Bogiem!

Szyk obrońców na chwilę się złamał, wypuszczając żołnierzy na zewnątrz. Ślizgając się w kałużach posoki, szturmowcy ruszyli truchtem przez peron. Nad ich głowami zadudniły pistolety szynowe, siekąc szalejące na torach stwory.

– Cel na godzinie drugiej!

Zgodnie odezwały się automaty, wyszukując ledwie widoczny w półmroku cień. Krótki ryk i ranne zwierzę skryło się za krawędzią peronu.

– Nie spać! Koncentracja!

Tupotowi butów towarzyszyło szuranie licznych łap i drapanie pazurów, jednak w strefie widoczności przestrzeń pozostawała czysta. Obecność niewidocznych potworów wykańczała i bez tego zszargane nerwy. Poziom adrenaliny wychodził poza skalę. Ktoś ledwie słyszalnie się modlił, inni cedzili przekleństwa przez zaciśnięte zęby.

Tak czy inaczej, garstce śmiałków udało się dostać bez przeszkód aż do wejścia do tunelu, lecz tu opór mutantów znacznie się nasilił. Zwinne stworzenia skakały po ścianach tunelu z przerażającą szybkością, schodząc z linii strzału. Żołnierze nie zdążyli się opamiętać, kiedy jednego z nich wyciągnęła z szyku w ciemność szczególnie zręczna bestia. Przed oczami mignęły im tylko zagięte łapy z ostro zakończonymi szponami i bryznęła fontanna gorącej krwi.

– Gęściej strzelać! Nie spać!

W głąb tunelu poleciały race świetlne. W widmowym świetle pojawiło się od razu kilka niewyraźnych sylwetek. Zgodnie zaterkotały automaty, zagłuszając ryki rannych stworów. Metr za metrem, oczyszczając drogę deszczem ołowiu, szturmowcy dotarli do posterunku. Przy workach z piaskiem odkryli kilka poogryzanych trupów – dawną załogę posterunku w pełnym składzie. Przekrzywiony cekaem na trójnogu, opustoszała skrzynka po zużytej amunicji, zachlapane brunatnymi strzępami podkłady kolejowe… Obrońcy zrobili wszystko, by powstrzymać rzekę rwących na stację głodnych stworów, lecz przewaga liczebna atakujących zniweczyła wszystkie wysiłki.

Dowódca zastygł, wpatrując się w szczątki współplemieńców. W jego oczach Dym uchwycił zagubienie, ale trwało to tylko ułamek sekundy. Potem znów pojawiła się w nich złość.

– Co powiesz, mutancie?

Szorstki zwrot nie dotknął Giennadija. Zbyt często miał okazję słyszeć podobne słowa pod swoim adresem.

– A co tu mówić? I tak wszystko jasne. Alians trzyma granice pod kluczem, tam zwierzyna nie miałaby skąd się wziąć. Pozostaje SZW-514. To przez niego się przedostała.

– Do rzeczy mówisz. Trzeba sprawdzić murarkę. Może jakiś wyłom… – Komandos wezwał zastępcę, smagłego byka z wytatuowaną na ramieniu kobrą królewską. – Gorazde, przejmij dowodzenie. Poprawić umocnienia i utrzymać posterunek za wszelką cenę!

Żołnierz w odpowiedzi kiwnął tylko głową, ściągając z ramienia kamizelkę z granatami, i zabrał się za wydawanie poleceń. Marynarze zakrzątnęli się, zajmując stanowiska obronne. Nie można było zwlekać – z mroku co i rusz wyskakiwała kolejna bestia, zmuszając ich do zużywania drogocennej amunicji.

Dym przeskoczył przez ogrodzenie i pospieszył w ślad za żwawym komandosem. Zdawało się, że tego drugiego ogarnęło jakieś desperackie chojractwo. Oświetlając sobie drogę latarką, jak gdyby

nigdy nic truchtał wzdłuż ściany i nawet automat trzymał zwodniczo niefrasobliwie. Tego rodzaju stan był Giennadijowi dobrze znany. Udawana brawura, za którą tak wygodnie jest schować strach… Niemłody już, zawołany wojak, który przeżył Katastrofę, przeszedł ogień i wodę i bał się. Bał się, ale zdławił własny strach i dalej wykonywał swoją pracę. Teraz stało się jasne, jak ci ofiarni wyspiarze zdołali tak długo przeżyć na powierzchni…

Hipoteza wyłomu na granicy wkrótce się potwierdziła – wystarczyło podejść do rozwidlenia, kiedy z głębi bocznego korytarza dobiegło znajome chrobotanie. W ciasnym łączniku szare bestie nie miały pola manewru i napierały na wprost, co pozwoliło przebić się do instalacji wentylacyjnej bez strat, dosłownie krocząc po trupach natarczywych stworów.

Przegroda, w postaci kraty obitej arkuszami blachy, pospiesznie zespawana przez marynarzy przy zasiedlaniu Czkałowskiej, groźnie się chwiała. Przez dziury w zardzewiałym metalu szczerzyły się najeżone kłami, zaślinione pyski. Napór szalejących po tamtej stronie bestii okazał się tak silny, że obluzowane mocowania górnych zawiasów chwiały się w betonie, przez co zaimprowizowana blokada niebezpiecznie się przechyliła, tworząc pod samym sufitem wąską szczelinę. To przez nią przeciskały się do wnętrza linii obrony drapieżniki – amatorzy ludzkiego mięsa.

Krzyżowym ogniem obu karabinów udało się odstraszyć mutanty i złapać trochę oddechu, jednak wepchnięcie barykady na miejsce za pierwszym razem się nie udało. Krawędź ciężkiej konstrukcji ugrzęzła na amen w szczelinie między tubingami.

– Z całej siły! – wrzeszczał komandos, purpurowiejąc z wysiłku. – Teraz!

Nogi ślizgały się w błocie, aż natrafiły na podporę w postaci podkładu kolejowego. Mutant odłożył broń, złapał pręty obiema rękami i na wydechu rozprostował się. Muskuły na całym ciele napięły się, przeogromne plecy zrobiły się twarde jak kamień. Poszło. Z głośnym zgrzytem osłona wskoczyła w końcu na miejsce. Jak na

złość, rozzuchwalone bestie znów zaczęły szturmować przeszkodę. Konstrukcja zatrzęsła się od bezładnych uderzeń. Mokry od potu Giennadij opadał z sił, jednak ze stoickim spokojem wytrzymywał napór skowyczących z wściekłości drapieżników, póki komandos nie podparł bariery masywnymi bierwionami.

– Zwalniaj! – Dym wypuścił w końcu powietrze, ocierając pot z czoła.

Z ulgą osunął się na podłogę, rozcierając zdrętwiałe ramiona. Żołnierz usadowił się obok, wyciągnął papierośnicę z wyblakłym, pokrytym drobnymi zadrapaniami wieczkiem.

– Zapalisz?

Giennadij z wdzięcznością przyjął skręta. Szczęknęła zapalniczka.

– Jak cię zwą, siłaczu?

– Giena. Dla swoich Dym.

– Renat. Miło poznać.

Uścisnęli sobie ręce i obaj popadli w odrętwienie, rozkoszując się nagle zapadłą ciszą. Krzyki za barierą oddaliły się – bestie wracały chyba na powierzchnię. Wymęczony wyrzutem adrenaliny organizm z radością poddał się uspokajającemu działaniu aromatycznych mutoliści.

W mroku chodnika zamajaczyło światło latarki i wkrótce do odpoczywającej pary zbliżyła się przygarbiona postać.

– Proszę, to tu jesteście! – Afanas, widząc Giennadija, rozpłynął się w uśmiechu. – Dobre wieści! Na stacji nie został ani jeden stwór. Wszystkie położyliśmy. Mnie wysłali, żebym się wywiedział, jak u was, na froncie…

– Wszystko jak należy, ojczulku. Wołaj brygadę remontową, niech zespawają umocnienia.

Staruszek pokiwał głową i z niezwykłym jak na swój wiek wigorem pokuśtykał z powrotem.

– Jak rozumiem, wszystkie zarzuty wobec ciebie już wycofano? – odezwał się komandos. – W jakie strony teraz pójdziesz?

Mutant wzruszył ramionami. Nie miał dokąd iść. Czekali na niego co najwyżej w barze na Elektrze, ale sama myśl o poprzedniej pracy wywoływała w nim wstręt.

– Możesz nie odpowiadać. Po twojej skwaszonej mordzie i tak wszystko widać – Renat zgasił skręta i spojrzał chytrze na rozmówcę. – Sensowny z ciebie facet. Bardzo nam takich potrzeba. Czyli mówisz, że jak cię nazywają swoi?

Rozdział 16: NIĆ PRZEWODNIA

– Ręce, stalkerze! Trzymaj je tak, żebym widział! I bez numerów!

Nieprzyjemny głos. Histeryczny i zarazem zuchowaty. Czyżby w Mieście Targowym nie znalazł się lepszy kandydat na dowódcę zwiadu od tego gołowąsa? Bo że powitali go ludzie Wygi, nie było wątpliwości. Jeśli Gleb pomyślnie dotarł do Siennej, to ten szczwany lis Terentiew na pewno zainteresuje się niezbadanymi piwnicami dziedzińca Apraksina. A raczej już się zainteresował… i to na poważnie, sądząc po liczbie żołnierzy trzymających teraz najemnika na muszce.

Taran pokręcił głową z niezadowoleniem. Ostatnio coś za często przychodzi mu być na czyimś celowniku. A to wojskowi lekarze wzięli go za zabójcę, a to handlarze się uczepili nie wiadomo po co. Oby tylko nie stało się to tradycją…

Starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, powoli założył ręce za głowę. Ultrafioletową lampę trzeba było rzucić na podłogę. Żeby tylko się nie stłukła… Bez niej odszukanie syna, a razem z nim drogi do Edenu, będzie znacznie bardziej skomplikowane. Gleb, dzielny chłopak, starannie zostawiał znaczki na długości całej trasy. Oznaczenia szybów wentylacyjnych, stacji, linii… Innym razem po prostu strzałki. Czasem stalker wręcz się zapalał i dostrzegając kolejny odblask magicznej farby, za każdym razem triumfował w duchu. Niekiedy wiadomości wyglądały mało treściwie i na pierwszy rzut oka zdawały się nic nieznaczącymi kulfonami, potwierdzając fakt, że Gleb wciąż jeszcze był razem z tajemniczą współtowarzyszką i dlatego nanosił znaczki ukradkiem. Pomimo poplątania punktów orientacyjnych Taranowi na razie udawało się nie zgubić tropu.

A trop ten ciągnął się przez stacje centralne, przez terytorium Aliansu Primorskiego i niczym nić Ariadny prowadził wciąż dalej, w

gąszcz niezamieszkanych korytarzy.

Dawną fabrykę nielegalnych imigrantów najemnik odkrył całkiem niedawno, jakieś kilka minut wcześniej, i był całkowicie pochłonięty poszukiwaniem kolejnego znaczka, kiedy zjawili się stalkerzy z Miasta Targowego.

I znów ciszę zakłócił wciąż ten sam przenikliwy głos.

– A teraz odwróć się twarzą do mnie! Powoli!

„A niech cię licho, histeryczko… – Taran wyprostował zdrętwiałe plecy. Przed nim stał mniej więcej osiemnastoletni młodzik. Posępna mina w parze z piegowatym nosem wyglądała komicznie. – Zdaje się, że handlarze całkiem na głowy poupadali, jak już dzieci wyznaczają na dowódców. Ani chybi czyjś protegowany. Trzeba będzie się zainteresować u Wygi, co to za ptaszek…”

Poznawszy najemnika weterana, chłopak speszył się i opuścił automat.

– Eee…

Z pomocą przyszedł mu starszy zwiadowca. Twarz znajoma, nie raz migała na posterunkach Siennej, lecz imienia tego żołnierza najemnik niestety nie znał.

– Wybacz, Taran – zaczął. – Pomyłka. Sam rozumiesz, takie czasy… Szpiedzy, terroryści… Nie wiesz już, kto ci może świnię podłożyć.

– W tym masz rację, dzionki ostatnio niespokojne. Wyga was posłał po ten chłam? – Najemnik wskazał głową regały zawalone drukowanymi płytkami. – Możecie się rozluźnić. Bomby tu nie wytłoczyli.

– Mimo to musimy przeczesać piwnice – wtrącił piegowaty, posyłając gniewne spojrzenia rozmownemu szeregowcowi.

– Wasza sprawa. – Taran wzruszył ramionami. – Tylko wskażcie mi drogę do Siennej i grzebcie sobie na zdrowie. Bo ja muszę jeszcze poplotkować z waszym naczelnikiem.

– Z Terentiewem, znaczy się? Ostapow, odprowadź do szybu. I migiem wracać!

Żołnierz z widocznym zadowoleniem podreptał w stronę wyjścia z warsztatu, ciesząc się, że może choć na krótko pozbyć się niewydarzonego dowódcy.

Taran podniósł swoje rzeczy i ruszył w ślad za nim. Pozostawili za sobą ciąg chłodnych piwnic oraz kilka krętych korytarzy łącznikowych i dotarli do znacznych rozmiarów sali z osiadłym pod ciężarem gruntu sufitem.

– Teraz uważnie – ostrzegł Ostapow, omijając znajdujące się na środku osuwisko. – Jeszcze, nie daj Boże, się zawali…

Światło latarki przebiegło po kikutach kolumn, stertach porozbijanych cegieł i odłamkach ciężkich dębowych belek. Trotyl tu trzymali, czy co? Tego rodzaju zniszczenia nie mogły nastąpić w wyniku naturalnego starzenia się katakumb. Istotnie wystarczyło przejść nieco dalej, a winny kataklizmu ukazał się ich oczom w całej krasie.

Tunelowy robak. Dojrzały, ogromny… i, chwała Bogu, zdechły. Nie zaczął nawet śmierdzieć, choć pokryta szczeciną skóra fałdowała się i trzęsła – drobni padlinożercy pełną parą pracowali nad cielskiem, wygryzając ze środka smakowite mięso.

– Nie poszczęściło się biedakowi. – Taran wskazał głową zawał, spod którego wystawał fragment zmiażdżonego ogona.

– Poszczęściło się za to dzieciakom, które omal nie trafiły mu do paszczy. – Żołnierz uśmiechnął się półgębkiem.

Dopiero teraz najemnik zdał sobie sprawę, w jakim niebezpieczeństwie znalazł się Gleb i jego towarzyszka.

– Gdzie są dzieci? Wiesz coś o nich?

– Gdzie, gdzie… U Wygi, jasna sprawa. Do wyjaśnienia. Jakby nie było, przyszli od strony Aliansu. A jeśli to szpiedzy?

Przypuszczenie Ostapowa oraz jego konspiracyjny ton wywołały na twarzy Tarana mimowolny uśmiech. Najemnik wyobraził sobie zakłopotaną minę Wygi, kiedy pokazali mu zatrzymanych małoletnich szpiegów, i omal nie roześmiał się w głos.

Od strony pozostałych za nimi piwnic dał się słyszeć ostrzegawczy okrzyk. Obaj ożywili się, nasłuchując. Jeszcze chwila i po korytarzach echem poniósł się huk wystrzałów. Gdzieś tam, w katakumbach dziedzińca Apraksina, toczyła się walka. Stalkerzy bez słowa rzucili się z powrotem. Z każdym krokiem hałas zaciekłego starcia narastał. Trudno było usłyszeć coś konkretnego, ale histeryczny głos piegusa wydającego rozkazy przebijał się jednak przez ogólną kakofonię.

Taran wbiegł do szwalni i ukrył się za fragmentem betonowej płyty, po czym odszukał wzrokiem dowódcę zwiadowców. Oto on, skrył się przy stole krojczym… Chłopak, choć wyglądał na zagubionego, trzymał się dzielnie – z pochyloną głową pospiesznie przeładowywał automat. Pozostali rozbiegli się wokół, poprawnie zajmując pozycje obronne.

Napastników nie udało się dojrzeć. Tylko rozbłyski ognia z licznych tłumików dawały świadectwo, że zwiadowcom Terentiewa przeciwstawia się całkiem spory oddział. Taran wybrał moment, zerwał się i błyskawicznym skokiem przeciął otwartą przestrzeń. Automaty zaterkotały jak szalone. Jak go dojrzeli w nieprzeniknionych ciemnościach? Używają noktowizorów? Taki sprzęt mają tylko weganie. No i Alians, wiadomo. Za tymi drugimi przemawiało też bliskie położenie stacji Aliansu. Za „ekologami” – chęć policzenia się z zuchwałym najemnikiem.

– No, Piegus, posuń się! – Przypadając obok, Taran bez ceregieli wyjął z kabury przy pasie chłopaka pistolet. – Nie bój nic, to dla sprawy. Niedługo wrócę.

Oburzony młodzik otwierał usta jak ryba, ale bez szemrania obserwował, jak najemnik biegle sprawdza magazynek.

– Po co otworzyliście ogień?

– Ale to oni zaczęli… – wymamrotał ochrypłym głosem.

– Jacy „oni”? Wiesz chociaż do kogo strzelasz?

Piegus tylko wzruszył ramionami.

– Skąd oni was biorą… Powiedz swoim ludziom, żeby się nie wychylali. Niech walą w sufit, na postrach.

– A?

– A ja zaraz będę. Jak usłyszysz gwizd, to przychodź ze swoimi. I bez bohaterstwa. To nie ten przypadek…

Po zakończeniu krótkiego błogosławieństwa Taran porzucił kryjówkę. Rozkład hali i przyległych pomieszczeń na dobre utkwił mu w głowie, jeszcze kiedy szukał oznaczeń Gleba. Teraz, korzystając z zamieszania, stalker bez przeszkód dostał się na tyły napastników. Terkot automatów ustał ledwie na sekundę, ale to wystarczyło, żeby rozróżnić przed sobą dźwięk ukradkowych kroków. Zdaje się, że nie tylko jemu przyszło do głowy zastosowanie manewru okrążającego…

Kiedy w drzwiach pojawiła się samotna postać z kałachem na ramieniu, najemnik pozwolił żołnierzowi przejść obok i bezszelestnie jak kot zeskoczył z nadproża, po czym znalazł się za jego plecami. Uruchomiły się odruchy. Ręką za gardło, drugą – mierzony cios w podstawę potylicy i na koniec – lekki kopniak pod kolana. Nieznajomy nie wydał żadnego dźwięku. Taran przytrzymał opadające ciało i odciągnął pechowego przeciwnika w kąt pomieszczenia. Krótkie oględziny ekwipunku nie pozostawiły wątpliwości – Alians Primorski. Jak nic odkryli zamurowane przejście obok Gostinki i postanowili zorientować się, co i jak…

W wyniku przeszukania najemnik wzbogacił się o granat błyskowo-hukowy, po czym ukradkiem ruszył dalej. Dudnienie wystrzałów służyło za świetny punkt orientacyjny i wkrótce stał już przyczajony w wąskim korytarzu za plecami napastników. Pozycje primorskich, okopanych przy przeciwległym wyjściu ze szwalni, zapowiadały wyczerpującą, przewlekłą walkę. Obie strony nie zamierzały przechodzić do aktywnych działań, odgryzając się oszczędnymi seriami.

„Taa…, dowodzi u nich chyba ten tu buhaj z naszywką Aliansu na kombinezonie”. Taran nieco się przesunął, studiując miejsce czekającego go starcia. W realizacji planu przeszkadzał jeden istotny szczegół – jeden z primorskich, osłaniając pozostałych z tyłu, rozlokował się za daleko od głównej grupy. Ryzyko nafaszerowania

ołowiem z jego AN-94 było zbyt duże. Jakby czytając w myślach najemnika, dowódca nagle się odwrócił, wściekle sygnalizując coś żołnierzowi przy wyjściu.

„Aha, zaniepokoił się… Postanowił posłać drugiego, żeby wzmocnić tyły. Tyle że to nic nie da". Najemnik chwycił wygodniej granat i przygotował się. Żołnierz skinął dowódcy, pochylił się i rzucił wprost w stronę kryjówki najemnika. W pół drogi potknął się, dostrzegając toczący się po podłodze granat, i w korytarz wpadł już nosem do przodu, niezgrabnie rozciągając się u samych stóp Tarana.

– Czołem.

Primorski podniósł głowę, przyglądając się pochylonemu nad nim stalkerowi z wygoloną głową i paskudną szramą na policzku. Potem przed oczami mignęła mu potężna pięść i obraz natychmiast zgasł.

– Granat! – krzyknął ktoś przenikliwie.

Najemnik zacisnął powieki i odwrócił się, oczekując eksplozji. Oślepiający błysk, zgodnie z oczekiwaniami, zdezorientował żołnierzy Aliansu. Mrużąc niewidzące oczy, bezradnie wodzili lufami automatów i zbyt późno zlokalizowali postać, która rzuciła się w ich kierunku. Co zaskakujące, napastnik nie spieszył się, by skorzystać z krótkiego zamętu. Pistolet w jego dłoni milczał. Wytrąciwszy broń z rąk najbliższego primorskiego, Taran podcinką zwalił z nóg drugiego. Automat w rękach nieporadnego żołnierza zaterkotał, wachlarz kul uderzył w sufit, nikogo na szczęście nie trafiając. Najemnik tymczasem starł się już z bykiem dowodzącym oddziałem. W momencie wybuchu ten akurat przeładowywał broń i dlatego nie był gotowy na nagły atak. Dowódca odrzucił nieprzydatny karabin, drapieżnie wyszczerzył zęby i instynktownym ruchem wyciągnął z cholewki buta szturmowy nóż.

Długie, proste ostrze, rzeźbiona rękojeść własnej roboty… Z tym nożem Szugaj zawsze czuł się znacznie bardziej komfortowo. Ale teraz broń, która nie raz wyręczyła go w licznych potyczkach z weganami, po raz pierwszy okazała się bezużytecznym kawałkiem metalu. Ani potężne gabaryty, ani wyszkolenie nie pomogły

przeciwstawić się wściekłemu natarciu zdesperowanego nieznajomego. Ostrze zamiast ciała bezsilnie przecięło powietrze i w następnej chwili nadgarstek przeszył mu ostry ból, a ziemia szybko usunęła się spod nóg. Po lądowaniu na czterech literach primorski wczepił się w rękę, żelaznym chwytem ściskającą za gardło, i sięgnął po upuszczony nóż. Nad uchem huknął mu wystrzał. Nóż zazgrzytał, zakręcił się jak bąk i poleciał w kąt. Jeszcze ciepła lufa pistoletu dotknęła jego skroni.

– Lufy w ziemię!

Taran zasłonił się tułowiem rozbrojonego dowódcy i uważnie obserwował żołnierzy. Ci spośród nich, którzy otrząsnęli się już z pierwszego szoku, mrużąc oślepione oczy, świdrowali go gniewnym wzrokiem przez celowniki karabinów. Pozostali zaciekle tarli oczy, powoli dochodząc do siebie.

– Słyszysz, Szugaj, powiedz swoim, żeby wyluzowali.

– Kim ty jesteś, twoja mać?! Skąd mnie…

– ŻYWO!

Pokonany byk niechętnie wydał komendę. Jeden za drugim primorscy opuścili automaty.

– Spokojnie, chłopaki… Spokojnie… Denaci nam przecież niepotrzebni, prawda? – Nie puszczając zakładnika, Taran przenikliwie gwizdnął.

Przez jakiś czas nic się nie działo, ale stalkerzy zaraz się ożywili, słysząc ostrożne kroki. Z głębi fabryki, podbiegając pod osłoną kolumn, zbliżali się zwiadowcy Miasta Targowego.

– Powiedziałem, chować karabiny! – ryknął najemnik, widząc nerwowe ruchy żołnierzy Aliansu. – Zresztą do was to się też odnosi! Strzelnicę sobie urządzili, snajperzy niedorobieni!

Piegus, który przybył na miejsce zdarzenia jako pierwszy, był chyba zadowolony z pokojowego rozwiązania sprawy i ochoczo rozłożył ręce na boki, demonstrując puste dłonie. Pozostali, idąc za przykładem dowódcy, przestali mierzyć do primorskich.

Obie strony patrzyły na siebie nieufnie, w napięciu porozumiewając się wzrokiem, ale więcej za broń nie łapały. Bojowy zapał wyraźnie przygasł. Wszyscy czekali na dalsze działania najemnika.

Zostawiwszy dowódcę primorskich w spokoju, stalker przełączył bezpiecznik, zmęczonym krokiem podszedł do Piegusa i włożył mu pistolet z powrotem do kabury.

– Taran? – odezwał się ze zdziwieniem byk po tym, jak stanął na nogi. – Po kiego diabła…

– A po kiego diabła walicie do siebie bez rozpoznania? – przerwał tamten. – Rozumiem jeszcze tego szczyla, czego tu się spodziewać… Ale ty, Szugaj, mądry facet, nie pierwszy rok wyłazisz na powierzchnię! Po jakiego wała, powiedz mi, wplątałeś się w tę awanturę?!

– Oni pierwsi zaczęli… – wycedził ten, wpatrując się w podłogę.

Najemnik skrzywił się. Dzieci… Jak Boga kocham, dzieci. Kiedy wreszcie na tym po trzykroć przeklętym świecie ludzie zajmą się czymś istotniejszym niż wyrzynanie się nawzajem?

– Pierwsi, drudzy… Mało wam mutantów, hę?! Nie dość wam jeszcze zabawy w wojenkę?! – Najemnik westchnął ze zmęczeniem i gestem przywołał Piegusa. – Chodź tutaj, komandosie. Poznajcie się. To jest Szugaj, dowódca oddziału Aliansu Primorskiego, to jest… Ej, młody, jak ci tam?

– Nightmare… – burknął chłopak i nagle błyskawicznie się zaczerwienił. – To znaczy Jura.

– Nightmaaare… – powtórzył mimowolnie Taran, dokonując tytanicznych wysiłków, żeby zachować poważną minę. – To z angielskiego „koszmar”, tak?

Piegus skinął głową, pąsowiejąc w oczach. Odstające uszy zrobiły się purpurowe. Jeszcze chwila i zapłoną… Co tu mówić, przezwisko młodzik wybrał ambitne. Nie na darmo stalkerskie zwyczaje zalecały przyjmować pseudonimy z cudzych ust…

– A więc, Szugaj, to jest Jura, dowódca oddziału Miasta Targowego, postrach metra i obrońca uciśnionych. – Najemnik nie

zdołał się powstrzymać od ironii. – A teraz wyjaśnij nam, niekumatym, jaka to osa cię użądliła? Co to za pretensje ma Alians do swoich najbliższych sąsiadów?

Byk, zachowując niezmąconą minę, wzruszył ramionami. Nie patrząc w oczy, niechętnie zadudnił basem:

– Tak generalnie, to żadnych pretensji. W Aliansie jest godzina policyjna, a tu wyłom w ściance… Ogłosili alarm, garnizon chodzi na rzęsach… Przerwanie linii obronnych to chyba nie żarty? Myśleliśmy, że weganie robią podkop albo marynarzyki się z gazem rozbijają. Skąd mieliśmy wiedzieć, że to był tylko wasz Jura… koszmar…

Piegus drgnął, ale rozsądnie puścił szyderstwo mimo uszu. Za to pozostali uśmiechnęli się, po obu stronach dały się słyszeć pojedyncze chichoty. Sytuacja sama się rozładowała.

– Wesoło wam, tak? – ciągnął Taran, kiedy ucichli. – O mało nie powybijali się wzajemnie, a teraz żarciki sobie stroimy… Cudownie!

Uśmiech nagle spełzł mu z twarzy. Kłujący wzrok prześlizgiwał się po ucichłych zwiadowcach. Żołnierze milczeli, niezgrabnie przestępując z nogi na nogę. Nikt nie chciał przerywać doświadczonemu stalkerowi. W gęstym od napięcia powietrzu ostry głos przejmował do szpiku kości.

– Dawaj, stuknij go! Macie przecież godzinę policyjną! No?

Szugaj milczał. Nie podnosząc wzroku, uniósł z ziemi nóż, wsunął go do pochwy.

– Ważniejszych zajęć już przypadkiem nie macie? Żadnych bandytów, żadnych potworów… Raj na ziemi! Tyle lat mieszkali po sąsiedzku, nie znali smutków! Handel rozwijali. Przyjazne stosunki. Ale starczyło przyjezdnym dziwakom rzucić oskarżenie i koniec! Nie ma już dyplomacji! Podejrzewacie wszystkich i każdego, granice żeście pozamykali, a teraz i gardła chcecie sobie nawzajem przegryzać? Co to jest? Boicie się o własną skórę, czy nie chcecie otworzyć oczu? Jaka, do jasnej cholery, bomba jądrowa? Co to za nonsens?! Skąd by się miała wziąć w metrze?! Może Alians miałby ją na swoich świńskich fermach wyhodować! – Najemnik spojrzał z

potępieniem na Szugaja, odwrócił się do Piegusa. – Albo wasze przekupki przez internet zamówią. Chociaż, ty pewnie nawet nie znasz tego słowa…

Taran machnął ze zmęczeniem ręką i powlókł się w głąb podziemi, zostawiając żołnierzy, by przemyśleli wzajemne oskarżenia. Najważniejsze udało się zrobić – uniknięto przelewu krwi. A co do pozostałych spraw, to się dogadają. Przecież to nie bandziory. Tak czy inaczej – stalkerzy…

Piegus patrzył w ślad za rozpływającą się w ciemności postacią. Cały czas nie mogły wyjść mu z głowy słowa weterana. Szorstkie, ale prawdziwe. Przelotna znajomość z tym najemnikiem-odludkiem po prostu nie mogła go pozostawić obojętnym. Niewzruszone prawdy, dotąd niebudzące wątpliwości, pokazały się w nowym świetle. Jak on powiedział? „Piegus”? A więc niech tak będzie… Chłopak jeszcze nie wiedział, że za parę lat na wzmiankę o śmiesznym przezwisku, które mimochodem nadał mu Taran, starzy wyjadacze będą z szacunkiem kiwać głowami, oddając hołd jednemu z najlepszych stalkerów Miasta Targowego.

* * *

Idylliczny obrazek: wciąż ten sam stół z desek, zakurzona szafa, ten sam brudny kubek z aromatyczną naturalną herbatą. Nawet Terentiew wciąż ten sam – niewyspany, z opuchniętymi powiekami i czerwonymi oczami. Déjà vu czy też kaprys losu, zmuszającego go, by na oślep chodził w kółko?

– Czyli nie weganie… – Terentiew podłubał w uchu w zadumie.

– Nie. Z początku też myślałem, że a nuż… Ale zieloni nie mają z tym nic wspólnego.

– Czyli co? Samoczynny wybuch? Nieostrożne obchodzenie się z bronią masowego rażenia? Innej wersji nie ma…

Podniósłszy wzrok, naczelnik Siennej zobaczył uważne spojrzenie Tarana.

– Czy jest?

W dusznej ciszy ledwie słyszalnie brzęczała pod sufitem zakopcona żarówka. Migoczące słabe światło działało przygnębiająco.

– Jak myślisz, skąd mamy prąd?

– To znaczy? – Terentiew zdziwił się. – Mazuty podciągnęli.

– A oni skąd mają? Tylko nie mów o agregatach. Pod Technolożką nie ma magazynów z olejem napędowym, możesz mi wierzyć.

Wiktor zmieszał się, z hałasem odstawił kubek na bok, rozlewając herbatę po stole.

– Posłuchaj, jeśli mówisz o tych bajeczkach o mitycznym schronie, to…

– Coś o tym wiesz? – przerwał najemnik.

– „Obiekt 30". Gromow od dawna tłukł mi te bzdury do uszu. Ostatnio wciąż zasięgał języka wszędzie, gdzie się tylko dało. Niewykluczone, że i zarazę złapał dlatego, że wszędzie wtykał ten swój ciekawski nos. Wieczne odpoczywanie… Spłonął nasz Pantelej.

– Niech no zgadnę. Czarny Sanitariusz? – Taran ożywił się.

Terentiew skinął głową. Pogrzebał w stercie papierów na stole i w końcu ze złością wszystkie odepchnął. Najemnik złapał w locie zsuwającą się ze stołu kartkę. Ironia losu sprawiła, że był to komunikat z lazaretu o ponadplanowym badaniu wszystkich mieszkańców Siennej. W oczy rzuciła się krzywo nabazgrana fraza: „…Chorych zakaźnie nie zarejestrowano…".

– W takim razie wszystko się zgadza. Ten byk z miotaczem ognia miał też wyrok na Kantemirowa, lekarza wojskowego z Placu Lenina. On też snuł rojenia o tajnym schronie.

– Myślisz, że dżuma to przykrywka? Wymysł dla utrzymania tajemnicy? – Naczelnik Siennej spochmurniał. Głębokie zmarszczki przecięły mu czoło. – Jeśli założyć, że schron rzeczywiście istnieje, to historia z wybuchem przyjmuje nowy obrót.

– Wyjaśnij.

– No, przypuśćmy, że „Obiekt 30" naprawdę jest gdzieś tam, w dole. – Wyga ożywił się, wskazując palcem w podłogę. – Żyją sobie, nie smucą się, po cichu handlują. Mutanty im mogą skoczyć, póki my

tu się w metrze rozbijamy. Teraz wyobraź sobie, że wszyscy zorganizowanym tłumem przesiedlamy się na Moszczny. Granica zostaje bez ochrony i bestie z powierzchni pchają się w stronę schronu. I sprawa się rypła… Jak przeszkodzić w exodusie na Moszczny?

– Nonsens!

– Dlaczego? Nie ma wyspy, nie ma problemu. Wychodzi nawet całkiem składna wersja.

– Nie jestem pewien. Jakimi trzeba być bydlakami, żeby…

– Żeby co? Przeżyć? – Wiktor pochylił się do przodu. – Zapomniałeś, co się wyprawia wokoło? Mogę ci przypomnieć. Codziennie umierają ludzie. Masowo! I zauważ, że większość z nich nie z głodu, promieniowania czy w paszczach mutantów, tylko w banalnych bójkach na noże! Ludzkie życie jest dziś warte mniej niż… ten kubek herbaty!

– Logiczniej już byłoby im samym przenieść się na wyspę.

– Ze statusem uchodźców? Od bohatera do zera? Nie rozśmieszaj mnie! Lepsze jest wrogiem dobrego.

Taran milczał, rozmyślając nad słowami przyjaciela. Narysowany przez Wygę obraz jakoś nie mieścił mu się w głowie. Chociaż, jeśli już szukać w Piterze terrorystów, to tylko w tym mitycznym Edenie… I jeśli Kantemirow nie nawciskał mu kitu, jedyną nitką, która mogła doprowadzić go do rozwiązania zagadki, chcąc nie chcąc, został…

– Gleb. – Stalker nie zauważył nawet, że wymówił imię na głos.

– Co „Gleb”?

– Jak dawno poszedł?

– Jeszcze rano. Wysłałem go razem z karawaną. Na Moskiewską.

Najemnik odsunął krzesło i zebrał się do drogi. Zauważył stojącego w kącie kałacha i zarzucił go na ramię.

– Wezmę giwerę, jeśli nie masz nic przeciwko. Zapisz na mój rachunek.

– Zaczekaj! Dokąd to uciekasz?

– Do schronu. Jeśli rzeczywiście istnieje, to go znajdę. A tego Sanitariusza dobrze byłoby przesłuchać. Jeśli się pojawi…

– No jasne. Zatrzymamy go i skrupulatnie wypytamy. Czas się wywiedzieć, co to za ziółko.

Najemnik zniknął za drzwiami, zostawiając Wygę sam na sam z domysłami, jednym mniej wiarygodnym od drugiego. Jednak nie udało się pogłówkować nad nowinami jak należy. Po pięciu minutach z nieśmiałym pukaniem na progu ukazał się szczupły mężczyzna w średnim wieku z księgą rachunkową w rękach – pomocnik Terentiewa wzięty na miejsce Panteleja Gromowa. W pracy był do niczego, ale przyswoił już sobie, że niepokoić groźnego naczelnika, podczas gdy przyjmował gościa, nijak mu się nie kalkulowało. I dlatego pilnie czekał na swoją kolej, ba, dał jeszcze szefowi czas uładzić myśli.

– Wiktorze Sawieljewiczu, mazuty dzwonili. Chcieli wiedzieć, dlaczego karawana się spóźnia.

– A spóźnia się?

– Awaria… – Wzruszył ramionami nowo upieczony administrator. – Dopiero teraz ruszyli.

– Ożeż w mordę! To tabor przez cały ten czas stał na stacji? Natychmiast odszukaj Tarana! Powiedz mu, że Gleb…

– Już go nie ma.

– Taboru czy Tarana?

– Chyba obu. Ale proszę się nie denerwować, Wiktorze Sawieljewiczu! Stalker się nie zgubi! Karawana przecież jedzie szybciej. Do Technolożki go dogoni.

* * *

Tym razem omdlenie wciąż nie przychodziło. Złapały go straszne skurcze w mięśniach, tak że nie dało się nawet złapać tchu. Zamiast krzyku z gardła wyrywało mu się ledwo słyszalne chrypienie. Przed oczami majaczył mu kawałek szyny, ledwie widoczny w gęstym mroku – latarka stłukła się przy upadku. Ale oto na bladej

powierzchni metalu zamigotało światło dalekiego reflektora. Stukot kół na łączeniach szyn i niespieszne turkotanie silnika bezbłędnie wskazywało na zbliżającą się motodrezynę.

Dobrze chociaż, że udało mu się w porę schronić w bocznym korytarzu, który tak szczęśliwie się trafił. Nie miał ochoty walać się bezbronny na środku przejazdu. Zaciskając zęby z bólu, Taran kątem oka wciąż obserwował skrzyżowanie.

Jeszcze chwila i skład zrównał się z rozwidleniem. Smuga światła reflektora odbiła się od bielejącej w ciemności tabliczki z kątem nachylenia, na krótką chwilę oświetlając twarze pasażerów. Gleb! A obok niego widocznie ta sama dziewczynka z Edenu. Twarz wygląda znajomo… Czy to nie ona wtedy na Siennej omal nie straciła torebki? Jeszcze dziękowała za pomoc. Świat jest naprawdę mały…

Drezyna przemknęła obok i tunel znów pogrążył się w mroku. Zebrać siły, dać znak, jakoś zwrócić ich uwagę! Nie udało się. Słaby ni to jęk, ni to krzyk zaginął w bezdennej gardzieli zmurszałego tunelu.

Dziś już drugi raz przecięły się jego i Gleba drogi. Przecięły po to, by znów się rozejść. Co to? Fatalny pech? Intrygi siły wyższej? Czy przeciwnie, szczęśliwy zbieg okoliczności? Kolejka podziemna, chytra, kłótliwa starucha, sprzyja zdecydowanym. Wystarczy zwątpić we własne siły – od razu to wyczuje i zrobi ci jakieś świństwo. A więc nie wolno się martwić. Więc jeszcze nie czas. Nie czas…

Stalker bezsilnie opuścił głowę na chłodny beton i stracił przytomność.

Rozdział 17: DROGA DONIKĄD

„A żeby was wszystkich, fanatycy chromoleni!” Wstawać z wygodnej, zasłanej ciepłymi skórami dzików pryczy, strasznie się nie chciało. A co tam wstawać… Już rozklejenie powiek było prawdziwym wyczynem. Jednak natrętne pukanie do drzwi nie ustawało, wbijało się w mózg, dręczyło świadomość balansującą na granicy snu i jawy.

Pachom przemógł się, zwlókł z łóżka, wziął łyk stęchłej wody z bidonu i pokuśtykał do wyjścia. Nie doczekawszy się odpowiedzi, ktoś na zewnątrz załomotał jeszcze wściekliej. Krucha ściana z desek zatrzęsła się od uderzeń. Jeszcze trochę i chałupę mu rozwalą…

– Bo ci zaraz tak w pałę zastukam!

Handlarz, już w pełnej krasie, podstawił swoją wielką pięść dokładnie naprzeciw bezczelnej jaśniekomunistycznej mordy, ale za progiem nie stał wcale nadzorca czerwonych, którzy obrzydli mu już przez niekończące się wizyty w składzie broni, lecz najemnik Taran we własnej osobie. Ponury, zmęczony, z wychudłą twarzą.

– Kiepsko wyglądasz – rzucił Pachom zamiast powitania, przepuszczając przyjaciela do środka.

– I kto to mówi! Sam wyglądasz jak cień. Co żeś wczoraj świętował?

– A tak… – Rusznikarz machnął ręką. – Po prostu żeby się odstresować. Szkoda, że wcześniej nie wpadłeś. We dwóch zawsze weselej…

– Gleb przypadkiem nie zachodził?

Pachom przecząco potrząsnął głową i znów przyssał się do bańki, głośno przełykając. Złapał oddech. Otarł usta rękawem, klapnął na ulubioną pryczę i wreszcie zwrócił uwagę na gościa.

– A po co ty właściwie przyszedłeś? Masz sprawę, czy chcesz językiem pomielić? Tamten doktorek mówił, że pokisisz się w szpitalu co najmniej tydzień. Czy może coś się stało?

– Stało się…

Opowieść była niejasna i poplątana – stalker zbytnio spieszył się, by kontynuować poszukiwania. Pachom nie przerywał, nie zadawał pytań. Czasem tylko marszczył czoło i z żalem spoglądał na opróżnioną butelkę po alkoholu. Po zrelacjonowaniu starcia z Czarnym Sanitariuszem, historii Władlena i tajemniczego „Obiektu 30" Taran w końcu umilkł i popatrzył wyczekująco na przyjaciela.

Rusznikarz nie spieszył się z odpowiedzią. Czy to nie mógł uwierzyć w historię o schronie, czy też po prostu zastanawiał się, jak najłagodniej skomentować te niewiarygodne bajania. Kiedy w końcu przemówił, stalkerowi przez ułamek sekundy wydało się, że w głosie potężnego handlarza przebijały nutki strachu, oczy mu się rozbiegały, a w głosie brzmiała niepewność.

– Powiem ci tak: zostaw tę mętną sprawę. Jeśli obiekt naprawdę istnieje i ci goście to takie kozaki, że dali radę zrobić marmoladę z całej wyspy, to igranie z nimi nie jest najlepszym pomysłem. Połkną cię bez popitki. – Rusznikarz zerwał się na nogi i zaczął odmierzać krokami ciasną przestrzeń szopy. – Przypuśćmy, że Czarny Sanitariusz rzeczywiście sprząta tych, którzy wywęszyli coś o tym schronie. Ale w takim razie muszą być też tacy, którzy mu te informacje przekazują! A to znaczy, że mają całe metro na podsłuchu.

– Wiesz przecież, że to mnie nie przeraża. Jeśli są winni wybuchu, to spod ziemi ich wyciągnę. Tym bardziej że wejście jest gdzieś niedaleko, w sztolniach Czerwonego Szlaku.

– Skąd ten pomysł? Nic tam nie ma oprócz łajna niewolników i wód gruntowych!

– Gdyby tak było, Gleb dawno już by u ciebie siedział i popijał herbatkę. – Najemnik sposępniał jak chmura burzowa. – On dokopał się do czegoś, ja to czuję.

– Czujesz… Jeśli Eden jest gdzieś pod nami – Pachom pochylił się naprzód, konspiracyjnie zniżając głos – to kto wie, do czego są zdolni jego mieszkańcy, żeby zachować tajemnicę… Nie boisz się o dzieciaka? Ogryzki już próbowali go porwać. I coś mi się zdaje, że nie z własnej woli…

O takim wariancie Taran jakoś nie pomyślał. W świetle ostatnich wydarzeń wyjaśnienia Indianina, który zawsze dotąd okazywał życzliwość, rzeczywiście wyglądały na naiwne łgarstwo. Dopiero teraz, analizując w myślach to, co usłyszał, stalker zwrócił nagle uwagę na pewien ciekawy szczegół, który mógł wiele wyjaśnić.

– Teraz nurtuje mnie nie tyle sprawa ogryzków, co fakt, jak dobrze jesteś zorientowany. Co wiesz o „Obiekcie 30”? – zapytał Taran, spoglądając badawczo rusznikarzowi w oczy.

– Skąd pomysł, że…

– Nie wygłupiaj się, Pachom. Nie mówiłem ci, że nazywają swój schron Edenem. Wysypałeś się i nie ma co się teraz wykręcać.

Wyrażając całym sobą skrajne oburzenie, rusznikarz otworzył już usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyślił się i przestał bronić. Zamiast tego oparł się ze zmęczeniem o ścianę z desek, jakby pozbył się wielkiego ciężaru.

– Próbuję tylko odradzić ci fałszywy krok. – Pachom odezwał się przymilnie. – Tak, jestem zorientowany w sprawie Edenu. Myślisz, że można żyć w dostatku, handlując zardzewiałym żelastwem?

– Nie odbiegaj od tematu, Pachom. Mów, co wiesz. To oni wysadzili wyspę?

– A skąd mam wiedzieć? Może i oni… Posłuchaj, opowiem ci tę odrobinę, o której sam mam pojęcie. I weź to pod uwagę, stalkerze: pomimo naszych przyjacielskich stosunków ni chu chu byś ode mnie nie usłyszał, gdyby nie Gleb. Dzieciak nie zdaje sobie sprawy, w jakie tarapaty się wpakował! Trzeba go natychmiast wyciągnąć, póki nie dotarł do obiektu. Potem będzie za późno. – Rusznikarz zerknął z troską na zegarek. – Tylko najpierw trzeba zrobić jedną ważną rzecz…

* * *

Wracając tunelem w stronę Zwiozdnej, stalker wciąż nie mógł dojść do siebie po zwierzeniach przyjaciela. Pachom jawił się teraz w zupełnie innym świetle. Nie był takim prostakiem, na jakiego zawsze starał się wyglądać. Co go łączy z Edenem? Dlaczego tak długo ukrywał ważną informację przed starym znajomym? Tego wszystkiego należało się niebawem dowiedzieć. Ale teraz koniecznie trzeba było uśpić czujność niewidocznych obserwatorów ze schronu. Według słów Pachoma gdzieś tutaj, przy podszybiu zamontowano ukrytą kamerę. Jeśli ci dranie będą przekonani, że Taran opuścił chodnik, zwiększą się szanse, by skrycie podejść do Edenu. Tak przynajmniej uważał rusznikarz. Cóż, całkiem logiczne, biorąc pod uwagę fakt, że mieszkańcy schronu najprawdopodobniej wiedzą o misji najemnika i poszukiwaniach sprawców wybuchu.

Stalker ostatecznie nie zauważył żadnej aparatury na drewnianym suficie ręcznie wykopanego tunelu, natomiast boczny korytarzyk prowadzący do okrężnego chodnika był na miejscu, tak jak obiecał Pachom. Przekradłszy się wąskim wyjściem, znów znalazł się w głównym korytarzu Czerwonego Szlaku i od razu poczuł woń spalenizny. Zza zakrętu przez zasłonę dymu przebijały się błyski szalejących płomieni. Stalker naciągnął maskę przeciwgazową, wbiegł do kawerny i instynktownie podniósł ręce, osłaniając się przed nieznośnym żarem. Płonęła dyżurka czerwonych.

Z objętej ogniem szopy wytoczył się z krzykiem półnagi człowiek. Najwidoczniej pożar zaskoczył biedaka we śnie. Taran podbiegł, przewrócił pechowego stróża na ziemię i zdusił mu języczki ognia na plecach.

– Ktoś jeszcze jest w środku?

Blady z przerażenia chłopak pokręcił przecząco głową. Stalker przeniósł wzrok na budyneczek, starając się dojrzeć wśród dymu sylwetkę Pachoma. Gdzie on jest? Co tu się właściwie stało? Połowy stróżówki, którą zamieszkiwał rusznikarz, nie dało się już dojrzeć zza

ściany ryczących płomieni. To przecież niemożliwe, by został w środku?! Osłaniając się przed ogniem, stalker obszedł chatkę w nadziei, że znajdzie przyjaciela całego i zdrowego przy wejściu do magazynu broni. Wreszcie mignął przed nim ledwie widoczny cień.

– Pachom, to ja! Niech cię trepan pożre, co tu się dzieje?

Zamiast odpowiedzi masywna postać odwróciła się w stronę najemnika. W ręce mignęła do bólu znajoma dysza miotacza płomieni.

„A żeby cię! Znów ten typ w zbroi! Ale kiedy zdążył tu przybiec?”

Taran wcisnął się w szczelinę między żebrami tunelu i skrył głowę pod kołnierzem kurtki. Fala ognia z dużą prędkością przewaliła się przez kawernę, osmaliła sklepienie tunelu i równie szybko opadła, zostawiając za sobą dymiącą spaloną ziemię.

„Pudło, gnido!” Automat w dłoniach Tarana zatrząsł się, wypluwając serię śmiercionośnych kawałków ołowiu. Sanitariusz drgnął, kiedy kule zabębniły w pancerz, i schodząc z linii strzału, znów podniósł miotacz ognia. Ale zamiast nowego ognistego strumienia z dyszy wyleciała chmurka dymu. Wyglądało na to, że skończył się gaz w butlach.

– A teraz ty będziesz tańczył, bydlaku!

Stalker wyskoczył z kryjówki, wycelował i płynnie nacisnął na spust. Jedna za drugą kule trafiały w cel. Hełm nieznajomego dzwonił od trafień.

– Co, ścierwo, podoba ci się?! Dokąd to, hę?!

Gigant zachwiał się, odwrócił niezgrabnie i uciekł w mrok tunelu.

– Pachom! – Najemnik podbiegł do chałupki, lecz palący żar zatrzymał go na progu. – Pachom!!!

Na próżno… Chałupa, prawdopodobnie drewniana, spłonęła jak sterta szczap. Przeżyć w tym piekle nie byłby w stanie nawet taki siłacz jak rusznikarz. Konstrukcja zapadła się z okropnym trzaskiem, nie pozostawiając najmniejszej nadziei na ocalenie.

Drogocenne sekundy zeszły na odszukanie wśród dymu wyjścia do tunelu, ściągnięcie lepkiej od potu maski przeciwgazowej i

przeładowanie karabinu.

– Koniec – powiedział Taran, wkładając świeży magazynek. – Gierki się skończyły, robokopie pieprzony…

Stalker nasunął czołówkę i pobiegł truchtem Czerwonym Szlakiem. Brzęk zbroi świetnie ułatwiał orientację. Znienawidzony morderca z miotaczem biegł gdzieś z przodu, chociaż nijak nie dało się dojrzeć go w świetle z rzadka rozmieszczonych kaganków. Stalker przyspieszył, zarzucając automat na plecy. Jednak, pomimo ciężaru zbroi, Czarny Sanitariusz był nieprzeciętnie żwawy i sądząc z cichnących gdzieś w oddali odgłosów ciężkich kroków, z każdą chwilą zwiększał dystans.

Jak na złość, Taran poczuł nieznośny ból w kontuzjowanych żebrach. W oczach ćmiło mu się od napięcia, z każdym krokiem trudniej mu było oddychać – dawał się odczuć potworny brak snu. Jedna rzecz uspokajała: Czerwony Szlak nie ciągnie się w nieskończoność, a to znaczy, że uciekinier nie ma się gdzie podziać. Szukanie pozostawionych przez Gleba znaków nie miało już sensu. Stało się jasne – wystarczy przycisnąć nieludzkiego podpalacza do ściany, przedyskutować sprawę w cztery oczy i problemy same się rozwiążą. A razem z Edenem znajdzie się i Gleb.

Rozmyślając, Taran omal nie wpadł na wielką betonową rurę, która niespodziewanie pojawiła się na drodze, wynurzając się z ciemności. Zatrzymał się i wytężył słuch. Kroków Sanitariusza nie było już słychać, za to z wyrwy w kolistych segmentach konstrukcji dobiegł znajomy metaliczny brzęk. Stalker podciągnął bliżej automat i ukradkiem zajrzał w dziurę. Parę metrów wyżej mignęły podkute żelazem buty uciekiniera. Ogłuszająco zaterkotał kałach, odłupując okruchy betonu ze ścian studni, ale znów na próżno – nieznajomy opuścił szyb bez szwanku.

Stalker rozejrzał się w poszukiwaniu drabinki lub chociaż jakichś występów w murze, ale wzrok niezmiennie natrafiał na gładką powierzchnię. W poszukiwaniu wyjścia Taran gorączkowo analizował

warianty. Każda minuta zwłoki groziła śmiercią syna. Przecież jeśli Sanitariusz natknie się na Gleba po drodze do Edenu, to…

Lepiej o tym nie myśleć. Najemnik podniósł automat i wystrzelił krótką serię w styk pierścieni na przeciwległej ścianie studni. Nadgryziony zębem czasu beton łatwo się skruszył, w monolicie konstrukcji utworzył się płytki stopień. Kolejna seria i nowe wgłębienie pojawiło się przy następnym styku, nieco wyżej od poprzedniego.

Na strzelanie w powierzchnię szybu trzeba było zużyć praktycznie cały zapas amunicji. Za to teraz pojawiła się może i złudna, ale jednak szansa, by wgramolić się po zaimprowizowanej drabinie.

Rozum krzyczał, ostrzegając przed niebezpieczeństwem, ale strach o syna nieustannie gnał go naprzód. Taran odrzucił wątpliwości, po czym zrobił wydech i wskoczył w wyrwę. Podziurawiona ściana podążyła mu na spotkanie, ciało uderzyło o beton, palce wczepiły się w krawędź rozbitego przez kule spojenia, a nogi zaskrobały o ścianę w poszukiwaniu podpory. Stalker z trudem się utrzymał i mimowolnie popatrzył w dół. Powierzchnia wody gdzieś tam, jakieś dziesięć metrów niżej, pokryła się zmarszczkami od osypujących się odłamków. Wysoko, niech to cholera…

Czy to strach przed wpadnięciem w bezdenną przepaść dodał mu sił, czy też uruchomiły się wewnętrzne rezerwy organizmu, ale ryzykowna wspinaczka zakończyła się jednak sukcesem. Po wgramoleniu się na górny stopień, najemnik odepchnął się ze wszystkich sił i ponownie przeciął wnętrze studni, zwinnie niczym kot odwracając się w locie.

Jeszcze jedno uderzenie… Ostre ukłucie bólu w żebrach wycisnęło mu łzy z oczu. Taran zacisnął zęby i przemagając słabość, jednym rzutem wciągnął ciało w ujście rury spustowej. Rozejrzał się. Przed nim widniał kawałek prostokątnej skrzynki – najprawdopodobniej był w kolektorze przewodowym. Przy krawędzi rury walała się zwinięta w kłąb drabinka sznurowa, przywiązana za jeden koniec do

wystającego pręta zbrojeniowego. Teraz wiadomo, jak ta swołocz potrafiła się tu dostać…

Nagle gdzieś tam, w ciemności kolektora, dał się słyszeć szmer. Ręka odruchowo sięgnęła po kałacha, ale z mroku, uprzedzając stalkera, wyturlał się granat. Czas zwolnił. Obraz, przerażająco realny i niezwykle wyraźny, jakby ktoś nagle poprawił ostrość, wypalił mu się w zwojach mózgowych i długo jeszcze miał powracać w koszmarach. Połyskując graniastymi bokami, „limonka" podskakiwała po betonowym rowku i zakręciła się jak bąk tuż pod nosem Tarana.

Czas nagle przyspieszył. Ile minęło? Sekunda? Więcej? Instynkt samozachowawczy rzucił ciało do tyłu, w czeluść studni. Z gardła mimowolnie wyrwał mu się krzyk. Przez moment ogarnęło go wrażenie nieważkości, w krtani uwięzła mu gula. Ostre szarpnięcie odezwało się atakiem bólu w stawach. Dopiero teraz stalker zdał sobie sprawę, że ręce ma na amen wczepione w poprzeczkę drabinki linowej. Siłą inercji wpadł w dziurę w ścianie. Taran poturlał się po ziemi i osłonił głowę rękami. Gdzieś na górze ogłuszająco wybuchł granat.

Z wyłomu poleciał duszący dym zmieszany z chmurą pyłu. Drewniane szalunki zatrzeszczały, nie zapowiadając niczego dobrego. Głuchy łoskot, który zaczął być słyszalny od razu po wybuchu, narastał z każdą chwilą. Czyżby zawał? Uciekać! Natychmiast! Rozum krzyczał, ostrzegając przed niebezpieczeństwem, ale nogi wciąż bezradnie ślizgały się w grząskiej glinie, a ręce rozjeżdżały. O grzbiet zabębniły mu grudki ziemi, przed oczami mignął kawałek belki sufitowej. Przeciągły huk, od którego krew stygła w żyłach i drętwiał rozum, wypełnił sobą przestrzeń wokół. Tunel zadrżał w agonii i po chwili ciężar nie do udźwignięcia przygwoździł ciało do ziemi, wypychając powietrze z płuc. Jeszcze nie zdążył spanikować, kiedy w tył głowy uderzyło go coś twardego, pogrążając świadomość w ciemności.

* * *

A jednak jest pewien ukryty sens w tym maniakalnym uporze, z którym człowiek chwyta się życia. Takie masochistyczne pragnienie przedłużenia agonii, gdy balansuje się między dwoma światami, pozagrobowym i ziemskim, dążenie do tego, by wykaraskać się z tamtego świata w absolutnie beznadziejnych sytuacjach, kiedy szanse na ocalenie są nędznie małe, a częściej zwyczajnie ich nie ma. Zwyczajowo uważa się, że w takich chwilach przed oczami przelatują najbardziej wyraziste wspomnienia, ale tak naprawdę głowę wypełnia lepki, paraliżujący rozum strach. Strach przed śmiercią. Myśl o rychłym zgonie wypycha z mózgu wszystko inne, a pozbawiony kontroli organizm, reagując na gwałtowny wyrzut adrenaliny, zdradziecko opróżnia jelita.

Po ugrzęźnięciu w absolutnej nicości, utracie sygnałów dźwiękowych, wzrokowych i dotykowych, świadomość się zbuntowała. Ciało z uwięzionymi rękami i nogami zaczęło się miotać w mimowolnych konwulsjach. Usta otwarły się w niemym krzyku, po podbródku popłynęło coś lepkiego. Krew?

Taran wytrzeszczył oczy i spróbował zrobić wdech. Z trudem, ale jednak się udało. Płonące ogniem płuca zatrzepotały, otrzymując porcję ożywczego tlenu. „Jak to? Bańka powietrzna? Skąd? Ach tak! Było uderzenie…" Być może kawałek deski albo jeszcze jakieś inne budowlane rupiecie skutecznie przykryły mu głowę, dając niezwykłą szansę rozkoszowania się powolną śmiercią przez uduszenie z pełnym czuciem męczarni ciała w agonii. W ciągu tych wielu lat nie raz miał okazję otrzeć się o śmierć, ale nawet w najgorszych snach nie miała ona tak idiotycznego oblicza.

Pogrzebany żywcem… Pod warstwą piasku, gliny i kamieni. Zamurowany dziesiątki metrów pod powierzchnią. Bez prawa wyboru. Bez przebaczenia. Sam na sam z własną bezsilnością i dręczącym, aż do zgrzytania zębami, strachem.

Chrup… chrup…

„Zgrzytanie? Raczej nie. – Usta najemnika pozostawały otwarte, chciwie chwytając resztki ciężkiego, gorącego powietrza. – A więc co

to? Dźwięk z zewnątrz? Czy otumaniony przez przerażenie rozum ostatecznie traci kontakt z rzeczywistością?”

Chrup… Chrup…

„A jeśli gdzieś obok przepycha się, przebijając do bezbronnej ofiary, tunelowy robak? Albo żuki grabarze ryją ziemię swoimi żuwaczkami po tym, jak wyczuły zapach krwi przez warstwę gruntu?”

Taran drgnął, zaskoczony, gdy coś ostrego dotknęło jego ramienia. Ukłucie… Jeszcze jedno… Potem znów ten sam dziwny dźwięk, jakby rozpruwał się zetlały materiał.

Chrup… Chrup… Chrup…

Na moment zapanowała cisza, potem nad głową coś zatrzeszczało i jego oczy poraziło światło pochodni. Czyjeś chwytne ręce niedbale przewróciły stalkera na plecy, obmacały kieszenie kamizelki. Taran mrugnął kilka razy i odwrócił głowę.

– A jednak! Żyjesz czy jak?

Stalker spróbował odpowiedzieć, ale zamiast słów z gardła wyrwało mu się słabe rzężenie. Niewidoczny wybawca z pochodnią w ręce pochylił się nad najemnikiem. W oczach w końcu przestało mu się dwoić i Taran z jakimś nienaturalnym, wprost codziennym spokojem uświadomił sobie, że patrzy na samego siebie. Może tak właśnie dusza wychodzi z ciała? Czy po prostu nawala mu uszkodzony mózg?

Najemnik wytężył wzrok, mrużąc łzawiące oczy. Teraz pozorne podobieństwo szybko znikało. Pocięta szramami, żylasta twarz, ostre rysy, krzywy uśmiech z nutką zjadliwości, kwadratowy, porośnięty szczeciną podbródek… Brakowało dwóch przednich zębów, co tylko dodawało wybawcy uroku, nadając mu w pewien sposób dziarski, bezczelny wygląd.

– Ty to nijak nie z naszych, co, bracie? – Nieznajomy demonstracyjnie przesunął ręką po swojej gładko wygolonej głowie.

– Waszych? – Taran nie zrozumiał, marszcząc czoło.

Nie doczekawszy się w końcu wyraźnej odpowiedzi, wybawca przerzucił się na stalkerski plecak.

– Bracie, słuchaj… a nie znalazłoby się u ciebie coś do żarcia?

– Poszukaj w plecaku – słabo skinął głową najemnik, krzywiąc się z bólu.

Wybawca niemal wsadził całą głowę do plecaka i z triumfalnym okrzykiem wyciągnął kawałek suszonego mięsa. Popatrzył na Tarana.

– Częstuj się. – Ten oficjalnie zezwolił.

Podziemna etykieta… Nawet najbardziej głodny człowiek nie weźmie cudzego jedzenia bez pozwolenia. Tunel wypełnił się chrzęstem i skupionym mlaskaniem.

Dopiero teraz stalker zauważył na nogach nieznajomego kajdany. „Niewolnik? No tak. A kogo innego można spotkać tutaj, w kopalniach Czerwonego Szlaku?”

Metodycznie pracując szczękami, facet nagle się zakrztusił i zaniósł głębokim kaszlem. Taran podniósł się na sztywnych nogach, pokuśtykał w stronę swojego wybawcy, zamierzając walnąć go w plecy, ale ten podniósł rękę w ostrzegawczym geście.

– Nie trzeba – rzucił, chrypiąc z wysiłkiem. – Zaraz przejdzie.

– Wilgoć?

– Gdyby tylko… – Facet uśmiechnął się krzywo. – Złapałem dawkę radiacji. Choroba popromienna.

Taran zerknął na rozmówcę. W oczy rzuciła mu się niezdrowa bladość skóry i lekkie drżenie koniuszków palców.

– Gdzie ci się to udało?

Nieznajomy przestał żuć i skrzywił się, niejasno machając ręką.

– Długa historia… Za to teraz łba nie trzeba golić, włosy nie rosną. Tak to już jest, bracie.

Niezbyt wesoła historia, jak się zdaje. Kim jest ten umierający człowiek? Byłym najemnikiem? Schwytanym na gorącym uczynku złodziejem? Raczej nie. I jednych, i drugich Taran wietrzył z daleka.

Ratownika zajmowała chyba ta sama kwestia.

– Jesteś diggerem? No, stalkerem, tak?

Taran skinął głową.

– Ty w takim razie…

– Trudności wychowawcze.

– W sensie?

– Dosłownym. – Nieznajomy uśmiechnął się. – Tak o nas mówią tutejsi komuniści. Niewolnictwo, bracie, nie najlepiej się łączy z marksistowsko-leninowską… i tak dalej. No więc wykręcają się, jak tylko mogą.

– A to po co? – Najemnik wskazał głową na kajdany.

– Pewnie dla ozdoby… Mówię przecież, trudności wychowawcze. I to jeszcze jakie. Dwie ucieczki. Obie nieudane. Przez tę studnię. – Niewolnik wskazał na osuwisko. – Też chciałem spróbować. Dobrze, że w porę się rozmyśliłem. Jak to się mówi, urodzony żeby pełzać… lata Aerofłotem. A z uwzględnieniem wysokości, potrzeba by tu było, kurna, co najmniej Lufthansy.

Najemnik obrzucił wzrokiem miejsce zdarzenia. Skala zniszczeń okazała się tak duża, że o dalszym pościgu za Sanitariuszem można było śmiało zapomnieć: sufit tunelu osiadł prawie na metr, a ziemne osuwisko całkowicie zablokowało podejście do studni. Najprawdopodobniej sama betonowa konstrukcja też ucierpiała na skutek wybuchu.

– Nie wiesz może, gdzie mniej więcej jesteśmy?

– Plan masz?

Stalker wyciągnął wytarty mapnik. Więzień długo wodził palcem po różnobarwnych liniach, pozostawiając na starym arkuszu wgniecenia brudnym paznokciem, i w końcu wskazał na sam skraj.

– Gdzieś tutaj. Mniej więcej, naturalnie… Jeśli zamierzałeś wyleźć na zewnątrz przez studnię, to od razu powiem, kiepski pomysł. Wszędzie wokół bagna. Nie da się wyjść. No i w ogóle ni cholery nie ma tam nic sensownego, tylko obserwatorium. Ale stąd do Wzgórz Pułkowskich są ze dwa kilometry trzęsawisk. Porażka…

– Obserwatorium? – Taran ożywił się.

„A to już bardziej konkretna informacja. Kanał przewodowy prowadzi na południowy zachód. Bardzo możliwe, że właśnie tam… Rozmach kompleksu naukowego i poziom zużycia energii jak

najbardziej mogły wymagać dociągnięcia niezależnej linii energetycznej”.

Zerknąwszy ostatni raz na plan, stalker pozbył się wątpliwości. W jego głowie dojrzał nowy plan działania.

Wrócił do osuwiska, wydobył z niego upuszczony automat, strząsnął ziemię i popatrzył uważnie na więźnia.

– Jestem teraz tak jakby twoim dłużnikiem?

– Formalnie tak. – Niewolnik podrapał się w głowę. – Ale ty się, bracie, nie łudź. Poszedłem do osuwiska szukać łupów. Skąd miałem wiedzieć, że jesteś żywotny jak pryszcz na tyłku?

– Cóż. – Taran odciągnął zamek. – Nie lubię mieć długów.

Zaterkotał automat. Nieznajomy drgnął, ale chwilę później już gapił się z zakłopotaniem na łańcuch z przestrzeloną kłódką pod nogami.

– Nie rozumiem…

– Czego tu nie rozumieć? Jesteś wolny, przyjacielu. Przez posterunki cię przeprowadzę, a dalej to już jakoś sam…

Więzień roześmiał się.

– Niezły z ciebie żartowniś, stalkerze!

– Do głowy mi nie przyszło żartować.

Niewolnik umilkł, twarz mu się wyciągnęła. Dopiero kiedy Taran zaczął iść, grzęznąc w gliniastym podłożu tunelu, pospieszył za nim, wciąż jeszcze nie wierząc w cud, który się właśnie zdarzył.

– Oszaleć z tobą można, brachu! Możesz to uznać za wyznanie nieodwzajemnionej miłości!

W kawernie ze szkieletem dogasającej stróżówki musieli się zatrzymać. Przybyli na miejsce czerwoni tłoczyli się bezładnie wokół pogorzeliska i przesłuchiwali ocalałego dozorcę. Chłopak był tak przerażony, że nie potrafił powiedzieć niczego sensownego. Trzeba było się wtrącić i napleść bzdur o samozapłonie w składzie z bronią. Domagającego się szczegółów komisarza całkowicie zadowoliła ta wersja i dlatego momentalnie zmienił temat, zwracając się do najemnika.

– Z inspekcją, jak rozumiem? Już się nie spodziewaliśmy. Idźcie na stację. Zostanie wam wyznaczony przewodnik, który pokaże…

– Nie ma potrzeby – przerwał Taran. – Widziałem już wszystko, co chciałem.

– A ty co się gapisz? – ryknął komisarz na więźnia. – Poszedł mi stąd…

– Ten element antyspołeczny jest podejrzany o przygotowanie eksplozji – przerwał mu stalker niecierpiącym sprzeciwu tonem. – Zabieram go do wyjaśnienia.

Niewolnik dyskretnie brzęknął łańcuchami.

– Tak! I zdejmijcie z niego to żelastwo.

Komisarz, opasłe chłopisko z ogromnym brzuchem i śmiesznymi wąsikami à la Poirot, sposępniał niczym chmura gradowa, jednak sprzeciwiać się najemnikowi nie było mu spieszno. Sądząc po wyrazie twarzy, męczył się potwornie, kalkulując warianty. Następnie, decydując się w końcu nie prowokować oficjalnego śledczego, wydał zgodę. Koniec końców jednego mniej, jednego więcej… Nikt nawet nie zauważy.

Całą drogę powrotną, aż do samej Zwiozdnej, nowo nabyty towarzysz podróży oglądał własne nogi, jakby widział je po raz pierwszy.

– A to paradoks! Kajdany zdjęte, to teraz kulasy mi się plączą! I o żarcie też się trzeba zatroszczyć… Potem o ubranie… Z wolnością, bracie, jest jak z kobietą: najpierw zachwyt posiadania, potem niekończący się ból głowy. A ty nie masz przypadkiem nic więcej na ząb?

Interesujący typ, nie ma co… A co najciekawsze, wygląda tak, że nie zgadniesz, ile ma lat, choćbyś nie wiem jak się starał. Człowiek poza czasem. Jeszcze tam, przy osuwisku, Taran zauważył na ramieniu więźnia tatuaż, ale nie zdążył mu się przyjrzeć. Może zapytać? Ale przed nimi pokazał się już posterunek graniczny Zwiozdnej. Zanim powykłócał się ze strażnikami, wyrobił dokumenty…

A potem nie było już czasu na pytania. Na torze odstawczym między Zwiozdną i Moskiewską były niewolnik poszedł swoją drogą, tunelem, w którym przed Katastrofą był zainstalowany system przeciwpożarowy. Teraz zaś w tym zapadłym zakątku beztrosko urządzono warsztaty rzemieślnicze. Może nieznajomy postanowił zacząć nowe życie od tej „spokojnej przystani”? Czy po prostu nie chciał obarczać stalkera swoim towarzystwem?

Spoglądając w ślad za oddalającą się figurką w podniszczonym górniczym kombinezonie, Taran nagle zorientował się, że nie zapytał nawet swojego wybawcę, jak ma na imię.

– Poczekaj, cholera! Jak ty się w końcu nazywasz?

– Andriej – rzucił ten, odwróciwszy się. – **Hasta siempre**, **comandante**. Do zobaczenia w wieczności, bracie.

Rozdział 18: PRZEPRAWA

Po zakończeniu porannego obchodu Pałycz dobrnął do gabinetu, z ulgą zatrzasnął drzwi i pozwolił sobie wreszcie, by starczo się przygarbić. Łamało go w plecach ze zmęczenia, a utrudzone nogi ledwie wytrzymywały. Kto by pomyślał, że w tak podeszłym wieku przyjdzie mu brać na swoje barki zarządzanie całą stacją? Śmierć Nikanora stanowiła ciężką próbę dla całej kolonii. Nie dość, że wszyscy co bystrzejsi młodzi ludzie dawno już przenieśli się z peryferyjnej Moskiewskiej do bogatego i lepiej urządzonego centrum, to jeszcze starych mieszkańców, zdolnych do wzięcia odpowiedzialności za los wszystkich, praktycznie nie pozostało. Dlatego kiedy pojawił się temat wyboru nowego naczelnika, koloniści, bojąc się niepewnej przyszłości, od razu pomyśleli o odpowiedzialnym i niestrudzonym Pałyczu.

Staruszek przysunął stary aparat telefoniczny, ciężko westchnął i podniósł słuchawkę. Sygnał… Jeszcze jeden… I oto na drugim końcu linii coś zachrobotało, szczęknęło, potem nieznajomy dziewczęcy głos zmęczonym tonem powiedział sakramentalne:

– Halo! Tu dyspozytor.

Staruszek wzdrygnął się zaskoczony, wyciągnął jak struna, na ile pozwalały mu bolące korzonki i chwycił słuchawkę dwiema rękami.

– Córeczko kochana, chciałbym się połączyć z Miastem Targowym…

– Jaka stacja?

– Sienna, serdeńko, Sienna!

– Proszę zaczekać. Łączę.

Znowu szczęknięcia, szmery, ciche piszczenie na granicy słyszalności.

– Terentiew, słucham.

Dziadek podskoczył jak oparzony, ocierając czoło, na które wystąpił mu pot.

– Tu Pałycz… Tfu! Diemjan Pawłowicz, obecny naczelnik Moskiewskiej!

Rozmówca po drugiej stronie przez kilka sekund milczał, przetrawiając informację, potem zabrzmiał ten sam surowy głos:

– A gdzie Nikanor?

– Dokonał żywota, mój drogi… – Staruszek ciężko westchnął. – Teraz ja go zastąpiłem.

– Posłuchaj, Diemjanie Pawłowiczu, byłbym rad z tobą pogawędzić, ale może innym razem, co? Mam roboty od groma.

– Mam wiadomość od Tarana! – wypalił znienacka dziadek, bojąc się, że naczelnik Siennej odłoży słuchawkę.

– Od Tarana? – Tamten ożywił się. – W samą porę! Mija ostatni dzień ultimatum, a my jeszcze w lesie. No, co tam u niego?

– Prosił, żebym przekazał, że znalazł trop, słyszy pan? – Staruszek zajrzał do karteczki, żeby się upewnić – Znalazł trop! Prowadzi on do Obserwatorium w Pułkowie. Teraz stalker właśnie tam się kieruje!

– Sam? Przez Południowe Bagna? Przecież to samobójstwo! – Słychać było, jak Wyga zaklął przez zęby.

Pałycz był tego samego zdania. Za jego pamięci brawurowi stalkerzy podejmowali przynajmniej kilka prób zbadania południowych przedmieść, ale każda uzbrojona grupa, która wychodziła na rajd, ginęła bez śladu w dzikich pustkowiach pokrytych trzęsawiskami.

– Nie miał wyboru. Żeby ocalić syna, poszedłby do samego piekła… – Staruszek wyczekująco wsłuchał się w szum w słuchawce, ale jego rozmówca milczał. – Wyślecie mu chyba posiłki?

Poczuł w piersi ukłucie, potem drugie… Pałycz złapał się za serce i opadł na fotel. Dlaczego tamten zwleka? Czemu nie odpowiada? Może się zastanawia, jak najlepiej zorganizować operację ratunkową?

– Nie. – Odmowa Wygi zabrzmiała jak wyrok. – To nieuzasadnione ryzyko. Ratując dwóch ludzi, zginie znacznie więcej. Prosta arytmetyka…

– Prosta?! – Staruszek wściekł się. – Rozumiesz chociaż, że…

– Rozumiem! – Naczelnik Siennej nie dosłuchał do końca. – Ja wszystko rozumiem, ojczulku. I nie mniej od ciebie wkurza mnie, jak to się wszystko ułożyło. Ale nie mogę poprowadzić ludzi na rzeź. Taranow sam też nie życzyłby sobie śmierci innych ludzi… Wybacz, ale naprawdę czas na mnie. Muszę przygotować spotkanie z marynarzami…

Daleki głos ustąpił miejsca sygnałom telefonu. Mechanicznym. Bezdusznym. „Czyżby to był koniec?" Staruszek rzucił słuchawkę na widełki i odepchnął z niechęcią telefon. Jakby przepraszając, aparat żałośnie zabrzęczał i ucichł.

– Z bożą pomocą, Taran. Z bożą pomocą…

* * *

Zardzewiałe drzwi niechętnie się poddawały. Trzeba było nawet wsunąć w szczelinę automat i użyć broni w charakterze dźwigni. Barbarzyński sposób, oczywiście, ale kałach już się raczej nie przyda. W czekającej go rozprawie potrzebna była ciężka artyleria…

Pomysł, by urządzić kryjówkę w budce milicji, okazał się słuszny. Przez kilka lat do środka nie próbowała wejść żadna bestia, a niespodziewanej wizyty stalkerów Taran się nie obawiał – za blisko dzikich pustkowi, zbyt niebezpiecznie. Najemnik przecisnął się do środka i starannie unieszkodliwił pułapkę zainstalowaną dla nieproszonych gości, starł ze skrzyni pajęczynę, szczęknął zamkiem… Oto on. Troskliwie zawinięty w natłuszczoną szmatę, gotowy do pracy. „Ostatni argument", jak lubił go kiedyś nazywać dowodzący jego plutonem sierżant Rebrow…

Taran w ogóle nie przepadał za ręcznymi karabinami maszynowymi. Spróbuj łazić z taką krową po pofałdowanym terenie! Celność też do niczego. Ale w zaistniałej sytuacji skuteczność i

gęstość ognia stały się decydującymi czynnikami. Najemnik wyciągnął ciężkiego pieczeniega i pedantycznie obejrzał mechanizm, czy nie ma na nim rdzy, po czym skinął głową z zadowoleniem.

Nawet nie chciał wspominać, z jakim trudem udało mu się zdobyć tę zabójczą zabawkę. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności natknął się wtedy na kolumnę pancerną, porzuconą i zapomnianą na środku Szosy Wołchońskiej, niedaleko Cmentarza Południowego. Sfora dzikich psów przybiegła nie w porę i czuwała przy wraku transportera opancerzonego prawie trzy doby, czekając na wyjście ofiary, lecz samotny dwunóg okazał się cierpliwszy. Pragnienie i męczący głód zostały w pełni wynagrodzone. W żelaznym wnętrzu jednego z czołgów udało mu się znaleźć nie tylko w pełni sprawnego pieczeniega, ale też mnóstwo pudełek z taśmami amunicyjnymi – cały majątek według miar dzisiejszego, surowego życia.

Wysiłki stalkera, jak się okazało, nie poszły na marne. Dzień, w którym trzeba było się uciec do śmiercionośnego znaleziska, w końcu nadszedł. Taran wyszedł z budki, uginając się pod ciężarem gotowego do strzału pieczeniega i wypełnionego po brzegi amunicją plecaka. Szelki niemiłosiernie wpijały mu się w plecy. O tym, żeby przejść choćby do szybszego marszu, można było śmiało zapomnieć, lecz wszystkie niewygody z nawiązką kompensowała możliwość przedłużenia czasu walki. Każdy dodatkowy nabój nie na długo, ale jednak zwiększał mglistą szansę, by przedostać się do dalekiego celu.

Pogoda tego dnia sprzyjała stalkerowi: nie siąpił nieustanny deszcz, nie padały płaty szarawego śniegu. Nawet nigdy niemilknący wiatr, goniący po zaułkach opadłe liście, nie ważył się niepokoić człowieka spieszącego wzdłuż ruin Moskiewskiego Prospektu.

Starając się obejść szerokim łukiem siedzibę ogryzków, stalker skręcił w lewo, w stronę budynku dawnego „Elektrostandardu”, lecz nie udało mu się pozostać niezauważonym. Najwidoczniej strażnicy namierzyli samotną ludzką figurkę jeszcze tam, na skrzyżowaniu

Moskiewskiego i Lenińskiego, kiedy stalker krzątał się przy milicyjnym kiosku. A potem zdążyli przygotować uroczyste powitanie.

Uzbrojeni w kusze dzikusy pojawili się znikąd, wprawnie otoczyli najemnika, ale z jakiegoś powodu nie spieszyli się z atakiem. W ślad za nimi z rozbitej witryny wyszedł Indianin. „A więc wykurowali swojego bożka…”

Niezgrabny płaszcz młody wódz zamienił na wygodną kamizelkę z wilczej skóry i bezkształtne futrzane spodnie. W rękach miał całkiem zwyczajną i na oko dość solidną włócznię. Majestatycznie krocząc po zasypanym śniegiem asfalcie, chłopak podszedł blisko i skinął głową, odsuwając z twarzy strąki kudłów.

– Pochmurnego nieba, Taranie. Niech ominą cię z dala promienie Żądlącego Oka!

– Tobie też zdrówka – burknął najemnik, spoglądając z ukosa na wojowników.

– Nie zdołałeś uratować syna i wróciłeś po moją głowę, tak jak obiecałeś? – Indianin przeszedł na półszept, żeby nie słyszeli go pozostali. – Nie znałem go osobiście, ale smucę się razem z tobą.

– Gleb żyje. – Głos najemnika nie drgnął, chociaż lęk o syna z każdą minutą zżerał go coraz bardziej. – I jeśli zabierzesz tych swoich „Mohikanów” z mojej drogi, to sam też ocalejesz.

Wódz uśmiechnął się półgębkiem, dał znak wojownikom. Ci rozstąpili się, opuszczając kusze.

– Dokąd więc teraz wiedzie cię ta sama droga?

– Na bagna.

Jeśli nawet ogryzek się zdziwił, to nie dał tego po sobie poznać. Świdrował tylko plecy Tarana uważnym wzrokiem, kiedy ten odchodził.

– Zaczekaj, stalkerze!

Indianin przenikliwie gwizdnął, rozejrzał się dookoła i dostrzegając ruch między zwałami skruszonego betonu, pewnie wyszedł na spotkanie ogromnej bestii, która zeskoczyła właśnie na otwartą przestrzeń ze szczytu zaspy. Najemnik instynktownie chwycił za

erkaem, ale mutant zachowywał się nad podziw przyjaźnie, łasił się i lgnął do wodza, a ten z kolei bez cienia strachu targał go za kosmate uszy.

– To jest Zugg – wyjaśnił Indianin z taką miną, jakby to imię wszystko wyjaśniało. – Dokarmiamy go zmarłymi współplemieńcami. Chociaż jest drapieżnikiem, to padliną też nie gardzi.

– Pamiętam tę bestię. – Taran spojrzał z ukosa na ogromne muskularne łapy i usianą zębami paszczę. – Poprzednim razem chciała mnie zjeść na obiad.

– Tak w ogóle to Zugg jest chłopcem. I dla swoich jest absolutnie niegroźny. – Wódz zrobił zapraszający gest ręką. – Chodź, nie bój się. On cię nie ruszy.

Przemógłszy podświadomą niechęć, stalker podszedł bliżej. Mutant głośno wciągnął powietrze nozdrzami, zapamiętując zapach dwunoga. Potem wydłużona brunatna morda zwierzęcia wyczuwalnie dotknęła piersi najemnika.

– No, pogłaszcz go w odpowiedzi. On cię wita.

– Po co mi to? – Taran skrzywił się, ale jednak wsunął rękę w kosmatą, gęstą sierść mutanta.

– Zugg odprowadzi cię do granicy swojego terenu łowieckiego. Żadne zwierzę nie zbliży się do ciebie, póki będzie obok.

Stalker znów przyjrzał się uważnie potężnej bestii. W istocie w towarzystwie takiego bydlaka przejście przez trzęsawiska może się stać beztroskim spacerkiem…

– Dziękuję ci, Indianinie. I… tobie też… pochmurnego nieba.

Ten uśmiechnął się, odsłaniając palisadę krzywych zębów, i poprowadził oddział do domu, do pomnika w centrum placu.

* * *

Chlup… Chlup… Chlup…

Nogi po kolana pogrążały się w błotnistej cieczy, nos szczypał od mdlącego zapachu siarki. Dookoła, gdziekolwiek popatrzeć, ciągnęła się bezkresna, pokryta rzęsą wodną powierzchnia bagna. Z rzadkich,

porośniętych mchem wysepek stałego lądu sterczały niskie drzewka z gołymi haczykowatymi gałęziami.

Na razie główna trudność polegała na tym, by nie zejść z twardego gruntu. Pod nogami ciągnęła się skryta przez bagno Szosa Pułkowska – jedyny pewny sposób, by nie zapaść się w trzęsawisko. Nieprawdopodobny towarzysz podróży zachowywał się dość spokojnie. Posłusznie człapał za człowiekiem i tylko czasem, gdy wyczuł we mgle kolejnego drapieżnika, głucho porykiwał. Tak jak obiecał Indianin, w ciągu minionej półtorej godziny żaden stwór nie zdecydował się zbliżyć do tej dziwnej pary.

Ale nie mogło to trwać wiecznie. W pewnej pięknej chwili Zugg stanął jak zamurowany, jakby natknął się na niewidzialną granicę i nastawił uszu, uważnie wpatrując się w mleczną zasłonę przed nimi.

– No, co z tobą? Idziemy!

Perswazja nie podziałała. Jakby przepraszając, bestia przypadła pyskiem do ziemi, majestatycznie się odwróciła i potruchtała w przeciwnym kierunku.

– Rozumiem, bracie. Bardziej boisz się o własną skórę. I za to ci dziękuję.

Stalker podciągnął pieczeniega i ruszył dalej.

Chlup… Chlup… Chlup…

Ledwie słyszalne pluśnięcie gdzieś z boku sprawiło, że przystanął. A może to tylko echo jego własnych kroków? Wystarczyło, że się poruszył, a dziwny dźwięk znów się powtórzył. Co prawda teraz nieco bardziej z boku. Taran obrócił się w kierunku domniemanego zagrożenia i od razu dostrzegł bąbelki powietrza podnoszące się z dna najbliższej sadzawki. Ułamek sekundy później warstwa rzęsy wybrzuszyła się, a pod powierzchnią mętnej wody, nabierając prędkości, pomknął wodny garb.

– Całkiem jak w *Gwiezdnych wojnach* – burknął najemnik, celując. – Przydałby się tu teraz mistrz Yoda…

Erkaem zatrząsł mu się w rękach, rozpruwając bagno potężną serią. Deszcz ołowiu zamłócił po wodzie, tworząc na powierzchni

pióropusze rozbryzgów. Ruch natychmiast ustał. Podniesiony z dna muł nie pozwalał dojrzeć napastnika. Czyżby zdechł?

Odpowiedź przyszła natychmiast: sadzawka zawrzała i wybuchła fontanną bryzgów, a z głębi, z ogłuszającym skrzekiem wyskoczyła rozmyta czarna plama.

Palec nacisnął na spust, zanim jeszcze umysł zareagował na zagrożenie. Mieszkaniec bagna nadział się na grad kul, szarpnął się i padł w błoto u nóg człowieka – kawał pogrążonej w agonii śluzowatej tkanki. Cienkie macki chłostały wodę, wokół rannego stwora błyskawicznie rozlewała się plama czarnej oleistej krwi.

Gdzieś w oddali dał się słyszeć głuchy ryk nieznanego drapieżnika. Ani chybi odgłosy walki zwabiły coś poważniejszego. Trzeba było natychmiast się wynosić, i to im dalej, tym lepiej. Jednak wystarczyło przejść dziesięć metrów, a na wodzie znów pojawiły się znajome pęcherzyki. Tym razem pokazały się od razu dwa „kalmary". Czekały na niego, czy też spieszą na pomoc niefartownemu bratu? Choć w głowie się nie mieściło, że podobne stworzenia mogą mieć rozum, choćby i prymitywny. Prędzej instynkty.

Stalker wystrzelił w oślizgłe stwory pół taśmy nabojów do erkaemu, po czym ledwie zdążył złapać oddech, gdy z oparów wyłoniła się kanciasta sylwetka Blokadnika. Szaroskóry gigant parł wprost na niego, głucho krzycząc i rozpryskując błotnistą wodę daleko na boki. Ciemne guziki oczu chciwie obserwowały człowieka. Pieczenieg znów zaniósł się kanonadą i nie zamilkł, póki garbate cielsko mutanta nie zatrzymało się i nie zwaliło ciężko w mętną wodę.

Taran rzucił przelotne spojrzenie na erkaem. Komora opustoszała. „Dwieście nabojów w ciągu kilku minut walki… No tak, nie jest to zbyt optymistyczny wynik. Co będzie dalej?" Stalker szybko wsunął nową taśmę i z uporem parł naprzód. Poruszanie się było teraz jeszcze trudniejsze – woda sięgała już niemal do pasa. Na szczęście na drodze trafiało się całkiem sporo porosłych mchem samochodów. Kilka razy musiał wdrapywać się na nie, żeby wykluczyć z gry

jakiegoś szczególnie żwawego stwora. Rzadkie momenty spokoju wykorzystywał na wyciągnięcie z plecaka kolejnej taśmy.

Im dalej stalker zapuszczał się na południe, tym zacieklejszy stawał się opór mieszkańców bagien. Sprawdzały się najgorsze obawy – na miejsce walki ściągały wciąż nowe potwory. Oprócz znanych już mutantów, pojawiały się też niewidziane dotąd egzemplarze. Nierealne, pokraczne, jakby ściągnięte z fantasmagorycznych płócien Gigera, stwory wynurzały się z mgły z jednym pragnieniem – rozszarpać, pożreć, napełnić żołądek. Najemnik starał się nie tracić panowania nad sobą, bił z wyprzedzeniem, kosząc drapieżniki jeszcze na przedpolu.

Trudno było w takiej sytuacji oszczędzać naboje. Ścinane seriami z erkaemu, mutanty padały w muł, ale po chwili uparcie znów wstawały, ślepo rzucając się na krnąbrną ofiarę. Na szczęście nie cała zwierzyna zachowywała się tak niedorzecznie. Ostrożna „modliszka" pokręciła chitynowym łbem, oceniła zagrożenie i szybko operując wydłużonymi, szczudłowatymi kończynami, uskoczyła. Sunące pod wodą „kalmary" też zostawiły człowieka w spokoju, przestawiając się na łatwiejszą zdobycz – ranne stwory szamoczące się w błocie wzdłuż szosy.

Na razie niezawodny pieczenieg działał jak szwajcarski zegarek, w dużej mierze dzięki systemowi wymuszonego chłodzenia lufy. Tarana bardziej niepokoiła błyskawicznie znikająca amunicja. Zanim zamajaczył przed nim powykręcany szkielet obwodnicy, plecak opustoszał prawie w trzech czwartych. Jeden zgodny atak stworów mógł położyć kres wysiłkom najemnika, ale w powstałym chaosie dziwny, plujący śmiercią dwunóg został chyba tymczasowo zapomniany.

Ślizgając się w gęstym bagnie, powoli opadając z sił, stalker uparcie brnął w stronę węzła drogowego. Ręce zdrętwiałe od ciągłego napięcia, ledwie obracały nagle zbyt ciężkim erkaemem. Do tego wszystkiego poczuł nieprzyjemne ukłucie w bok. Czyżby

przedsmak napadu choroby? „To by była głupia śmierć – zachłysnąć się błotem w kałuży, wśród szalejących bestii…”

Przed nim pojawiło się naraz kilka mglistych sylwetek i wszystkie myśli natychmiast wyleciały mu z głowy. Stworzenia, stopniowo napływające od strony obwodnicy, bardziej przypominały wytwór chorej wyobraźni, absurdalny sen, niż coś rzeczywistego. Nie wierząc własnym oczom, najemnik potrząsał głową, ale coś koszmarnego, sprzecznego z naturą nieubłaganie nadciągało z kilku stron naraz. Stwory były nieco podobne do hydromeduz zamieszkujących niegdyś nieskażone jeszcze przez Katastrofę tropikalne wody. Ale te różniły się od swoich morskich krewniaków ogromnymi rozmiarami i tym, co najbardziej zadziwiające, że bez jakiegokolwiek logicznego wyjaśnienia szybowały w powietrzu, czasem tylko dotykając tafli wodnej półprzezroczystymi wstęgowatymi mackami.

Taran pokonał niezdecydowanie i skierował lufę w stronę nieproszonych gości. Erkaem szarpnął, uderzył w dłoń. Kule przeszyły powietrze szerokim wachlarzem, dosięgając lekkich, jakby wypełnionych helem ciał meduz. Jednemu stworowi dostało się bardziej od innych. Przekoziołkował w powietrzu i z ledwie słyszalnym świstem opadł na mech jak nieruchomy płaski blin, kałuża bezbarwnej galarety. Pozostałe, choć z podziurawionymi cieniutkimi, przypominającymi strzępy lekkiej organzy, żaglokształtnymi ciałami, dalej niespiesznie zbliżały się do wybranej ofiary.

A zza zasłony oparów jak zza teatralnej kurtyny wynurzały się wciąż nowe potworne sylwetki.

– No i gdzie wy się pchacie! – Taran nie wytrzymał, zmieniając kolejną taśmę. – Czy ja jestem posmarowany miodem?!

Miarowy turkot pieczeniega nie cichł nawet na sekundę. Opróżnione taśmy leciały w błoto jedna za drugą. W uszach tak dźwięczało, że nie mógł nawet dosłyszeć własnych okrzyków złości. A jednak prędzej czy później to musiało się stać: erkaem ucichł, a na dnie plecaka nie pozostał ani jeden nabój. Wtedy stalker po raz

pierwszy uświadomił sobie, jak bardzo zbliżył się do granicy, za którą był tylko mrok niebytu i wieczna niepamięć.

Obejrzał się i obliczył pokonany dystans. Z placu do skrzyżowania z obwodnicą były trzy kilometry z kawałkiem. A do Wzgórz Pułkowskich łącznie – coś koło siedmiu. Czyli nie przemierzył nawet połowy drogi… Proste obliczenia działały przygnębiająco. Zwyczajnie głupio było mieć nadzieję na przeżycie w tym piekielnym miejscu bez wystarczającej siły ognia. A najważniejsze, że w jednej chwili runęły nadzieje, by dotrzeć do Gleba. Czyżby los zgotował mu taki właśnie koniec? Czy wciąż jeszcze testuje jego wytrzymałość?

Ręce same przetrząsnęły kieszenie kamizelki w poszukiwaniu broni i prawie natychmiast namacały przez gruby materiał okrągły żłobkowany przedmiot… Granat! Ten właśnie, który został mu po rozminowaniu skrytki. Jak mógł o nim zapomnieć! Materiał detonacyjny zapalnika najprawdopodobniej utlenił się przez tak długi czas, ale jak to się mówi, raz kozie śmierć. Przyszła mu do głowy nowa myśl – by użyć „limonkę" na siebie: zawsze to lepsze niż zostać pożartym żywcem. Ale potem wzrok stalkera trafił na wrak cysterny majaczący za sylwetkami meduz jakieś dziesięć metrów przed nim. Pomysł narodził się natychmiast, wystarczyło przyjrzeć się przeżartemu przez rdzę zbiornikowi. Może uda się schować w środku? Chociaż co to zmieni? Zaledwie odroczy nieuniknione rendez-vous ze śmiercią, które i tak nastąpi. Wcześniej czy później… Ale jednak lepiej później.

Podjąwszy decyzję, stalker wyciągnął zawleczkę, przymierzył i rzucił granat w skupisko hydroidów, zamykające mu właściwy kierunek. „A teraz waruj – mordą w śmierdzące błoto…" Lodowata ciecz momentalnie wlała mu się za kołnierz, zalepiła szkła wizjera, ale w takich chwilach nie myśli się o niewygodach. Żeby tylko przeżyć…

Zapalnik jednak zadziałał. Huknął wybuch, wzbijając w powietrze fontannę błota i kawałki posiekanych odłamkami meduz. W wodzie zachlupotały grudki przegniłej ziemi i strzępki mchu. Dym po

eksplozji nie zdążył się rozproszyć, a Taran już ruszył z miejsca, w biegu rękawem wycierając okulary, popędził do cysterny.

Dozymetr zaterkotał kilka razy na postrach i umilkł. Ciężarówka nie promieniowała – to już coś.

Drapieżne bestie nie rzuciły się w pogoń, nie zaczęły miotać się bez sensu – odwróciły się tylko z gracją i równie niespiesznie jak wcześniej popłynęły w ślad za człowiekiem, metodycznie otaczając ofiarę.

Najemnik wskoczył po wąskiej drabince na dach cysterny i szarpnął za dźwignię. Pokrywa luku z całkiem zrozumiałych przyczyn nie poddała się – przyschła do włazu. Trzeba było przemieścić się do kabiny i pogrzebać za siedzeniem kierowcy. Okazało się, że łom był w tradycyjnym miejscu. Za jego pomocą udało się poruszyć nieustępliwy kawał metalu. Z przeciągłym zgrzytem pokrywa odchyliła się do tyłu. W środku stała ta sama co wszędzie, stęchła, błotnista woda. No jasne – w przerdzewiałym na wskroś metalu ziały dziury wielkości pięści. Stalker obejrzał się. Hydroidy zdążyły gęsto otoczyć cysternę. Skórzaste worki pod podobnymi do grzybów głowami rytmicznie się kurczyły. Nic innego, jak tylko generatory jakiegoś lotnego gazu wypełniającego specjalne komory w szkaradnych ciałach. Na potwierdzenie jego domysłu najbliższy stwór zaczął się płynnie wznosić, jednocześnie wyciągając w stronę ofiary kilka drgających macek.

Taran przytrzymał krawędź ciężkiego włazu, wrzucił łom do luku i wskoczył w ślad za nim. Na górze załomotało – pokrywa wróciła na miejsce, odgradzając człowieka od zewnętrznego świata. Trudno było dojrzeć cokolwiek w gęstym mroku. Jednak gdy oczy nieco już przywykły, udało mu się zorientować dzięki wpadającemu przez otwory światłu. Stalker wymacał nogą łom, dał nura i podniósł z dna drogocenne narzędzie. Zawsze to jakaś broń. A teraz przyczaić się i czekać…

Pod sklepieniem cysterny zabrzmiało echo niepokojących dźwięków. Zgrzyty, stukanie pazurów… Jakiś stwór szalał na górze,

próbując wgryźć się w metal, ale brakowało mu pomyślunku, żeby podważyć pokrywę luku. Próby przedostania się do środka dość szybko się urwały. Odgłosy szarpaniny zastąpił groźny ryk, który niemal od razu przeszedł w żałosne skomlenie. Zwierzę rzęziło jeszcze chwilę, po czym ucichło. „Kto go tak załatwił, biedaka? Czyżby meduzy?”

Na potwierdzenie jego domysłów przez dziurę do środka cysterny wsunęła się znajoma macka. Najemnik odskoczył do tyłu, gdzie nie mogła go dosięgnąć, i omal nie natknął się na kolejną półprzezroczystą kończynę, która usilnie obmacywała przeciwległą ściankę. Wkrótce prawie wszystkie wystarczająco duże otwory obrosły poruszającymi się wstęgami, których cudem tylko udawało mu się unikać. Póki cysternę atakowało kilka hydroid, ciężarówka stała nieruchomo, ale mutantów przybywało. Oblepiły jej boki ze wszystkich stron, zaszeleściły i zawibrowały, nadymając się. Pod wpływem skupiska galaretowatych ciał cysterna zadrżała – z początku ledwie wyczuwalnie, potem coraz silniej – i zaczęła się kołysać.

Woda zachlupotała, parę razy przykrywając stalkera wraz z głową. Czując silny przechył, Taran zaczął się miotać, poszukując podpory, ale w następnej chwili wymęczona ciężarówka przewróciła się na bok. Z metalicznym zgrzytem naczepa odłączyła się od szoferki. Cysterna legła łagodnie na mulistym dnie i pod własnym ciężarem powoli zsunęła się do przydrożnego rowu, w całości znikając pod wodą.

I wszystko by grało, tyle że właz znalazł się z boku i trafił na słup latarni. Jedyne wyjście na zewnątrz było zablokowane. Taran zanurkował, odszukał po omacku pokrywę i spróbował nacisnąć, ale jego wysiłki skończyły się fiaskiem.

Wody błyskawicznie przybywało. Burzliwe potoki wdzierały się do środka fontannami, dezorientowały, nie pozwalając zaczerpnąć powietrza. Coś, co wydawało się pewnym schronieniem, nagle zamieniło się w pułapkę.

Do tego wszystkiego ciało zaczynało mu drętwieć z zimna, a zęby – dzwonić. Ogarnęła go niewyjaśniona apatia. „Wychłodzenie? Już jest bardzo paskudnie". Zebrawszy ostatki sił, stalker zamachnął się i przywalił łomem w ścianę. Łomot metalu zabrzmiał w jego uszach niczym dzwony pogrzebowe, ale dziura nie powiększyła się ani o cal. Kolejne uderzenia także nie przyniosły widocznych rezultatów. Konstrukcja okazała się mocniejsza, niż Taran przypuszczał.

– A więc taka to z ciebie trumna na kółkach…

Wydawało się, że już najwyższy czas na panikę, ale wypracowany przez lata upór i przyzwyczajenie, by walczyć do samego końca, sprawiały, że znów podnosił coraz cięższy łom nad głową. Każde uderzenie odzywało się bólem w umęczonych mięśniach, z wycieńczenia migotały mu czarne kręgi przed oczami. Koniec końców, po wsunięciu narzędzia w dziurę udało mu się zaczepić i odgiąć przerdzewiałą krawędź, ale nie na tyle, żeby wydostać się na zewnątrz.

Warstwa powietrza pod samym sklepieniem nieubłaganie się kurczyła. Po kilku minutach zaciekłej walki stalker zakasłał, przylgnął twarzą do otworu, wdychając wilgotne stęchłe powietrze i spoglądając na burzowe niebo. Łom wyślizgnął się z osłabłych palców i upadł gdzieś pod nogi.

Zimno przestało mu doskwierać. Minęły dreszcze. Ciało jakby unosiło się w nieważkości, powieki robiły się ciężkie, zlepiały się.

Kiedy w jego polu widzenia znów pojawiły się wstęgowate macki, nie było już sił, by zareagować. Taran wysunął palec w nieprzyzwoitym geście, puścił krawędź otworu i powoli opadł na dno. Sekunda… Druga… Trzecia…

„Teraz już niedługo. Bardzo niedługo.

Wybacz, Gleb.

Tak wyszło…"

Z otworu zabłysło jasne światło. Kolejny błysk. Purpurowa łuna.

„To już?"

Stalker odbił się od dna, wynurzył, spazmatycznie wciągnął powietrze i znów przycisnął się do dziury. W uszy uderzył go huk kanonady, świst kul i z niczym niedające się porównać dudnienie wielkokalibrowego utiosa. Meduzy eksplodowały jedna po drugiej, zmiatane huraganowym ogniem. Dach cysterny dymił, gdzieniegdzie tańczyły języczki płomieni.

Taran wykręcił się i wyciągnął rękę na zewnątrz.

– Tutaj! – wychrypiał, wytężając struny głosowe. – Tutaj!

W mgnieniu oka ktoś potężnym chwytem złapał go za przegub. Stalker bardzo dobrze znał ten uścisk.

– Czy nadal potrzebujesz mojej pomocy? – zagrzmiał mu nad głową znajomy bas.

„Jednak przyszedł, diablisko!”

W dziurze ukazały się ogromne zielone palce. Pod strasznym naporem metal zaskrzypiał, wyginając się. Niczym wytrawny sztangista, Dym prostował kolana, wydzierając z cysterny kawał poszycia potężnych rozmiarów. Następnie Giena jednym ruchem wyciągnął Tarana za kołnierz jak niegrzecznego szczeniaka i łagodnie opuścił na dach cysterny.

– Co tak długo?

Plując, stalker sięgnął do torebki biodrowej po filtr na wymianę. Nieposłuszne palce nijak nie mogły poradzić sobie z nakrętką na „puszce” maski przeciwgazowej. Ciało znów zaczęło się trząść – organizm dalej walczył z zimnem.

Opasany taśmami z amunicją, z pochylonym utiosem, mutant wyglądał imponująco. W oczach jak dawniej pląsały mu diabelskie ogniki. Głowa jak radar obracała się na wszystkie strony, skanuje wszystkie sektory. Na twarzy ani śladu dawnej apatii.

– Dasz radę iść? Chodź za mną, później pogadamy! – Giennadij pierwszy zsunął się po pękatym boku cysterny, pacnął w błoto i mącąc wodę, poczłapał w stronę…

– O matko i córko… Czy to jest to, o czym myślę?!

Prześledziwszy wzrokiem kierunek, w którym szedł mutant, Taran z początku uznał, że mu się przywidziało.

Na środku bagna wznosiła się gigantyczna wojskowa ciężarówka. Najwyraźniej ta sama, o której wspominał Terentiew – transporter rakiety Topol-M. Nieskończenie długie nadwozie, szesnaście kół wysokości człowieka, masywna konstrukcja ramowa… Nie było wątpliwości. To była ona – słynna MZKT-79221, tyle że na pierwszy rzut oka samobieżna wyrzutnia rakiet zmieniła się nie do poznania. Ktoś dołożył niemałych wysiłków, żeby z cudownej ciężarówki zrobić najprawdziwszą twierdzę.

Okna umieszczonych po bokach kabin – kierowcy i pasażerskiej – są obite metalowymi osłonami. Na ich dachach niczym rogi sterczą pary wielkokalibrowych karabinów maszynowych, a stanowiska strzelców chronią zespawane z grubych prętów zbrojeniowych klatki-klosze. Zamiast rakiety nad podwoziem wznosi się wymyślna konstrukcja składająca się z pojemnego, opancerzonego kontenera z okratowanymi iluminatorami (najprawdopodobniej segmentu pasażerskiego) i nie mniej rozległego nadwozia – odkrytej platformy odgrodzonej od świata zewnętrznego kratą. Wielopoziomowe żelazne kratownice wewnątrz są najeżone dyszami miotaczy ognia, a z tylnej nadbudówki wysunął się – stalker omal nie usiadł z wrażenia – czterolufowy lotniczy karabin maszynowy.

Taran instynktownie schylił się, kiedy nad samym uchem zadudnił mu utios Dyma. Puszczając krótką serię po zaroślach, mutant wskazał kierunek i z samobieżnej wyrzutni natychmiast zaczęły bić cekaemy, kosząc roślinność do gołej ziemi. Hydroida kryjącego się w krzakach rozerwał celny strzał i o wodę klapnął paskudny kawał śluzu.

Poza tym incydentem do ciężarówki dotarli bez przygód. Giennadij podsadził Tarana i wdrapał się za nim, po czym zatrzasnął za sobą grube drzwi. Nadbudówka mieszkalna okazała się bardzo przestronna. Dwupiętrowe łóżka, długi stół, szafy pod ścianami…

– Przecież tu można mieszkać, a nie tylko wojować! – Najemnik kręcił głową z podziwem, aż napotkał wzrok posępnego staruszka w pikowanej bosmance.

Jego twarz wydawała się skądś znajoma… Ach, tak! Sienna, Rada, poseł…

– Witaj, Afanas. Może to ty mi wyjaśnisz, co się tutaj wyprawia.

Marynarz podniósł się, wsparł o blat, milcząco wyciągnął rękę na powitanie. Popatrzył badawczo na Tarana i przeniósł pytające spojrzenie na mutanta. Ten kiwnął głową: tak jest, referuj.

– Dostaliśmy wiadomość od naczelnika Siennej – zaczął staruszek, ciężko opadając na ławkę. – Poinformował nas, że wpadłeś na trop terrorystów. Nie mogliśmy pozostać z boku. Dym nalegał, żeby zaangażować „Maleństwo".

– „Maleństwo" to wyrzutnia samobieżna? Zabawne, nie ma co… – Najemnik uśmiechnął się półgębkiem. – Ile dusz na pokładzie?

– Oprócz mnie i twojego przyjaciela – staruszek zerknął na Giennadija – jeszcze trzech ochotników. To wszystko, na co kolonia może sobie w tym momencie pozwolić. Pozostali są potrzebni na Czkałowskiej.

Stalker skinął ze zrozumieniem.

– Gdyby nie Dym – odezwał się znów Afanas – nie dostalibyśmy się tutaj tak szybko. Przeprowadził nas przez całe miasto. Ciebie zresztą też właśnie Giennadij odszukał na pustkowiu. Sokole oko…

Mutant starannie odwracał wzrok, wciskając utiosa do szafy z bronią. Taran podszedł, położył dłoń na potężnym ramieniu giganta. Dym zamarł, odwrócił się, dalej świdrując wzrokiem podłogę.

– Nie wiem, po jakie licho do nich polazłeś, ale… dziękuję ci. I wiesz co? Stara przyjaźń…

– Nie pleśnieje! – zakończył Giennadij, szczerząc się radośnie.

– Jesteśmy dogadani. – Taran uśmiechnął się w odpowiedzi.

Kiedy „Maleństwo", hałasując ośmiusetkonnym silnikiem Diesla, pokonywało zabłoconą szosę, stalkerom udało się wymienić nowiny, a Taran zdążył nawet nieco wyschnąć i ogrzać się po nieprzyjemnych

kąpielach. Potem obaj przeszli do kabiny pasażerskiej, skąd otwierał się widok na blokujący drogę węzeł obwodnicy Petersburga. Z estakad mało co zostało – spiczaste bryły betonu, powyginane w zygzaki, pochylnie, przekrzywione stalowe podpory…

Włączyła się łączność wewnętrzna. Kierowca z sąsiedniej kabiny pytał o kurs. Naradziwszy się, postanowili zaryzykować i przejechać trudny do pokonania odcinek po skrzydle ogromnego samolotu transportowego, którego rdzewiejący wrak leżał w trzęsawisku nieopodal.

Buchając kłębami czarnego dymu, wyrzutnia pewnie wspięła się po odłamku skrzydła jak po estakadzie i ciężko przewaliła przez fragment powyginanej pochylni wjazdowej. W którymś momencie maszyna niebezpiecznie się przechyliła, przeszła ślizgiem po skraju rozpadliny, ale dzięki sterowanym tylnym osiom pomyślnie skręciła na odcinek z łagodnym spadkiem i, po nabraniu obrotów, pojechała dalej.

Wystarczyło przekroczyć obwodnicę, a miejscowe drapieżniki zabrały się za gości z nowymi siłami. Groteskowe, monstrualne sylwetki, wyskakując znikąd, porażały pokracznymi kształtami. W głowie się nie mieściło, że podobne stworzenia mogły pojawić się w wyniku naturalnych mutacji, jednak z wysokości opancerzonej kabiny mieszkańcy Południowych Bagien nie wydawali się już tacy przerażający.

– Czego tak siedzą na tyłkach? – zachrypiał głośnik. – Wstawać i na stanowiska ogniowe, żywo!

Dym skinął kierowcy przez zakratowaną szybę, szarpnął za pokrywę włazu w suficie i odwrócił się do Tarana:

– Maska przeciwgazowa w normie? W takim razie właź do wieżyczki, ja i tak się tam nie zmieszczę.

Trzeba było się podporządkować. Zdradziecka słabość przeszkadzała mu skoncentrować się na strzelaniu, w oczach dwoiło się ze zmęczenia. Stalker stanął stabilnie na metalowym schodku i

złapał za uchwyty. Ciężka rzecz… Wała z czegoś takiego trafisz. W celowniku przesuwały mu się powykręcane drzewa, pokryte rzęsą jeziorko, kępy mchu. Kawałek dalej, wśród skupiska kamieni – zabudowania obok lotniska. A raczej to, co z nich zostało. W szkieletach betonowych pudełek ze ścianami obrosłymi bujną roślinnością cały czas coś się ruszało. Z daleka bardzo przypominało to mrowisko, tyle że jego mieszkańcy raczej nie byli podobni do swoich mniejszych krewniaków.

„Modliszki? Tak jest. To właśnie one. Patrz pan, jak im spieszno. Prą całą gromadą, skaczą sobie po głowach. Ani chybi postanowiły osiągnąć przewagę liczebną. No, no…”

Stalker zauważył w przygotowanych taśmach pociski z zielonym czubkiem i kiwnął głową z aprobatą. Co piąty był smugowy. W dzisiejszych czasach to luksus… Łoskot cekaemów uderzył go w uszy, przedwieczorne niebo przecięły jaskrawoczerwone zawijasy. Teraz trochę w lewo… O tak. Kolejna seria poszła dokładnie w nadciągającą od strony lotniska szarozieloną masę. Z tyłu ciężarówki, wtórując ogłuszającemu szczekaniu sprzężonego cekaemu, dało się słyszeć przenikliwe wycie obrotowego karabinu lotniczego.

W szeregach mutantów pojawiły się pierwsze wyrwy. Część bestii poszła w rozsypkę, reszta dzikimi skokami pomknęła w stronę ciężarówki. Po korpusie opancerzonego giganta przeszedł dreszcz – pilot wrzucił wyższy bieg, rozpędzając „Maleństwo”, jednak nachalne modliszki okazały się szybsze. Pomimo huraganowego ognia fala zakutych w chitynę ciał dosłownie w kilka sekund zalała pojazd. Pilot zahamował i maszyna zachwiała się i stanęła.

Najemnik zjechał do kabiny i omal nie runął na głowę przyjaciela. Mutant, klnąc potoczyście, zatrzasnął pokrywę włazu. Obaj instynktownie schowali głowy w ramionach, słuchając, jak po kadłubie stukotały setki szczypcowatych odnóży.

– To co teraz zrobimy? – rzucił Giennadij z zakłopotaniem.

Najemnik przywarł do okna. Za latającymi przed oczami chitynowymi pancerzami udało mu się dojrzeć coś dziwnego. Tam,

niżej, obok kępy cherlawych osik… Przysadzisty kanciasty budynek z opływowymi krawędziami. Co za futurystyczna konstrukcja…

„Co za… Czy tylko się tak wydaje, czy gigantyczny kształt się poruszył?” Raz… Drugi… Rozrywając kłęby mgły, poryw wiatru na moment odkrył przed wzrokiem ogromne cielsko na sześciu kończynach jak słupy, trąbopodobny nos, grzebień zrogowaciałych narośli na karku, frędzle macek wzdłuż brzucha…

– Niczego nie musimy robić. Te pasikoniki to, zdaje się, nie na nas polują. – Taran odsunął się od okienka, ustępując miejsca Dymowi. – Widziałeś kiedyś coś podobnego?

– O ja cię… Spore bydlę! Do słonia podobny. Trochę.

Po minięciu ciężarówki szarozielone stado pospieszyło w stronę kroczącego w oddali mastodonta. Zagłuszając hałas silnika, dał się słyszeć przeciągły basowy ryk – starcie się rozpoczęło. Po jakimś czasie obok pojazdu nie pozostał ani jeden stwór. Kiedy „Maleństwo” ruszyło z miejsca, na twarzach obu stalkerów odmalowała się ulga. Kierowca widocznie też chciał jak najszybciej wydostać się z niebezpiecznego terytorium. Tym bardziej że przed nimi wyrastały już gęsto porośnięte zbocza Wzgórz Pułkowskich. A między koronami drzew widniał ostateczny cel męczącej trasy – zdeformowana przez falę uderzeniową kopuła obserwatorium.

Rozdział 19: NIEUPRZEJMY GOSPODARZ

– Mama nigdy nie opowiadała o ojcu. Zawsze zaczynała się złościć, kiedy próbowałam o nim porozmawiać…

Aurora ciężko westchnęła i spuściła wzrok. Gleb siedział naprzeciw towarzyszki i obracał w dłoniach fiolkę z lekarstwem. Po tym, jak kategorycznie odmówiła opuszczenia podziemi obserwatorium, nie pozostawało mu nic innego, jak tylko wysłuchać krnąbrnej dziewczynki. Za nic nie zdecydowałby się zostawić jej sam na sam z Czarnym Sanitariuszem, nawet pomimo szokującego oświadczenia o ich pokrewieństwie.

W zakurzonym korytarzu dało się wyczuć delikatny przeciąg. Ciągnęło z kanału przewodowego, którego odnalezienie przy świetle lamp nie było problemem. Wilgoć i zaniedbanie też dotknęły to zapomniane przez Boga miejsce. Nawet szczurów nie było widać. Chociaż, co by miały tu robić – ani jedzenia, ani ciepła…

Cierpliwie oczekując na dalszy ciąg historii, Gleb spoglądał z obawą na ciemną gardziel tunelu. Ale Aurora nie zauważała jego niepokoju, pogrążona we wspomnieniach.

– Potem zachorowała. Serce jej nawalało. Na początku zbywała wszystko żartem. Mówiła, żebym nie zwracała na to uwagi, że to minie… – Dziewczynka podkuliła nogi, kryjąc twarz w dłoniach. – Tego dnia przygotowałam mamie obiad. Sama. Pierwszy raz w życiu. Pół dnia sterczałam we wspólnej kuchni, chciałam zrobić jej przyjemność… A ona nawet nie spojrzała. Wbiegła, cała roztrzęsiona, blada, zwinęła się w kłębek na łóżku i rozpłakała. Tak gorzko…

Przestraszyłam się nie na żarty. Potrząsam nią, wypytuję, a ona odwróciła się, popatrzyła na mnie, jakby pierwszy raz mnie widziała, i znowu w ryk. Potem, słysząc to, przybiegła ciocia Ola, nasza sąsiadka. Zabrała mnie do swojego pokoju. Posiedź tu na razie, mówi…

W oczach Aurory zabłysły łzy. Chłopiec zauważył, że słowa przychodzą dziewczynce z coraz większym trudem.

– Mamę przewieźli na oddział szpitalny. Z powodu zawału. Lekarze nie wpuszczali nikogo przez prawie dobę, była bardzo słaba… A potem przyszła po mnie ciocia Ola i zaprowadziła na salę chorych. Milczała całą drogę i ręce jej drżały… Kiedy zobaczyłam mamę, ucieszyłam się, rzuciłam się, żeby ją przytulić, a lekarz, taki surowy, prawie siłą mnie odciągnął, posadził u wezgłowia i wyszedł. Pamiętam, jak mama otworzyła oczy, uśmiechnęła się, a oczy miała takie smutne, przygaszone. Pocałowała mnie, pogładziła po głowie i znowu zasnęła. Siedziałam cichutko, żeby jej nie obudzić. A mama nagle zaczęła poruszać ustami, tyle że nie dało się niczego zrozumieć. Ciągle kogoś wzywała. I tak dowiedziałam się o moim biologicznym ojcu. Rzadkie imię, w spisie mieszkańców go nie było. Za to w bazie danych służby bezpieczeństwa jedno się znalazło…

– W bazie? Jak to?

– No… musiałam pokombinować z serwerem, a tam była jakaś bzdurna blokada i… – Zerknąwszy na rozmówcę, dziewczynka machnęła ręką z niezadowoleniem. – Nieważne. I tak nie zrozumiesz. Generalnie, wyjaśniło się, że tata pracuje poza schronem. Jego zadanie to zabijać dziku… ludzi, którzy dowiedzieli się o Edenie. Nie chciałam w to wszystko uwierzyć, póki nie znalazłam jego raportów. Ciągle jednak nie mogłam zrozumieć, dlaczego się na coś takiego zgodził. A po tym, jak wysadził wyspę…

– Co? – przerwał jej Gleb, zrywając się na równe nogi. – Więc to…

– Tak – Aurora kiwnęła głową z kamienną twarzą. – On.

– Ale po co? I dlaczego milczałaś tam, u Wygi?! – Chłopiec podniósł głos.

– Żeby mnie zatrzymali do wyjaśnienia? Już i tak nasiedziałam się za kratkami, więcej nie chcę! Jeśli w Mieście Targowym dowiedzą się o Edenie…

– Eden… Eden… Eden… Przejadło mi się wysłuchiwanie o tej norze! Nic tylko się troszczysz o tych swoich cudownych mieszkańców!

Napotkawszy przenikliwy, wyzywający wzrok, Gleb urwał. Dziewczynka powściągnęła emocje i nie zareagowała na ten atak.

– Tak, Gleb. Troszczę się. Ale nie tylko o nich. Inaczej siedziałabym w domu… – Aurora z bólem w głosie kontynuowała. – Muszę się z nim spotkać, przekonać… Czarny Sanitariusz przyniósł zbyt wiele nieszczęścia, ale może zrobić jeszcze więcej zła, jeśli nikt mu tego nie wyperswaduje. Po prostu muszę spróbować! To wszystko, czego potrzebuję… od tego wyrodka.

– Dlatego właśnie cały czas mówisz: „Czarny Sanitariusz”, „on”, „biologiczny ojciec”, i uparcie nie nazywasz go tatą…

Zapadła cisza, w której dało się słyszeć urywane szlochy Aurory. Któryś już raz chłopcu przyszło uspokajać towarzyszkę, ale ta tylko coraz bardziej się rozklejała, duchowe przeżycia wymagały rozładowania.

– Czasem się zastanawiam, czy on rzeczywiście jest takim potworem, jakim wszyscy go malują? Może po prostu tak tylko gada o sobie?

– Widziałem, jak spalił Panteleja – Gleb potrząsnął głową. – Moszczny pewnie też unicestwił bez mrugnięcia okiem.

– Chodźmy. Muszę się upewnić…

Dziewczynka zerwała się na nogi i pospieszyła w głąb kompleksu. Gleb wziął swoje rzeczy i ruszył za nią. Po drodze omal nie wpadli w pułapkę zastawioną przez Sanitariusza na nieproszonych gości. Dzieci tylko cudem nie zahaczyły o cienką żyłkę i po pokonaniu przeszkody dalej badały kompleks.

System podziemnych pięter okazał się nadzwyczaj prosty i logiczny. Krótkie, dwuczęściowe schody zaprowadziły wędrowców na wyższy poziom, którego dużą część zajmowała przestronna, pogrążona w

półmroku sala. Wysokości dorosłego człowieka skrzynie z rzędami przełączników, pulpity, monitory…

– Serwerownia – wyjaśniła Aurora w drodze. – A tam jest, zdaje się, system łączności z satelitą… Węzeł telemetryczny…

Chłopak błąkał się po sali, przyglądając się ze czcią osobliwym, zakurzonym urządzeniom – niemym świadkom potęgi dawnych mieszkańców. Żyli przecież… I to dobrze żyli. Tworzyli, budowali, badali świat. Słońce. Sięgali gwiazd. Co prawda, nie zapominali przy tym o zagrzebywaniu się w ziemi. Przecież tego Edenu chyba nie zbudowano w rok. To znaczy, że ktoś przewidział wojnę. Przygotowywał się, zbierał siły…

– Posłuchaj, Aurora… – Nie widząc towarzyszki obok siebie, Gleb rozejrzał się dookoła. – Aurora?

Jego uwagę przyciągnęło blade światło sączące się zza przegrody. Dziewczyna siedziała przy biurku naprzeciwko świecącego się monitora i stukała palcami po klawiaturze.

– To komputer? Widziałem takie na obrazkach. On działa?

Nie doczekawszy się ostatecznie odpowiedzi, chłopiec z ciekawością zajrzał jej przez ramię. Kolumny cyfr, tabelki, tekst drobną czcionką… Nie dało się odczytać ani słowa – Aurora zbyt szybko przerzucała strony.

Straciwszy zainteresowanie urządzeniem, Gleb rozejrzał się wokół. Brudne talerze, kubek z resztką herbaty grzybowej, na oko porządny waciak na oparciu krzesła… Wszystko razem sprawiało wrażenie, jakby gospodarz wyskoczył na kilka minut i za chwileczkę miał wrócić. Nieco dalej, w kolejnej sekcji, z połączonych stołów utworzono obszerną pryczę. Obok w nieładzie porzucono fragmenty znajomego wzmocnionego węża – identycznego jak w miotaczu płomieni Sanitariusza. Tutaj widocznie naprawiał swój piekielny sprzęt.

Uwagę chłopca zwróciło niepozorne metalowe pudełko walające się pod łóżkiem. Po tym, jak obejrzał zawartość, odrzucił znalezisko z obrzydzeniem. W środku leżała strzykawka, kilka igieł, gumowa

opaska i torebeczka z szarawą substancją – standardowy zestaw ćpuna. Gleb widział podobne rzeczy w metrze i dlatego skrzywił się z obrzydzeniem. Stało się jasne, skąd Sanitariusz czerpie wewnętrzny spokój, by wykonywać swoją odrażającą pracę…

Nagle dobiegł go zdziwiony okrzyk Aurory. Chłopiec pospieszył z powrotem do partnerki, która dosłownie pożerała wzrokiem monitor, gorączkowo poruszając ustami.

– Co tam? – zapytał niecierpliwie Gleb.

– To po prostu niewiarygodne… – Dziewczyna wreszcie przerwała lekturę i odwróciła się do chłopca. – Za pomocą tej aparatury utrzymuje się łączność z satelitą meteorologicznym. Jest tu cała masa sprawozdań z monitoringu aktywności słońca. Przejrzałam logi i wykopałam coś ciekawego. Raz w tygodniu antenę odbiorczą przestrajano do przyjęcia pewnego sygnału… Zwięzły zakodowany komunikat o długości nie większej niż parę sekund. Jeśli nie wie się, czego szukać, lokalizacja jest niemożliwa… Czytałam kiedyś taki szpiegowski kryminał i tam dywersant dostawał instrukcje przez niewidzialnego dla radarów mikrosatelitę. Trudno w to uwierzyć, ale zdaje się, że coś podobnego wykorzystano też tutaj. Jedna rzecz zbija z tropu, wszystkie odebrane wiadomości są odkodowane i zapisane na tym samym komputerze. Bardzo nierozważnie ze strony odbierającego operatora…

– Eee… To ciekawe, co mówisz – przerwał jej Gleb – ale nie zrozumiałem nawet połowy. Nie da się jakoś prościej?

Aurora ciężko westchnęła, kręcąc głową z irytacją.

– Wybacz… Cały czas zapominam, że u was nie uczą programowania. Tak więc z tych instrukcji można wywnioskować, że bomba przez cały ten czas znajdowała się pod naszym nosem! Ukryto ją niedaleko „Obiektu 30” jeszcze podczas budowy, żeby jednym uderzeniem zlikwidować całą elitę władzy podczas ewakuacji. Pewnie w Moskwie też planowano coś podobnego…

– Ale to się nie stało?

– Właśnie. I nie mogę zrozumieć dlaczego. W ostatnim komunikacie jest nawet planowana godzina aktywacji i kody dostępu, ale z jakiegoś powodu dywersant ich nie wykorzystał…

Od strony schodów dobiegł niewyraźny dźwięk. Ktoś wchodził z dołu do serwerowni. Brzęk metalu i ciężki krok nie pozostawiały wątpliwości – zjawił się gospodarz. Wędrowcy bez słów rzucili się do nieoświetlonej części sali, kryjąc się za potężną szafą z aparaturą. Dudnienie kroków narastało. Kopiąc skrzynki, które znalazły się na jego drodze, gigant miotał głośnymi przekleństwami i zrzucał ze stołów komputery.

– Chyba ma zły humor… – szepnął Gleb. – Wciąż jeszcze jesteś przekonana, że chcesz z nim porozmawiać?

Nawet w panującym wokół półmroku było widać, jak dziewczynka zbladła. W szeroko otwartych oczach zastygło przerażenie.

– Ja… muszę spróbować.

Dźwięk kroków gwałtownie się urwał. Chłopak nabrał śmiałości i wyjrzał zza rogu. Czarny Sanitariusz zastygł obok swojego biurka i wpatrywał się w migoczący monitor.

– Kiedy przyszliśmy, to komputer pracował?

– Nie… – wymamrotała Aurora, natychmiast blednąc jeszcze bardziej. – To ja go włączyłam!

– Cholera! W takim razie on już wie, że tu jesteśmy.

Na potwierdzenie słów chłopca gigant nagle zaczął się rozglądać, potem powoli ruszył wokół sali w poszukiwaniu tajemniczych gości.

– No, co tam? – Dziewczynka niecierpliwie szarpnęła kolegę za rękaw.

Zamiast odpowiedzi Gleb pociągnął Aurorę za sobą. Czmychnął między wózkami ze sprzętem, poczołgał się wzdłuż ściany, aż ręka natrafiła na kwadratową plastikową kratkę.

– Szybciej! Chodź tu! – szepnął towarzyszce.

Chłopiec zerwał zasłonkę i wślizgnął się do szybu wentylacyjnego. Aurora była tuż za nim. Ułożyli się wewnątrz wąskiego tunelu i zamarli, starając się nie oddychać. Z miejsca, w którym się

znajdowali, otwierał się zbyt skąpy widok – kawałek przeciwległej ściany i nogi stołowe, dlatego nie można się było zorientować w tym, co się dzieje na sali.

Sanitariusz czy to zignorował nieproszonych gości, czy też uznał, że sam zostawił komputer włączony, w każdym razie dudnienie i przekleństwa ucichły. Po jakimś czasie w polu widzenia pojawił się ogromny hełm. Zwalił się z brzękiem na podłogę i kołysał się z boku na bok, póki obuta w żelazny bucior noga nie przygwoździła go do betonu. Znów dał się słyszeć odgłos jakichś ruchów, potem – brzęk szkła i westchnienie ulgi. W krąg światła upadła strzykawka.

– Co on robi? – odezwała się dziewczynka.

– Jak to co? Dał sobie w żyłę. To narkoman, rozumiesz?

Dziewczynka skrzywiła się, ale postanowiła zmilczeć. Gigant tymczasem ucichł, rozwalony na pryczy.

– Wiesz, Aurora… Zdaje mi się, że przyjście tu to był zły pomysł. Z tym zwyrodnialcem nie ma sensu rozmawiać. Ma wyraźnie nie po kolei w głowie. – Gleb poruszył się, prostując zdrętwiałą rękę. – Trzeba stąd spadać, póki jest nieprzytomny.

Aurora z uporem potrząsnęła głową. Lęk o życie innych zmusił ją do pokonania długiej, trudnej drogi, lecz strach o siebie i partnera nie pozwalał teraz zrobić ostatniego kroku.

– Wyjdę do niego – powiedziała w końcu. – Ja… po prostu potrzebuję czasu… żeby się zdecydować.

Chłopiec zamknął oczy, przeczuwając klęskę. W głowie roiły mu się tysiące powodów, dla których nie należało porozumiewać się z Czarnym Sanitariuszem. Nie chciał ich jednak wypowiedzieć, uznawszy, że nie ma prawa wpływać na czyjeś wybory. Aurora powinna sama podjąć decyzję.

Jak na złość, znów rozbolała go głowa – dawało o sobie znać stłuczenie ze starcia z grabarzami. Próbując się rozluźnić i oderwać od natrętnych młoteczków walących go w skronie, Gleb przycisnął czoło do zimnej ścianki i ułożył się wygodniej, na ile pozwalał ciasny przekrój szybu wentylacyjnego. Wymęczony organizm nie omieszkał

skorzystać z okazji i zdradziecko wepchnął mu świadomość w lepkie objęcia snu.

Obrazy, wszystkie co do jednego niewyraźne i rozmyte, przelatywały z przerażającą szybkością. Umysł czepiał się twarzy, próbując rozpoznać znajome rysy, ale im częściej się zmieniały, tym szybciej rodziła się pewność – Gleb widział tych ludzi po raz pierwszy. Tylko raz mignęła mu wyraźnie znana fizjonomia w wielkich, niezgrabnych okularach… Pantelej Gromow… Może ci wszyscy ludzie to uśmiercone przez Sanitariusza osoby? W takim razie, gdzie jest on sam? I co to za postaci majaczą w ogonie nieskończenie długiej kolumny? Przyszłe ofiary? Świadomość popłynęła naprzód. Jeszcze odrobinę i będzie można je rozpoznać, ale gdy do końca zostało tyle co nic, rozległ się ogłuszający pisk.

Chłopiec ocknął się, rozcierając sklejone powieki. Ile czasu minęło? Godzina? Dwie? Więcej? Czyżby zasnął? Tutaj, pod bokiem śmiertelnie niebezpiecznego wroga?

Koło twarzy czmychnęła mu mokra, szara kulka. Aurora znów rozdzierająco krzyknęła, wczepiając palce w towarzysza. Przerażony nie mniej niż dziewczynka szczur łypnął czerwonymi koralikami oczu i uciekł precz.

– Czyś ty zwariowała? – Gleb zatkał partnerce usta, nasłuchując.

Czyżby im się udało? Minuty mijały strasznie powoli, ale nic się nie działo. Chłopiec odetchnął, zerkając oskarżycielsko na Aurorę.

– Czego się drzesz? Szczura nigdy nie widziałaś?

– Zasnęłam, a on… Taki wielki…

– Podziękuj, że ten blaszany kloc nic nie…

Na zewnątrz coś zwaliło się z hukiem. Nieznana siła odrzuciła wózek w dalszy kąt sali, a w wylocie rury ukazała się zakuta w stal dłoń. Dziewczynka pisnęła, podciągając nogi. Ręka szperała niebezpiecznie blisko, nieomal dotykając butów Aurory. Pancerne palce skrobały po metalowych ściankach szybu, pozostawiając na powierzchni długie wgniecenia. Dzieci poczołgały się dalej, co chwila

spoglądając za siebie. Migotanie się urwało. Jakiś czas przez otwór przebijało się światło lamp, potem coś masywnego z głuchym stukotem zagrodziło prześwit – Sanitariusz zablokował wyjście.

Krótki odcinek tunelu nagle się zakończył. Ręce dotknęły ściany prowadzącej pionowo gdzieś w górę.

Gleb pomacał dookoła na oślep i zaklął.

– Tędy nie przejdziemy. Za wąsko.

– I co teraz zrobimy? – Głos dziewczynki drżał z przejęcia.

– Nie denerwuj się. Coś wymyślimy.

Gleb nadrabiał miną, zdając sobie sprawę, że to jedyne, co im pozostało w tej sytuacji. Pułapka się zatrzasnęła i jeśli nie Sanitariusz, to głód wcześniej czy później zmusi ich, by opuścili komin.

Jednak rozwiązanie nastąpiło znacznie wcześniej. Z wylotu pionowego szybu posypały się okruchy rdzy, potem powiało spalenizną.

– Rozpala ogień piętro wyżej… Gad chce nas wykurzyć.

Nadzieje na to, że dym wyleci na powierzchnię, nie sprawdziły się. W zapchanym przez tyle lat szybie wentylacyjnym ciągu prawie nie było i już niebawem dzieci strasznie kasłały, chowając nosy pod połami kurtek. Zwłoka groziła katastrofą i Gleb, dusząc się, popchnął partnerkę w stronę wyjścia.

Aurora zaparła się nogami o drewnianą skrzynkę i zabębniła butami o deski, lecz przegroda nie poruszyła się ani o centymetr.

– Daj, ja spróbuję!

Gleb chciał przecisnąć się do wyjścia, ale w tym momencie skrzynia z łoskotem poleciała na bok i żelazna dłoń wyciągnęła oboje na zewnątrz.

* * *

Spowite kłębami pyłu „Maleństwo” zatrzymało się obok głównej bramy obserwatorium. Po opancerzonym korpusie przebiegło drżenie i silnik, wydawszy ostatnie kichnięcie, ucichł. Drzwi otworzyły się ze

szczękiem. Wyskoczyło z nich czterech zbrojnych ludzi, którzy rozbiegli się wzdłuż skraju lasu. W ślad za nimi wyszedł, stękając, staruszek.

– Kierowcę zostawię tutaj, żeby pilnował pojazdu – zawołał Afanas, poprawiając maskę przeciwgazową.

– Lepiej sam byś został – rzucił Dym, spoglądając sceptycznie na starego marynarza.

– Jeszcze czego! Ja tych bydlaków gołymi rękami zaduszę! Taran, dokąd idziemy?

Stalker rozejrzał się wokół. Na wprost nich, w zaroślach burzanu, dało się rozpoznać ruiny bloku hotelowego. Po prawej wznosił się główny budynek ze zniszczoną kopułą. Wewnątrz, z tego, co podpowiadała mu pamięć, mieściło się Muzeum Astronomiczne. Po lewej majaczył niemal nierozpoznawalny pawilon Teleskopu Słonecznego. Czas nie oszczędził starych ścian, popękanych i na wpół zawalonych.

Pedantycznie omiatając okolicę, Taran nagle zwątpił, czy zagadkowy „Obiekt 30" znajduje się gdzieś tam, we wnętrzu wzgórza. Teren obserwatorium, włączając w to obszar parku, niemal cały czas pozostawał otwarty dla wycieczek i ukrycie budowy tajnego schronu było zwyczajnie niemożliwe. Wszystko, co mogło się kryć pod ziemią, to standardowy bunkier i pomieszczenia techniczne do obsługi potężnych teleskopów i anten. Tylko jak się tam dostać?

– Szukamy wszystkich zejść w dół, wszystkiego, co można uznać za szyby i drabinki.

Stalkerzy rozeszli się wokoło, czujnie wodząc lufami automatów. Na przeczesanie całego terenu trzeba mnóstwo czasu. A tego akurat brakuje… Taran zaklął, bezsilnie kopiąc nogami zamarznięte grudy spadłych liści. Może to wszystko było niepotrzebne i jego przypuszczenia są błędne? Co, jeśli kanał z przewodami prowadzi w zupełnie innym kierunku, a Gleb spotkał się już z…

Nie chciał nawet myśleć o najgorszym. Stalker skrzywił się, czując spaliny ciężarówki. Mocna z niej kobyła, ale dymi jak parowóz… A

jeśli to jednak nie „Maleństwo”? Nieprzyjemny zapach nasilił się. Wyraźnie czuć było spalenizną. Ale skąd? Źródło znalazł dosłownie pod swoimi nogami. Ledwie zauważalny dymek przebijał się przez szczelinę w niepozornej zaspie zalegającej o jakiś krok przed nim. Taran rozgarnął śnieg i od razu rozpoznał daszek komina wentylacyjnego.

Serce zabiło mu raźniej, a wątpliwości jakby zdmuchnął wiatr. Dała o sobie znać stalkerska intuicja, ciało przeszył mu znajomy dreszcz. Taran, jak pies gończy, który chwycił trop, ruszył w stronę najbliższych zabudowań, zdejmując z ramienia zabraną z ciężarówki strzelbę. Wejście powinno być gdzieś w pobliżu i jeśli istnieje, to stalker je znajdzie.

– Trzymaj się, Gleb. Jestem już blisko…

* * *

Od gryzącego dymu paliły płuca i łzawiły oczy. Chłopak złapał oddech i pomógł Aurorze stanąć na nogi.

– Co wy tu, do cholery, robicie?! – zadudnił im nad głowami donośny bas.

Dzieci podniosły wzrok i widząc wprost przed sobą opancerzonego giganta, mimowolnie krzyknęły. Z bliska, w swoim strasznym, pokrytym warstwą sadzy stroju, Czarny Sanitariusz wyglądał wyjątkowo złowieszczo i wydawał się uosobieniem absolutnego mroku. Bawiąc się prądownicą miotacza płomieni, obserwował nieproszonych gości przez szczelinę w hełmie (kiedy on zdążył go założyć?) i czekał na odpowiedź.

Umysł miotał się panicznie, szukając jakiegoś rozwiązania. Gleb odruchowo obmacał rękami tułów i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez całą drogę od Siennej nie uznał za stosowne zaopatrzyć się w jakąkolwiek broń.

Gigant nie zwrócił uwagi na ruchy chłopaczka, obracając się w stronę jego towarzyszki.

– Powtarzam! Co wy tu, do cholery…

Gniewna tyrada urwała się nagle.

Sanitariusz pochylił tułów do przodu, zrobił kilka kroków i zupełnie niespodziewanie padł na kolana, wyciągając przed siebie olbrzymie, zakute w żelazo ręce.

– Te oczy, usta… Czyżby… Boże… Jaka ty podobna do matki… Aurora! Córeńko moja! Znalazłaś mnie… Tyś mnie szukała…

Zapominając o zbroi, gigant chciał już zamknąć dziewczynkę w objęciach, ale ta powstrzymała go nieoczekiwanie ostrym okrzykiem.

– Ani się waż!

Co zdumiewające, Sanitariusz podporządkował się i znieruchomiał.

– Nie waż się mnie dotykać, zabójco!

– Córeczko!

– Masz ręce po łokcie we krwi!

– To nie takie…

– Takie!

– …nie takie proste, jak mówisz… To, co o mnie myślisz… To, co wiesz…

– Odejdź! Porzuciłeś mnie i mamę, ty… robisz straszne rzeczy! – Aurorą wstrząsały silne dreszcze, z oczu spływały łzy wielkie jak grochy. – Nienawidzę cię!

– Przecież tu przyszłaś! Żeby się ze mną zobaczyć, tak? Nie tak? – powiedział gigant głucho i z rozpaczą. – Żeby porozmawiać?

– Ja… Ja nie…

– Więc daj mi dokończyć…

Dziewczynka otarła twarz rękawem i spojrzała wyzywająco na ojca.

– Twoich czynów nie można usprawiedliwić. Jeśli obiecasz, że zaraz, dokładnie od tej chwili przestaniesz zabijać niewinnych ludzi, wysłucham cię.

Nastąpiła strasznie długa pauza. W końcu Sanitariusz poruszył się, ciężko opadając na najbliższą skrzynię i kiwnął głową na zgodę.

Aurora wciąż świdrowała giganta pogardliwym spojrzeniem, kiedy ten milczał, dobierając właściwe słowa. Gleb podszedł, złapał dziewczynkę za rękę, jakby próbował podzielić się z nią własną siłą

ducha. Dziewczynka chętnie ścisnęła wyciągniętą dłoń, nie spuszczając oczu z ojca.

Po krótkim czasie spod masywnej przyłbicy zabrzmiał przytłumiony głos.

– Kiedyś pracowałem w obserwatorium. Jako młodszy pracownik naukowy Zakładu Fizyki Słońca. Badaliśmy promieniowanie jonizujące słońca. Ono… Jest całkowicie pochłaniane przez górne warstwy atmosfery. I dlatego można je badać tylko z satelitów. Chociaż byłem młodszym pracownikiem, to nieźle się zapowiadałem. Dlatego, kiedy jeden z kierowników projektu zmarł na zwykłą grypę, jakoś samo tak wyszło, że zająłem jego miejsce…

Gleb zrobił zniecierpliwioną minę: spowiedź zaczynała się od jakichś zamierzchłych wydarzeń. Ale Aurora chłonęła słowa Sanitariusza – cała zamieniła się w słuch.

– Mnóstwo czasu zeszło mi na to, żeby rozgryźć jego robocze notatki, posortować pliki i sprawozdania – ciągnął Sanitariusz. – To wtedy odkryłem w komputerze ślady dziwnych sygnałów. Były naturalnie zakodowane, ale ten typ nie wpadł na nic innego, jak tylko zapisać szyfr na pendrive'a…

Kiedy zdałem sobie sprawę, że wpakowałem się w najprawdziwszą szpiegowską historię, to przestraszyłem się nie na żarty. Chciałem zgłosić to służbom i nawet raz zadzwoniłem. Na milicję. A tam nie uwierzyli, tylko obrzucili mnie stekiem bluzgów. Tak po prostu, bez żadnych ceregieli. Zwykłe wielopiętrowe przekleństwa… Z początku byłem zagubiony, a potem postanowiłem zebrać nieco więcej informacji i wszystko razem wysłać do FSB. Ustawiłem sprzęt na kolejny seans… A kiedy przeczytałem wiadomość, włosy stanęły mi dęba. Tam był kod aktywacyjny. I data, na jaką miałem ustawić timer…

Instrukcje, jak wkraść się do obiektu, znalazły się w następnych wiadomościach. Przepustka, uniform członka ekipy remontowej, wszystko było na miejscu. Tyle że ja nie poszedłem po bombę, ratowałem skórę. Wtedy nawet nie myślałem o niczym innym. Na

teren obiektu przedostałem się bez problemu. A raczej nie tyle do samego obiektu, ile do sektora dla obsługi. Do „gospodarzy” pewnie i teraz nie ma dojścia. To tam zastał mnie atak jądrowy…

Gigant przerwał, poruszając ramionami. Wytężonej uwadze Gleba nie umknęła nienaturalna poza opowiadającego i ledwie widoczne bujanie się tułowia w tył i w przód. Objawy nadchodzącego głodu narkotykowego? Chyba za wcześnie? A może to po prostu nerwy?

– Gdzie poznałeś mamę? – spytała zimno Aurora.

– W Edenie, a gdzie niby… – Sanitariusz westchnął. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką byliśmy cudowną parą… Mimo strasznej sytuacji, wojny, uwięzienia pod ziemią, byliśmy szczęśliwi z tego tylko powodu, że możemy być razem… Ale wszystko się zmieniło, gdy Alina… twoja mama, zaszła w ciążę. Stało się to wbrew surowemu zakazowi nałożonemu przez władze obiektu. Postawili nas przed wyborem: albo pozbędziemy się nieusankcjonowanego dziecka, albo… Wybrałem to drugie. Dobrowolnie odszedłem poza schron, ustępując swoje „miejsce pod słońcem” tobie.

Gigant podniósł głowę, przyglądając się córce. Ta słuchała, nie przerywając, wpatrzona w podłogę.

– Przez długie trzynaście lat od chwili twoich narodzin służyłem Edenowi, strzegąc tajemnic kompleksu. Służyłem i nie traciłem nadziei, że pozwolą mi w końcu wrócić do mocno kochającej mnie kobiety i do ciebie, córeczko. Próbowałem nawet rozstroić działo mikrofalowe przy wejściu, ale wiesz przecież, że oszukać, a tym bardziej uszkodzić system, jest niemożliwością… Czas mijał, ale nie uzyskiwałem nic poza obietnicami. A potem ci szaleni fanatycy z Czerwonego Szlaku natknęli się na magistralę energetyczną… I znów znalazłem się w obserwatorium.

Komputer, stara kolubryna, ledwo zipiąc, ale jednak zadziałał. Kod aktywacyjny, którego tak nierozważnie nie zapisałem poprzednim razem, udało mi się wyszukać całkiem szybko. Pojawiła się szansa, żeby zaszantażować władze Edenu bombą nuklearną, lecz ci oczywiście nie uwierzyli w pogróżki. Myślę, że nikt na ich miejscu nie

wziąłby na poważnie samej możliwości istnienia takiego syfu głęboko pod ziemią, obok tajnego bunkra, jednego z najlepiej chronionych na świecie. No i ja sam za nic bym nie wysadził „Obiektu 30", wiedząc, że w środku jest moja żona i córka.

Kiedy straciłem nadzieję, rozmontowałem bombę, zwłaszcza że rozkładało się ją bez problemu jak klocki Lego, i część za częścią przeniosłem bliżej Babla. A potem to już kwestia techniki. Bomba z włączonym timerem trafiła na Moszczny w kontenerze z suszonymi grzybami. Łatwo poszło. A najważniejsze, że nikomu nawet do głowy nie przyszło, żeby sprawdzać zawartość skrzyni sondą…

Wybuch zatrzymał exodus ludzi z metra. Bufor z zamieszkałych stacji między Edenem i mutantami pozwoli żyć bez problemów jeszcze długie lata. Zrobiłem to dla bezpieczeństwa naszego domu, dla bezpieczeństwa mamy i twojego, córeczko.

– Chciałeś się zasłużyć! Kupić sobie miejsce w Edenie! Za cenę setek istnień! – Aurora zabijała giganta wzrokiem.

Ten ciężko westchnął, nie oponując. A potem zmęczonym głosem ciągnął:

– Ja… chciałem być z ukochanymi ludźmi. Kiedy skończyłem z wyspą, przedstawiłem władzom obiektu rezultaty moich działań. Ale reakcja była zupełnie inna niż ta, na którą liczyłem. Ci dranie, moraliści z wydziału bezpieczeństwa, stwierdzili, że nie chcą widzieć w swoich szeregach mordercy całej kolonii. Ale teraz to już nie ma znaczenia…

Czarny Sanitariusz wyprostował całe swoje potężne ciało i rozłożył ręce na znak pojednania. Dzieci instynktownie się odsunęły, kiedy noga w ogromnym metalowym buciorze zrobiła krok naprzód.

– Przecież masz kartę dostępu! Będą musieli mnie wysłuchać i wtedy…

– Nie! – krzyknęła Aurora, stanowczo zaciskając pięści. – Oni są zbyt przerażeni twoimi wybrykami i wątpię, żeby chcieli z tobą rozmawiać. Wybuch nie przybliżył cię do Edenu ani o milimetr! Masz na rękach krew nie tylko tych nieszczęśników, ale i mojej matki!

Dawno już przekroczyłeś granicę! Mama wyrzekła się ciebie od razu, kiedy dowiedziała się o pierwszych ofiarach…

– Alina? Co z nią?!

– Nie ma… Jej serce nie wytrzymało, kiedy dowiedziała się o wyspie.

Sekundy, jedna po drugiej, więzły w gęstym jak kisiel czasie. Poziom adrenaliny wychodził poza skalę, huczało w skroniach. Czarna postać – skrzep mroku – zamarła na granicy trupio sinego światła stareńkiego migającego monitora. Jak szybko przychodzi świadomość całkowitej klęski, kiedy marzenia rozbijają się w drzazgi, w pył, w nicość?

Olbrzym zachwiał się, potężne ręce zacisnęły się na hełmie, z gardła wyrwał się niezrozumiały bełkot, przypominający raczej mamrotanie obrażonego dziecka. Zdawało się, że przybitego żalem Sanitariusza przestały obchodzić stojące naprzeciw dzieci.

Niewyraźne jęki od niskich tonów przeszły nagle w rozpaczliwy, pełen smutku i bólu krzyk. Czas niczym wypuszczona strzała zerwał się do lotu.

– TO TY JESTEŚ WSZYSTKIEMU WINNA! – Palec w opancerzonej rękawicy zastygł naprzeciw twarzy dziewczynki. – Bez ciebie wszystko ułożyłoby się inaczej!

Ogromna ręka zacisnęła się na rękojeści miotacza płomieni. W tym samym momencie Aurora poczuła ostre szarpnięcie – Gleb odciągnął ją. Dzieci pomknęły przejściem między biurkami, z przerażeniem oczekując uderzenia ognistej fali, lecz ta nie nastąpiła. Za nimi rozległy się przekleństwa Sanitariusza, który przypomniał sobie o pustych butlach. Ciężkie kroki i brzęk zbroi poniosły się echem po sali.

– I tak nie macie się gdzie schować! – grzmiał pod sklepieniem złowieszczy głos. – Oddajcie kartę, to was puszczę!

Dzieciom zabrakło do schodów jakichś kilku metrów. Na ich spotkanie z ciemności wyszedł szary cień. Dziewczynka pisnęła zaskoczona i runęła na ziemię, pociągając za sobą towarzysza. Przed

oczami mignęły podkute podeszwy butów. Nieznajomy i Sanitariusz pojawili się w przejściu właściwie jednocześnie. W ręce giganta mignął ogromny tasak. Krótki zamach i szerokie ostrze, przecinając powietrze, skierowało się w stronę Aurory. Rozległ się huk wystrzału. Tasak, podbity w połowie drogi, zniknął w ciemności. Nieznajomy odciągnął zamek i wycelował strzelbę w postać w zbroi.

– Do tyłu, frajerze!

Surowy głos, do bólu znajomy i kochany, wszystko obrócił wniwecz, a serce zaczęło bić w szalonym rytmie. Wreszcie! Teraz, kiedy Taran jest obok, wszystko będzie dobrze…

– Znowu ty?! – zaryczał Sanitariusz. – Z drogi albo zmiażdżę cię razem z tymi niedorostkami!

Zdawało się, że ten pełen wstrząsów dzień nigdy się nie skończy. W niemym zdumieniu chłopiec usłyszał słowa stalkera:

– Wszystko słyszałem. Kończ maskaradę, Pachom. Wiem, że to ty kryjesz się pod hełmem. Starczy już krwi. Co się stało, to się nie odstanie…

Rozdział 20: KRES

Glebowi wydało się, że się przesłyszał.

Jak to… Wujek Pachom to Czarny Sanitariusz? Niemożliwe! Jak w jednym i tym samym człowieku mogą współistnieć dobroduszny żartowniś i bezlitosny zabójca?!

Dlaczego? Jak? Po co?!

Niemożliwe! Albo… może?

Duża ilość broni, która jest w obrocie handlowym w metrze, pochodzi od Pachoma. Jak do niego trafia, tego nie wie nikt, a jeśli ktoś się interesuje… Widocznie rusznikarz potrafi znaleźć takie argumenty, by ciekawscy zapomnieli o swoich pytaniach raz na zawsze.

Ale jeśli Sanitariusz i Pachom to ta sama osoba, to wszystko się wyjaśnia. Sanitariusz ma dostęp do arsenałów „Obiektu 30", czy tak? I stąd dostawy, wiadomo …

Stało się też jasne, jak Czarny Sanitariusz, zjawiając się znikąd na stacjach, bezbłędnie odnajduje tych, którzy próbują wywęszyć coś o Edenie. Nie potrzeba żadnej sieci agentów. Eden ma w nosie kłębiących się nad nim dzikusów. To Pachom wychwytuje z rozmów wszystkie plotki o „Obiekcie 30", sam określa, który z ciekawskich za bardzo zbliżył się do rozwikłania tajemnicy… A po przemianie w Czarnego Sanitariusza bez litości spala ich na popiół. Ich przerwane istnienia składa do swojej skarbonki – wciąż je zbiera, zbiera i czeka, aż zgromadzi tyle, żeby móc kupić sobie miejsce w podziemnym Edenie…

Tyle że pod ziemią nie ma Raju.

Na schodach ukazali się marynarze z Babla. W ślad za nimi, niezgrabnie przebierając ogromnymi nożyskami, po zniszczonych

stopniach schodził mutant Giennadij. Widząc Sanitariusza, Afanas stanął obok stalkera.

– To on?

Taran kiwnął głową. Staruszek podniósł kałacha, gotując się do strzału.

– Zaczekaj. – Ręka najemnika opadła na łoże karabinu. – Ja go znam. Daj nam porozmawiać.

Dziadek Afanas skrzywił się i opuścił automat, nie zdejmując ze śmiertelnego wroga nienawistnego spojrzenia.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć, Taran? – zadudnił zakuty w zbroję gigant. – Słowa skruchy? Spowiedź? Błagania o litość?

Dopiero teraz Gleb uzmysłowił sobie, co tak zbijało go z tropu w Czarnym Sanitariuszu. Ten głos… Zniekształcony przez szczelnie zamknięty hełm, wydał mu się jednak mgliście znajomy już wtedy, gdy Pachom pojawił się w obserwatorium.

– Żaden obdartus spośród tych, których spaliłem, nie jest wart nawet włoska z głowy Aliny – ciągnął rusznikarz. – I gdyby los dał mi szansę, żeby zacząć wszystko od początku, bez wątpienia poszedłbym tą samą drogą.

– Czy rozumiesz, że zabrałeś ludziom nadzieję?

– Górnolotna bzdura. Wymieramy, przyjacielu. Nie pomoże ani wyspa, ani kontynent, ani nowa planeta. Taki już jest człowiek. Wściekłe zwierzę z najsilniejszym instynktem zniszczenia. Wszyscy pozdychamy, stalkerze. A te gapiszony, które przyszły z tobą, odlecą na tamten świat jako pierwsi, do swoich brudnych samic i szczeniaków, które ukarałem!

– Bydlaku… Mendo!

Automat Afanasa zaterkotał, jak echo zadudniły karabiny marynarzy. Rozłożywszy ręce w zapraszającym geście, Sanitariusz roześmiał się złowieszczo. Pancerz zadzwonił od licznych trafień, iskry leciały na wszystkie strony. Lampa pod sufitem eksplodowała, pryskając odłamkami. Trafiona kulami rozdzielnia elektryczna zaczęła dymić. Lecz olbrzyma ta kanonada absolutnie nie wzruszała. Nie

zwracając uwagi na deszcz ołowiu, czarna jak smoła postać powoli się odwróciła i odeszła, rozpływając się w mroku podziemi.

– Nie dajcie mu uciec! Otoczyć go! Strzelać w nogi!

Marynarze, przekrzykując się, z zapałem ruszyli w głąb sali i Afanas pospieszył w ślad za nimi. Zignorowali ostrzegawcze okrzyki Tarana. Ale Dym, znając stalkera nie tylko ze słyszenia, nie rzucił się do walki na złamanie karku.

– Nie zapominaj, z kim mamy do czynienia – rzucił sucho najemnik. – Pachom to szczwany lis i z marszu nie uda się go pokonać. Na pewno pozazstawiał pułapki.

Mutant kiwnął głową, po raz setny sprawdzając swojego utiosa. Za nimi dały się słyszeć pospieszne kroki. Taran odwrócił się i ledwie zdążył złapać Gleba, który rzucił mu się na szyję z promiennym uśmiechem na twarzy.

– Wiedziałem, że mnie znajdziesz!

– A ja, szczerze mówiąc, nie sądziłem, że się zgubisz. I nie podlizuj mi się tu. Później wrócimy do tej rozmowy.

Stalker przytrzymał syna wolną ręką i popatrzył na dziewczynkę, która stała nieopodal. Nie od razu można było poznać, że jest obca. Dziecko jak dziecko. Przerażone, samotne i niezmiernie nieszczęśliwe.

– Masz na imię Aurora?

– Tak.

Taran podszedł do niej, demonstracyjnie wolno wyciągnął rękę i ostrożnie pogłaskał dziewczynkę po głowie. Ta skuliła się, ale nie odsunęła. Domowe dziecko, nawykłe do czułości. Biedaczka…

– Czy rozumiesz, że twój ojciec powinien ponieść karę?

– On nie jest moim ojcem – wymamrotała nieobecnym głosem Aurora. – On w ogóle nie jest człowiekiem. Trzeba go powstrzymać…

Od strony sali dobiegł ich ostrzegawczy okrzyk i niemal natychmiast coś ogłuszająco huknęło, rozjaśniając przestrzeń piwnicy błyskiem ostrego światła.

– Nie wychylajcie się! – rzucił stalker do Gleba, spiesząc w ślad za Dymem w kierunku odgłosów starcia.

Zaraz po pierwszej eksplozji zagrzmiała jeszcze jedna. Sanitariusz puścił w ruch swój śmiercionośny arsenał. W dymie pogorzeliska dało się zauważyć marynarza skulonego na betonie i ściskającego rękami kikut nogi. Gdzieś obok zagrał automat. W stronę wrzeszczącego i rzucającego przekleństwa żołnierza pomknął przygięty, rozmyty cień.

– Stój! Do tyłu!

Na próżno. Gdy tylko drugi marynarz zbliżył się do rannego kolegi, z ciemności poturlała się butla. Wystrzał. Eksplozja. Chmura ognia w mgnieniu oka pochłonęła ich obu. Szkoda chłopaków… Taran złapał się nagle na myśli, że nawet nie zdążył się porządnie zaznajomić z tą dwójką. A teraz, za sprawą do cna szalonego Pachoma, chłopcy rzucali się po podłodze w strasznych spazmach, ogarnięci piekielnym płomieniem.

– Co on ma w tych butlach, napalm? – Giennadij klapnął obok i wskazał gdzieś w głąb pomieszczenia. – O tam, w rogu, cała sterta zapasowych i zbiornik z palną mieszanką.

Rozumiejąc się w pół słowa, stalkerzy otworzyli huraganowy ogień w stronę arsenału. Oślepiający wybuch pochłonął połowę sali, zmuszając ich do zmrużenia oczu i ukrycia twarzy przed straszliwym żarem. Zdawało się, że nic nie zdoła ocaleć w tym piekle, ale po chwili z kłębów dymu, zmiatając z drogi objęte płomieniami regały, wyszedł Sanitariusz. Zbroja giganta dymiła, języczki ognia tańczyły na stykach płyt, docierając do ubrania. A spod hełmu, tak jak wcześniej, dobiegał huczący śmiech.

– Oż, twoja mać! Jak on to robi? – Mutant przygotował cekaem do strzału.

Jakby słysząc pytanie, Pachom poruszył ręką i wyciągnął zza narękawnika strzykawkę. Długa igła wślizgnęła się pod przyłbicę, wbijając się w szyję. Po ciele Sanitariusza przeszedł dreszcz rozkoszy.

– Hop, hop, Aurora! – wrzasnął szyderczo. – Chodź do tatuśka, inaczej trzeba cię będzie ukarać!

– Kończ tę szopkę, Pachom! – Taran podniósł się zza osłony. – Zdejmuj zbroję i poddaj się!

Ale ten jakby nie słyszał, niepewnym krokiem kierując się do wyjścia.

– Jeszcze krok i skończą się negocjacje!

Gigant, nie zatrzymując się, machnął na stalkera ręką jak na natrętną muchę.

– No co ty się z nim tak cackasz?! – Dym nie wytrzymał i otworzył ogień.

Utios ochoczo się odezwał, zadudnił miarowym basem. Już pierwszy wystrzał zerwał z nogi Sanitariusza nagolennik, przez co ten się zachwiał. W tym samym momencie kolejna kula roztrzaskała na kawałki mechanizm miotacza ognia. Najwidoczniej Pachom nie spodziewał się u przeciwników wielkokalibrowego cekaemu, bo z nieoczekiwaną zręcznością dał nura za przysadzisty pulpit, próbując skryć się w korytarzu otaczającym salę.

Rozemocjonowany Giannadij posłał w ślad za nim prawie całą taśmę nabojów. Biurka z komputerami rozpadły się w drzazgi, monitory wybuchały fontannami drobnych odłamków, lecz rusznikarz, jak nabierająca prędkości lokomotywa, pędził przez salę, dopóki kolejne trafienie – tym razem kalecząc ramię – nie obróciło go o sto osiemdziesiąt stopni, rzucając plecami o korpus maszyny obliczeniowej. Zdawało się, że jeszcze trochę i kule nieuchronnie dościgną zapędzoną w kozi róg ofiarę, lecz utios nagle umilkł.

– Łajno!

Dym odrzucił zablokowany cekaem, przesadził pulpit i w dwóch olbrzymich skokach znalazł się obok przeciwnika. Pachom zdążył już zerwać zniszczony naramiennik, ściągnął też tornister z butlami do miotacza i z rykiem rzucił się do walki. Dwaj giganci, człowiek i mutant, starli się w szaleńczym boju na pięści. Taran nie mieszał się, obserwując ich z daleka. Zresztą nie było to potrzebne. Nie narodził

się jeszcze mocarz zdolny poradzić sobie gołymi rękami z Giennadijem.

W krótkiej wymianie potwornych ciosów Pachom stracił hełm i z obitą do krwi twarzą nie wyglądał już tak złowieszczo, jednak Dym też zainkasował swoją porcję dotkliwych uderzeń. Obu walczących natura obdarzyła potężnymi gabarytami i nietuzinkową siłą, lecz ciężka zbroja jednak krępowała ruchy i po błyskawicznym ataku mutanta Sanitariusz przepuścił w końcu przez gardę potężny podbródkowy. Głowa bezwładnie poleciała mu do tyłu. Pociągnięte siłą uderzenia ciało Pachoma runęło na ziemię. Szczerząc okropnie zakrwawione zęby, zaśmiał się i zaczął odpełzać. Giennadij deptał mu po piętach, wzgórki mięśni nabrzmiewały pod mokrym podkoszulkiem.

– Zabawa skończona? Czy chcesz jeszcze? – Olbrzymie pięści Dyma mimowolnie się zaciskały.

Pokonany rusznikarz nie odpowiadał, patrzył tylko na przeciwnika spode łba. Usta poruszały mu się ledwie zauważalnie, obrzucając mutanta przekleństwami.

– Pójdziesz pod sąd, gnido. – Giennadij wyjął z kieszeni kawałek grubego sznura, zamierzając związać Pachomowi ręce. – Oczywiście nie teraz, tylko na posiedzeniu Rady kolonii. Nie sądzę wprawdzie, że jakoś to zmieni twój los… Tak czy inaczej, nie ominie cię stryczek, ale najpierw będziesz musiał odpowiedzieć na kilka drażliwych pytań.

– Nie.

Afanas wyszedł z cienia i zbliżył się do rusznikarza. Lufa jego automatu skierowana była prosto w skroń Pachoma.

– Żadnych kolonii, żadnego sądu. Nie ma gwarancji, że wasza Rada wyda zbrodniarza Bablowi. Albo zabieramy go na Czkałowską, albo ten nieczłowiek zdechnie od razu tutaj.

Dym spojrzał na towarzysza. Taran nie spieszył się z odpowiedzią, rozważając warianty.

– Rozumiem twoje motywy, Afanasie. – Stalker poruszył zdrętwiałą szyją – Ale zrozum też moje. Dopóki wasze ultimatum nie zostało

wycofane, poszukiwania winnych są wewnętrzną sprawą kolonii. Rada wynajęła mnie, chcąc ochronić własne tyłki. Na mnie też spoczywa odpowiedzialność. Ze swojej strony mogę zagwarantować, że…

Taran nie zdążył skończyć. Staruszek krzyknął, kiedy kałach nagle wyleciał z jego rąk. Tracąc równowagę, Afanas zwalił się na Pachoma. Ułamek sekundy potem ten już strzelał, zasłaniając się ciałem pechowego mściciela. Stalkerzy rzucili się na ziemię i pochowali za meblami. Najemnik nie decydował się odpowiadać ogniem – ryzyko trafienia staruszka było zbyt duże. Wciskając się całym ciałem w betonowy występ, Dym szczerzył zęby i wymyślał dziadkowi na czym świat stoi.

Od strony przejścia dobiegły odgłosy szarpaniny. Afanas podjął nieudaną próbę odzyskania automatu, chwytając go za łoże, ale natychmiast dostał mocny cios w szczękę i omdlał w rękach olbrzyma. Wykorzystując staruszka jako żywą tarczę, Pachom wycofał się w stronę schodów. Taran zwlekał, czekając na dobry moment. Jego uważnemu spojrzeniu nie umknęło, jak drogę rusznikarza przecięła zwinna sylwetka.

Dalsze wydarzenia potoczyły się zbyt szybko, by zdążyć jakkolwiek wpłynąć na sytuację. Gleb zawisł na kałachu, przyginając lufę do ziemi, a staruszek wczepił się w szyję Sanitariusza. W galimatiasie, który nastąpił, huknęły wystrzały, oświetlając błyskami sylwetki walczących.

Stalkerzy zerwali się z miejsc właściwie równocześnie. Dostrzegając kątem oka szalony zryw mutanta, Taran poczuł nagle, że nogi się pod nim uginają, a w piersi błyskawicznie wzmaga się znajomy niepowstrzymany ból. Tylko nie teraz! Taran zaryczał bezsilnie i runął na kolana. W oczach jak zwykle mu pociemniało, obraz się rozmazał. Do tego wszystkiego gryzący dym przeżerał mu oczy, dezorientował, palił płuca.

Najemnik przemógł okrutne spazmy i podniósł głowę. Przez tę krótką chwilę wiele się zmieniło. Afanas już nie walczył z gigantem –

leżał rozpostarty na ziemi. Gleb był obok. Nieprzytomny, czy też… Poruszył się, chwała Bogu! Żyje! Ale gdzie jest Giennadij?

Taran obrzucił salę mętnym spojrzeniem i dostrzegł mutanta tuż przy wyjściu. Ten wił się na podłodze, próbując mimo spazmów dowlec się do przeciwnika. Rusznikarz krzyknął coś ze złością, pochylił się nad Dymem i po raz kolejny pchnął wygięte w kabłąk ciało paralizatorem. Łajdak, dobrał się w końcu do swoich skrytek…

Mutant wywrócił oczy i wreszcie stracił przytomność. Złowieszczy trzask broni elektrycznej ucichł. Pachom podniósł z podłogi automat, wyprostował się, wycelował w bezwładne ciało. Klik… Drugi… Na próżno. Wściekle szarpiąc zamek kałacha, gigant miotał głośne przekleństwa, ale wciąż bez skutku – magazynek był pusty. Bezużyteczna broń poleciała na ziemię. Rozejrzawszy się, Sanitariusz chwycił z najbliższego stołu ciężki monitor, podniósł go nad głową i z krzywym uśmieszkiem odwrócił się stronę mutanta.

Strzelba huknęła ogłuszająco. Śrut wytrącił Pachomowi monitor z rąk. Kolejny wystrzał trafił w kirys pancerza, omal go nie przewracając. Odzyskał równowagę i jednym skokiem zbliżył się do nowego przeciwnika, zawisając nad nim jak ogromny czarny cień.

Taran nadal klęczał, balansując na granicy omdlenia. Broń tańczyła w nieposłusznych rękach, przez ciało przebiegały fale bólu, grożąc utratą umęczonej świadomości.

– Co, stalkerze, kiepściutko?

Przed oczami mignął mu żelazny bucior, brutalnym kopniakiem wytrącając broń. Drugi cios posłał Tarana na ziemię. Z rozbitej wargi popłynęła krew. Twarz Pachoma – opuchnięta, z siniejącymi krwiakami na policzkach – powoli wynurzała się z ciemności, we wzroku miał wyłącznie chaos i pustkę.

– Chciałbym cię nieśmiało zapewnić – rusznikarz schylił się po strzelbę – że jeszcze nie wiesz, co naprawdę znaczy „kiepściutko”…

Stalker wsłuchał się w swój organizm. Ból znikał. To niewiarygodne, ale udało mu się przetrwać atak choroby bez utraty świadomości. Wciąż jeszcze nie mając siły wstać, w milczeniu

obserwował dawnego przyjaciela, zdumiewając się tą potworną transformacją, która przeobraziła duszę Pachoma, niszcząc wszystko, co ludzkie, i w zamian wypuszczając na wolność nieczułego, perfidnego potwora.

Z głuchym kliknięciem nabój wszedł w komorę, lufa strzelby zamajaczyła niebezpiecznie blisko twarzy. Ale z jakiegoś powodu gigant zwlekał. Może czekał na błagania o litość?

– Powiesz coś w końcu? – szorstki głos przeciął ciszę.

– Wiesz, Pachom… A przecież Gleb świata poza tobą nie widział. Dorosnę, mówił, to też otworzę swój biznes. – Taran patrzył bez cienia strachu, prędzej ze współczuciem. Tak jak się patrzy na śmiertelnie chorych ludzi. – Wszystko zepsułeś, Pachom. Sam. Nie ma co obwiniać…

– Wystarczy już! – urwał rusznikarz, przechodząc w krzyk. – Przecież z ciebie taki sam najemnik jak ze mnie, Taran! I ty będziesz mi prawił morały?!

– Wiem, jak to jest stracić bliskiego człowieka. Ja też miałem wszystkich gdzieś. Dopóki syn nie otworzył mi oczu.

– Przybłęda!

– Tak, przybłęda. – Stalker ledwie dostrzegalnie skinął głową i popatrzył olbrzymowi prosto w oczy. – Ale nie on nim jest. Tylko ja. To on mnie przygarnął. Takiego, jakim jestem… Gdybyś zatrzymał się odrobinę wcześniej, być może Aurora też by cię przygarnęła.

– Brednie! Mózg ci rozmiękł, stalkerze. Niepotrzebnie uratowałem ci życie tam, na powierzchni…

Starcie z trepanem, czarna zbroja, szare niebo, westybul Majakowskiej… Wyraziste obrazy jak slajdy rozbłyskiwały w głowie jeden za drugim. Kiedy to było? Wczoraj? Parę dni temu? Tydzień? Po napadzie w głowie pulsował mu spazmatyczny ból, przeszkadzając w skupieniu. Myśli ledwie się toczyły.

Lufa strzelby dotykająca czoła przyjemnie chłodziła skórę. Tak dobrze… Naraz ból minął. Palec rusznikarza naprężył się na spuście.

– Stój!

Głos – ostry, przenikliwy – sprawił, że Pachom wzdrygnął się i odwrócił głowę w jego stronę. Straszny uśmiech wykrzywił mu twarz. Aurora, blada i drżąca, zdecydowanie szła przez salę w stronę ojca.

– Zostaw go w spokoju! Wszystkich zostaw! Przecież to ja jestem ci potrzebna, tak?

– Tak, córeńko. Właśnie tak.

„Głupiutka… – przemknęło Taranowi przez głowę. – Potrzebni mu są wszyscy, którzy zbliżyli się do tajemnicy".

Gigant opuścił strzelbę i zrobił krok w jej kierunku. Grymas na jego zakrwawionej twarzy miał chyba być krzywym uśmiechem, ale, podnosząc oczy na ojca, dziewczynka zastygła w przerażeniu. Torba z rzeczami wypadła jej z rąk.

– Karta dostępu… – Pachom zerknął pożądliwie na torebkę. – Jest w środku, prawda?

Aurora skinęła głową, zagryzając zęby ze zdenerwowania.

– Czyli nie mamy już o czym rozmawiać, wredna gówniaro. Przyszedł czas wyrównać rachunki.

Oksydowana lufa znów się podniosła. Dziewczynka zacisnęła oczy w oczekiwaniu nieuchronnego końca, lecz wystrzał jednak nie nastąpił. Gdy otworzyła oczy, odskoczyła zaskoczona do tyłu. Ktoś zasłonił ją, odgradzając od szalonego ojca. Krótkie, rozczochrane włosy, dobrze znana wytarta wiatrówka… Gleb?

Chłopiec złapał powoli lufę obiema rękami, skierował strzelbę w swoją pierś i popatrzył wyzywająco na Sanitariusza.

– Ojciec mi mówił, że dzieci nie powinny płacić za błędy rodziców. Przecież wszystko ci jedno, kogo zabijesz? Więc zabij mnie. A ją wypuść.

Oko rusznikarza drgnęło. Złowieszczy uśmieszek spełzł mu z twarzy, ustępując miejsca zmieszaniu.

– Aurora to najlepsza rzecz, jaka ci się przydarzyła w tym życiu. Nie popełnij jeszcze jednego błędu. Największego, wujku Pachomie. Największego.

We wzroku chłopaka było coś… Coś, od czego nagle ścisnęło go w piersi… Serce walnęło raz, drugi, ruszyło w dziki taniec. Zrodzone gdzieś głęboko w środku niczym rwący potok, przebijając się z samego dna zobojętniałej duszy, z każdą sekundą rosło i nasilało się dawno zapomniane, palące, nieznośne uczucie…

Pachom przeniósł wzrok na córkę, gwałtownie podnosząc strzelbę. Huknął wystrzał, na zawsze unicestwiając znajome rysy twarzy.

Mrużąc oczy pod purpurowymi bryzgami, Gleb wzdrygnął się z opóźnieniem i bezsilnie usiadł na ziemi w ślad za pozbawionym głowy ciałem rusznikarza. Przed oczami wciąż jeszcze miał jego twarz… W oczach Pachoma na zawsze utkwiła skrucha.

* * *

W komorze mieszkalnej „Maleństwa” pachniało krwią i spirytusem. Giennadij dłubał przy dziadku Afanasie, przewiązując mu przestrzelone ramię. Staruszek trzymał się dzielnie pomimo niezdrowego, ziemistobladego koloru twarzy. Widząc spojrzenie Gleba, puścił mu oko. Że niby: „Damy radę…”.

Trzęsąc się całym korpusem na wybojach, samobieżna wyrzutnia wracała do miasta. Droga powrotna przez Południowe Bagna minęła nad wyraz spokojnie – nażarte trupami pobratymców drapieżniki opuściły teren polowań i wróciły do swoich legowisk. Tylko raz drogę zastąpiła im modliszka, która odłączyła się od roju, ale gigantyczne koła bez widocznego wysiłku zmiażdżyły chitynowy pancerz niczym skorupkę jajka.

W czasie krótkiej podróży chłopiec zdążył opisać swoje zadziwiające przygody i teraz wciąż nękał małomównego stalkera, żeby ten opowiedział o swoich. Radość ze spotkania ustąpiła miejsca lekkiemu żalowi do Tarana po obiecanej poważnej rozmowie, ale ochrzan aż nadto zrekompensowała mu fascynująca przejażdżka opancerzonym potworem. O Pachomie starali się nie mówić.

Aurora siedziała w kącie przestronnej kabiny z kolanami pod brodą i nieobecnym wzrokiem patrzyła w pustkę. Gleb chciał już dodać

otuchy dziewczynce, kiedy zawołał go Taran.

– Jak się czujesz?

Chłopak wzruszył ramionami. Po przeżyciach minionych dni ogarnęła go apatia. Nawet spać mu się nie chciało.

– Pamiętasz Kantemirowa z Placu Lenina?

– No chyba… – Gleb westchnął. – Tego lisa nie sposób zapomnieć, choćby się chciało.

– Przed śmiercią prosił, żebym przypomniał ci o jakiejś obietnicy… O co mu chodziło?

– Władlen nie żyje? – Chłopiec ożywił się, ale natknąwszy się na współczujące spojrzenie, opuścił głowę. – W takim razie to już nieważne. Droga do Edenu nie jest mu już do niczego potrzebna…

Potem jakby prąd go poraził. Lekarstwo! Jak mógł o nim zapomnieć!

Gleb gorączkowo wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął zawiniątko. Zerwał papierek, wyciągając fiolkę do ojca.

– Pij!

Widząc na twarzy stalkera nieme pytanie, chłopiec zaczął trajkotać:

– To lekarstwo! Nie będziesz już chorował, tak powiedział Władlen!

– Czyżby dał radę? Jak ci się udało to wycyganić?

– Długa historia… – Gleb machnął ręką teatralnie.

Taran wziął ostrożnie buteleczkę z rąk przybranego syna, przyglądając jej się pod światło. Przezroczysta, bezbarwna ciecz. Całkiem jak woda… Odkorkował i powąchał. Bezwonna.

– Pij, na co czekasz! Władlen mówił, że w świetle może się zepsuć!

Stalker wzruszył ramionami i przełknął zawartość fiolki jednym łykiem, po czym wsłuchał się w swoje odczucia.

Nadal nic. Tylko w brzuchu mu zaburczało. Ale to prędzej z głodu niż przez lekarstwo.

– Wiesz co, Gleb, nie chcę cię denerwować, ale moim zdaniem Kantemirow cię nabrał. To zwykła woda.

Taran zerknął na syna. Ten, z twarzą tuż przy kawałku papieru, gorączkowo wodził palcem po linijkach koślawego tekstu. Usta

poruszały mu się w skupieniu.

– Co to?

– Opakowanie fiolki… – W oczach chłopca zastygło zdziwienie. – Jest tu notatka od Władlena! Czytaj!

Stalker zajrzał do środka i wytężył wzrok, odczytując kulfony nieboszczyka.

Mój drogi przyjacielu!

Skoro czytasz ten list, to znaczy, że Taran jest gdzieś obok. Pozdrów go gorąco! Mówiąc, że w środku jest lekarstwo, nie kręciłem. Teraz twój ojciec powinien jak nigdy pić jak najwięcej wody. To pomoże mu szybciej przejść rehabilitację i usunąć z organizmu resztki narkotyku. Glebie! Taran nie jest chory, lecz otruty. Surowica, której dostarczają mu weganie, to nic innego, tylko narkotyk. Mocny i zdradziecki. Nie powoduje euforii i rozkoszy, ale wywołuje uzależnienie. Najprawdopodobniej właśnie to świństwo jest przyczyną napadów twojego ojca. Wystarczy opuścić kolejną dawkę i przychodzi nieunikniony głód narkotyczny. Skuteczny sposób wegan, by trzymać przydatnego najemnika na smyczy. Teraz wszystko w rękach Tarana. Jeśli porzuci surowicę – wyleczy się. Inne lekarstwa nie istnieją.

Powodzenia, Glebie!

Podnosząc jednocześnie głowy znad notatki, chłopiec i stalker spojrzeli po sobie.

– To niemożliwe… Czyżby… – Taran wyglądał na potwornie zagubionego.

– Co pamiętasz z tej historii z diabłem błotnym? Jak to było?

– Jak, jak… Wypadło mi raz nocować w szybie wentylacyjnym. Nie pamiętam nic konkretnego. W głowie utkwiło mi tylko, jak budzili mnie zieloni.

Stalker zamyślił się, wspominając szczegóły tego pamiętnego spotkania, kiedy weganie przywrócili go do przytomności po ukąszeniu moskita. W tej historii było dużo dziwnych elementów. Samego insekta w końcu nie udało mu się zobaczyć. Dopiero potem lekarz, który oglądał rankę, oznajmił, że… Stop! A czy śladem ukąszenia nie była ta niepozorna plamka na ręce? Czy to nie przed

narkotykiem próbował mnie ostrzec prawdziwy ojciec Gleba? I dlaczego Satur wtedy, na posiedzeniu Rady, oświadczył, że weganie znaleźli lekarstwo? Nie wcześniej i nie później, lecz w najwygodniejszym dla zielonych momencie! Dziwne zachowanie wegan nie wydawało się już nielogiczne. Chytre dranie jak zawsze stanęli na wysokości zadania…

– Żeby tak znaleźć tego potwora, który uzależnił cię od tej „surowicy”! – Gleb ze złością uderzył pięścią w dłoń.

– On już poniósł karę.

Razem z epizodem pojedynku, z pamięci wychynęła też krótka rozmowa z nieżyjącym już ojcem Gleba. Obietnica, by zachować spotkanie w tajemnicy paliła stalkerowi serce. Jak zareagowałby przybrany syn, dowiadując się… O czym? O okropieństwach niewoli, o zgrzybiałym starcu? Więzień miał chyba rację. Dzieciaka taka wiadomość nie ucieszy. I bez tego dość się wycierpiał, biedaczek.

Stalker pogrzebał w kieszeniach kamizelki, wymacał zimną metalową sztabkę i podał chłopcu.

– Moja zapalniczka! – zajaśniał Gleb. – Skąd ją masz?!

– Długa historia – sparodiował go Taran, obserwując jego entuzjazm.

Kabina zakołysała się, ścianki zadrżały. Ciężarówka szarpnęła i stanęła w miejscu z silnikiem warczącym na jałowym biegu. Podniosła się pokrywa luku. W otworze ukazała się głowa kierowcy w okrągłych okularach ochronnych i hełmofonie czołgisty.

– Moskiewska! – burknął rzeczowo i równie szybko zniknął w szoferce.

Chowając zapalniczkę do wewnętrznej kieszeni kurtki, Gleb niecierpliwie wyjrzał przez okienko. Całkiem niedaleko majaczyło do bólu znajome zejście do przejścia podziemnego. Pochylając głowę, podszedł do nich Giennadij. Nastał czas pożegnań. Mutant postanowił przejechać się z Afanasem na Czkałowską, żeby pomóc babelczykom załagodzić konflikt z miejskimi koloniami i przekazać Radzie rezultaty śledztwa. Taran z radością oddelegował przyjaciela z

kłopotliwą misją, gdyż z całego serca nie znosił tego rodzaju zebrań i czczej gadaniny. Giennadij z nie mniejszym entuzjazmem zapalił się do pomysłu, by wystąpić jako swego rodzaju pośrednik, w nadziei, że Alians Primorski doceni jego zasługi w ujęciu terrorysty, unieważni wyrok niedorzecznego sądu i przywróci dawne stanowisko.

Ku powszechnemu zdziwieniu Aurora też wyraziła chęć wyjścia. Gdy tylko wszyscy troje zeskoczyli na popękany, oszroniony asfalt przy zejściu do metra, wielotonowe „Maleństwo", wypuszczając kłęby dymu, żwawo ruszyło Moskiewskim Prospektem.

– Dokąd teraz? Do domu? – zapytał Gleb dziewczynkę, poprawiając aparat oddechowy.

Ta wzruszyła ramionami niezdecydowanie. Decyzja nie należała do łatwych… Po wszystkim, co się wydarzyło, pewnie nie dadzą jej szansy na ponowną ucieczkę. Nie ma nawet pewności, czy wpuszczą ją do środka. Teraz o Edenie wie co najmniej kilka osób, w tym Terentiew. A ten to już na pewno nie będzie milczał – roztrąbi na całą okolicę, nie trzeba wróżki, żeby to zgadnąć. Chyba że wymyśli, jak obrócić sekret na własną korzyść. Na przykład uruchomi handel z obiektem. Czemu nie?

Zresztą w Edenie nie było już nikogo, do kogo chciałaby wracać. Rodzinny pokój jest teraz pusty… I tej pustki niczym się nie zapełni.

– Wiesz co, Aurora… – Przytłumiony przez maskę głos stalkera oderwał ją od rozmyślań.

Taran odwrócił się w stronę dziewczynki i jakoś unikał jej wzroku. Czy to z przyzwyczajenia skanował okolicę, czy po prostu był skrępowany…

– Pomieszkaj na razie u mnie i u Gleba, nabierz sił. A jak zdecydujesz się odejść, to nie będziemy cię zatrzymywać.

– A jak długo można się decydować? – zabrzmiało w odpowiedzi nieśmiałe pytanie.

Stalker w końcu obrócił się w stronę obcej dziewczynki. Przez świetlne refleksy w szkłach wizjera widać było, jak wokół oczu pokazały mu się charakterystyczne zmarszczki – Taran się uśmiechał.

– Nie bój się, nie wygonimy cię. Prawda, Gleb?

Chłopiec energicznie pokiwał głową, podnosząc na znak zgody kciuk.

Postali jeszcze trochę, odprowadzając wzrokiem wzbijającą tumany kurzu samobieżną wyrzutnię, a kiedy kanciasty kształt zniknął w porannej mgle, dali nura w znajomą ciemnicę przejścia podziemnego, do nor zamieszkałego metra.

W mrok.

Ale tym razem przytulny i udomowiony.

EPILOG

Skrzydło hermetycznych drzwi bezszelestnie odsunęło się na bok, zmuszając gościa do zmrużenia oczu przed bijącym ze środka światłem.

– Ależ zabierz tę giwerę! Swój idzie! – Dym bezceremonialnie odsunął Tarana z przejścia, przeciskając się przez wąskie drzwi do schronu przeciwlotniczego. – Tam są graty, o które prosiłeś. Wnoś do środka.

Stalker zaklął, wyskoczył na zewnątrz, przytaszczył ciężkie toboły i zatrzasnął drzwi.

– Spóźniłeś się Giena. Niedobrze!

– Niedobrze to jest, jak człowiekowi pięty marzną. Wszystko inne to proch i marność.

Mutant poczłapał korytarzem od razu skręcając do kuchni.

– Oho! Czyli widzę, że wszyscy już są w komplecie!

Przy piecu, pobrzękując naczyniami, krzątała się Aurora. Gleb operował chochlą, mieszając w pękatym kociołku aromatyczną, parującą zupę. Przy długim, zbitym z desek stole, uzbrojona w ciężkie rzeźbione łyżki, siedziała osobliwa kompania: smagły kudłaty młodzik, śmieszny staruszek w kolejarskiej czapce i niepozorny typ z nalaną twarzą i czerwonymi oczami. Indianin, Migałycz i Bezbożnik…

Dym dopiero niedawno poznał całą trójkę i do tej pory nie umiał rozgryźć, do czego Taran potrzebuje tych zdechlaków. Dobra, niech będzie staruszek. On to jeszcze jakoś ujdzie, z techniką jest na ty – przyda się podczas ekspedycji. Ale dzikus i pijanica… Na kiego wała? Stalker miał ku temu swoje powody, którymi nie spieszył się dzielić z najlepszym przyjacielem, przez co Giennadij dziko się wściekał i nie przepuszczał żadnej okazji, żeby dociąć upartemu najemnikowi.

– Co powiedzieli marynarze? – stalker przysiadł się do stołu, przysuwając sobie talerz z sucharami.

Pozostali, odebrawszy sygnał do rozpoczęcia posiłku, ożywili się, zaczęli pracować szczękami – pitraszenie Aurory wszystkim przypadło do smaku.

– Afanas wszystko załatwił – wybełkotał Dym z pełnymi ustami. – Przygotują „Maleństwo" i jutro przyjadą.

– A co w zamian? – Taran przestał przeżuwać, czekając niecierpliwie na odpowiedź.

– Czyste tereny. Oczywiście, jeśli jakieś znajdziemy.

– Dobry wybór… A primorscy czego zażądali za paliwo?

– Tego samego. Informacji. Nikt nie ma ochoty siedzieć do końca życia pod ziemią.

Słuchając rozmowy dorosłych, Gleb rozkoszował się ogarniającym go uczuciem przytulności i domowego ciepła. Straszna historia z Czarnym Sanitariuszem już nie działała mu na wyobraźnię i zdawała się czymś dalekim i nierealnym. Wciąż tylko nie mógł się oswoić z utratą dalekiej wyspy. Chłopiec miał cichą nadzieję, że w planowanym przedsięwzięciu, które na pierwszy rzut oka wyglądało na czyste szaleństwo, szczęście się do nich uśmiechnie. Do tej pory nie chciało mu się wierzyć, że jego najskrytsze marzenie, nie dające mu spokoju jeszcze od pamiętnej wyprawy do Kronsztadu, już niedługo się urzeczywistni.

Teraz, kiedy ataki Tarana praktycznie ustąpiły, odczuwając zaś echa dawnej dolegliwości, tylko krzywił się ukradkiem, nic nie powstrzymywało przed podróżą na wschód!

Pozostali chyba nie mniej od niego pragnęli porzucić kolejkę podziemną. Dym w końcu nie dogadał się z primorskimi – biurokratyczne konwencje okazały się silniejsze od zdrowego rozsądku. Aurora, poznała bliżej posępnego stalkera, i nie zdecydowała się na powrót do Edenu. Migałycz po dokonaniu pogromu w siedzibie bandytów też nie pałał chęcią powrotu do mortusów i z entuzjazmem przyjął propozycję Tarana. Indianin po

prostu uciekł od plemienia, zmęczony beznadziejną tępotą i barbarzyńskimi manierami swoich pobratymców. A Bezbożnik… Bezbożnik zjawił się sam, jak tylko usłyszał o planach stalkera. „Talentu nie przepijesz – lubił mawiać, demonstrując dłonie z długimi palcami prawdziwego chirurga. – A bez lekarza daleko nie zajedziecie. W drodze wszystko się może zdarzyć.”

Stalker z początku nie chciał przyjmować zapijaczonego znajomego do załogi. Z opojem podczas rajdu zawsze będą problemy. Ale Bezbożnik zaklinał się, że z tym skończy, zaś Taran koniec końców poddał się, pod warunkiem, że chirurg nie weźmie ze sobą ani kropli alkoholu…

Czas mijał niepostrzeżenie. Swobodna rozmowa zajęła większą część wieczoru. Obserwując zgraną ekipę, Gleb po raz kolejny podziwiał zdolność Tarana, by gromadzić wokół siebie porządnych, niezarażonych złem ludzi. Z nimi można pojechać choćby na kraj świata. Oby tylko ów kraj ocalał i światło nie gasło…

Ucichli dopiero grubo po północy. Kiedy światła w bunkrze przygasły, a goście porozchodzili się do łóżek, chłopiec przewracał się z boku na bok, ale nie udało mu się zasnąć w przededniu wyprawy – za bardzo się denerwował. Człapiąc bosymi stopami po zimnej podłodze, poszedł do światła. Pochylony nad mapą stalker siedział przy stole i zaznaczał coś ogryzkiem ołówka kopiowego. Widząc w korytarzu syna, uśmiechnął się i klepnął zapraszająco w ławeczkę. Gleb z ochotą usiadł obok, przysunął lampę naftową i odszukał na mapie drogocenne kółeczko.

– Tato, rozumiem oczywiście, że Władywostok jest bardzo daleko i raczej nie ma sensu myśleć, że uda nam się odnaleźć wystarczająco dużo paliwa…

– Masz rację. Głupio mieć taką nadzieję.

– Ale mimo wszystko jedziemy…

Stalker zerknął na chłopca nierozumiejącym wzrokiem, czekając na ciąg dalszy.

– Po co? – nie milknął Gleb. – Bezbożnik jest przekonany, że to bilet w jedną stronę. Co, jeśli ma rację i miasto jest od dawna martwe?

– Nie dowiemy się tego, póki będziemy tu siedzieć. Pytanie tylko, jak bardzo chcesz to sprawdzić.

– Ale czy dla swojego… marzenia można narażać na niebezpieczeństwo innych?

– Widzisz… Rzecz nie w marzeniu. I już tym bardziej nie we Władywostoku. Z równym skutkiem można wybrać każdy inny punkt na kuli ziemskiej. – Taran sposępniał, świdrując wzrokiem blat stołu. – Metro długo nie pociągnie. Stacje pustoszeją w oczach. Wymieramy, Gleb. I jeśli coś z tym robić, to właśnie teraz. Jeszcze kilka lat i nie będzie kogo ratować.

– Ale może lepiej wybrać bliższy cel?

– Cel to kwestia drugorzędna. Ekspedycja jest ważna sama w sobie. Dotrzemy tak daleko, jak zdołamy. Będziemy szukać nietkniętych terenów, ocalałych ludzi. Wojsko też nie mogło tak po prostu zniknąć bez śladu.

Chłopiec nie odrywał wzroku od mapy. Nad nierówną linią oznaczającą pasmo Uralu był narysowany ołówkiem znak zapytania. Czyżby stalker liczył na to, że znajdą kogoś w górach? Czy może pod ich powierzchnią?

– A jeśli nam się uda, to co wtedy? Miejsce zamieszkania można zmienić, ale przecież „mieszkańcy” pozostaną ci sami! Gdzie gwarancja, że nie znajdzie się jeszcze jeden Pachom gotowy wszystko zniszczyć?

– Gwarancji nikt nie da. Ludzie mają to do siebie, że popełniają błędy. Ale także to, że uczą się na błędach, stają się mądrzejsi.

– Tylko czasem ta nauka ma zbyt wielką cenę… Czy zasługujemy na jeszcze jedną szansę?

– Nie wiem, Gleb. Nie wiem… Jednego jestem pewien – jeśli człowiek tej szansy nie dostanie, to raczej nie zmieni się na lepsze… Kiedyś dla wielu metro było wybawieniem. Teraz zaś powoli nas

zabija. Od tylu lat kryjemy się pod ziemią, że już nie wyobrażamy sobie życia bez tuneli, ciasnych stacji, wiecznej duchoty… Czasem wydaje mi się, że to brak światła tak działa na ludzi. Sprawia, że tracą rozum. Jak inaczej wyjaśnić dążenie do tego, by tłoczyć się w norach, niechęć, by dowiedzieć się, co się dzieje na powierzchni, w sąsiednich miastach, na całym świecie?

Chłopiec zamyślił się, wspominając rozmowę z na wpół szalonym skoczkiem na linie…

– Kiedy byłem nad Szczeliną, spotkałem pewnego dziwnego typa. Mówią na niego Psychopata. I on twierdził, że nie ma nic niezwykłego w tym, że nadal mieszkamy w metrze. Że rzecz nie w promieniowaniu, nie w mutantach, lecz w podświadomym dążeniu do ciemności. Że teraz po prostu wracamy tam skąd przyszliśmy – w mrok niebytu…

– Psychopata, powiadasz? Ach tak. Słyszałem o nim – pokiwał głową stalker. – Kto wie, może on jest najnormalniejszy z nas wszystkich.

– Dlaczego?

– Dlatego, że w odróżnieniu od pozostałych zdaje sobie sprawę z własnej choroby. Skażony świat, dzikie bestie, głód – to tylko opakowanie, tło, zewnętrzna strona mroku. W sumie nauczyliśmy się już z tym walczyć. Prawdziwy mrok jest wewnątrz, w naszych głowach. I od niego wyzwolić się będzie znacznie trudniej.

OD AUTORA

Witajcie! Nazywam się Andriej Diakow. Urodziłem się w Leningradzie w 1978 roku. W rodzinnym mieście, które powróciło do swojej historycznej nazwy Sankt Petersburg, mieszkam do dziś. Z wykształcenia jestem ekonomistą. Pracuję jako audytor – wydaję przedsiębiorstwom certyfikaty zgodności z normą ISO 9001. Jestem żonaty z czarującą dziewczyną, Walentyną, która w 2010 roku dała mi nie mniej czarującego syna. Podobnie jak jeden z głównych bohaterów mojej dylogii, ma na imię Gleb.

Moje zainteresowanie fantastyką zaczęło się jeszcze w dzieciństwie. W Leningradzkiej TV (obecnie Petersburg – Kanał Piąty) nadawano audycję dla młodzieży zatytułowaną *Zebra*. Na końcu każdego odcinka pokazywano trzyminutowy urywek *Gwiezdnych wojen*. Wtedy to zacząłem pasjonować się tym gatunkiem na poważnie i, obawiam się, na zawsze. *Terminator*, *Obcy*, *Predator*, *Robocop* – młodzież w moich czasach wychowywała się na tych filmach i choć dziś, w epoce technologii cyfrowej, wykorzystane w nich efekty specjalne wyglądają nieco naiwnie, to wtedy dla nas, nastolatków, było to prawdziwe objawienie.

Znajomość z postapokalipsą, podobnie jak wielu moich rówieśników, rozpocząłem od obejrzenia prawdziwych arcydzieł filmowych – *Wodnego świata* i trylogii *Mad Max*. Jednocześnie wyszukiwałem i czytałem w urzeczeniu książki na ten sam temat. *Zatopiony świat* Jamesa Ballarda, *King Blood* Simona Clarka, *Poczwarki* Johna Wyndhama, *Jestem legendą* Richarda Mathesona, *Inwazja jaszczurów* Karela Čapka... Utworów w dobrym stylu jest mnóstwo. Nie da się wspomnieć o wszystkich.

W swoim czasie bardzo zainteresowała mnie powieść *Chthon* Piersa Anthony'ego, której akcja toczy się w ogromnym systemie jaskiń –

podziemnym więzieniu dla recydywistów. Pewne podobieństwo w atmosferze i miejscu akcji znalazłem w *Grażdaninie prieispodniej* („Obywatelu piekieł") Nikołaja Czadowicza i Jurija Brajdera. Książka Władimira Gonika *Prieispodniaja* („Piekło") o realnie istniejących miejscach – tajnej podziemnej Moskwie i bunkrze Stalina – wręcz mnie zafascynowała. A kiedy natknąłem się w internecie na pierwszą wersję *Metra 2033* Dmitrija Glukhovsky'ego – świat postnuklearny i podziemia „w jednym opakowaniu" – zdałem sobie sprawę, że po prostu nie mogę stanąć z boku. Powstawanie drugiej wersji powieści śledziłem z niesłabnącym zainteresowaniem i brałem czynny udział w dyskusjach nad każdym nowym rozdziałem. Właśnie wtedy, w kwietniu 2005 roku, napisałem i udostępniłem w sieci swoje pierwsze opowiadanie fanowskie, toczące się w uniwersum *Metra 2033*.

Metro 2033: Do światła – to moja pierwsza poważna próba literacka. Wydanie tej powieści w dużej mierze zawdzięczam mojej ukochanej żonie – to ona pomogła mi pokonać wątpliwości i zdecydować się na tę niełatwą i nową dla mnie pracę, a także bliskim i przyjaciołom, którzy wierzyli w moje siły. Książkę udało mi się napisać w dość karkołomnym czasie dwóch i pół miesiąca. Dzięki temu, że książka trafiła na szczyt listy najlepszych dzieł w portalu, włączono ją do oficjalnej serii i ukazała się drukiem w maju 2010 roku.

Praca nad fabułą sequela, który trzymacie w dłoniach, zajęła 6 miesięcy. Kolejne pół roku potrzebowałem, by napisać samą książkę. Dmitrij mnie nie popędzał, pozwalał tworzyć w tempie, które było dla mnie najwygodniejsze. Może to dlatego powieść jest bardziej wyważona, mroczna, przekonująca i dojrzała niż pierwsza część.

Nieocenioną pomoc w stworzeniu dylogii okazali mi forumowicze z portalu www.metro2033.ru, przyglądający się powstawaniu moich książek i pozostawiający opinie, komentarze i uwagi. Dziękuję im za wsparcie!

Szymunowi Wroczkowi, autorowi głośnej powieści *Metro 2033: Piter*, dziękuję za udział w uzgadnianiu szczegółów tła scenerii petersburskiej kolejki podziemnej, redaktorom Andriejowi Denisowowi, Łarysowi Smirnowowi i Wiaczesławowi Bakuninowi – za opiekę i konstruktywną krytykę, Ilji Jackiewiczowi – za solidną i estetyczną szatę graficzną okładek. I, oczywiście, za daną mi możliwość realizacji potencjału twórczego z całego serca dziękuję twórcy serii – Dmitrijowi Glukhovsky'emu.

Uprzedzając pytania czytelników, którzy dobrnęli do epilogu książki *W mrok*, informuję, że rozważam stworzenie trzeciej powieści w ramach projektu „Uniwersum Metro 2033", ale nie mogę na razie wybiegać w przyszłość i niczego obiecywać. Jeśli znowu chwycę za pióro, to nowe rozdziały pojawią się na portalu. Zaglądajcie tam, interesujcie się nowinami z „Uniwersum", czytajcie książki z serii i publikujcie swoją twórczość. Razem czynimy ten niezwykły projekt lepszym, wszechstronniejszym i ciekawszym!

Zawsze Wasz
Andriej Diakow

Uniwersum Metro 2033
Portal miłośników książek z serii Metro 2033

Dołącz do społeczności portalu,
publikuj swoje teksty i grafiki,
oceniaj i komentuj twórczość innych
i bądź na bieżąco z wydarzeniami
związanymi z postapokaliptycznym światem
Dmitrija Glukhovsky'ego.

www.metro2033.pl
facebook.com/metro2033pl